

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

PRZERAŻAJĄCE KŁAMSTWA
JESZCZE STRASZNIJSZA PRAWDA

ZANIM UMARŁAM



S.K. TREMAYNE

ZANIM UMARŁAM

S.K. TREMAYNE



Przekład Dorota Pomadowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Just Before I Died*

Redakcja: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: Claire Ward © HarperCollinsPublishers Ltd 2018

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © LuFeeTheBear / Shutterstock, © Dorota Gorecka / Trevillion Images, © Sveta

Butko / Trevillio Images, © Jayne Szekely / Arcangel Images

Korekta: Słowne babki, Beata Wójcik

Copyright © S. K. Tremayne 2018

S. K. Tremayne asserts the moral right to be identified as the author of this work.

Published by arrangement with Furniss Lawton.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright © for the Polish translation by Dorota Pomadowska, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-080-7

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Od Autora](#)
[Huckerby Farm](#)
[Princetown](#)
[Lych Way](#)
[Farma Huckerby](#)
[Grey Wethers](#)
[Las Hobajob](#)
[Farma Huckerby](#)
[Gospoda Warren House](#)
[Vitifer Leat](#)
[Salcombe](#)
[Burrator](#)
[Venner](#)
[Princetown](#)
[Hexworthy](#)
[Salcombe](#)
[Hotel Two Bridges](#)
[Morrice Town, Plymouth](#)
[Black Tor](#)
[Farma Huckerby](#)
[Podwórze w Huckerby](#)
[Salcombe](#)
[Farma Spaldingów](#)
[Dartmoor](#)
[Dartmoor](#)
[Huckerby](#)
[Bellever Tor](#)
[Kościół w Tavvyhurst](#)
[Farma Kennec](#)
[Huckerby](#)
[Drizzlecombe](#)
[Huckerby](#)
[Hotel Three Crowns Inn, Chagford](#)
[Dartmoor](#)
[Huckerby](#)
[Las Hobajob](#)
[Dartmeet](#)

Od Autora

Chciałbym podziękować wszystkim, którzy towarzyszyli mi w moich poszukiwaniach w Parku Narodowym Dartmoor, a szczególnie Timowi Cummingowi – za inspiracje, i Loicowi Richowi – za towarzystwo. Jestem również niezmiernie wdzięczny personelowi hoteli Two Bridges, White Hart i Gidleigh Park, producentom Plymouth Gin oraz właścicielom browaru Dartmoor Jail; a także moim redaktorom i redaktorkom z „The Times” i „The Sunday Times Travel Magazine” – Jane Knight, Edowi Grenby’emu i Nickowi Redmanowi.

Jak zawsze odczuwam potrzebę podziękowania Jane Johnson, Eugenie Furniss i Sarah Hodgson za ich mądrość, rady i profesjonalizm.

W niniejszej książce Czytelnicy znajdą wiele odniesień do różnych miejsc na terenie Parku Narodowego Dartmoor oraz nazw geograficznych. Niektóre spośród nich zostały przeze mnie zmienione albo wymyślone, chociaż mam nadzieję, że udało mi się wiernie opisać niezwykle piękno krajobrazów Dartmoor. Biorę całkowitą odpowiedzialność za niezamierzone nieścisłości.

Chciałbym podziękować również Sethowi Lakemanowi za zgodę na cytowanie fragmentów tekstów jego piosenek.

Gwieździe nad Kes Tor

Biedna Kitty Jay,
taka piękność porzucona na odludziu,
cicha modlitwa miała przynieść jej ukojenie w grobie,
jednak coś zakłóciło ten sen.

Seth Lakeman, *Kitty Jay*

Huckerby Farm

Sobota rano

Martwe ptaki leżą starannie ułożone w rzędku. Nie mam pojęcia, dlaczego są martwe. Może wymordował je jakiś kot – w ten okrutny, nieokiełznany koci sposób. Zabijanie dla zabawy. Jednak nie znam nikogo, kto ma kota, przynajmniej w najbliższej okolicy. My na pewno nie mamy kota. Adam woli psy – zwierzęta, które pracują, polują i aportują. Lojalne zwierzęta.

Bardziej prawdopodobne jest to, że te małe ptaszki wyzionęły ducha z powodu mrozu i głodu – długa zima w Dartmoor w tym roku jest ciężka. W ciągu ostatnich kilku tygodni mróz wgryzł się w kwaśną glebę, zdarł korę z powykręcanych drzew i zagnał ludzi do domów – od niewielkiego Christow aż po Tavy Cleave – a wąskie dróżki pośród wrzosowisk zamienił w ślizgawki.

Drzę na tę wciąż powracającą myśl, zaciskając palce na kubku z gorącą kawą i wyglądając przez kuchenne okno. Drogi, oblodzone od jakiegoś czasu, są niebezpieczne. Tak, powinnam była wtedy bardziej uważać, ale czy to naprawdę moja wina? Na chwilę odwróciłam wzrok, coś rozproszyło moją uwagę. A potem to się stało, na ciemnej drodze, która biegnie obok zalewu Burrator.

Jedynie wąski oblodzony pasek... Wystarczyło. Jechałam do domu w ślimaczym tempie i nagle straciłam panowanie nad kierownicą, wpadłam w poślizg, bezskutecznie wciskałam w podłogę pedał hamulca i w chłodnym grudniowym półmroku ześlizgiwałam się coraz szybciej w kierunku tafli wody. Pamiętam jedynie to wszechogarniające poczucie nieuchronności, przekonanie, że w jakiś sposób było mi to pisane – nagła śmierć w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Czarna woda na zawsze miała mnie pochłonąć. Zamknięte drzwi auta na zawsze miały mnie uwięzić. Lodowaty płyn w moich płucach na zawsze miał pozbawić mnie ostatniego tchnienia w ten zimny, losowo wybrany grudniowy wieczór, na skraju wrzosowiska, gdzie kościste pagórki i obnażone wzgórza zaczynają powoli opadać w kierunku Plymouth.

A jednak nie zginęłam.

Walczyłam i płynęłam, zalana strumieniami krwi. I przeżyłam. Jakimś sposobem przeżyłam. Wspomnienia nadal są fragmentaryczne, mgliste, ale powracają, a moje ciało dochodzi do siebie. Siniaki już prawie zeszły z twarzy.

Przeżyłam ciężki wypadek, jakimś tylko cudem nie zginęłam, i teraz postanawiam wyliczyć wszystkie błogosławieństwa, jakie mnie w życiu spotkały, niczym mała dziewczynka rachująca coś na paluszkach.

Pierwsze błogosławieństwo: mam męża, którego kocham. Adama Redwaya. On chyba też mnie kocha, i w wieku trzydziestu ośmiu lat wciąż jest bardzo przystojny – z tymi olśniewającymi niebieskimi oczami i kruczoczarnymi włosami. Wiecznie młody, mógłby uchodzić za mężczyznę o dziesięć lat młodszego nawet pomimo ciężkiej pracy, jaką wykonuje. A może właśnie dzięki niej.

Nie zarabia zbyt wiele jako strażnik parku narodowego, ale kocha te wrzosowiska, gdzie się urodził, i kocha swoją pracę – począwszy od naprawiania płotów, żeby kuce z Dartmoor nie zapędziły się zbyt daleko, po zabieranie na wycieczki zastępów uczniów, by mogli obejrzeć żonkile, stojąc na Steps Bridge, oprowadzanie turystów, dla frajdy, przez cały wąwóz Lydford i straszenie ich opowieściami o banitach, którzy mieszkali w jaskiniach, stali się kanibalami i wymarli z powodu endogamii i szaleństwa.

Adam uwielbia to wszystko – kocha baśniowość i surowość tych wrzosowisk. Lubi ich nieprzystępność i osobliwość. Tutaj wyrósł. A wraz z upływem czasu pozwolił mi stać się częścią swojego świata – tworzymy szczęśliwe małżeństwo, przynajmniej szczęśliwsze niż wiele innych par. Oczywiście wkłada się w nie rutyna, zwyczajność, nawet przewidywalność. Podobnie jest z seksem.

Jestem pewna, że moi znajomi z uniwerku wyśmialiby tę bezpretensjonalność, ale mnie daje to oparcie. Świat się zmienia – cyklicznie i nieuchronnie. Pożądam i jestem pożądana. Nie kochamy się zbyt często od wypadku, ale wiem, że to powróci. Zawsze wraca.

Za cóż jeszcze mogę podziękować? Co jeszcze sprawia, że cieszę się z tego, że żyję? Muszę obudzić w sobie wspomnienia. A te bywają nader bolesne.

Dość często cierpię na nagłe przerażające bóle głowy – tak ostre, że aż wyję. Jakby coś zgrzytało mi w głowie, jakby kości ocierały się o moje nerwy.

Tak jak teraz. Krzywię się. Stawiam duży kubek kawy przy zlewie, przykładam dłoń do czoła, do tego wrażliwego miejsca, którym musiałam uderzyć o kierownicę, roztrzaskując na drobne kawałki kości, mózg i wspomnienia z całego ostatniego

tygodnia, a także tafłę zimowego lodu na powierzchni sztucznego zbiornika wodnego na wrzosowiskach.

Głębokie oddechy. Głębokie, długie oddechy.

Skup się na pozytywnych aspektach, tak powiedział doktor. Codziennie odczuwaj wdzięczność. Dzięki temu szybciej wrócisz do zdrowia. Szybciej odzyskasz pamięć.

Lubię moją pracę w biurze turystycznym Parku Narodowego Dartmoor. Nie zostałam archeologką, tak jak planowałam, kończąc studia na Uniwersytecie w Exeter. Nie jest to szczyt moich marzeń. Poza tym niezbyt dobrze zarabiam. Ale piszę teksty ulotek, rozmawiam o historii, zarażam entuzjazmem wycieczkowiczów, a władze parku pozwalają mi brać udział w wykopaliskach w sezonie letnim, wkopywać się w torf i odkrywać kurhany z epoki brązu albo megalityczne groby skrzynkowe pełne czaszek, kości udowych i kręgosłupów z epoki neolitu, szczątków ludzi, którzy zamieszkiwali te tereny, kiedy były cieplejsze i suchsze. Bardziej przyjazne do życia.

Nade wszystko jednak kocham dom z granitu, w którym mieszkamy, osiem kilometrów na południe od Princetown, zagubiony pośród wysoko położonych wrzosowisk, oddalony o półtora kilometra od najbliższego zamieszkanego domostwa, gospodarstwa Spaldingów, i o jakieś trzy od najbliższej wioski, w której znajdują się pub i maleńki sklepik, gdzie można kupić szynkę, brykiet drzewny i niewiele więcej.

Uwielbiam to dzikie odosobnienie, bezmiar gwieździstego nieba i niczym niezmaconą ciszę. Uwielbiam te rozmarzone, artretyczne, obrośnięte mchem jarzębiny, które rosną wzdłuż wąskich drózek. Podoba mi się, że miejscowi nazywają je „wyszczierzonymi zębami” albo „zębami wiedźmy”. I uwielbiam historię tych terenów – pełną perturbacji, nieustępliwości, nieugiętości. Huckerby było kiedyś dobrze prosperującym gospodarstwem, zresztą nadal pozostały po nim stodoły i budynki gospodarcze, choć teraz, smagane lokalnymi deszczami, po których w środku lata strzelają w górę chabry i firletki, popadają w ruinę. Jedynym budynkiem nienadgryzionym zębem czasu jest właśnie wynajmowany przez nas tradycyjny długi dom, tak charakterystyczny dla okolicy, który liczy jakieś sześćset lat.

Kiedyś pewnie mieszkała tutaj liczna rodzina: po jednej stronie domu ludzie, a po drugiej – zwierzęta. Bydło dawało mieszkańcom ciepło pod tą strzechą w hrabstwie Devon. Teraz dom został przebudowany, dach pokryty łupkiem kamiennym, a wnętrze unowocześnione. Tak, trudno go ogrzać i nadal nasiąka wilgocią, ale ma swój klimat. Mieszkamy w nim razem z Adamem i naszą córką Lylą oraz dwoma psami, Felixem

i Randalem.

Nazwałam psy imionami z jednego z wierszy Gerarda Manleya Hopkinsa. Bo poezję też uwielbiam: czasem piszę wiersze, choć nigdy ich nikomu nie pokazuję. Ukrywam je przed światem, równie wstydliwie jak moja córka skrywa własne sekrety. Podobałoby mi się bycie poetką, tak jak bycie archeolożką. Ale jest dobrze tak, jak jest: jestem szczęśliwa, jak sądzę, a na pewno jestem szczęśliwa, że żyję i mieszkam w domu, który kocham, z mężczyzną, którego kocham, i dwoma psami, które kocham, a najbardziej – że mieszkam z córką, którą po prostu ubóstwiam.

Lyla Redway. Dziewczynka, która lubi układać martwe ptaszki w rzędy i okręgi.

Lyla Redway. Dziewięciolatka, która biega gdzieś po gospodarstwie w niebieskiej wełnianej czapeczce i grubym czarnym anoraku, bawi się sama – jak zawsze – albo z Felixem i Randalem, które zapewne woli od towarzystwa ludzi.

Nie mam nic przeciwko temu. Lyla nie jest typową dziewczynką: jest sobą, bezbronną, ekscentryczną, zabawną, życzliwą, rozkoszną sobą. Które dziecko spędziłoby mroźny styczniowy poranek na układaniu martwych ptaszków?

Czasem układa kamyczki albo gałązki, albo jasnoczerwone borówki. Czasem Adam wraca do domu z prezentami, które znajduje na skalistych wzgórzach, przedmiotami, które jego zdaniem spodobają się córce – miniaturowymi różowymi muszelkami ślimaków i delikatnymi kosteczkami ptaszków czy białymi jak płótno czaszkami żmij – a ona później układa te dość makabryczne skarby wrzosowisk w skomplikowane wzory: mandale, sześciokąty i znaki zodiaku, misterne symbole graficzne zrozumiałe jedynie dla niej, które wprowadzają swego rodzaju poetycki porządek do jej samotnego świata na wrzosowiskach; świata, w którym sama niepodzielnie rządzi.

A czasem nie robi nic. Stoi godzinami, słucha niesłyszalnej muzyki, przygląda się temu, czego inni nie dostrzegają, albo wspomina wydarzenia z bardzo wczesnego dzieciństwa. Przeczytałam, że te osobliwe cechy – wyczulony słuch, zadziwiająca pamięć – stanowią część jej choroby, a właściwie potwierdzenie jej choroby. Jednak odmówiliśmy poddania córki diagnostyce czy badaniom lekarskim poza oceną objawów widocznych gołym okiem.

Adam nie chce jej stygmatyzować ani szufladkować, a ja raczej się z nim zgadzam. Nie zamierzamy ograniczać córki, ponieważ mimo swojego odosobnienia, swojej samotności wydaje się szczęśliwa.

A może dzisiaj nie jest jednak taka szczęśliwa?

Lyla spogląda na leżące ptaszki. Ani drgnie. To dla niej typowe – sprawia wrażenie, jakby nie była zdolna wykonać najzwyklejszego ruchu. Stoi nieruchomo niczym słup soli, tak jak teraz, albo znów tańczy i kręci się w kółko, skacze po skalistych wzgórzach wrzosowisk, macha rączkami, kołysze się i kiwa oraz mówi, mówi, mówi, trajkocze niczym rzeczka Dart przepływająca pod mostem Postbridge, paplając sama do siebie potokiem informacji przechowywanych w mózgu, które pochodzą ze wszystkich przeczytanych przez nią książek.

Hiperleksja, tak się to nazywa. Kolejny objaw. Nadmierne czytanie.

Jakim sposobem to może stanowić problem? Nadmierne czytanie? Pozwalam jej czytać, ile chce. Całe książki w ciągu jednego dnia, tysiące słów na godzinę. Karmienie wygłodniałej duszy. Mam nadzieję, że to mój dar dla niej.

Odziedziczyła urodę po ojcu, prawie kruczoczarne włosy i przenikliwe spojrzenie, ale po mnie ma miłość do słów. Może pewnego dnia zostanie poetką, którą ja nigdy nie byłam. Może zrobi karierę naukową, której pragnęłam dla siebie. Cieszę się, że odziedziczyła wygląd po tacie, a nie po mnie. Zawsze wyglądałam rozczarowująco: brązowe włosy, brązowe oczy, przeciętny wzrost, przeciętna twarz, nie ma na czym oka zawiesić, to tylko ja, Kath, kobieta poślubiona przez Adama Redwaya, matka dziwacznej córki, robi coś tam dla parku narodowego, mieszka gdzieś tam daleko na pustkowiu, w pobliżu Hexworthy.

Fakt, że otarłam się o śmierć w tamtym zbiorniku wodnym, to zapewne jedyna wyjątkowa rzecz, jaka mnie spotkała w życiu, jedyne wydarzenie, które mogło sprawić, że zostałabym zauważona.

Tyle że ja nie chcę zostać zauważona.

Otworzywszy okno kuchenne na chłodne poranne powietrze, wołam:

– Hej, skarbie, wszystko w porządku? Na pewno jest ci ciepło?

Lyla stoi nieruchomo. Nadal spogląda z marsową miną na martwe ptaszki, niektóre spośród nich ułożone niczym rzędy rytualnych głazów z epoki brązu na wrzosowiskach.

– Skarbie – powtarzam bez cienia zniecierpliwienia. Jestem przyzwyczajona do tego, że muszę jej perswadować różne rzeczy, powtarzać dwa albo trzy razy, kiedy wpada w te swoje silniejsze stany. – Lyla, Jagódko, chcę się upewnić, że nie jest ci zimno, bo na zewnątrz jest mróz. Gdzie są pieski?

Nadal bez odpowiedzi. Mogłabym wyjść na dwór, wziąć jej twarzyczkę w dłonie i odwrócić, żeby na mnie spozjrzała, uświadomić jej, że właśnie do niej mówię, że

wchodzę z nią w kontakt, że ktoś tu potrzebuje uzyskać odpowiedź.

Otwieram drzwi wejściowe i podchodzę do mojej córki, splatam ramiona na piersiach, osłaniając się przed lodowatym wiatrem.

– Ciekawe, że one wszystkie są martwe, prawda, mamusiu?

Spod błękitnej czapeczki spoglądają niebieskie oczy, po ojcu.

– Słucham, skarbie?

– Wszystkie te ptaszki, tak wiele, wszystkie są martwe. Sprawdziłam. Tak dużo, pewnie ze dwadzieścia.

– Pewnie przez tę zimnicę, Lyla. Mamy srogą zimę, cięższą niż zwykle. – Obejmuję jej szczupłe ramionka.

– Hmm. – Wzrusza ramionami z roztargnieniem, wpatruje się w ptaszki.

Wędruję wzrokiem za jej spojrzeniem, przyglądając się uważnie tym żalonym drobnym ciałkom. Najwyraźniej zamarzyły – mają oszronione dzióbki. Nie wiem, jaki to gatunek. Chyba rozpoznaję drozda i rudzika. Lyla na pewno wie: potrafi rozpoznać każdego ptaka i ssaka, a także większość kwiatów na wrzosowiskach.

– Pomyślałam sobie, że to smutne, mamusiu, smutne, że one wszystkie nie żyją, więc ułożyłam je w specjalny kształt, żeby mogły mieć razem pogrzeb i nie czuły się samotne.

Pochyla się i przesuwa dwa spośród nich, delikatnie je układając. Kiedy widzę, jaka jest w tym dokładna, jaka precyzyjna, czuję niepokój. Układa takie śliczne kształty, ale przecież to w końcu martwe ptaki. Skąd ona je wzięła?

– W porządku, już dobrze, już dobrze... Zjesz lunch?

– Zaczekaj, zaczekaj, mamusiu. Już prawie skończyłam.

Ta misterna zabawa mnie przeraża. Martwe ptaki ułożone w kształt, którego nie jestem w stanie do końca pojąć. Lodowate ptasie ślepka, szereg bliźniaczych czarnych guziczków na zamarzniętym błocie.

Lyla przewraca zamarzniętego ptaszka to na jedną, to na drugą stronę.

– Lyla! Proszę, już dosyć.

Prostuje się i posyła mi uśmiech.

– Nie chcesz, żebym spędzała dzień na układaniu martwych ptaszków, tak? Chcesz powiedzieć, że to niewłaściwe zachowanie?

Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć, dopóki nie zdaję sobie sprawy, że moja córka żartuje, że naśmiewa się z moich lęków. Lyla miewa zdumiewające przebłyki

dorosłego poczucia humoru, wnikliwego i nieco surrealistycznego, świadczącego o tym, jak bardzo jest świadoma samej siebie. Między innymi dlatego opieramy się diagnozie.

– Nie. Uważam, że doskonale jest układać całe sterty obrzydliwych martwych ptaków w rzędy i okręgi. – Śmieję się i znowu ją przytulam. – A tak w ogóle, co to za ptaki? I jaki wzór z nich układasz, czy to twarz?

Ale ona odwraca głowę i spogląda na drogę prowadzącą do gospodarstwa, poza plantację drzew iglastych, poza las Hobajob, jakby coś słyszała. W oddali. Wiem, że potrafi usłyszeć dźwięk samochodu, na kilka minut nim ten nadjedzie, zanim ktokolwiek go usłyszy.

– Lyla?

Co ona słyszy? Nad naszymi głowami rozlega się krakanie kruka, który zatacza koło po matowoszarym niebie. Jednak Lyla wydaje się skupiać na czymś innym, daleko stąd. Co ona wyczuwa, co zbliża się do nas od strony skalistych wzgórz? Wspomnienia ranią. Czuję kłujący ból głowy.

– Lyla?

Nie odpowiada.

– Lyla, co to jest, co słyszysz?

– Tego człowieka co zwykle, mamusiu, człowieka na wrzosowisku. To wszystko. – Na tym zimnie jej słowa zamieniają się w upiorne opary.

Ma rozpięty anorak i dostrzegam, że pod spód włożyła tylko podkoszulek. Powinna być zmarznięta, a jednak wydaje się, że nigdy nie jest jej zimno: lubi ostre zimy w Dartmoor, podobnie jak jej ojciec. Oboje delektują się zimnem. Śniegiem. Soplami lodu, które zwisają z sypiącej się granitowej ściany.

– Wiesz, mamusiu, że kiedy widzisz mnóstwo kruków, to są gawrony, ale sam gawron należy do krukowatych? Wiedziałaś o tym?

Wyciągam do niej rękę raz jeszcze.

– Lyla.

Wykręca się od mojego dotyku.

– Nie dotykaj mnie, mamusiu. Zostaw mnie.

Warczy. Lyla zachowuje się w taki sposób, kiedy jest zła, przerażona albo nadmiernie podekscytowana. Wtedy warczy, krzywi się i wymachuje rękami. Podobnie robi w szkole: nie może się powstrzymać, choć przez to inne dzieci się z niej naśmiewają albo jej się boją. Ma tak niewielu znajomych... I zapewne żadnego

prawdziwego przyjaciela.

– Lyla, przestań.

– Odejdź, wrr...

– Proszę...

– WRRR!

Jestem bezradna. Odsuwam się do tyłu i patrzę, jak moja córka biegnie do ogrodowej furtki, wołając psy: słyszę, jak szczekają, widzę nasze dwa ogromne mieszańce charta z owczarkiem szkockim, które pędzą za nią.

Może jej nie być przez dwie godziny, a nawet przez pół dnia. Będzie biegać po polach, płaszać po lesie Hobajob i szukać tego krzyża saksońskiego wyrzuconego w pokrzywach przez nurt strumienia, z Felixem i Randalem po obu stronach. Adam zapewne kupił te psy dla Lyli, ale kocha je równie mocno jak ona. Polują, jakby były dobrze wyszkolone. Przynoszą martwe króliki ze skręconymi karkami i krwią kapiącą z pyszczków. Adam lubi obdzierać ze skóry gorące, parujące jeszcze zwłoki, i to na oczach Lyli, ucząc ją tradycyjnych, miejscowych zwyczajów i ciskając wygłodniałym psom kawałki surowego mięsa.

– Zjadajcie do końca, zjadajcie wszystko do końca – mawia do nich.

Lyla majaczy mi teraz gdzieś w oddali.

Cóż mogę zrobić?

Pozwolić im się bawić, myślę sobie, puścić ich wolno. Lyla nadal jest przygnębiona moim wypadkiem. Próbowaliśmy z nią o tym rozmawiać, najłagodniej jak się dało. Powiedziałam jej, że samochód wpadł w poślizg na lodzie i wjechał do głębokiej wody. Oszczędziliśmy jej mnóstwa szczegółów, ale z pewnością usłyszała swoje od dzieciaków w szkole, dowiedziała się z gazet i z internetu. Powiedzieliśmy również Lyli, że na razie mam mgliste wspomnienia, ale że one powrócą. Amnezja wsteczna. Typowa po wypadkach samochodowych, wywołana obijaniem się mózgu wewnątrz czaszki.

Wracam do kuchni, myję w zlewie kubek po kawie i wyglądam przez okno. W oddali słyszę szczekanie, które zbliża się coraz bardziej i jest coraz głośniejsze. Potem wpadają przez drzwi uszczęśliwione, ogromne i warczące. Lyla zatrzymuje się w wejściu, najwyraźniej nieczuła na przenikliwy wiatr, który wieje jej w plecy.

– Tata znowu jest na wrzosowisku.

– Co?

Posyła mi jeden z tych pustych, nieprzeniknionych uśmiechów.

– Znowu tam stoi, jakby nas obserwował, mamusiu. Ale tatuś ma taką pracę, prawda?

– Tak – odpowiadam. – Jest strażnikiem parku narodowego. Musi patrolować całą okolicę i wypatrywać ludzi.

Lyla kiwa głową i wzrusza ramionami, a potem zagania psy do salonu. Odprowadzam ją wzrokiem i zastanawiam się, jakim sposobem widziała ojca. Miał pracować w swoim rewirze, kawał za Postbridge. Co on tutaj robi? Może Lyla po prostu jest zdezorientowana albo przygnębiona. I nie mogę obwiniać jej o tę destabilizację, o ten bezgraniczny zamęt.

W końcu jej matka niemalże zginęła. Mało brakowało, a zostawiłaby ją samą. Na zawsze.

Princeton

Poniedziałek rano

Moja córka milczy, mój mąż też milczy jak grób, ale samochód wydaje z siebie okropny zgrzyt, kiedy Adam zmienia biegi. Nie obchodzi mnie to. Jestem szczęśliwa. Zimowe niebo nad Princeton jest przejrzyste, niczym niezmacone, a ja dzisiaj odzyskuję wolność.

Kupuję samochód, który zastąpi ten wciąż spoczywający na dnie Burratora. Czuję ogromną ulgę. Mieszkanie w Dartmoor – szczególnie w tak odległym miejscu jak farma Huckerby – bez własnego środka transportu jest prawie niemożliwe. Kursuje tu niewiele autobusów. Tory kolejowe zlikwidowano w latach sześćdziesiątych poprzedniego wieku, a bywa, że zimą na mniej uczęszczanych drogach od jednego mroźnego poranka do następnego nie pojawia się żadne auto, więc nawet nie ma co liczyć na podwózkę.

W trakcie mojej rekonwalescencji po wypadku Adam woził mnie swoim starym, zdezelowanym firmowym land roverem, podrzucał do pracy, pomagał w robieniu zakupów, i nieraz stało się to przyczyną nieporozumień między nami. Mówiąc oględnie, Adam bywa małomówny, ale kiedy musiał wieźć mnie kawał drogi do supermarketu Aldi w Tavistock, wyczuwałam w nim tłumioną złość.

Jednak dzisiaj kupuję sobie używanego forda od kuzyna Adama. Wysupłaliśmy trochę gotówki, Bóg wie skąd, jak powiedział Adam w rozmowie z agentami ubezpieczeniowymi. Mój mąż potrafi robić wszystko przy samochodach, silnikach, hydraulice i piecach, a mnie podoba się ten męski sposób, w jaki sobie z tym wszystkim radzi.

Odwracam się na siedzeniu pasażera i spoglądam na Lylę w szaro-białym szkolnym mundurku. Wpatruje się przez okno w monotonną zabudowę przedmieść Princeton.

– Hej, kotku. Znowu będę mogła zawozić cię do szkoły, fajnie, prawda?

Ale ona się nie odzywa. Odwróciła twarz. Lekko bębni paluszkami po szybie. Nie wiem, dlaczego to robi. Może to jeden z tych dźwięków, które lubi. Nazywa je dźwiękami *dzyń, dzyń*. Grzechot, szcęk, ciche metaliczne brzmienia przypominające brzęk monet albo kluczy.

Kiedyś, gdy stałyśmy na letniej łące nad Buckfast, córka powiedziała mi, że uwielbia odgłos skrzydeł motyli.

Istnieją również takie dźwięki, których nienawidzi. Odgłosy miasta. Ruchu ulicznego. Wycie syren. Rozpychania się ludzi w tłumie. Dlatego między innymi przeprowadziliśmy się do Huckerby, na to pustkowie.

– Lyla?

Odwraca się, ma niebieskie, szeroko otwarte oczy. Nieobecne.

– Mhm?

– Słyszałaś, co powiedziałam?

Potrząsa głową. Częstuje mnie powściągliwym zmarszczeniem brwi – jakbym zrobiła coś złego, ale przez grzeczność mi tego nie mówi. Czuję ukłucie żalu. Moja córka jest dziewięcioletnią dziewczynką, ma swoje kłopoty, sprawy, marzenia i śmiech, którego czasem nie słyszę. Dziewczynką, która ma swoje nazwy na muchy, kamyczki i żaby, która zbiera dzikie lilie i drżące fiołki na Nine Maidens i Seven Lords' Land, a potem suszy je między kartami książek. Moja dziewczynka, moja jedyna dziewczynka. Sama myśl o tym, że mogłam zginać i zostawić ją, napawa mnie bezbrzeżnym smutkiem, który sprawia, że łzy cisną mi się do oczu, jednak jakoś tłumię w sobie płacz.

Takie nagłe napady smutku albo złości zdarzają mi się od czasu wypadku, ale naprawdę coraz lepiej sobie z nimi radzę. A dzisiaj jestem bezsprzecznie szczęśliwa. Może nawet więcej niż szczęśliwa. Zdecydowana, żeby myśleć optymistycznie: owszem, mamy jeszcze zimę, ale przecież zima zwiastuje wiosnę.

Samochód warczy.

– Kochanie, powiedziałam, że dzisiaj mamusia kupuje samochód, więc będzie nam łatwiej, a tatuś nie będzie już musiał sam cię odwozić – tłumaczę, a potem zwracam się do męża: – Odetchniesz, prawda, Adamie? Wiem, że nuży cię już to wożenie mnie wszędzie.

Adam kiwa głową bez słowa, siedzi na fotelu kierowcy i skręca w lewo, na główną drogę do Princetown, która opada w dół, dosłownie i w przenośni, od przydrożnych hotelików w stylu georgiańskim i lśniącej nowością siedziby władz parku narodowego do ponurego, czarnego zarysu więzienia, które nawet w promieniach ostrego słońca złowieszczo góruje nad okolicą.

– Proszę bardzo. – Adam gwałtownie hamuje i zatrzymuje się przed szkołą. Odwraca

się, ignorując mnie, i odzywa się do Lyli: – Dobrze, Tatele i Lylunia. Daj buziaka, zanim pójdziesz.

Ale Lyla siedzi bez ruchu.

Adam podejmuje kolejną próbę:

– No dalej, skarbie, daj tatusiowi dużego buziaka.

Potrząsa głową i krzywi się. Nietypowe dla niej zachowanie. Łączą ich bliskie więzi; czasem zazdrozczę im tej relacji, wspólnego odkrywania wrzosowisk, obserwowania drapieżnych ptaków szybujących wraz z ciepłymi prądami powietrza nad Blackslade.

Nagle Lyla otwiera drzwi. Kurczowo przyciska rączkami do klatki piersiowej swoje pudełko na lunch z motywem z *Księgi dżungli* i tornister.

– Pójdę już – mówi, unikając naszego wzroku, jakby oznajmiała to całemu światu, a nie nam.

– W porządku, skarbie, możesz iść. Wieczorem wypijemy specjalną herbatkę. Z tymi ciasteczkami w kształcie rybek, które tak lubisz.

Z kamienną twarzą kiwa głową. Nawet na nas nie patrzy. Potem odwraca się i idzie w kierunku zielonej bramy szkoły.

Adam chwyta za kluczyk w stacyjce, gotów odjechać, ale kładę dłoń na jego ręce.

– Nie, zaczekaj. Chcę popatrzeć.

– Na co popatrzeć?

– No wiesz... jak to wygląda.

Wzdycha.

– Zawsze to samo... – Ale zdejmuję rękę z kluczyka i oboje obserwujemy, jak Lyla wchodzi przez bramę do szkoły.

Waha się przez mgnienie oka.

Widziałam już wcześniej tę scenę tak wiele razy... Próbuje zachowywać się normalnie. Szykuje się na to, żeby wchodzić w relacje międzyludzkie najlepiej, jak potrafi. Może powoli jej stan się poprawia? W końcu w samochodzie jesteśmy tylko bezsilnymi obserwatorami.

Na szkolnym podwórku jest pełno dzieciaków podekscytowanych pierwszym dniem tygodnia w szkole. Bawią się i sprzeczą, chłopcy i dziewczynki, ciemno- i jasnowłosi. Śmieją się, ganiają, witają się ze sobą, opowiadają historyjki i kawały.

W sam środek tego tłumu wchodzi Lyla. Samotna, niezauważona. Przystaje i rozgląda się dookoła, a na jej ładnej, bladej twarzyczce maluje się niepewność. Wiem,

że chce do nich dołączyć, ale jest zbyt nieśmiała, zbyt nieprzystosowana społecznie, by zacząć rozmowę.

Poza tym nie rozumie spontanicznej zabawy.

Podnosi i spuszcza wzrok, bawiąc się uporczywie guzikiem od rozpinanego sweterka. Zapewne ma nadzieję, że ktoś po prostu do niej podejdzie i coś powie. Jednak dzieci przebiegają tuż obok i całkowicie ją ignorują.

– Chryste – mówi cicho Adam.

Lyla podejmuje duży wysiłek: wraca do bramy wejściowej i patrzy prosto i z nadzieją na jakąś wyższą dziewczynkę, która się spóźniła. Chyba ją rozpoznaje. Becky Greenall. Lubiana, dobra w zabawach, w towarzystwie pewna siebie; ma wszystko to, czego brakuje Lyli.

Narasta we mnie żal i lęk. *Nie uśmiechaj się w ten sposób*, myślę sobie. *Proszę, nie uśmiechaj się w ten sposób*. Ale Lyla podchodzi bliżej do Becky i na jej twarzy pojawia się oczywiście ten uśmiech, ten dziwny zastygły grymas, ten szczególny, bezgłośny małpi krzyk, który Lyla uważa za uśmiech, choć wcale nim nie jest. Pokazuje Becky kciuk do góry.

Becky Greenall wpatruje się w Lylę i zasłania dłonią usta, próbując powstrzymać śmiech albo szyderczy uśmieszek.

Lyla próbuje raz jeszcze. Skacze, macha rączkami niczym ptaszek.

Jestem jej matką, a mimo to nie mam pojęcia, co ona próbuje zrobić – udaje pustułkę?

Becky teraz otwarcie zanosí się śmiechem, już nie może się powstrzymać; potem odwraca przypadkową osobę i już nie pamięta o mojej córce, tylko woła do jakichś dziewczynek, które w odpowiedzi machają do niej. Zaśmiewając się, idą razem w kierunku wejścia do szkoły.

Rozpoczyna się kolejny dzień. Cała klasa puszcza się biegiem do środka.

Z wyjątkiem Lyli, która jako jedyna zostaje na szkolnym wybiegu.

Samotna i cicha, przygląda się, jak pozostałe dzieci znikają w drzwiach szkoły. Jedynie opuszczone ramiona zdradzają jej emocje. Samotność.

Rozpaczliwie chcę wybiec z samochodu i przytulić ją najmocniej, jak potrafię, żeby to wszystko naprawić, ale nie jestem w stanie, zresztą nie widzę w tym sensu – i tak by mnie odepchnęła. Tymczasem Lyla powoli idzie w kierunku szkoły, a po chwili znika w drzwiach.

– Jezu – mówi Adam. – Jezu Chryste.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Gdzieś w głębi serca czuję głęboki smutek i nie znam żadnego sposobu, żeby sobie z nim poradzić. Jestem w stanie dojść do siebie po wypadku samochodowym, mój mózg może się zagoić, ale Lyli nic nie uzdrowi.

Milczymy. Adam odpala samochód, zawraca i jedzie z powrotem jakieś trzysta metrów, w stronę siedziby parku narodowego. Wyłącza silnik, jakby był gotów na rozmowę. Jednak zanim zdąży coś powiedzieć, to ja zaczynam mówić:

– Musimy coś z tym zrobić. Nie może tak dalej być. Jest gorzej niż rok temu.

Adam patrzy przed siebie.

– Ale ona w domu się śmieje. Uwielbia wrzosowiska. I uwielbia psy. Czuje się osamotniona w szkole, tak, ale co z tego? Jest po prostu samotniczką. Zdarza się.

Widzę na jego twarzy ból. Wiem, że Lyla jest całym jego życiem. Zabiłby, żeby ją chronić. Chce dla niej dobrze. A ja zwykle go słucham i chcę wierzyć we wszystko, co mówi. Ale teraz przychodzi mi na myśl Lyla i jej nieufność w samochodzie, to samotne wejście do szkoły, to upokorzenie na dziedzińcu. Wyobrażam ją sobie, jak siedzi sama w ławce, w klasie, z nikim nie rozmawia. Widzę ją w czasie przerw, jak siedzi pod ogrodzeniem na placu zabaw; dziwna, ekscentryczna dziewczynka z upiornym uśmiechem, która mruczy do siebie pod nosem o mrówkach i traszkach, podczas gdy jej koledzy i koleżanki rozmawiają między sobą o selfie i muzyce.

Nie potrafię już dłużej udawać.

– Nie, Adamie. Nie możemy ciągle myśleć, że to trzeba zaakceptować, że ona jest po prostu dziwna, to nie tak.

Mięśnie jego szczęki napinają się. Zgrzyta zębami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Musimy zacząć działać, coś zrobić. Bo moim zdaniem ona wcale nie jest szczęśliwa, w każdym razie nie za bardzo. Któregoś dnia zastałam ją przy układaniu martwych ptaków w jakiś kształt. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Wszystkie te martwe małe ptaszki... Dlaczego?

Adam patrzy przed siebie. Ma na sobie mundur strażnika: zielony polar, zielone spodnie, buty trekkingowe. Większości mężczyzn nie byłoby do twarzy w tym uniformie, ale on wygląda dobrze. Męsko.

Myślę o seksie, którego od jakiegoś czasu nie uprawiamy. Pragnę go znowu, chcę, żeby się odwrócił i mnie pocałował. Czasami to robi, nagle mnie całuje, namiętnie –

nachylając się w samochodzie albo kiedy spacerujemy po wrzosowiskach – a ja nadal to uwielbiam. Jednak teraz utkwiał swoje przenikliwe niebieskie oczy w odległym horyzoncie, jakby chciał sięgnąć wzrokiem poza to potworne Princetown.

Wyczuwam w nim gwałtowną tęsknotę. Nie pragnie mnie – chce po prostu być gdzie indziej, sam na wzgórzach. Wspinać się na wzniesienia północnych wrzosowisk – stanąć na Great Kneeset, gapić się na High Willhays, Black Tor, Hangingstone Hill, Cut Hill, Fur Tor, Great Mis Tor, miejsca, które kocha, miejsca, które zna, odkąd był chłopcem. Dzieckiem wrzosowisk, podobnie jak jego córka. I w przeciwieństwie do mnie.

– Spójrz na te cholerne domy – mówi.

– Słucham?

Przechyliła głowę na bok, patrząc na rząd szarych, ponurych budynków komunalnych – zakwaterowanie dla strażników więziennych.

– Mój tata postawił część tych budynków, kiedy był murarzem. Pomyśl tylko... Wyobrażasz sobie, że to byłoby dzieło twojego życia? Zbudowanie najbrzydszych pieprzonych domów w Wielkiej Brytanii. Nic dziwnego, że zaczął zaglądać do kieliszka.

Jego śmiech jest gorzki. Adam nie ma dobrych relacji z ojcem, który wdawał się w bójki, pił alkohol i uganiał się za spódniczkami, a jego kolejne dzieci wyrastały jak grzyby po deszczu – od Exeter po Okehampton. Adam o wiele bardziej kocha swojego wujka, Eddiego Redwaya, dzierżawcę ziemi nieopodal Chagford. To tam, w niewielkim gospodarstwie rolnym wujka Eddiego, Adam tak naprawdę dorastał, uciekając z domu przed pijackimi awanturami. To właśnie w tym uroczym małym gospodarstwie Adam poznawał i pokochał wrzosowiska, to tam ze swoimi łobuzującymi kuzynami podkradali jabłka w Luscombe i łowili małe pstrągi w Teign.

Rodzina Redwayów mieszka na wrzosowiskach od wielu pokoleń. Pracowali jako dzierżawcy rolni, robotnicy w kamieniołomach i kopacze torfu, odkąd istniał kościół w Sheepstor. Bydło o kudłatej sierści i myszołowy są ich braćmi.

Cieszę się, że moja córka przejęła to dziedzictwo. W przeciwieństwie do mnie może uznawać Dartmoor za swoje korzenie. Jednak dzisiaj to pochodzenie nie ma znaczenia – właśnie teraz moja córka potrzebuje nowoczesnej pomocy terapeutycznej, a ja i Adam musimy porozmawiać na ten temat.

– Adam, proszę. Już najwyższa pora, żebyśmy poszli z Lylą do lekarza. Pozwolili

właściwie ją zdiagnozować. Jeśli to naprawdę zespół Aspergera...

– Nie mam zamiaru przyklejać jej cholernej etykiety. Już ci mówiłem.

– Ale ja cały czas szukam informacji, rozmawiam z ludźmi, szperam w internecie. Piszą, że im wcześniej postawi się diagnozę, tym lepiej, im wcześniejsza interwencja, tym lepsze efekty, ponieważ można uzyskać prawdziwą pomoc, terapię umiejętności społecznych.

Potrząsa głową.

– Nie powieszę jej na szyi tabliczki: „Patrzcie, to ja, Lyla Redway, beznadziejny przypadek. Okażcie mi litość”. Do diabła z tym.

Podnoszę głos:

– Dzieci z zespołem Aspergera to nie beznadziejne przypadki! Nie wolno ci tak mówić! To zaburzenie ze spektrum autyzmu, u niej na tyle rozwinięte, że potrzebuje pomocy. Przecież widzisz, że zachowuje się coraz dziwniej... Naprawdę... te ptaszki... są niepokojące. Adam! Posłuchaj mnie, proszę. Jej stan się pogarsza.

Adam prostuje ramiona i kładzie duże dłonie na kierownicy, jakby chciał w pośpiechu odjechać.

– A jak myślisz, Kath, dlaczego tak jest? Hmm?

– Słucham?

Teraz odwraca do mnie twarz – jego niebieskie oczy płoną.

– Dlaczego, do cholery, uważasz, że jej się pogarsza?

– Nie rozumiem... o co ci chodzi? – Płaczę się, zaskoczona tą jawną wrogością. – Czy ty mnie oskarżasz? Czyżby to była moja wina? Czy to moja wina, że jej się pogarsza? – Teraz to ja czuję złość. – Na miłość boską, to był wypadek! Niczyja wina. Wpadłam w poślizg na lodzie. – Szukam współczucia na jego twarzy. – Nie rozumiem cię, Adamie... Ty i Lyla powinniście być szczęśliwi, że żyję... o mało nie umarłam... Ale żyję! Poza tym rozmawiamy o naszej córce, nie o mnie. Musimy myśleć o niej.

– O niczym innym nie myślę – odpowiada niskim, gniewnym głosem. – A teraz muszę iść do pracy. Zarobić pieniądze. Dla Lyli. – Bez słowa nachyla się i otwiera drzwi od mojej strony, dając mi do zrozumienia, żebym wysiadła.

Ma kilkudniowy zarost, zaciśnięte szczęki, posępnie zmarszczone brwi. Nie zmieni zdania. Patrzy na mnie w taki sam sposób, jak jeszcze kilka chwil temu Lyla patrzyła na niego. Nieufny. Nieobecny. Ostrożny. Mam poczucie, jakby w naszej kiedyś tak pogodnej rodzinie wszyscy się nawzajem podejrzewali, obwiniali. I nie mam pojęcia,

dłaczego tak się dzieje.

– Dobrze, Adamie, dobrze... Ale nie odpuszczę. Nie tym razem.

Wsiadam z samochodu z torebką przewieszoną przez ramię i przyglądam się, jak odjeżdża ze zgrzytem skrzyni biegów. Kiedy odwracam się w kierunku siedziby parku narodowego, czuję, jak za plecami góruje nade mną ogromny budynek więzienny.

W Princetown to więzienie nigdy nie daje o sobie zapomnieć.

Poniedziałek po południu

Czternasta? Wpatruję się w zegar na ścianie pomalowanego na kremowo biura parku narodowego z poczuciem przykrew niespodzianki.

Kiedy zleciał cały dzień?

Tracę poczucie czasu, kiedy praca mnie wciąga. Jeśli, powiedzmy, piszę nowe broszury o historii wykopalisk w Parku Narodowym Dartmoor, opisuję nostalgiczny kamienny krąg na Battern Hill, domek nad Birchy Lake, który zamieszkiwały stare wiedźmy z tuzinem czarnych kotów, słynny grób Kitty Jay, która popełniła samobójstwo z miłości po tym, jak zaszła w ciążę z jakimś nikczemnikiem z wyższych sfer – ten grób, na którym ludzie, wciąż poruszeni, składają kwiaty, te wspaniałe opowieści potrafią tak mnie pochłonąć, że mogę z radością przegapić całe popołudnie.

Podobnie dzieje się w ruchliwe letnie dni w naszych centrach informacji turystycznej w Haytor albo Postbridge, gdzie nie możemy się ruszyć z powodu rubasznych niemieckich właścicieli przyczep kempingowych i zdeterminowanych francuskich amatorów wspinaczki górskiej – wszyscy szukają map, ubicacji, sygnału wi-fi, a wtedy godziny szybko upływają.

Ale teraz mamy środek zimy. Nikt nie przyjeżdża na wrzosowiska w styczniu. Połowa personelu parku narodowego bierze w tym czasie urlop, ponieważ nie ma zbyt wiele do roboty. Poza tym czym ja się właśnie teraz zajmuję... To ciągle poprawianie tekstów. Wprowadzanie poprawek w oficjalnych ulotkach parku i na stronach internetowych. Aktualizacja polityki dotyczącej psów w herbaciarniach należących do parku narodowego. Śmiertelne nudy. Zajęcia, które w normalnych warunkach sprawiłyby, że czas włókłby się niemiłosiernie.

A jednak to zadanie całkowicie mnie pochłonęło.

– Co słyszać, Kath? Czyżbyś aż za dobrze się bawiła?

To mój szef, Andy. Musiał słyszeć, jak westchnęłam. Miły facet. Blondyn, młodszy ode mnie, jeszcze wciąż nowy, choć pracuje tutaj od dwóch lat. Zastanawiam się czasami, czy powinnam mieć mu za złe, że nie dostałam awansu. Ale nie mam. Lubię to moje bardziej zróżnicowane stanowisko pracy. Zazwyczaj.

– Przepraszam, Andy. Pewnie zbyt głośno westchnęłam?

– Można tak to nazwać.

– Cóż, właśnie aktualizuję informacje dotyczące zasad korzystania z samochodów kempingowych na parkingach poza sezonem. Czy może jestem zbyt podekscytowana?

Słyszę, jak chichocze. Poza mną jest dzisiaj jedyną osobą w ogromnym biurze bez ścianek działowych. Stoi w obramowaniu okna, przez które widać niebo nad Princetown, mroczne i posępne niczym granit z Dartmoor. Zimowe słońce bywa tak boleśnie blade.

– To nade mną powinnaś się litować, Kath. Pracuję nad paragrafem dwieście jedenaście zarządzenia w sprawie ochrony drzew, a to niemal lepsze niż seks. – Klika w coś na ekranie swojego komputera. – Jezu, nienawidzę stycznia. Przydałby się jakiś poważny wypadek, żeby ożywić atmosferę. Powiedzmy... jakiś autobus, który wjechałby do jeziora, za Meldon. To by na pewno pomogło... – Urywa i odwraca się w moim kierunku. – Hej, przepraszam... eh, Kath, ja...

– Nic się nie stało. Chcę, żeby ludzie o tym zapomnieli, Andy. Mam już dość bycia Tą Kobieta, Która Miała Ten Wypadek. – Słucha, więc kontynuuję: – Właściwie to chcę wrócić wkrótce do normalnej pracy, pracować w pełnym wymiarze tak jak przedtem. Chcę przez to powiedzieć, że to miło z twojej strony, że dajesz mi połowę dniówki, pozwalasz pracować z domu, ale ja już się dobrze czuję. Czy możemy wrócić do normalności?

– Oczywiście-wiście! Jeśli naprawdę czujesz, że dasz radę, to wspaniale. W ciągu kilku tygodni wrócisz do pracy w pełnym wymiarze.

Po czym znów zagłębia się w swoją pracę. Przyglądam się, zbieram myśli.

Dlaczego nie pozwala mi wrócić do moich obowiązków już teraz? Czasem mam poczucie, jakby wszyscy chodzili wokół mnie na paluszkach, przerażeni, że mogłabym się rozsypać. Nie traktują mnie jak osoby powracającej do zdrowia, tylko jak dziwoląga. Wyjątkowo wątlęgo dziwoląga.

Wracam do pracy i przeglądam tekst na ekranie komputera. Oficjalna strona internetowa oddziału Brytyjskiej Organizacji Turystyki w Dartmoor.

Dartmoor stanowi największy obszar granitowych wzniesień w Wielkiej Brytanii, który rozpościera się na przestrzeni 932 kilometrów kwadratowych w środkowej części hrabstwa Devon, tworząc jedyne skupisko prawdziwej dzikiej przyrody w południowej Anglii. Większość tego terenu zajmują bagniste torfowiska w postaci mokradeł albo bagien. Wrzosowiska są usiane wieloma charakterystycznie kopulastymi granitowymi wzniesieniami zwanymi torami (od celtyckiego słowa *tor* oznaczającego wieżę), które stanowią zróżnicowane

środowisko dla rozwoju fauny i flory. Cały obszar obfituje w znaleziska archeologiczne datowane od neolitu aż po epokę wiktoriańską...

Chcę to zredagować, sprawić, żeby tekst płynął bardziej warto, ożywić go, ale słowa rozmazują mi się przed oczami. Torfowiec... Karboński... Kolędowanie...

Nienawidzę tego stanu ciągłego zamroczenia umysłu, osobliwego wrażenia, które mam od czasu wypadku, że mój umysł stał się jedną z tych przepastnych szuflad w starej kuchni mojej matki, w dużym wiktoriańskim domu na wybrzeżu w Salcombe. Szuflady były zakurzone i zabałaganione, a moja matka, pozująca na hipiszkę i nawiedzona na punkcie zdrowej żywności, co tydzień sięgała do nich i znajdowała jakiś słoiczek organicznej musztardy albo miodu Manuka, o którym kompletnie zapomniała, i mówiła: „O rety! Zapomniałam, że to mamy”. Czasem musiała coś wyrzucić, marnując tym samym coraz bardziej topniejącą fortunę Kinnersleyów, a czasem słoiczek lądował z powrotem w szafce tylko po to, żeby znowu zostać zapomnianym, odszukanym i wyrzuconym albo nie, i tak w kółko... I właśnie tak czuje się mój mózg od czasu wypadku. Nie wiem do końca, co tak naprawdę się w nim znajduje, bo kiedy umieszczam tam różne rzeczy, niekiedy przepadają bez wieści, a kiedy znowu je odnajduję, często okazują się bezużyteczne, z przekroczoną datą przydatności do spożycia, mniej lub bardziej nadpsute.

Mój mózg ukrywa przede mną różne rzeczy.

Jest piętnasta piętnaście. Tak ciemno, że w biurze palą się światła.

Próbuję się zrelaksować. Może jestem dla siebie zbyt surowa. Stres związany z Lylą nie pomaga, podobnie jak napięcie między mną i Adamem. Może wszyscy potrzebujemy więcej czasu. Tak od początku powtarzali lekarze: „Proszę być cierpliwą, nie oczekiwać natychmiastowych cudów. I proszę pamiętać, że miała pani sporo szczęścia. Z czasem wróci pani do zdrowia”. Zdiagnozowano u mnie „łagodne urazowe uszkodzenie mózgu”, nic gorszego; najwyraźniej byłam nieprzytomna przez mniej niż sześć godzin. Znalazłam się w przedziale 13–15 punktów w skali Glasgow [\[1\]](#).

Gdybym dłużej była nieprzytomna, uzyskałabym mniej punktów i odebraliby mi prawo jazdy, przynajmniej na rok. W pewnym momencie, gdy straciłam przytomność, właściwie umarłam, byłam w stanie śmierci klinicznej przez jakąś minutę, ale aparatura przywróciła mnie do życia. Dlatego zostałam zakwalifikowana do „łagodnych”.

Łagodne urazowe uszkodzenie mózgu.

Jeśli chodzi o moją amnezję wsteczną, to wszystko, czego nie pamiętam sprzed

wypadku, ma się pojawić w ciągu najbliższych tygodni – zagubione wspomnienia powrócą niczym „wzgórza wyłaniające się po powodzi”, jak to ujął jeden z psychologów, aż w końcu cały krajobraz odsłoni się, kiedy wody zalewowe wsiąkną w ziemię.

– Hej, czy to twój nowy samochód?

Wyrwana z zamyślenia podnoszę wzrok. Andy gestem wskazuje na okno: widzę kuzyna Adama, Harry’ego, który stoi obok niebieskiego forda fiesty zaparkowanego tuż przed wejściem. Samochód jest nieco sfatygowany, tu i tam porysowany, ale to nic nie szkodzi. Każdy samochód w Dartmoor jest nieco sfatygowany i porysowany. Podobnie jak ja.

Harry macha do mnie. Jest podobny do rodziny Redwayów: przystojny, młodzieńczy. Wszyscy oni tak wyglądają – kuzyni Redwayowie. Te oczy i te kości policzkowe, tak bardzo charakterystyczne. Harry pracuje dorywczo, jeździ po całej okolicy, chyba że zarobi parę funciaków na sprzedaży samochodu. Niezły gagatek.

Ale da się lubić. Przypomina mi młodszą wersję Adama. Choć i sam Adam, kiedy jest w dobrym humorze, przypomina mi młodszego siebie. Dzisiaj pragnę mojego męża tak bardzo jak tamtego popołudnia, kiedy się poznaliśmy.

– Musisz być szczęśliwa, że znowu masz cztery kółka. Nie wiem, jak ty sobie radziłaś bez samochodu... – Posyła mi uśmiech. – No dalej, Kath, idź do niego. Do zobaczenia jutro.

Uprzejmy szef jeszcze bardziej skraca mój i tak już skrócony dzień pracy. Mogę wsiąść do swojego nowego samochodu, odebrać Lylę ze szkoły i pojechać do domu. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze z moim mózgiem. Wszystko będzie dobrze z Lylą.

– Dziękuję – odpowiadam. – Jesteś superbohaterem.

Biorę płaszcz przeciwdeszczowy i wychodzę na chłodne popołudniowe powietrze. Trochę się ociepliło, co oznacza, że zapewne będzie padał deszcz. Podpisujemy z Harrym dokumenty, po czym wręcza mi kluczyki i mówi:

– Nie jest to ferrari, ale posłuży ci dobre kilka lat.

Dziękuję mu, wsiadając do samochodu. A kiedy wolnym krokiem odchodzi w kierunku pubu, siedzę za kierownicą, trzymam zimne twarde kluczyki w dłoni i jestem przerażona. Zdaje mi się, że zapomniałam, jak się prowadzi. Nie robiłam tego od czasu wypadku. Od czasu, gdy mroczne wody zalewu chciały mnie wciągnąć w swe

błotne głębiny.

Kluczyk. Wkładasz kluczyk do stacyjki. Przekręcasz. Włącza się silnik. Pamiętasz? Daj spokój, Kath Redway, przecież robiłaś to milion razy. Masz prawo jazdy od dziewiętnastego roku życia. Robiłaś to praktycznie codziennie przez osiemnaście lat. To się nazywa prowadzenie samochodu.

Przekręcam kluczyk. Naciskam stopą pedał. I jadę. Nie uderzam w pub Plume of Feathers. Nie roztrzaskuję na kawałki okien z szybkami w ołowianych ramkach, nie wgniatam strażników więziennych po służbie w stertę barwionego drewna i butelek po piwie. Prowadzę samochód.

Gdy mija lęk, jaki ogarnął mnie tego popołudnia, popadam w coś na kształt euforii. POTRAFIĘ PROWADZIĆ AUTO. Kolejna zmiana nastroju. Teraz często mi się to zdarza. Od czasu wypadku.

Uszczęśliwiona, a nawet lekko oszołomiona, odbieram Lylę ze szkoły. Wygląda na nieco zbitą z tropu: sądziła, że pójdzie na kółko pozalekcyjne, że będzie sama w całkiem nowym miejscu, ale jest także zadowolona, że pojedzie wcześniej do domu, gdzie ludzie będą z nią rozmawiać, gdzie będzie mogła pobawić się z psami przy ognisku.

Albo ułożyć tajemnicze kształty z martwych ptaszków.

POTRAFIĘ PROWADZIĆ AUTO!

Ale kiedy zbliżamy się do skrętu, który prowadzi na otwarty teren wrzosowisk, w dzikie pustkowia, uświadamiam sobie, że zostawiłam torbę w biurze. Byłam taka podekscytowana nowym samochodem, że całkowicie o niej zapomniałam.

Pośpiesznie parkuję raz jeszcze przed siedzibą parku narodowego. Dzień jest chłodny i mglisty, lekka mżawka pokrywa plamkami przednią szybę.

A kiedy otwieram drzwi, Lyla odzywa się niewyraźnym głosem:

– Dokąd idziesz?

– Nigdzie, skarbie. Tylko do biura. Zapomniałam torby.

– Nie! Nie idź!

– Lyla?

Odwracam się zaskoczona, nawet nieco zszokowana. Lyla trzęsie się na tylnym siedzeniu.

– Mamusiu, nie idź! Nie idź...

Dziwne. Lyla niepokoi się z powodu przeróżnych rzeczy: kształtów, dźwięków albo

niewłaściwie dobranego gryzącego podkoszulka, ale rzadko reaguje lękiem, kiedy zostaje sama.

– Skarbie...

– Nie! Mamusiu! Możesz więcej nie wrócić! Możesz już nie wrócić!

– Lyla, to niedorzeczne. Nie będzie mnie zaledwie przez chwilkę, naprawdę, obiecuję.

Wyciągam rękę, żeby ją uspokoić, ale opędza się ode mnie, choć zachowuje się jakby nieco spokojniej. Odwraca głowę, wpatruje się w krople deszczu na szybie i czarny kształt więzienia.

Korzystam z okazji. Wylatuję jak strzała z samochodu, wpadam do biura, pędzę obok zaskoczonego szefa.

– Zapomniałam torebki!

Uśmiecha się szeroko.

– Aha.

Porywam torbę i pędzę z powrotem w kierunku samochodu, ale po drodze zauważam coś na biurku Andy'ego. Rządek okrągłych szarych kamieni wielkości dużych piłek golfowych albo dzikich jabłek. Pewnie leżały tam przez cały dzień. W połowie zasłonięte przez jego komputer. I wszystkie one mają otwory.

Widziałam już kiedyś takie same. Znam ten rodzaj kamieni. I właśnie to sprawia, że przechodzą mnie ciarki.

– Słuchaj – pytam, usiłując zapanować nad drzeniem głosu – skąd je masz?

Andy podnosi na mnie wzrok, niebieskawe światło ekranu komputera odbija się w jego okularach.

– Te kamyki? Ach... – Bierze do ręki jeden z nich i obraca go w świetle. – Ktoś je poukładał na gzymsie okna, na zewnątrz, więc zabrałem je do środka. Dziwne, co? Może jakiś turysta sobie nazbierał i zostawił je tutaj w nocy.

– Nie – odpowiadam. – Nie sądzę...

W jego uśmiechu pojawiła się lekka konsternacja.

– Słucham?

– Te nie są żadne stare kamienie.

Nachylam się i biorę do ręki jeden z większych okazów. Zaskakująco ciężki: zapewne ma w środku jakąś rudę metalu. Otwór powstał na skutek wietrzenia skał, co ma kluczowe znaczenie dla określenia źródła pochodzenia danego kamienia. Ale Andy

nie zna, oczywiście, ani źródła ich pochodzenia, ani ich znaczenia, ponieważ nie zna folkloru i mitologii Dartmoor. W końcu to ja się tym zajmuję... To ja skończyłam archeologię, to ja przeczytałam książki o folklorze i to ja piszę teksty do wszystkich broszur informacyjnych.

– To kamienie wiedźm.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Że co?

– Kamienie wiedźm.

Czuję nieodparte pragnienie, żeby pozbyć się tego przedmiotu z mojej dłoni. Zabrać je wszystkie i zakopać daleko stąd... w Kornwalii, Irlandii, Ameryce. Próbuję ukryć swój irracjonalny lęk.

– Ludzie z wrzosowisk kładli je na parapetach okien albo wieszali na sznurkach nad drzwiami wejściowymi do domu. Nadal można je zobaczyć w niektórych gospodarstwach w Dartmoor, na prawdziwym pustkowiu. Traktuje się je z przymrużeniem oka, ale podejrzewam, że są jeszcze tacy, którzy w to wszystko wierzą.

Spogląda na mnie, marszcząc brwi.

– Wiedźmy? Stare kobiety?

Obracam kamień w dłoniach i uspokajam samą siebie.

– Nazywano je także kamieniami od złego uroku. Uważano, że mają apotropaiczną moc. – Nie czekam, aż zada pytanie. – Apotropaiczny oznacza, że mają odpędzać zło i odczyniać czarną magię. Umieszczano je w pobliżu okien i drzwi, aby bronić dostępu wiedźmom. – Odkładam kamień, bardzo ostrożnie, obok jego braci i nie mogę się powstrzymać, żeby nie zerknąć na moje biurko. – Albo... żeby nie pozwolić im uciec. Ktoś poukładał te kamienie w rzędzie na parapecie naszego okna w nocy, tak? To musiało być celowe działanie.

Andy wpatruje się w kamienie. Deszczowy dzień na zewnątrz chyli się ku końcowi. Dostrzegam Lylę na tylnym siedzeniu samochodu. Siedzi sztywno wyprostowana. Wbija we mnie wzrok. I nawet nie mrugnie okiem.

Lych Way

Wtorek rano

Adam od dziesięciu minut szedł drogą, pogrążony w swoich myślach, zanim uświadomił sobie, że to Lych Way. Dawna droga zmarłych. Jej nazwa pochodzi z czasów, gdy mieszkańcy Dartmoor byli zmuszeni nosić trumny ze zmarłymi do kościoła parafialnego, który znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie wrzosowisk, w Lydford.

Przystanął w miejscu osłoniętym od przenikliwego wiatru, obok kępy ciemnych sosen, i wyobraził sobie taką właśnie scenę – tuzin wieśniaków w łachmanach dźwiga drewnianą trumnę z Bellever Tor przez potok Cowsic, to wspinając się, to znów schodząc po ponurych gołych wzgórzach Lynch Tor, Baggator Clapper, Cataloo Steps.

A co robili, kiedy stan wody na wysokości Cataloo był wysoki? Musieli brnąć w lodowatej wodzie do pasa, trzymając trumnę nad głowami, zanim ruszyli wzdłuż Corpse Lane do Willsworthy. Wszystko po to, żeby dostarczyć zmarłych do ustalonego dekretem miejsca wiecznego spoczynku.

Nieśli te ciała prawie dwadzieścia kilometrów. Dwadzieścia potwornych kilometrów.

Idąc dalej, Adam lustrował wzrokiem horyzont, wypatrywał dzikich zwierząt, szukał ukojenia w przyrodzie. Kiedy wspiął się na wzniesienie, jego wzrok przykuła pustułka, która zawisała w powietrzu na tle białego zimowego nieba. Zatrzymał się instynktownie, żeby podziwiać niesamowite umiejętności tego ptaka, delikatne trzepotanie skrzydłami, niespotykane, kunsztowne.

„Ujeżdżające wiatr”, tak nazywał te ptaki jego wujek. Bo pustułki tak właśnie wyglądają, kiedy zawisają w powietrzu – jakby ujeżdżały wiatr, brały go w posiadanie, przejmowały nad nim kontrolę, unosily się na tym nagłym przypiływie powietrza – a potem nagle przerażająco ostro pikują, dopadając swoją ofiarę, po czym znikają.

Adam szedł dalej Lych Way, dawną drogą zmarłych, przypuszczając, że ten krzyż musi być gdzieś tutaj, niedaleko, w pobliżu osady z epoki żelaza.

– Widzieliśmy kamienny krzyż, który został zdewastowany, przy drodze obok

Sittaford.

Tak właśnie powiedział turysta, który to zgłosił.

Jednak trudno było Adamowi skupić się na pracy. Miał nastrój bardziej mroczny niż te sosny. Starał się ze wszystkich sił, ale dzisiaj nie był w stanie zatracić się w krajobrazie Dartmoor. Miał wrażenie, że świat ludzi go osacza... I te narastające, niepohamowane emocje, jakie czuł wobec żony, urazę, którą próbował ukryć w trosce o zdrowie psychiczne, w trosce o córkę. Ale jak miał stłumić takie emocje? To, co zrobiła, co powiedziała i o czym niby przypadkiem zapomniała... Jak miał sobie z tym poradzić i udawać, że to nie ma znaczenia?

Pragnął jedynie żyć swoim życiem i kochać swoją rodzinę, być zadowolony z pracy, doglądać wrzosowisk, naprawiać płoty, pomagać turystom, obserwować myszołowy nad Sourton Down, i zazwyczaj był szczęśliwy. Wszyscy byli tacy szczęśliwi... Jednak teraz jego rodzina się rozpadła.

Zbliżając się do przełazu, Adam przystanął, przeskoczył go i zanim ruszył dalej, zostawiając daleko w tyle kwadratowe plantacje zielonych drzew iglastych, wciągnął głęboko chłodne powietrze. Usiłował nie myśleć o swojej rodzinie, usiłował nie poddać się rozpaczom ani tej narastającej niechęci pomieszanej z poczuciem winy. Kochał swoją żonę, pożądał jej, a jednak czuł coraz bardziej wzbierającą w nim wściekłość.

Lyla.

Jaki wpływ to wszystko miało na Lylę?

Zamknął oczy, żeby ukoić narastające emocje, po czym jeszcze raz powiódł wzrokiem po otaczającym go krajobrazie.

Po lewej stronie zobaczył szmaragdowozielony torf mokradła, nikły poblask namokniętej trawy, migoczącej w przelotnych promieniach zimowego słońca. Powróciły wspomnienia... Miał osiem, może dziewięć lat, razem z wujkiem Eddiem zaczęli się, żeby zobaczyć bekasa, który właśnie w tym miejscu odbywał swoje tańce godowe. Ptak szybko i gwałtownie szybował w górę, po czym nagle pikował z rozczapierzonymi piórami ogona, wibrującymi w powietrzu. Kto raz usłyszał ten dźwięk, nigdy go nie zapomni.

Kiedy wracali do domu w te dni nauki o ptakach, skałach i strumieniach, wujek uczył go starego języka wrzosowisk:

Przyćmieni znaczy zmierzch. *Sowi mrok* to ciemniejsza jego odmiana. *Kopa* – sterta kamieni. *Ślimaczyć się* – obijać się. *Pijusek* – strzyżyk. *Galijski krązek* – pierścień

elfów.

Wysysacz jabłek to osa. Jakież to piękne słowa, prawda?

Deszczowisko – wiatr i deszcz, które szaleją na wzniesieniach. *Suchota* – łamliwe drewno. *Zmróz* – cieniutka warstwa srebrzystego lodu, która pokrywa szronem liście, gałązki i trawę, kiedy po zwodniczej odwilży w Dartmoor nadchodzi ostry mróz, przypominający burzę powodującą gołoledź, tylko nieco łagodniejszy. Do tego stopnia precyzyjnie musieli wyrażać się rolnicy – potrzebowali odpowiednich słów, aby opisać najpiękniejsze i najbardziej niezwykle postacie mrozu, odwilży i lodu. Nie mieli innego wyjścia, bo od tego zależało ich życie – musieli wiedzieć, kiedy zagonić bydło do zagrody, dać schronienie kucom, doglądać z trudem zdobywanych plonów, zatroszczyć się o młode jagnięta, które ssą mleko matki.

Kolejny, tym razem większy przełaz. Zanim go pokonał, Adam złapał oddech, zatrzymał się i rzucił okiem na horyzont.

Każdy centymetr, każdy kilometr kwadratowy. Widział wszystko tyle razy, a nadal wprawiało go to w zachwyty. Szkocka kuropatwa nad jesiennym Steeperton, żywiąca się wrzosem zwyczajnym i czarnymi jagodami. Polany Deeper Marsh z kruszyną pospolitą, gdzie przylatują na ucztę żółte motyle, obwieszczając początek późnego dartmoorskiego lata. Jaskinie Cuckoo Rock, w których przemytnicy niegdyś ukrywali swoją brandy. I bezkresna pusta przestrzeń Langcombe, po której wędrował w letnie dni: tam, gdzie można było sobie wyobrazić, że jest się jedynym człowiekiem na świecie, pośród nijakich polaci powiewających traw i turzycy, ciągnącej się kilometrami nicości, bez żywej duszy w pobliżu, bez niczego do roboty, podczas gdy żar lał się z nieba, a w powietrzu słychać było tylko brzęczenie i szmer owadów, a oprócz tego chmury cicho płynące po niebie i bicie własnego serca.

Były to chyba najszcześniejsze chwile jego życia – poza tymi, które spędzał z Lylą, swoją małą córeczką, ucząc ją o krukach i nieckach skalnych, ważkach równoskrzydłych i purpurowych storczykach. Kochała wrzosowiska równie mocno jak swojego ojca. Spędzali razem długie słoneczne godziny, chodzili po Abbot's Way, w stronę Rundlestone, odnajdywali starą chatę dymarską w pobliżu King's Oven albo szukali jeżyn przy Dunstone i Shilstone, z ustami i palcami ubrudzonymi na czarno, zębami na jasnoróżowo, i zaśmiewali się – a później, na słodko nużący koniec tych dni, wracali samochodem do Huckerby, odbierali Kath spod supermarketu, po czym siadali szczęśliwi razem w domu, przy herbacie i talerzu z ciastem owocowym. Lyla tworzyła

wymyślne kształty z uroczych płatków kwiatów, które zbierała i układała na kuchennym stole. Piękne, misterne wzory, które tylko ona w pełni rozumiała. Albo kształty, które tworzyła specjalnie dla taty.

Kiedyś byli tacy szczęśliwi.

Teraz wszystko się zmieniło. Lyla była speszona, załęczniona i smutna, a często nie pozwalała nawet jemu – swojemu tatusiowi! – przytulić się tak jak dawniej. Teraz Lyla czasem patrzyła na niego, jakby zrobił coś złego. A wszystko przez Kath, przez rodzinę Kinnersleyów. To ich wina. Jednak czasem zdarzało się, że zanim Lyla położyła się do łóżka, zanim poszła spać, przytulała się tak bardzo mocno, tak rozpaczliwie mocno, jakby bała się, że on też zniknie nocą – podobnie jak jej matka.

Nie wyglądało to dobrze. Adam usiłował odpędzić od siebie coraz bardziej natrętne, niepokojące myśli. Tak jakby ich wszystkich wciągnęły dartmoorskie trzęsawiska – Dead Lake, Fox Tor, Honeypool. Im bardziej walczyli, żeby się z nich wydostać, tym bardziej pograżali się we frustracji i w złości. Najlepiej się uspokoić. Nie pogarszać sytuacji. Nie podejmować żadnych pochopnych kroków.

Adam zobaczył stary krzyż. Wysoki na metr, z pokrytym nalotem i porostami zielonkawoszarym okręgiem z granitu na samym szczycie. Prawdopodobnie anglo-celtycki, zapewne tysiącletni albo i starszy. Ktoś musiał w niego uderzyć, i to dość mocno, bo go przewrócił, zapewne jakiś idiota w SUV-ie, pijany i naćpany, który jeździł po bezdrożach i miał ubaw. Płyta na krzyżu była popękana, zniszczona. Przetrwiała tyle wieków, a teraz została uszkodzona, być może nieodwracalnie. Wartościowa rzecz przestała istnieć.

Adam uklęknął obok zabytkowej kamiennej płyty, pogłaskał zimny granit, jakby to była grzywa zranionego żrebaka. Czuł pod palcami szorstkie nierówności porostów. Czuł własną bezradność. Próbował pozbyć się na zawsze tych bezużytecznych emocji. Próbował być praktyczny.

Pocierając szorstkie dłonie jedna o drugą, żeby tylko nie czuć zimowego chłodu, wstał i ruszył w kierunku stojącego w oddali land rovera, a kiedy tak szedł, podjął decyzję w sprawie krzyża. Bez względu na trudności spróbują go naprawić. Na tym przecież polegała jego praca – miał zachować dla potomności to cenne miejsce, od zabytków po krajobraz i ćwierkające kwiczoły w Soussons. Postanowił uratować najwięcej, jak to możliwe, i przekazać to dziedzictwo następnemu pokoleniu... Lyli, jej dzieciom.

Zadzwonili na Wydział Archeologii Uniwersytetu w Exeter i powie im, żeby przysłali eksperta. Tak. Ten krzyż da się uratować.

Gdyby można było to samo powiedzieć o miłości, pomyślał, idąc dalej drogą zmarłych. Gdyby tak można było miłość naprawić, zbudować od nowa, przywrócić. Jednak kiedy zdepcze się lojalność, kochająca rodzina przestaje istnieć, tak to się dzieje, prawda? A co, jeśli miejsce miłości zajęła podejrzliwość, nawet pogarda, co wtedy? Dokąd to prowadzi? W jakim ciemnym, mrocznym lesie się obudzisz? Może ścieżka, którą wybrałeś, powiedzie cię w jeszcze bardziej nieprzeniknionej ciemności.

Adam prawie doszedł do swojego land rovera. Wypatrzył kolejną pustułkę, która zawisała w zimnym powietrzu, obramowana jasnozielonymi wzgórzami Hurston Ridge. Ten ptak był tak piękny, tak doskonały, trzepocząc skrzydłami, wolny – robił dokładnie to, po co tutaj przyleciał. Drżał z silnego i nieodpartego pragnienia, żeby zabić. Żeby przeżyć.

Co Kath robiła tamtej nocy i przez wszystkie te noce, kiedy go nie było? To pytanie było jednocześnie niedostępne i nieuniknione. Jeśli pozna odpowiedź, może też poznać bezmiar jej poczucia winy – a wtedy ich małżeństwo będzie skończone. Jeśli zaś nie pozna odpowiedzi, złość oparta na domysłach będzie się w nim gotować do końca jego dni, a ich małżeństwo i tak będzie skończone.

Tak czy owak, Lyla zostałaby bez matki. Chyba więc powinien dać sobie z tym wszystkim spokój. Tyle że nie potrafił. Kochał ją i nienawidził, kochał i nienawidził... Ten zamęt w emocjach przypominał zawilgłe ognisko na wrzosowiskach, które raczej dymało niż dawało ciepło – dusiło go. Zabiło jego nadzieje, zdławiło wszystko na zawsze.

Kiedy otworzył drzwi samochodu, przypomniał sobie, co mawiał jego wujek na temat dzikich obszarów Dartmoor, kiedy kastrowali barany i usuwali rogi muczącym krowom, gdy zaciągali przerażone ryczące woły do ociekającej krwią rzeźni, gdzie kałuże krwi błyszczały niczym ogromne połacie lakieru, układając się w eleganckie zawijasy szkarłatu i purpury.

– Wrzosowiska są piękne, młody człowieku, ponieważ są niebezpieczne.

Farma Huckerby

Środa rano

Dzisiaj jest kolejny wolny dzień w szkole. Dzień na szkolenia dla nauczycieli, w którym dzieci nie mają lekcji. Takie dni wypadają co jakiś czas i oznaczają, że jedno z nas – Adam albo ja – musi urwać się z pracy, żeby zaopiekować się Lylą. Zawsze pochłania to sporo energii, ponieważ Lyla właściwie nie ma przyjaciół. Wcześniej umówione spotkania z innymi dziećmi nigdy nie dochodzą do skutku.

Nadal, zazwyczaj, wypatruję okazji, żeby się do niej zbliżyć. Okazji, żeby zabrać ją na wrzosowiska, na letnie pływanie albo na jesienną jazdę konną. Dzisiaj panuje wilgoć i jest bardzo zimno. Może nawet spadnie śnieg.

Moje myśli błądzą gdzie indziej i być może Lyla to wyczuwa. Myślę o kamieniach wiedzów pozostawionych na okiennym parapecie w biurze. Może to naprawdę był jakiś turysta, który położył je tam na chwilę i o nich zapomniał. Może to dzieciaki skore do psikusów. Ale czy wiedziały, że te kamienie symbolizują wypędzanie wiedzów? I dlaczego wybrały akurat to miejsce?

Kiedy zamyślona zmywam talerze po śniadaniu, moja córka kopie w nogę od stołu. *Kop, kop, kop. KOP, KOP, KOP.* Chce zwrócić uwagę matki.

I zasługuje na nią.

– Co będziemy robić, mamusiu?

– Nie wiem, kochanie, okropny dzień. Może wymyślimy jakieś zajęcia pod dachem? Pojedziemy do zamku Drogo?

Kop.

– Ładnie tam, mamusiu, ale oni nie lubią psów. Możemy zrobić coś innego? – Wpatruje się we mnie tęsknym wzrokiem. – Z Felixem i Randalem?

Staram się coś wymyślić. Wystarczy spojrzeć na dobrą mapę albo zajrzeć do szczegółowego przewodnika i można znaleźć tyle kuszących miejsc w Dartmoor, tyle miejsc o nazwach niczym z bajek – Lost Crosses, Hameldown Daggar, Quintin's Man. Ale dzisiaj mnie one nie pociągają. Jednak Lyla potrzebuje rozrywki, zabawy. Nie chcę, żeby cały dzień spędziła sama zatopiona w książkach. Znowu to samo.

Wpadam na pomysł.

– Wiem – odpowiadam z udawaną radością. – Pójdźmy zobaczyć te stojące kamienie, które tak lubisz.

Twarz jej się rozpromienia – Lyla uwielbia pradawne kręgi i menhiry.

– Merrivale? Scorhill?

– Nie – odpowiadam nieco figlarnie. – Gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś.

Na jej twarzy pojawia się promienny, radosny uśmiech.

– Gdzie? Powiedz mi!

– Ha. Nie powiem.

– Powiedz, mamusiu!

– Przygotuj się, a ja zabiorę tylko rzeczy na piknik i wyruszymy na tajemniczą wyprawę! Włóż kalosze i płaszczyk. Poza tym możesz iść ubrana tak, jak jesteś.

Moja córka spogląda na siebie: ma na sobie czarne džinsy, szary podkoszulek i żółty pulower. Zawsze ekstrawagancko łączy ze sobą kolory i choć nie jestem pewna, czy rozumie, w jaki sposób dopasowuje się ubrania, jakoś uchodzi jej to na sucho – przy niebieskich oczach, bladej, niemalże słowiańskiej cerze i tych bardzo ciemnych włosach... Co za uroda. Jeszcze pamiętam tego chłopaka, którego zobaczyłam w pubie, kiedy miałam siedemnaście lat; chłopaka, którego od zawsze kochałam; niebieskookiego chłopaka, który dał mi tę niebieskooką dziewczynkę. Adama Redwaya, mojego ukochanego z młodości.

– Czy naprawdę muszę wkładać te buty? Nie znoszę kaloszy, drapią.

– Tak, musisz je włożyć. Na torfowiskach będzie wilgoć i błoto. Idź pozbierać rzeczy, a ja spakuję kanapki.

– Masło orzechowe? To rzeczywiście „specjalna okazja”!

Śmieję się. Lyla też się śmieje. Zawsze kiedy wybieramy się na wyprawę, zabieramy ze sobą kanapki z masłem orzechowym – ta zabawna przewidywalność to takie nasze rodzinne poczucie humoru. Zerwawszy się z krzesła, Lyla wybiega z kuchni, woła Felixa i Randala, drzemiących w salonie.

– Felix! Randy! Idziemy na spacer! Na bardzo długi spacer!

Słyszę, jak pędzi po pięttrze, a za nią gnają psy, tupiąc łapami po drewnianych schodach.

Dziesięć minut później pośpiesznie pakuję do torby wałówkę na piknik, wrzucam ją do bagażnika samochodu, psy wskakują na tylne siedzenie, sadowiąc się po obu

stronach Lyli, a ja wkładam kluczyk do stacyjki. Mamy spędzić dzień poza Huckerby Farm. Mam zamiar pojechać do Grey Wethers, dwóch baśniowych kamiennych kręgów w najdalej wysuniętej na wschód części wrzosowiska. Już samo dotarcie tam będzie nie lada przygodą. Wyprawa na cały dzień. Wspaniała wycieczka na świeżym powietrzu z psami, nawet pomimo panującego wciąż chłodu i zachmurzenia.

Kiedy wycofuję samochód, Lyla odzywa się z tylnego siedzenia:

– Wiesz... widziałam jakiegoś pana.

Powoli jadę samochodem w kierunku tego, co w bardziej odległych zakątkach Dartmoor uchodzi za drogę.

– Słucham, kochanie?

– Widziałam jakiegoś pana.

Czuję, jak napięcie ściska mi wnętrzności. Zwalniam, żeby lepiej słyszeć córkę.

– Kiedy, skarbie? Jakiego pana?

Spoglądam na jej odbicie w lusterku, ale odwraca twarz. Łaskocze Felixa za uchem. Przez dłuższą chwilę nie odzywa się ani słowem.

– Lyla?

Jadę jakieś dziesięć kilometrów na godzinę, brnąc przez grząski grunt tego zimowego dartmoorskiego dnia, przejeżdżam przez maleńkie średniowieczne mostki, które nigdy nie były przeznaczone dla samochodów.

W końcu odpowiada:

– To był pan, którego znasz. Widziałam go w Huckerby. W pobliżu Huckerby.

Kto to może być? Wydaje się to ważne, choć nie mam pojęcia dlaczego. Równie dobrze może mieć na myśli jakiegokolwiek mężczyznę. Może przywoływać z pamięci jakiś sen.

– Kiedy, Lyla, Jagódko? Jak on wyglądał?

– Dwa albo trzy razy. Nie wiem, jak wyglądał, bo był daleko. Może trochę... – Marszczy się. – Trochę jak tatuś. Nawet bardzo jak tatuś. Widziałam go też tamtego wieczoru, kiedy pojechałaś do... – mówi drżącym głosem. – Tamtego wieczoru... Tamtego wieczoru... kiedy zostawiłaś mnie z ciocią Emmą. Tak mi się wydaje.

Lyla nazywa tak naszą sąsiadkę, Emmę Spalding. Zajmowała się Lylą, kiedy pracowałam do późna tamtego wieczoru, kiedy wpadłam w poślizg i stoczyłam się do zalewu. Emma była jak ciocia albo babcia, których Lyla nigdy nie miała, ponieważ mama Adama zmarła wiele lat temu. Moi rodzice również nie żyją.

Jedziemy dalej. Na drogach leży mieszanka błota i opadłych liści. O czym mówi Lyla? O tym, że tamtego wieczoru widziała jakiegoś mojego znajomego i że od tamtej pory widuje go w pobliżu Huckerby? Czy ona naprawdę ma na myśli Adama? Nie, to niemożliwe. Przecież nie śledzi mnie mój własny mąż. Czy jednak mógł to być ktoś do niego podobny? Harry? Albo jeden z jego licznych kuzynów? Redwayowie są rozsiani po całych wrzosowiskach.

Ale dlaczego ktoś w ogóle miałby mnie śledzić?

Zwalniam, trzymam dłonie na kierownicy pewnie, choć robi mi się słabo. Spoglądam przez szybę i staram się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Drzewa uginają się pod zimnym wiatrem, strzępy szarego mchu trzepoczą. Ptaki chowają się pośród bezlistnych gałązek. Poza matową szarością i zielenią widać jedynie drżącą żółcień kolcolistu.

W lustrze odbija się zeszywniała twarz Lyli. Znam ten nastrój, wiem, co oznacza – ona nie chce mówić. W najgorszym wypadku może pójść na całość i trwać w milczeniu. Mutyzm wybiórczy. Kolejny objaw zespołu Aspergera. Ale nie mogę tego tak zostawić.

– Lyla, to bardzo ważne. Mówisz o tym, że widziałas kogoś, kogo znam.

Milczy.

Skręcamy na główną drogę do Widecombe i Fernworthy, znacznie szybszą. Niemalże natychmiast zwalniam. Dartmoorskie kuce, z gęstymi czarnymi grzywami falującymi na lekkim wietrze, stoją po obu stronach asfaltu. W tej pozie zawsze przywodzą mi na myśl strażników wrzosowiska, opiekuńcze duchy tego miejsca.

– Lyla? Proszę...

Cisza.

– Lyla...

– To było wtedy, kiedy mnie zostawiłaś. – Niebieskie oczy Lyli napotykają mój wzrok w lusterku i przewiercają mnie na wylot. – W ten dzień, kiedy zostawiłaś mnie samą. Na pewno pamiętasz ten dzień, mamusiu.

Twarz Lyli znowu zastyga, blednie, staje się spokojna i wyciszona. A jednocześnie pełna złości. I wiem, że jeśli zadam jeszcze jakieś pytanie, nie odezwie się później ani słowem przez długie godziny, może nawet dni. Albo i tygodnie... Jednak kusi mnie, żeby dalej drążyć. Co ona próbuje z takim mozołem powiedzieć? Czy coś aż tak odbiera jej mowę, że nie może się zmusić, by to jasno wyartykułować?

Słowa, które już zostały wypowiedziane, i tak wystarczająco bołą. Najwyraźniej obwinia mnie o ten wypadek. Tak bardzo chcę jej powiedzieć, że to nie była moja wina.

Wciskam hamulec i zatrzymuję samochód, ponieważ przez drogę przechodzi kuc. Nie zważając na naszą obecność, pogrążony we własnym świecie biegnie kłusem wzdłuż pobocza, po czym cwałuje po brązowym grzbiecie wzgórza, a jego gęsta grzywa powiewa na wietrze niczym czarny płomień.

Przypomina mi moją córkę – z czarnymi włosami, które powiewają w chłodny wietrzny dzień, gdy biega z psami, uradowana samą sobą. Samotnie pogrążona w swoich myślach i snach, równie tajemnicza jak pogoda za pasmem skał Haytor.

Grey Wethers

Środa, pora lunchu

Dojście tutaj zajęło nam godzinę. Przeszedłszy przez gęsty sosnowy las w Fernworthy, wychodzimy na bezkresną przestrzeń rudych wrzosowisk.

– Tam – mówię.

– Gdzie?

Wskazuję palcem Grey Wethers, dwa kamienne kręgi ledwie widoczne w oddali, ustawione na zboczu wzgórza, zwrócone ku otaczającej je nicości. Grey Wethers to jedno z moich ulubionych miejsc w Dartmoor – ta cisza ma w sobie coś poetyckiego, bliźniacza natura kręgów wzniesionych trzy tysiące lat temu przez ludzi, którzy doskonale wiedzieli, jak wykorzystać krajobraz, jak go upiększyć, jak do niego nawiązać za pomocą prostych kręgów ułożonych z szarych kamieni z wrzosowiska.

Grey Wethers jest dla mnie piękne niczym jakiś pałac albo zamek. Nie przyjeżdżam tutaj częściej tylko dlatego, że dojście na miejsce wymaga długiego i nużącego spaceru przez zastępy lasów iglastych, a potem skakania po bagnistym gruncie, gdzie buty zapadają się w niespodziewanych kałużach pokrytych gęstwiną rukwi wodnej, z łydkami podrapanymi od ukrytych kamieni.

– Jak ci się podoba? – pytam. – Ślicznie tu, prawda?

Uważnie przypatruję się twarzy Lyli w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Kogo widziała w Huckerby? Jeśli to ktoś, kogo znam, sytuacja staje się jeszcze bardziej zdumiewająca. Nie mam w okolicy prawie żadnych przyjaciół – nie mówiąc już o mężczyznach. Większość moich dawnych znajomych z uniwersytetu mieszka w Londynie albo porozjeżdżała się po całym świecie. Lyla musi więc mieć na myśli kogoś z mojej rodziny. Mam tak mało kandydatów... Brat mieszka w Salcombe, w domu mojej matki. Odpowiada nam odległość, jaka nas dzieli, zapobiega bowiem zbyt częstym sprzeczkom. Jeśli chodzi o mojego ojca, to od dawna nie żyje.

Wciąż powraca do mnie myśl o kimś, kto wyglądem przypomina Adama, tak przecież powiedziała Lyla. Człowiek z wrzosowisk. Czyżby to był rzeczywiście Adam?

Nie, przecież to absurd.

W ciszy podchodzimy do najbliższego kręgu. Psy biegną z przodu. Chociaż raz Lyla nie jest zainteresowana ich harcami i badaniem terenu. Lekko marszczy za to brwi, zaintrygowana, popatruje najpierw na kamienie, potem na krajobraz, wyraźnie czymś zaciekawiona. W końcu podchodzi do środka najbliższego kręgu i siada.

– Wszystko w porządku?

Kiwa głową. Siadam obok niej, po turecku. Zimny wiatr osłabł i nikły promień styczniowego słońca przebija się teraz przez warstwę chmur. Ziemia, na której siedzimy, jest dość sucha. Najwyraźniej deszcz nie padał tutaj od wielu tygodni. Pogoda w Dartmoor jest dziwna. Adam mawia, że w lipcowe dni czasem zostawia turystów opalających się nad rzeczką na wrzosowiskach, po czym idzie dziesięć minut spacerem na skaliste wzgórze, by tam zderzyć się ze ścianą zacinającego śniegu. Jednak kiedy wraca, w dolinie dzieciaki nadal pławią się w słońcu.

– Może zjemy kanapki?

– Proszę – odpowiada po cichutku Lyla.

Odpinam sprzączki od plecaka i wydaję piknikowe pudełko. Przez chwilę w kojącej ciszy jemy kanapki z masłem orzechowym, wsłuchując się w szum łagodnego wiatru w turzycach i szemranie zimnego strumienia w oddali. Słyszę, jak psy poszczekują radośnie na kolejnym łagodnym zboczu wzgórza, polując na króliki albo zające. Albo wykopując stare ludzkie kości z kurhanów z epoki żelaza... Dolmeny. Komory grobowe, w których ciała upychano w barbarzyński sposób, żeby się tylko zmieściły – kolana przyciągano do podbródka, jakby pogrzeb był już sam w sobie torturą. Być może niektórych ludzi grzebano nawet żywcem. Nikt nie jest tego pewien.

Odłożywszy kanapkę, Lyla mówi:

– Przepraszam za to, co powiedziałam o tym panu. Nie sędzę, że bym kogokolwiek widziała. Przepraszam, mamusiu. Przestraszyłam cię?

– Ach... nic się nie stało.

Zamęt rodzi zamęt. Zaczynam się obawiać, że pewnego dnia mogę się obudzić w pułapce, przysypana tymi dziwnymi zdarzeniami niczym śnieżną czapą. Lyla nadal nie może się otrząsnąć po szoku spowodowanym tym, że jej matka niemalże zginęła. I zamęt jest tutaj całkowicie zrozumiały. Usprawiedliwiony.

Biorąc do ust kolejny kawałek chleba z masłem orzechowym, Lyla przeżuwa go dokładnie, a potem mówi:

– Podoba mi się tutaj. Lubię tę ciszę i lasy, tam daleko. Zawsze podobały mi się

kamienne kręgi.

– To dobrze.

– Podoba mi się Scorhill i Totterton, i Sourton, i Buttern Hill, i Mardon, wszystko... Ale i tak nie są najpiękniejsze. Wiesz, jakie jest moje ulubione miejsce?

– Nie... – Zgniatam folię po kanapce w kulkę i odkładam ją do pudełka. – Powiedz mi.

– Merrivale! – wykrzykuje, uśmiechając się promiennie.

Odwzajemniam jej uśmiech. Byłyśmy w Merrivale kilkakrotnie – niewątpliwie to jedno z jej ukochanych miejsc na wrzosowiskach. Merrivale ze swoimi rzędami kamieni i kurhanami pogrzebowymi, ustawionymi wzdłuż urwistego i smaganego wiatrem grzbietu wzniesienia.

– Dlaczego lubisz Merrivale?

– Bo nazywają je Rynkiem Zarazy! Czytałam, że tak właśnie na nie mówili. A wiesz, dlaczego tak nazwano to miejsce? Sama to znalazłam.

– Nie.

Odwraca twarz i nasze spojrzenia się spotykają, ma nieruchomy wzrok.

– W trakcie epidemii czarnej śmierci ludzie z wrzosowisk zostawiali jedzenie w kamiennym kręgu. Potem ludzie z wybrzeża, wszyscy, którzy już przeżyli dżumę, przychodzili i zabierali to jedzenie, a jako zapłatę zostawiali złoto i srebro w korycie pełnym octu winnego, po czym odchodzili. W taki właśnie sposób próbowali powstrzymać rozprzestrzenianie się czarnej śmierci. – Mruga, po czym mówi dalej: – Czyż to nie cudowne? Specjalny rynek zarazy, na wrzosowiskach, między kamieniami, gdzie nikt nie musiał się spotykać, więc nikt nikogo nie widział, jakby wszyscy byli jakimiś duchami. I całe to złoto i srebro w occie winnym... – Lyla marszczy brwi, bawiąc się źdźbłem trawy. – Tyle że to... nie działało, tak przeczytałam. Czarna śmierć i tak się rozprzestrzeniła na całe wrzosowiska. I wszyscy ludzie umarli. Nawet jeśli zostawi się złoto w occie winnym, mamusiu, to nie działa. Wszyscy umierają.

Pełen niepokoju drżący wiatr przynosi z lasu zapach świeżo ściętej sosny. Nie jestem pewna, czy mam być podenerwowana monologiem swojej córki, jednym z aspergerowskich wykładów Lyli, czy też być szczęśliwa, że przynajmniej się ze mną porozumiewa.

– Wypiłaś już soczek?

Lyla kiwa głową i wręcza mi pusty kartonik po soku jabłkowym.

– Dziękuję, że mnie tutaj zabrałaś.

– Nie ma sprawy. Mnie także to sprawia przyjemność, Lyla. Podobnie jak ty uwielbiam te kręgi.

Kiwa głową, ale już po chwili nią potrząsa.

– O co chodzi? – pytam.

– A jednak się mylisz, mamusiu. Mylisz się.

– Dlaczego? W czym się myłę?

– Mówiłaś, że nigdy tutaj nie byłam. Ale byłam. Tutaj, w Grey Wethers. Pamiętam to. – Mówiąc to, nieustannie strzepuje nieistniejące okruszki chleba ze swoich dzinsów. Szur, szur, szur. – Byłam tutaj wcześniej z tobą i z tatusiem.

– Nie, kochanie – powtarzam bardzo łagodnym głosem. – Nie byłaś tutaj, w każdym razie nie ze mną. Może przyjechałaś tu z tatusiem albo z wujkiem Danem, ale nie ze mną.

Lyla potrząsa głową. Przestaje strzepywać okruszki.

– Zapomniałaś.

– Nie, skarbie, ja... – I nagle sobie przypominam. Mruczę coś, a na głos mówię: – Ach tak, mój Boże...

Ona ma rację, już tutaj była. Wtedy kiedy i ja po raz pierwszy tu przyjechałam. Adam zabrał mnie, żeby pokazać mi Grey Wethers. Niosłam Lylę na plecach, w nosidełku. Miała wtedy dziewięć miesięcy...

Na chwilę odbiera mi mowę.

Wiem, że moja córka, podobnie jak znaczna część ludzi ze spektrum zaburzeń autystycznych, ma zdolność sięgania pamięcią wstecz, zdolność, która wykracza poza normalne ludzkie możliwości, a jednak wciąż mnie to zaskakuje. Choć jest także przyjemne. Moja córka ma nie tylko problemy, lecz także talenty. I to właśnie jeden z nich, jakkolwiek niepokojący.

Lyla zrywa się na równe nogi. Czas pikniku dobiega końca. Ruszamy w drogę powrotną do samochodu.

– Dobrze się bawiłaś?

– Tak, mamusiu, tak, dziękuję. Spójrz na Felixa i Randala, możemy dać im ostatnią kanapkę z masłem orzechowym?

Psy gnają po smaganej wiatrem darni. Lyla wyjmuje z mojego plecaka pudełko z jedzeniem, odwija folię i rozdaje resztki. Psy zajadają, jakby nie były karmione od

szczenięcych lat. Jestem pewna, że wołałyby surowe mięso, ale z ręki Lyli zjadłyby nawet ziemię i kamyki – bezgranicznie ją uwielbiają.

Idziemy spacerem do samochodu, w chłodzie, bez słowa, do Huckerby też jedziemy w milczeniu, wszędzie zapada milczenie, dopóki nie dzieli nas od domu jakieś półtora kilometra. Wtedy Lyla pyta, czy możemy jeszcze zajrzeć do lasu Hobajob. To kolejne z jej ulubionych miejsc – znajduje tam rzadko występujące gatunki kwiatów, świetliki, szachownice, i opalizujące pancerze bezimiennych niebieskich żuków. Kwiaty, owady i drobne odbite w skałach ślady łap.

Spoglądam na zimowe niebo.

– Robi się naprawdę ciemno, kochanie. Musimy jechać do domu.

– Oj, proszę, mamusiu. Jesteśmy tak blisko.

– Hmm.

To dobry dzień. Jeden z najlepszych od czasu mojego wypadku. Odczuwam gwałtowny przypływ uczuć macierzyńskich. Dlaczego miałabym jej nie ulec?

– No dobrze, ale tylko na kilka minut. Za pół godziny zapadnie zmrok.

Parkujemy na poboczu, ruszamy spacerem wzdłuż zimnej doliny do gęstego małego lasu z rosnącymi w nim dębami o poskręcanych konarach, z których zwisają mchy chwytające szponami puste zimowe niebo. Las Hobajob to miniaturowa wersja słynnego lasu Wistmana. Nie tak nastrojowy, ale również nie tak bardzo oblegany przez turystów. Ukryty na uboczu.

Nasze tajemne miejsce.

Psy biegną z przodu, przeskakując przez głazy. Dobrze znają drogę. Wyglądają, jakby zaciekle tropiły zapach borsuka albo lisa. Klepię się po kieszeniach, żałując, że nie zabrałam ze sobą latarki. Za dwadzieścia minut zapadnie zmierzch. Niepokój rośnie, nawet jeśli nieznacznie. Chcę wrócić do domu, do uroczego strzelającego iskrami kominka. Nawet jeśli w ciągu dnia zagościło przez chwilę niewyraźne ciepło, teraz zniknęło na dobre.

W wyższych partiach wrzosowisk szykuje się ostra zimowa noc.

Drzewa nas otaczają, zimne gałęzie drapią mój anorak. Temperatura musiała spaść poniżej zera – utrzymująca się nieustannie dartmoorska wilgoć zamieniła się tutaj w szron. Gałązki i liście łamią się i trzeszczą pod stopami, kiedy po nich stąpamy. Lyla z zapalem goni psy w stronę gęstniejącego mroku, w stronę niewielkiej przecinki w środku lasu, gdzie zawsze znajduje swoje skarby. Zapewne znajdowała się tam

niegdyś chata z epoki żelaza, tysiące lat temu, albo jakieś neolityczne sanktuarium, nikt tego do końca nie wie.

Przed nami przełaz, mur, który może mieć ze dwieście, a nawet i dwa tysiące lat. Przechodzimy przez niego, potem idziemy pod górę, na wzgórze, gdzie las staje się znowu coraz gęstszy, otaczając polanę. Labirynt w labiryncie i ani śladu ptaków.

Psy już są na miejscu. Widzę je w lodowatym mroku, ich obłe kształty, niczym wilki sadzące susy na stronach książki z epoki wiktoriańskiej. Szczekają, wyją, jak szalone, jakoś dziwnie, inaczej. Wydają odgłosy, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Co one tam znalazły?

Lyla odwraca się do mnie, a na jej buzi maluje się troska.

– Co się dzieje z Felixem i Randalem? Mamusiu? Coś jest nie tak!

Czuję przemożną chęć, żeby odwrócić się i pobiec pędem ciemniejącą mrokiem ścieżką z powrotem do samochodu. Jest strasznie zimno. Prawie zupełnie ciemno. Jestem przerażona czymś, czego nie znam.

Jednak nie chcę pokazywać Lyli mojego strachu.

Zabieraj psy i wracaj do domu. Natychmiast.

Lyla biegnie w kierunku psów, ponieważ wyją jeszcze głośniejsze. Prawie nic nie widzę; zimowy wieczór szybko zapada, ciemnoszary i czarny, a omszałe stłoczone drzewa czynią go jeszcze ciemniejszym.

– Mamusiu!

Krzyk Lyli przeszywa mnie na wskroś.

Jest daleko z przodu, przy przecince; odpycham na bok pokryte lodem gałęzie jeżyn i biegnę na ponurą polanę. Psy kręcą się w kółko i wyją. Piekielnie. Może po prostu boją się tej pogody i bieli: tutaj, w tym ciemnym, zimnym rdzeniu lasu, pojawia się *zmróz*, to dziwne dartmoorskie zjawisko przyrody, kiedy początkowa odwilż przy niskich temperaturach zamienia się w lód i znowu powraca sroga zima, uciążliwa i lodowata.

W padającym pod kątem wieczornym świetle ten *zmróz*, jak zawsze, wygląda pięknie. Taka szczególna burza śnieżna na wrzosowiskach, która zamienia świat w senną fabrykę szkła.

Moja matka zawsze lubiła *zmróz*.

Psy wznoszą swoje upiorne lamenty, a ja rozglądam się dookoła, przepełniona czymś na kształt zadziwienia, jak małe dziecko w ciemny wieczór Wigilii Bożego

Narodzenia – każda gałązka, na każdym konarze, na każdym najmniejszym pomarszczonym drzewie, przypomina kandyzowany palec kościotrupa, cienką, przezroczystą kość z cukru. Wszystkie liście ostrokrzewu zmieniły się w zastygłe płomienie białego szronu. W oddali pomiędzy drzewami dostrzegam kudłate bydło pasące się na trawie złożonej z pojedynczych, cieniutkich, kryształowych źdźbeł.

Jednak psy nie przestają wyć. Co je tak przeraża?

– Spójrz, mamusiu, spójrz!

Lyla wskazuje palcem na środek polany. Widzę parę zdechłych ptaszków i kilka nieżywych myszy, trzy albo cztery, które leżą łapkami do góry – bez wątpienia ofiary bezwzględного powrotu zimy. Ułożone są rzędkiem, ale to jeszcze nic nie oznacza. Obok nich leżą resztki śmieci. Dzienna porcja odpadków. Bezmyślnie porzucona. Złości mnie to, że ludzie zachowują się w ten sposób na terenie parku, a Lylę złości to jeszcze bardziej.

Czasem nawet przyprawia ją to o płacz.

A jednak coś tu jest nie tak. Spoglądam znowu na śmieci porzrucane na mrozie. Dostrzegam szczotkę do włosów. Dziwacznie różowa, teraz powleczone warstwą szronu.

To moja szczotka. Jestem pewna, że moja. Zapodziałam ją jakiś czas temu. Podchodzę nieco bliżej, dostrzegam moje brązowe włosy, usztywnione przez zimno niczym druty, a jednak nadal powplatanie w ząbki, poza tym widać jeszcze zgniecione chusteczki sterzące ze szczotki, czerwone i poplamione, a może pocałowane ustami ze szminką, albo pomazane krwią. Drzę na mrozie. Czy to jest moja krew? A tam, na skraju polany, pod drzewem, czy to tampon...? Jeden z moich zużytych tamponów? Muszę bardziej uważnie je wyrzucać, w torebkach – kanalizacja w tej dziczy nie radzi sobie z takimi rzeczami, ale dlaczego mój tampon leży tutaj porzucony?

Wzdrygam się z odrazą. Czuję, jakby ktoś naruszył moją prywatność, skaził mnie. Zgwałcił. Pewnie to ten zapach – krwi, włosów, śmieci – tak bardzo przestraszył psy, które teraz z najeżoną sierścią, warcząc, wycofują się z polany.

Lyla je woła. Wpatruję się w chusteczki umazane moją krwią. Kto to zrobił? Kto zabrał moje śmieci, moje włosy, moją szczotkę i rozłożył je tutaj w lesie, obok tych smutnych małych ptaszków, zesztynniałych i uśmierconych przez zimno? Spoglądam na swoją córkę, czyżby ona mogła to wszystko zrobić? Dla żartu albo w ramach jakiegoś rytuału ułożyć wzór? Ale dlaczego? To nie w jej stylu, ona nie jest cwana ani

przebiegła, poza tym wygląda na równie zszokowaną i przerażoną jak ja.

– Mamusiu, co się dzieje z psami? – Buzia Lyli pobladła jeszcze bardziej niż zwykle.
– Dokąd one idą?

Serce wali mi jak młotem. Zastanawiam się, czy to ja wyrzuciłam tutaj to wszystko, a może zgubiłam i po prostu o tym zapomniałam... na skutek amnezji. Ale dlaczego te śmieci są tak intymne? Krew, chusteczki, włosy...

Nagle Lyla chwyta mnie za rękę, ma lodowate paluszki i wydaje z siebie rozziewający krzyk:

– Mamusiu! Ktoś tutaj idzie!

Las Hobajob

Środa wieczorem

– Co? Gdzie?

Bardzo mocno ściskam rączkę mojej córki. Zrobiło się tak ciemno, że ledwo widzę nagie zamarznęte gałęzie umarłych drzew po drugiej stronie polany.

– Lyla, co słyszysz?

Potrząsa główką i przechyla ją na bok, wsłuchując się uważnie. Moje słowa przypominają pasma mgły. Gałęzie skrzypią na łagodnym wietrze niczym sentymentalne kurantowe melodyjki. Może być jakieś pięć stopni mrozu. Musimy stąd uciekać, uciec z tego lasu i od tych przyprawiających o mdłości resztek śmieci.

– Lyla, chodźmy.

Lyla potrząsa głową niemalże ze złością.

– Posłuchaj!

Wyteżam słuch, ale nie słyszę niczego nadzwyczajnego.

– Nie ma tutaj niczego i nikogo. Chodźmy, Lyla...

– Nie! To on!

Prawie wrzeszczy. Ma dziesięć razy lepszy słuch ode mnie. Strach niczym kolce wbija mi się w palce.

– Kto? Lyla, kogo ty widzisz?

– Nikogo – odpowiada, teraz już szeptem. Dobrym i głębokim. – Ale go słyszę. On tam jest. Wiem o tym! Mamusiu, on nas obserwuje, to on, ten pan z wrzosowiska, stoi na tym mrozie.

– Przestań. Chodźmy już! Kiedy dojedziemy do domu, możemy zadzwonić na policję.

Macam się po kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego w poszukiwaniu telefonu. Oczywiście nie mam przy sobie komórki, zresztą i tak nie byłoby tutaj zasięgu, ale przynajmniej miałabym małą latarkę. Telefon został podłączony do ładowarki w samochodzie. Nie mamy więc żadnego światła. Musimy się stąd natychmiast zabierać.

– Lyla, chodź, trzeba już iść.

– A co jeśli on nas widzi, mamusiu, co jeśli złapie nas po drodze? Znowu to robi... Zabierze cię do tego zalewu...

– O czym tym mówisz?

– Mamusiu, mamusiu, patrz!

Cała dygocze, z zimna albo ze strachu. Bezradna rozglądam się dookoła po milczącym lesie. W mroku te bezlistne, oszronione drzewa ze zwisającymi mchami wydają się przesuwać w naszym kierunku, z ciemnymi, pokrytymi szronem palcami podniesionymi w stronę mrocznego nieba, jakby kiedyś były tłumem schwytyanych w pułapkę, wyciągających ręce w błagalnym geście ludzi, spalonych na ciemny popiół przez potworne płomienie.

Czy pośród tych drzew ktoś albo coś się kryje?

– Mamusiu, on jest tak blisko! O tam, tam!

Patrzę i przez sekundę wydaje mi się, że widzę jakiś ruch. Ale nie, nic tam nie ma, prawda? Jesteśmy tylko my i psy, i zdechłe ptaszki, i moja szczotka, i zużyty tampon.

Tracę pewność siebie, przez ten odgłos łamania zmrożonych gałązek, odgłos ludzkiego kroku.

– Mamusiu!

Lyla rzuca się do ucieczki. Wyrywa się z mojego uścisku i puszcza się biegiem oszronioną ścieżką, z dala od lasu, w stronę samochodu. Lyla jest lepszą biegaczką niż ja, w końcu tak często biega po wrzosowiskach... Jednak nie mogę stracić jej z pola widzenia. Słyszę, jak psy, szczekając zajadle, rozbiegają się po lesie. Wcale nie biegną w ślad za nami – ścigają kogoś albo coś. A może same są ścigane.

– Felix! Randal! Do mnie!

Lyla gna przed siebie – niewyraźna mała postać, którą coraz słabiej widać w zapadającym zmierzchu. Drzewa i jeżyny kaleczą mnie, boleśnie ranią moje dłonie i szyję, kiedy potykam się o zimne omszałe głązy. Sama się poganiam. W ciemnościach prawie nic nie widzę, ale słyszę moją córkę. Upadam, uderzając kolanem w oblodzony pień drzewa. Auć! Auć, auć, auć! Krzyczę, reagując na nagły promieniujący ból, i patrzę przed siebie. Lyla zatrzymuje się na ścieżce, obok drewnianej tabliczki oznaczającej szlak.

Odwraca się w mroku i wrzeszczy:

– Mamusiu! On nadchodzi! On za tobą idzie! Jest tuż za tobą!

– Lyla...

– Nie oglądaj się za siebie, mamusiu! Wstawaj, wstawaj!

Słyszę jakiś hałas za plecami, jakby coś dużego wyłaniało się z zimnego serca lasu Hobajob. Psy czy ktoś inny?

Ktoś, kogo znam.

Z trudem staję na nogach i znowu zaczynam biec. Ale Hobajob chce nas zamknąć w swoich ramionach. Martwe konary blokują ścieżkę, lód na zamarzniętych kałużach pęka, kiedy toruję sobie drogę, oddychając zimną mgłą. Docieram do kamiennego przełazu, najeżonego soplami. Wspinam się i zeskakuję po drugiej stronie, łoskot za moimi plecami jeszcze bardziej przybiera na sile – jednak jestem za bardzo przerażona, żeby obejrzeć się za siebie.

W oddali majaczy jakiś kształt. Samochód. Upragniony szary kontur w tym śmiertelnym półmroku. Dostrzegam, że Lyla siedzi już w środku z twarzą przyciśniętą do tylnej szyby, z oczami szeroko otwartymi ze strachu.

Lodowata klamka w drzwiach samochodu pali moją dłoń. Otwieram je szarpnięciem, opadam na fotel i przekręcam kluczyk w stacyjce, ale Lyla krzyczy:

– Zaczekaj, mamusiu! A psy? Gdzie one poszły?

– Gdzieś pobiegły, ale znajdą drogę do domu. Musimy jechać.

– Nie! On je zabije!

Ma rację i nie ma racji, ale krzyczy wniebogłosy, więc znowu otwieram drzwi, wpuszczając ciemne zimne powietrze, i dostrzegam coś, a może kogoś. Po chwili rozpoznaję Felixa, który obija się z łoskotem o przełaz, zaraz jednak przeskakuje go jednym susem, metr nad ziemią. Gna w naszym kierunku, przemyka obok mnie i wpada do samochodu, mokry, zimny, pachnący mokrą sierścią. I wciąż wyje. Przyskakuje do Lyli, najwyraźniej przerażony.

Odpychając Felixa od twarzy, Lyla krzyczy:

– Gdzie jest Randal, nie możemy pojechać bez niego!

Słyszę jakiś dźwięk. Zbliża się.

– Nie możemy dłużej czekać!

– Tam!

Wpatruję się, bezradna, w ciemne filary drzew i przyczajone kształty krzaków. Trudno cokolwiek wyraźnie dostrzec w tych ciemnościach. Mam wrażenie, jakbym znowu tonęła w czarnych wodach zalewu. Choć nadszedł zmróz, wszystko już zaczyna

się topić. Kap, kap, kap. Czarny lód się kurczy.

– Schowaj się, mamusiu. Schył się, żeby on cię nie zobaczył!

To niedorzeczne. Oczywiście, że nas zobaczy. Musiał słyszeć, jak zatraskujemy drzwi samochodu. Ale nie mam pojęcia, co jeszcze mogę zrobić.

Lyla jest o krok od wybuchnięcia płaczem.

– Schylcie się, Felix, mamusiu, proszę, schowajcie się!

Robię to, co mówi – kulę się na swoim siedzeniu. Może ten ktoś przebiegnie obok. Może schwytał Randal. Może przez cały ten czas nas śledzi, od wielu tygodni.

Mijają sekundy. Felix skamle. Lyla gwałtownie go ucisza.

Sekundy przechodzą w minuty.

On tutaj jest, otworzy drzwi.

Palce i usta zdrętwiały mi z zimna. Próbuje oddychać najciszej, jak potrafię. I czekam.

Nic się nie dzieje. Cisza trwa. Od łoskotu i paniki po całkowity bezruch i niczym niezmacony spokój. Słyszeć jedynie dźwięk zimna, które dzwoni mi w uszach niczym stalowy dzwonek.

Bolą mnie ręce i nogi w tej skulonej pozycji. Muszę się rozprostować. Siedzimy tutaj od dziesięciu minut. Nic się nie dzieje. Czy w ogóle coś się wydarzyło? Zaczynam w to wątpić. Szczotka, z pewnością widziałam szczotkę i te martwe ptaki, i chusteczki, ale czy ten tampon poplamiony krwią naprawdę należał do mnie? Czy którykolwiek z tych przedmiotów należał do mnie? Nie można tego stwierdzić z całą pewnością.

Może zwyczajnie wpadłyśmy w panikę. Zbyt mocno zareagowałyśmy. Ludzie od zawsze wyrzucają śmieci w Dartmoor. Adam nienawidzi ich za to. Mawia, że napuści na nich psy, jeśli kiedykolwiek ich przyłapie, i pozwoli lurcherom rozszarpać tych prostaków na strzępy, rozedrzeć krzyjących kawałek po kawałku. Zapyta wtedy, jak im się podoba zaśmiecanie lasu ich wnętrznościami.

Kiedy o tym myślę, słyszę przyjazne, znajome powarkiwanie na zewnątrz samochodu.

Otwieram kopniakiem drzwi i widzę Randal, z wywieszonym jęzorem. W półmroku dostrzegam jego parujący oddech. Wskakuje jak zwykle do samochodu i wchodzi na tylne siedzenie. Lyla już do niego przywarła, a Felix trąca go nosem. Nie wygląda na przestraszonego. Nie zachowuje się jak pies, który kogoś gonił albo był ścigany. To Randal. Nasz pies. Zachowuje się normalnie.

Lyla ma obojętny wyraz twarzy, strach gdzieś zniknął.

– Jedźmy – proponuję.

Kiwa głową i zamyka oczy.

Zastanawiam się nad tym, co się właśnie wydarzyło, i próbuję to rozgryźć. Naprawdę wpadliśmy w panikę. Spanikowałyśmy. To się zdarza w lesie. W ciemnościach, kiedy robi się zimno i zapada noc. Ludzie panikują – widzą Wielkiego Boga Pana [\[2\]](#). Słynnego potwora. Jednak potwory są jedynie owocem naszej wyobraźni, wywołują lęk z powodu jarzębiny, szronu i małych martwych ptaszków. A to była zwyczajna plastikowa szczotka do włosów, pokryta szronem. I mogła należeć do każdego.

Przekręcam kluczyk i przednie reflektory oświetlają naszą drogę do domu. Cienie drzew kładą się po obu stronach trasy, kiedy wjeżdżamy na prostą wąską dróżkę wiodącą do Huckerby.

Kiedy w końcu docieramy, otwieram drzwi do mojej ciepłej kuchni, zapalam wszystkie światła i zaparzam dzbanek herbaty. Obie milczymy. Psy są nakarmione. Lyla wygląda na przygaszoną, nawet nie patrzy mi w oczy. Jakby czuła się winna, a może to wciąż strach. Siada przy kuchennym stole, skubie herbatnika, popija mleko ze szklanki. Odczuwam potrzebę, żeby zawiesić jeden z tych kamieni wiedźm Andy’ego nad nadprożem drzwi wejściowych. Żeby nie wpuszczać tutaj wiedźm, złych dartmoorskich mocy, które chyłkiem skradają się wzdłuż kolczastych żywopłotów, próbując znaleźć drogę do twojego domu.

Lyla podnosi wzrok na widok świateł samochodu. Słyszę znajomy dźwięk gasnącego silnika.

Adam wrócił.

Wchodzi do domu, strzepuje płatki śniegu ze swojego polaru. A kiedy zamyka za sobą drzwi i spogląda na nas, wyraz jego twarzy mówi wszystko.

Mamy błoto na dłoniach i twarzach. Mam zadrapania na szyi od gałęzi i krzewów jeżyn.

– Jezu. Co wam się stało?

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Cóż, w Hobajob leżało to barachło, śmieci i chusteczki... tak czy owak, trochę się wystraszyłyśmy... To pewnie jakiś żart albo zbieg okoliczności, choć faktycznie było to dość przerażające.

Bez ostrzeżenia Lyla wybucha płaczem. Macha na mnie rączką ze złością.

– Nie wiem, mamusiu... Przepraszam, wydawało mi się, że go słyszę, widzę... Myślałam, że znowu przyszedł cię zabrać.

Adam podchodzi do Lyli, ale ona odwraca się, potrząsa głową i mówi:

– Przepraszam, tatusiu, przepraszam. Chcę już iść spać.

I z tymi słowami zrywa się na równe nogi i biegnie po schodach na górę.

Psy, jak zawsze, wstają i gnają w ślad za nią, pędząc hałaśliwie po drewnianych schodach, żeby potem z impetem wpaść do jej sypialni. Słychać dźwięk zatraskiwanych drzwi.

Adam wygląda, jakby chciał za nią pójść. Podnoszę dłoń.

– Zaczekaj chwilę. Zostaw ją samą, przynajmniej na razie. Przeraziła się, i trudno jej się dziwić. Nie było tam żadnego mężczyzny, ale... sam rozumiesz... te martwe ptaszki...

– Jest mróz, jesteśmy w Dartmoor, jest zima.

– Tak, ale te wszystkie śmieci porzrucane dookoła... one... one wyglądały, jakby ktoś zabrał je z naszej łazienki...

Przygląda mi się sceptycznie.

– Zastanawiałam się – brnę dalej – czy czasem Lyla ich tam nie zanosí, nie zabiera do swojej jaskini... nie układa wzorów... Może jest zbyt zakłopotana, by się do tego przyznać. Sama już nie wiem... Mimo wszystko wyglądała na równie przerażoną jak ja.

– Opowiedz mi po kolei – proponuje Adam. Na jego twarzy maluje się złość i jeszcze jakieś inne emocje, których nie jestem w stanie rozpoznać. – Opowiedz mi wszystko, Kath.

Opowiadam mu więc o całym zajściu, a on przysuwa bliżej drewniane krzesło. Opowiadam mu o dniu spędzonym w Grey Wethers, o kamieniach i lesie, i o wycieczce do Hobajob, a potem, w porządku chronologicznym, o wyjących psach, o chusteczkach, ptaszkach, wzorze ułożonym ze znajomych domowych przedmiotów, które w tej scenerii wyglądały tak makabrycznie. Moja krew, szminka na chusteczkach, włosy na szczotce, wszystko poukładane w linie i okręgi, wszystko pokryte cienką warstwą szronu. Przyznaję, że wpadłyśmy w panikę, dostałyśmy się w szpony obezwładniającego strachu, wyczuwałyśmy urojoną obecność mężczyzny. Napastnika.

Adam nie odzywa się ani słowem. Kiedy opowiadam, nadal siedzi w swoim przemokniętym służbowym polarze, jakby był jedynie przechodniem.

– To wszystko – kończę znużona, pragnąc jego zrozumienia, współczucia. – Wszystko ją przerażało, mówię serio, sama spanikowałam... Zużyty tampon? Włosy? Krew? Możliwe, że to wszystko moje...

Spogląda na mnie, ma nieodgadniony wyraz twarzy.

– Nie wiadomo, czy były twoje. Ciągłe łapiemy osoby, które wyrzucają śmieci w niedozwolonych miejscach. – Wzrusza ramionami. – Pewnie to te dzieciaki z Princetown. Banda gnojków.

– Wiem – odpowiadam niepewnie. – Wszystko to wiem. Ale dlaczego w samym środku lasu Hobajob, dlaczego tam? Lyla naprawdę jest przerażona tym, że coś się stanie, że coś się stanie mnie, znowu. Jest jakaś nieswoja. – Chcę, żeby podszedł i mnie przytulił. Żeby rozwiązał tę zagadkę. Żeby był moim mężem, pomógł mi, wziął mnie w ramiona, pocałował. – Czy ona sobie z tym poradzi, Adamie? Czy wszystko będzie w porządku? Czy jeśli zobaczy, że nigdzie nie znikam, to przestanie sobie to wszystko wyobrażać?

Na jego twarzy maluje się teraz prawdziwa złość.

– Nie – odpowiada. Stanowczo i chłodno. – Nie, ona nie wyzdrowieje tak po prostu.

Wstaje, podchodzi do zlewu i zdejmuje z wieszaka pod kuchenną szafką kubek z napisem „Oceanarium Plymouth”.

– A te kłamstwa... – Ma niski, ponury ton głosu, mroczniejszy niż kiedykolwiek. – Te kłamstwa w niczym nie pomagają, tylko jeszcze wszystko gmatwają. – Odwraca się do mnie. – Kath, najwyższa pora, nadszedł już czas. Musisz o czymś wiedzieć. Chodzi o twój wypadek...

Farma Huckerby

Czwartek rano

Adam szykuje Lylę do szkoły. Nie odezwał się ani słowem od wczorajszego wieczoru, nie powiedział nic, co wyjaśniłoby jego zagadkowe słowa. Oznajmił mi tylko, że muszę się spotkać z jakąś kobietą, która mi wszystko wytłumaczy. Słyszałam, jak później tamtego wieczoru przyciszonym głosem odbył serię rozmów telefonicznych, stojąc na mroźnym podwórzu przed domem – czasami można tam złapać lepszy zasięg. Sprawiał wrażenie, jakby na coś się umawiał.

A teraz stoi w kuchni i pomaga Lyli włożyć zimowy płaszcz. Wszyscy odwracamy się na dźwięk nadjeżdżającego samochodu, który brnie przez zmrożone błoto do naszego gospodarstwa. Adam rusza w kierunku drzwi.

Oto i ona. Tessa. Żona mojego brata. Moja trzydziestoosmioletnia szwagierka. Kobieta, u której szukaliśmy porady, kiedy pojawiło się podejrzenie zespołu Aspergera u Lyli. Tessa jest psychologiem, wykłada psychologię na uniwersytecie w Plymouth.

Tessa wchodzi do kuchni i staje obok lodówki, na której widać przyczepioną magnesem karteczkę z napisem: „Kocham Cię, Mamusiu. Felix”. To taki żart mojej córki, która lubi udawać, że Felix i Randal umieją czytać i pisać, jakby byli prawdziwymi przyjaciółmi, z którymi może porozmawiać i którzy ją rozumieją.

– Cześć, Kath – wita się Tessa.

Nie odpowiadam. Wpatruję się piorunującym wzrokiem w mojego męża. Przygląda mi się uważnie, choć raczej chłodno.

Dlaczego sprowadził do Huckerby Tessę Kinnersley? Jeśli ma mi coś do powiedzenia, dlaczego sam tego nie powie? Po co angażuje w to Tessę, psychologa?

Jakbym była jakąś wariatką.

W oddali słyszę radosne szczekanie psów. Normalność mnie złości.

Nie jestem żadną wariatką. Mam fragmentaryczną pamięć i miewam dziwne lęki, ale tego można się było spodziewać. „Łagodne urazowe uszkodzenie mózgu”, tak brzmiała diagnoza. „Mogą występować zmiany nastroju, nagłe napady lęku albo stany depresyjne, trudności w wykonywaniu codziennych obowiązków, bezsenność,

nerwowość, drażliwość, ale można się również spodziewać powolnego i stałego procesu zdrowienia”.

Tessa podchodzi nieco bliżej.

– Kath, wiem, że to wydaje się dziwne, i naprawdę mi przykro, ale jestem tutaj, żeby porozmawiać. To wszystko. Adam pomyślał, że może będzie lepiej, jeśli usłyszysz o pewnych sprawach ode mnie.

– O jakich sprawach?

Rzuca spojrzenie na mojego męża, a on odpowiada lekkim kiwnięciem głowy, rozmawiając po cichu z Lylą. Upewnia się, że ma w tornistrze wszystko, czego potrzeba. Chce ją stąd szybko zabrać, prosi więc, by zaczekała na niego w samochodzie. Wpatruję się w Lylę, ale ona nawet na mnie nie spojrzy, kiedy wychodzi.

Co tutaj jest grane? Kamienie więdźm, symbole ułożone z martwych ptaków, przedmioty w lesie... Może to wszystko jedynie wytwory mojej wyobraźni i zbiegi okoliczności, które wyprowadzają mnie z równowagi... Może faktycznie powinnam się spotkać z kimś takim jak Tessa. Profesjonalna psycholog, która pracowała kiedyś w więzieniu i dla policji.

– Kath?

Głos mojego męża przywraca mnie do rzeczywistości. Jak długo stoję tutaj pogrążona we własnych bezsensownych myślach?

– Przepraszam – tłumaczę się i natychmiast tego żałuję.

Teraz, kiedy przeprosiłam, zepchnęłam samą siebie do pozycji obronnej. Gdzieś w środku czuję, że muszę się bronić. Sytuacja jest raczej nieprzyjemna. Oto kobieta, która wpada w panikę w lesie. Jak można pozwalać takiej kobiecie prowadzić samochód?

– Kath – mówi Adam – to trudne dla nas wszystkich, ale Tessa jest przyjaciółką i profesjonalistką. Wiesz o tym. Pomyśleliśmy, że tak będzie dobrze. To naprawdę ważne. Trzeba zadać ci pewne pytania. Musisz usłyszeć o kilku sprawach związanych z twoim wypadkiem.

Podchodzi i obejmuje mnie opiekuńczym gestem. A mnie kusi, by utonąć w tych ramionach na zawsze. Mój postawny mąż, strażnik parku narodowego, facet, który ratuje turystów tonących w zalewach po kamieniołomach.

Ale nie. Sztywnieję i uwalniam się z jego objęć. Nie mogę się przyznać do wzbierającego we mnie uczucia dezintegracji, do lęku przed kamieniami, szczotkami do

włosów i martwymi zwierzętami. Muszę pozostać przy zdrowych zmysłach i zachowywać się rozsądnie. Bo jeśli odebraliby mi prawo jazdy, taka sytuacja na trwałe pogrzyźłaby moje małżeństwo. Kilka tygodni uzależnienia od Adama w kwestii transportu stało się powodem niejednej kłótni. A cóż dopiero mówić o roku... Nie możemy się przeprowadzić z powrotem do Princetown, bo wszyscy nienawidzimy tego miejsca. Poza tym strażnicy parku muszą mieszkać na jego terenie. Lyla też musi żyć w otoczeniu dzikiej przyrody. Uwielbia to miejsce, a życia w miasteczku nie cierpiała.

Jeśli nie będziemy mieli każde swojego samochodu, to jesteśmy ugotowani.

– W porządku – zaczynam, zmuszając się do uśmiechu. Podobnie robi moja córka, gdy czasami nie wie, jak się zachować. – Odpowiem na pytania. Zdaje się, że sama też będę chciała zapytać o kilka spraw.

– Dobrze – stwierdza Adam, wycofując się. – Zawiozę Lylę do szkoły.

Drzwi otwierają się i zamykają. Słyszę pomruk land rovera, który po chwili cichnie.

Przypominając sobie dobre maniery, proponuję Tessie filiżankę herbaty. Kiwa głową i znowu przeprasza, a ja czuję, że moja wrogość jakimś cudem się rozpływa. Tessa jest dobrą przyjaciółką, w zasadzie jedyną spośród kilkorga przyjaciół, jacy mi zostali. Dobrze nam poradziła w sprawie Lyli, kiedy to ja zastanawiałam się, czy powinniśmy ją przebadać, a Adam był sceptyczny.

Pękaty brązowy czajniczek na herbatę zajmuje miejsce na stole kuchennym.

– Czy mogę najpierw zadać ci kilka ogólnych pytań, Kath?

– Chyba tak. Dobrze.

– Czy powiedziałaabyś, że jesteś szczęśliwa... albo byłaś szczęśliwa przed... wypadkiem? Szczęśliwa w życiu, w tym sensie?

Zaskoczona patrzę jej prosto w oczy.

– Czy ty naprawdę uważasz, że to ogólne pytanie?

Spuszcza wzrok przepaszająco.

– Dobrze... to skomplikowana sprawa. Podejźmy więc do tego od innej strony. Pozwól, że najpierw zbuduję sobie pewien obraz, dla nas obu. – Sięga po swoją modną torebkę i wyjmuje z niej czarny notes.

– Masz zamiar robić notatki? – Trudno, najeżam się. – Naprawdę? Nie jesteś moim lekarzem, Tesso, tylko moją przyjaciółką. Spotkałam się z całą chmarą psychiatrów po tym wypadku. Jaki masz w tym cel? Dla kogo chcesz robić te notatki, dla policji?

Otwiera notes. Trzyma w dłoni pióro.

– Nie – odpowiada ze spokojem i milknie, a ja słyszę, jak dartmoorski deszcz bębni o szyby. – Nie, jeszcze nie, Kath. Wszyscy chcemy czegoś takiego uniknąć.

Znowu przyjmuję pozycję obronną i jednocześnie odczuwam niepokój. Uniknąć policji? Dlaczego policja miałaby się w to angażować? Przecież wszystko zostało załatwione. Adam ze wszystkim sobie poradził. Byłam jeszcze wtedy w szpitalu. Dlaczego wobec tego poprosił Tessę, żeby przyjechała tutaj rozmawiać o policji?

Nie mam pojęcia. Ale muszę wierzyć, że mój mąż robi to w dobrej wierze, dla mojego dobra.

Musi tak być. Adam zawsze robi wszystko dla mojego dobra i dla dobra Lyli.

– Poznałaś Adama, kiedy byłaś bardzo młoda, prawda?

Wzruszam ramionami, zdeprymowana. Tessa z pewnością zna tę historię równie dobrze jak własną.

– Tessa, do cholery, przecież jesteś żoną mojego brata! Dlaczego w ogóle zadajesz takie pytanie?

– Znam część tej historii, Kath, zgadza się, ale... – Znów wzdycha przepraszająco. – Naprawdę chciałabym ją usłyszeć od ciebie. Pozwolisz mi kontynuować, proszę?

Kolejna tajemnica. Sprawy pozostają w ukryciu. Na dnie kuchennej szuflady.

Wypijam łyk herbaty i wzdycham.

– Miałam siedemnaście lat, chodziłam do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Totnes.

– Dobrze... Mów dalej.

– Dan musiał ci o tym opowiadać... Pewnego dnia poszliśmy na wagary do pubu. Byłam niepełnoletnia, oczywiście, więc bałam się kupić drinka, złamać zasady... I wtedy właśnie nadszedł pewien bardzo przystojny mężczyzna. To był Adam, miał osiemnaście lat. Nazajutrz poszliśmy na randkę, a dzień później zaczęliśmy się ze sobą prowadzać. Pracował już wtedy w parku narodowym jako stażysta, a ja niedługo potem wyjechałam na uniwersytet.

– Do Exeter. Tak.

Dziarski uśmiech Tessy ma dodać mi otuchy, ale wcale nie czuję się uspokojona.

– Studiowałam archeologię, jak wiesz.

– Lubiałaś to?

– Oczywiście. Tak. Naprawdę mi się podobało.

– I zadurzyłaś się w Adamie?

– Tak. – Uśmiecham się słabo na to wspomnienie. – Wszyscy na uniwersytecie mieli

co do tego sceptyczne nastawienie. Każdy drwił i mówił: „Och, to nie ma szans, zerwiecie jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia”, ale ja wiedziałam, że oni wszyscy się mylą. Nasz związek przetrwał, byliśmy wobec siebie lojalni, dobrze się bawiliśmy. Adam wpadał do mnie do akademika. – Patrzę jej prosto w oczy. – Czasem przez całe dni nie wstawaliśmy, nie wychodziliśmy z łóżka. Po kilku semestrach zaręczyliśmy się, a kiedy skończyłam studia, wzięliśmy ślub. Rok po twoim ślubie z Danem.

Tessa cały czas robi notatki. Tymczasem styczniowa aura podchodzi pod same okna, podsłuchuje, bębni o szyby. Zastanawiam się, czy pogoda potrafi wsłuchać się w moje najskrytsze myśli, w powracające niekiedy wątpliwości co do mojego małżeństwa, wątpliwości, które od czasu do czasu mnie niepokoją: czy ja naprawdę zasłużyłam sobie na takiego przystojnego faceta, jakim jest Adam Redway? Wiem, że wniosłam do małżeństwa wykształcenie i nieco spłowiłą wytworność rodu Kinnersleyów – taki mój posag – ale zawsze miałam przekonanie, że zdecydowanie lepiej na tym wyszłam. Adam Redway: lojalny, twardy, seksowny – wystarczy spojrzeć, sto procent męskości. „Co on w niej widział?” – przyglądałam się kobietom, które otwarcie pożerały wzrokiem mojego męża przez cały czas trwania naszego małżeństwa.

Czy pozostał mi wierny? Czy pod jego dziwnym zachowaniem kryje się zdrada? Nie. Nie! Nie wierzę w to. Adam jest lojalny i uczciwy, i kocha mnie.

– Mniej więcej w tamtym czasie – mówi Tessa, notując coś w pośpiechu – kiedy pojechałaś na studia, zmarła twoja matka, tak?

Zmieniła taktykę. Teraz znowu czuję się lekko urażona.

– Posłuchaj. Przepraszam cię, Tesso, nie chcę być niegrzeczna... Zawsze byłaś dla nas taka miła, ale... możesz mi powiedzieć, proszę, po co tutaj przyjechałaś? – Rzucam okiem na zegar w kuchence. – Mam coś do zrobienia.

– Tak, wiem, przepraszam, Kath. Całkowicie rozumiem twoje zakłopotanie i rozdrażnienie. Ale... – Odkłada pióro i nasze spojrzenia się spotykają. – Potrzebuję dorysować brakujące elementy, a potem wszystko ci powiem. Lepiej, żebyśmy zrobiły to właśnie w takiej kolejności. Tak, żebyś wiedziała...

– Co? Co musisz mi powiedzieć? – Staram się nie tracić nad sobą panowania. Co takiego złego się dzieje, że Adam wzywa moją szwagierkę, która przypadkiem jest psychologiem? Dlaczego to wymaga takiego długiego wstępu, jakby przygotowywano mnie na najgorsze?

Tessa nie zwraca uwagi na rumieniec, który pojawia się na moich policzkach, i przykłada stalówkę pióra do kartki, gotowa notować dalej.

– Proszę, Kath, tak jest lepiej. Uwierz mi.

Patrzę na nią – ładna bluzka z Londynu, kaszmirowy kardigan – i ulegam ze znużeniem.

– Byłam wtedy na drugim roku studiów. Mama umarła w aśramie, w trakcie pobytu w Indiach. To dla niej typowe...

– Co masz na myśli, mówiąc „typowe”?

– Zawsze była postępową. Wystarczyło jej dać zwariowaną religię, a ona już w nią wchodziła. Reiki, buddyzm, wicca, astrologia, szamanizm, wkładanie kryształków do tyłka. Nie wierzyła w jedną religię, wierzyła we wszystkie. Myślę, że jednocześnie była weganką, wegetarianką, pescowegetarianką, bretarianką, ale, co dziwne, lubiła antrykot. I czerwone wino. Zawsze uwielbiała wino.

Tessa się uśmiecha.

– Tęsknisz za nią?

Uśmiecham się smutno w odpowiedzi. Och, tak. Tęsknię za matką, nawet teraz. Kiedy spoglądam na drugi koniec kuchni, na półkę, mój wzrok przyciąga jedna z wielu pamiątek, jakie przywoziła ze swoich samotnych podróży, kiedy to pędziła w najodleglejsze zakątki świata, porzucając nas, dzieciaki, u zdeprimowanych, ale tolerancyjnych krewnych. Ta szczególna pamiątka to stara lalka z Grenlandii w nieco odpustowych kolorach, zdaje się duchowa lalka Inuitów, zrobiona z piór i kosteczek ptaków, która patrzy z ukosa. Kieł morsa rzeźbiony w bardzo prymitywny sposób w coś na kształt ludzkiego zęba. Żółty i dziwny.

Adam nienawidzi tej lalki, a ja ją lubię, ponieważ należała do mamy. Zawsze lubiła ekscentryczne rzeczy – dziwaczne, ułomne, upiorne, takie, które nikomu się nie podobały. Brakuje mi tego jej przesadnego, udawanego zainteresowania sztuką, tej ciekawości, tęsknię za jej wspaniałomyślną, postrzeloną głupotą i zwariowanym, uszczypliwym poczuciem humoru. Mam też poczucie, że ją rozczarowałam. Byłam taka normalna, zwyczajna, taka konserwatywna, wiecznie dążąca do tego, żeby się dopasować. Jednak w głębi duszy ją kochałam, szanowałam, pomimo jej egotyzmu, włączania się po imprezach...

Żałuję, że nie okazywałam jej tego bardziej.

Nagle uświadamiam sobie, że pogrzyżłam się we własnych myślach. Zbyt długo.

Wracam do Tessy.

– Tak – odpowiadam, wzdychając głęboko. – Tęsknię. Codziennie mi jej brakuje, nawet teraz. Miała w sobie dużo radości, przeważnie. – Przerywam i spoglądam na uśmiechającą się znacząco duchową lalkę Inuitów, z żółtymi zębami jak u starej palaczki. – Mama to była mama. I zawsze była sobą. Dorastała w zamożnym domu... no wiesz, pochodzimy ze starej rodziny Kinnersleyów. Często opowiadała o dużym domu w Dorset, sprzedanym dawno temu. Zanim to jednak do niej dotarło, a przynajmniej tak mówiła mnie i Danielowi, większość pieniędzy zniknęła, resztę postanowiła więc przeznaczyć na doświadczanie życia. Chciała wszystkiego spróbować, wszędzie pojechać, od Grenlandii po Zambię. I tak też zrobiła. Mawiała, że umierając, nikt jakoś nie żałuje, że nie miał większego telewizora... umierający żałują tego, czego nie zdążyli zrobić. Myślę, że miała w tym dużo racji. Chciałabym żyć zgodnie z tymi słowami, ale nie mam odwagi. Albo pieniędzy.

Biorę głęboki oddech. Prawdopodobnie to moja najdłuższa wypowiedź od czasu wypadku, co samo w sobie już robi wrażenie.

Tessa kiwa głową. Pióro zawisa w powietrzu.

– Nigdy nie poznałaś swojego ojca?

– Nie. Dan pewnie trochę, ale ja nie. Nie. Był Amerykaninem mieszkającym na stałe w Londynie i w życiu naszej matki nie zagościł aż tak długo... Nigdy z nami nie mieszkał, nigdy nawet nie mieszkał w hrabstwie Devon, no i zmarł, kiedy miałam ledwie dwa latka, a Daniel pięć. Powinnaś zapytać Dana o pogrzeb. Był zwariowany pod każdym względem. Sitary, pentagramy... i kornwalijska harfa. A miejsce taty wkrótce zajął ktoś inny. – Tłumię chichot, trochę ze smutkiem, trochę z goryczą. –

Mama nigdy nie lubiła... no wiesz... domowego zacisza, nigdy nie chciała, żeby ktoś nią dyrygował, żeby po domu kręcił się jakiś mężczyzna. Jednak uwielbiała zwracać ich uwagę, a oni uwielbiali ją.

Tessa spogląda na mnie. Domyślam się, co jej chodzi po głowie.

– Oczywiście, mama była pięknością, ale każdy mówił, że urodę przekazała Danowi. Myślę, że ja odziedziczyłam po niej intelektualną dociekliwość.

– Rozumiem. Rozumiem.

Tessa patrzy spod przymrużonych powiek na kartki notesu, a potem przenosi wzrok na mnie, a ja się zastanawiam, czy to zakłopotanie widzę w jej oczach. Wyczuwam, że zaraz padnie jakieś dziwne pytanie.

– Porozmawiajmy jeszcze o twojej matce. O spadku. Czy czujesz się zraniona tym, że zapisała dom w Salcombe Danielowi?

Wzdrygam się. Zgadza się, czuję się tym zraniona. Bardzo mnie to dotknęło i wciąż jeszcze czasem mnie dotyka. Spoglądam na wyczekującą Tessę.

– Tak. To było trudne, szczególnie pod względem emocjonalnym. – Jestem zdziwiona swoją szczerością i zaskoczona gwałtownością swojej reakcji. – Ten dom był ostatnią rzeczą, jaka należała do mamy, a ona tak po prostu zapisała go mojemu bratu... Pewnie dlatego, że on... – Z sarkastycznym grymasem gestem pokazuję w powietrzu cudzysłów – „zawsze kochał Salcombe o wiele bardziej niż ja”, poza tym mama rzekomo zrównoważyła to, dając mi udziały i antyki. – Wpatruję się w dartmoorski kalendarz wiszący na ścianie w kuchni, obraz grobu Kitty Jay, piękny i smutny zarazem w swej zimowej aurze. – Tyle że udziały i antyki okazały się praktycznie bezwartościowe. Mama kupiła to wszystko, kiedy była na haju. Boże, jak ona uwielbiała trawkę... – Wywracam oczami. – Kupowała ją w Totnes od druidów. Nienawidzę narkotyków. Nienawidzę.

Tessa szybko i sprawnie robi notatki. Jak zawodowy detektyw. Zastanawiam się, czy to czynność zastępcza, która ma ukryć jej dyskomfort. Zerka na mnie.

– A więc nadal czujesz urazę? W stosunku do Dana i swojej matki? W kwestii domu w Salcombe?

– Tak. Nie. Ach, nie wiem. Chyba troszeczkę. Ale nie do końca... Wiem, że między mną a Danem zawsze występują pewne tarcia z powodu domu i tego wszystkiego, ale jednocześnie kocham swojego brata. Dan, w przeciwieństwie do mnie, jest ekstrawertykiem. Jest zabawny. Poza tym oboje musieliśmy znosić matkę... Łączy nas głęboka więź, poza tym to przecież nie jego wina, że mama była taka roztrzepana. –

Nasze spojrzenia się spotykają. Kontynuuję: – Lubię cię, Tesso, i uwielbiam twoich dwóch synków i tak, jasne, Dan ma duży dom, i tak, oboje macie pieniądze i całą resztę, a my musimy wynajmować to miejsce, ale Dan pożyczył nam gotówkę, kiedy mieliśmy pod górkę, ty zafundowałaś wakacje mnie i Lyli. To nam pomogło, Dan jest bardzo, bardzo pomocny.

– Rozumiem. – Twarz Tessy jest niemalże pozbawiona wyrazu. – I tym sposobem wracamy do tematu Lyli. – Wypija kolejny łyk herbaty, która zapewne jest już prawie zimna. Przynajmniej moja już wystygła. – Porozmawiajmy o niej. A potem będziemy już prawie u celu, Kath.

Prawie u celu? Jakiego celu? Napięcie narasta niczym kolejne warstwy śniegu – śniegu, którego sterta rośnie i rośnie, aż dach się zapada.

– Miałaś tylko jedno dziecko. Albo raczej powinnam powiedzieć masz.

– Tak. Chcieliśmy mieć więcej dzieci, ale pamiętaj, że Adam kilka lat temu zachorował na chłoniaka Hodgkina i musiał przejść chemioterapię. Nie może mieć dzieci. Więc, jak wiesz, mamy tylko Lylę. Ale jest dobrze, Adam lepiej się czuje. A ja uwielbiam Lylę, kocham ją, choroba Adama tylko nas umocniła. – Odsuwam prowokująco swój kubek. – Pogrzyżyła nas finansowo, była potworna, ale przeszliśmy przez to. Połączyła nas jeszcze bardziej i oto jesteśmy. Rodzina. Jedność. Tacy właśnie jesteśmy i to mi się podoba.

– Dobrze. Kath, to będzie moje ostatnie pytanie.

– W porządku.

– Jak radzisz sobie z tymi, hmm, dziwactwami Lyli?

– Z zespołem Aspergera?

– Nadal formalnie nie jest zdiagnozowana – mówi szybko Tessa. – O ile mi wiadomo...?

– Nie, ale wydaje mi się, że o to właśnie chodzi. Tak czy owak, oznacza to, że prowadzimy całkiem inne życie... Lyla wciąż nienawidzi miejskiego zgiełku, hałasu i nieznajomych ludzi, którzy wywołują u niej panikę. Ale kocha zwierzęta. Dlatego mieszkamy tutaj, na pustkowiu, w ciszy, gdzie możemy mieć psy i gdzie biegają konie. Jest dobrze, wszystko jest dobrze. A przynajmniej było do czasu tego cholernego wypadku.

Tessa kiwa głową i odkłada pióro. Wygląda na to, że moja sesja dobiegła końca.

– Dobrze, biorąc to wszystko pod uwagę, czy możesz powiedzieć, że generalnie byłaś szczęśliwa... a przynajmniej zadowolona z życia... w momencie, kiedy wydarzył się ten wypadek w Burratorze?

– Tak – potwierdzam zdecydowanym głosem, bo to prawda, a prawdę łatwo jest wypowiadać. – Tessa, to ten wypadek sprawił, że wszystko stało się okropne! To on przywołuje wspomnienia, wszystkie te okropności... O mało co wszystko bym straciła... Mam męża, którego kocham, córkę, którą kocham, dom, który kocham, i o mały włos bym to wszystko straciła z powodu jakiegoś głupiego lodu na głupiej dartmoorskiej drodze! Miałam dużo szczęścia. Dostałam drugą szansę. Przez kilka sekund byłam w stanie śmierci klinicznej! – Potrząsam głową, nie mogąc się nadziwić

własnemu szczęściu. – Tak, życie mogłoby być lepsze: potrzebujemy więcej pieniędzy, Lyla potrzebuje pomocy, daleko nam do ideału, ale czymże są pieniądze wobec życia? Ludzie nie umierają, żałując, że nie mieli większego telewizora...

Tessa uśmiecha się uprzejmie, chociaż sędzę, że powinnam wywołać na jej twarzy anemiczny rumieniec zawstydzienia. Przez chwilę obie słuchamy wiatru, który przewraca wszystko na podwórku przed domem, niczym pijak po powrocie z pubu do domu. Zastanawiam się, co teraz robi Lyla w szkole. Zapewne siedzi samotna w tłumie. Nie rozmawia z nikim. Zignorowana i pozbawiona przyjaciół. Myślami wędruje po wrzosowiskach, duma nad najnowszymi ptasimi piórami i nad tym kawałkiem poroża, który znalazł jej ojciec.

– Kath, zapewne wiesz, że cierpisz na amnezję wsteczną, prawda? Spowodowaną urazem mózgu?

– Tak. Oczywiście! Wiem, że zapomniałam o różnych sprawach sprzed wypadku, jakiś tydzień wstecz, ale psychiatrzy ze szpitala mówią, że wszystko powróci. Ale... Jezu... o samym wypadku wolałabym zapomnieć! Nadal widzę ten lód, poślizg, wodę... brr...

Zamykam oczy, żeby stłumić bolesne myśli. Gdy po chwili znów na nią spoglądam, Tessa marszczy brwi.

– Cóż, sprawa wygląda tak, Kath... Może lekarze w Szpitalu Derriford nie wyrazili się wystarczająco jasno, ale amnezja polega na tym, że możesz zapomnieć o tym, że zapomniałaś... A to znaczy, że możesz mieć luki w pamięci, z których w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, podczas gdy twój umysł próbuje je wypełnić.

Wiatr nagle przestaje wiać. W domu zapada cisza. Uświadamiam sobie, że psy musiały pojechać z Adamem i Lylą. Słyszę tylko, jak dartmoorski deszcz bębni o szyby. Dzwoni. Czuję paraliżujący strach. Jakby zbliżał się jakiś horror. Jakby wiedźma z wrzosowisk skradała się wzdłuż żywopłotu. A nie mamy żadnych kamieni przeciw wiedźmom. Nie mamy niczego, co mogłoby je powstrzymać.

Nie dam rady już dłużej tego znieść.

– Dobrze, naprawdę już wystarczy, Tesso. Powiedz mi, dlaczego tutaj jesteś? – Jestem bliska krzyku. – Powiedziałam ci, co chciałaś. Wiesz już prawie wszystko. Więc teraz moja kolej, żeby zadać pytanie. Po co tutaj przyjechałaś?

– Ponieważ – zaczyna swoje wyjaśnienia, zaglądając mi głęboko, bardzo głęboko w oczy – nie było żadnego wypadku, Kath.

– Co?

– Twój umysł to wymyślił. Wymyślił ten lód i całą resztę.

– Co? – Panika chwyta mnie za gardło, czuję w ustach ostry, metaliczny posmak. – Co masz na myśli? Miałam przecież siniaki, badali mnie lekarze. A ten cholerny samochód leży na dnie zalewu. Musiałam sobie kupić nowe auto!

– Tak, to prawda. Samochód nadal tam leży. Ale dlatego, że wjechałaś nim do wody celowo.

Czuję, jak moje życie w jednej chwili robi obrót wokół własnej osi. Wykonuje rytualny taniec.

– Chcesz mi powiedzieć... masz na myśli... przecież nie możesz...

Tessa Kinnersley potrząsa głową i widzę w jej oczach ogromny żal.

– Kath, nie było żadnego wypadku... Próbowowałaś odejść od swojego męża i córki. Próbowowałaś popełnić samobójstwo. Pozostaje tylko jedno pytanie... Dlaczego?

Później, w czwartek rano

Absolutna cisza. Tak to właśnie czuję. Jakby bijące serce świata się zatrzymało. Pustka. Pustka. Potem deszcz zacina po szybach, przerywając ciszę, i słowa wyrywają się z moich ust:

– Jak możesz w ogóle tak myśleć?

Tessa zachowuje spokój, wykonuje swoją pracę. Nie przyjechała tutaj jako przyjaciółka, ale jako profesjonalny psycholog.

– Ktoś cię widział.

– Słucham?

– Przy Burratorze znalazł się świadek. Obok zalewu. Spacerował z psem. Była już noc, ale świecił księżyc w pełni i ten człowiek widział, jak zupełnie świadomie wjechałaś samochodem do wody.

– Ale... – Ogarnia mnie coraz większa panika, niczym tamta czarna zimna woda, woda, którą tak wyraźnie pamiętam, a może jednak nie? – Ale... Nie. Nie ma mowy. To nie może być prawda. Tam był lód... Wpadłam w poślizg.

– Sprawdź dokumentację, Kath. Zajrzyj i sprawdź. – Tessa mówi dalej z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, celowo przybierając niski i miły ton głosu: przesadnie uspokajający. – Sprawdź w internecie, jaka była pogoda tamtego wieczoru, trzydziestego grudnia. Był to jeden z tych suchych i łagodnych zimowych wieczorów, jakie czasem się tu zdarzają. Dwanaście stopni Celsjusza. Południowo-zachodni wiatr. Żadnego oblodzenia. Poza tym...

Wzdrygam się w głębi duszy.

– Poza tym, Kath, musisz pamiętać o tym, że nad zalewem Burrator stoi zapora. Ogromny, gruby mur z cegły, solidna wiktoriańska konstrukcja, zbyt masywna, żeby mógł się przez nią przebić samochód. Przecież znasz dobrze Burrator, pewnie sobie to przypominasz, prawda?

Ma rację. Przypominam sobie. Tam rzeczywiście jest mur. A jednak mój umysł mnie oszukał, stworzył sobie jakieś inne miejsce – miejsce, do którego mogłam wjechać przypadkiem.

– W jaki więc sposób ja... Nie rozumiem... – Przełykam ślinę. Nie wolno mi się

rozpłakać.

Tessa domyśla się mojego pytania.

– Trwają tam prace budowlane, przebudowują część muru, zostawili w nim dziurę, wystarczająco szeroką, żeby prześlizgnął się przez nią samochód. Prawdopodobieństwo wypadnięcia w poślizg i uderzenia we właściwe miejsce, było niewielkie, wręcz znikome. W każdym razie nie wpadłaś w poślizg, bo nie było tam żadnego oblodzenia, ty po prostu wjechałaś tam samochodem, bardzo uważnie.

– W samochodzie musiał jeszcze ktoś być.

– Przykro mi, to byłaś ty, widziano tylko jedną osobę, kierowcę, i to byłaś ty. Tylko ty wjechałaś do tego zbiornika. Tylko ty się z niego wydostałaś.

– Nie wierzę w to!

Oczy wzbierają mi łzami. Wpatruję się w kalendarz, ale obraz mi się zamazuje. Grób Kitty Jay przykryty śniegiem, kwiaty tak żałośnie smutne na tle tej bieli. To słynne piękne miejsce w pobliżu Chagford, gdzie zostały rozrzucone prochy mojej matki – wzdrygam się w głębi duszy. Kulę się w sobie na samą myśl, jakże ironiczną, co mama pomyślałaby sobie o mnie. O tej potwornej rzeczy. Samobójstwo? Jak Kitty Jay? Moja mama kochała życie, pochłaniała je, gardziła samobójstwem i tego mnie uczyła.

Słowa znowu zaczynają płynąć, zbyt szybko:

– Ale dlaczego miałabym się zabić, Tesso? Po co, do cholery, miałabym to zrobić? Samobójstwo to coś okropnego... czysty egoizm, najbardziej egoistyczne wyjście, a przecież ja byłam całkiem szczęśliwa, bo przecież byłam... Oczywiście, mieliśmy problemy z pieniędzmi, z Lylą, ale ja ją kocham, kocham... Kocham mojego męża i kocham moją córkę.

A teraz woda jakby znów mnie pochłania i prawda wlewa się przez okno do samochodu. Adam zapewne o tym wszystkim wie i stąd jego pełna chłodu złość, dziwny dystans przez te ostatnie tygodnie. Nie obwiniam go. Co on sobie musi o mnie myśleć? Próbowałam się zabić bez żadnego wyraźnego powodu, byłam gotowa uczynić go wdowcem, a co gorsze, o wiele gorsze, byłam gotowa pozostawić Lylę bez matki.

– Nie – stwierdzam kategorycznie, wręcz wyzywająco. – NIE! Nie wierzę w to. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nigdy nie zostawiłabym Lyli bez matki, nigdy, PRZENIGDY! Nie jestem takim typem kobiety, nie jestem taką matką! Kocham Lylę bezgranicznie. ODDAŁABYM ŻYCIE za moją córkę. Ale nie umarłabym, zostawiając ją samą. O Boże!

Muszę wziąć głęboki oddech albo rozpadnę się na kawałki. Jestem potworem, gargulcem. Jestem tym łypiącym okiem monstrum ułożonym z martwych ptaszków i umazanym krwią. Upiorną duchową lalką Inuitów z piórami i żółtymi zębami. Oto siedzę tutaj, w tej jasnej kuchni, w starych murach, na których wiszą ścierki z napisem „Przyjedź do Dartmouth”... A jednak jestem jakąś groteskową kreaturą, kobietą, która pozostawiłaby swoją śliczną, delikatną córkę bez matki... Nie!

– Nie zrobiłam tego, Tesso. Nie zrobiłam! Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

Tessa patrzy na mnie, ocenia wzrokiem, jakby badała, ile mogę znieść, a potem sięga do torebki, wyjmując złożoną kartkę papieru i kładzie ją na stole. Kiedy ją rozkłada, odsłania się jakiś tekst. Wygląda na zeskanowany, na fotokopię. Widać na niej odręczne pismo, małe, drobne literki, tak charakterystyczne dla introwertyka, skreślone naprędce, z zawijasami.

Rozpoznaję je nawet z drugiego końca stołu kuchennego.

To moje pismo.

Tessa informuje mnie delikatnie:

– Adam ma oryginał. To jest kopia.

Wiem, co za chwilę zobaczę – to oczywiste. Nie trzeba nic mówić. Ale muszę to zobaczyć, żeby wbić ostatni gwóźdź do trumny, by całkowicie pogrzebać nadzieję.

Tessa przesuwa kartkę w moją stronę. Drżącymi rękami odwracam ją i czytam swoje odręczne pismo:

Nie powinnam była zrobić tego, co zrobiłam, nie powinnam była dopuścić tej myśli do swojego serca.

Wyruszam w podróż, odchodzę na zawsze.

Zapomnijcie o mnie, jeśli potraficie, choć wiem, że nigdy mi nie wybaczycie.

To są moje słowa. Nie przypominam sobie, żebym je pisała, w ogóle sobie ich nie przypominam, ale to moje pismo – ja to napisałam.

Próbowałam się zabić.

Odsuwam kartkę na bok, pochylam się do przodu, opieram na założonych rękach i delikatnie kładę na nich głowę. Czuję czysty, prawdziwy zapach drewna naszego kuchennego stołu, przy którym spędziłam tak dużo czasu z mężem, z córką, przygotowując kolacje, pijąc wino, śmiejąc się głośno, tworząc rodzinę. Wszystko przy tym stole. A teraz przy tym samym stole zaczynam cicho łkać. Po chwili szlocham.

Tessa milczy. Wpatruję się w ciemność pomiędzy ramionami, szlocham i szlocham w mojej pomalowanej na biało kuchni. Ale nie oplakuję siebie, oplakuję Adama, moją zmarłą matkę, brata, ten dom, to miejsce wokół mnie, polne kwiaty na pagórkach wrzosowisk latem, wiązówkę błotną na Whitehorse Hill, naparstnice na Broad Marsh, rosiczki i kurzyślad polny, miętę polej i róże – wszystkie te kwiaty, które kocha moja córka, wszystkie kwiaty, które potrafi, w przeciwieństwie do mnie, nazwać, wszystkie kwiaty, które mi pokazuje, wszystkie te kwiaty, kamyki i piórka, które zbiera... Bo tak naprawdę wylewam łzy, płaczę, szlocham nad moją córeczką, tą małą dziewczynką, którą byłam gotowa zranić, zniszczyć, odrzucić, pozbyć się jej. Nad tą dziewczynką, którą teraz wyobrażam sobie, jak stoi na podwórzu, nasłuchując odgłosów maleńkich zwierzątek, zaciekawiona, w swoim anoraku, i zastanawia się, dlaczego jej matka próbowała uciec na zawsze.

Zabić się.

Mój Boże. Za dużo już tego. Deszcz bębni o okno, a moje łzy przestają płynąć.

Nie mam pojęcia, jak długo tak siedzę ze zwieszoną głową. Może godzinę albo i dłużej. Jednak nawet najbardziej palące łzy muszą kiedyś się skończyć, podobnie jak wszystko musi w końcu umrzeć.

Podnoszę głowę.

Tessa nadal siedzi cierpliwie, a na jej twarzy maluje się głębokie współczucie.

– Przepraszam – wyznaję.

Gospoda Warren House

Poniedziałek, pora lunchu

Lyla jest w szkole, a ja powinnam być w pracy, w Princetown. Tymczasem siedzę w aucie zaparkowanym przy drodze obok gospody Warren House. Mgła jest tak gęsta, że ledwo widzę skromny, stary wybielony budynek, chociaż stoi niecałe sto metrów dalej. W normalnych warunkach zajazd jest widoczny w promieniu wielu kilometrów pofalowanych skalistych wrzosowisk. Dzisiaj, w tym dartmoorskim mroku, Warren House przypomina jakieś niejasne, smutne wyobrażenie wiejskiej chaty, będące częściowo wytworem czyjejś wyobraźni.

Wysiadam z auta, zamykam drzwi na kluczyk, przystaję i podenerwowana wpatruję się we własną dłoń. Nigdy tego nie robiłam. Nie zamykałam samochodu na kluczyk w jednym z najbardziej odludnych miejsc na wrzosowiskach. Nigdy niczego nie zamykamy: rowerów, samochodów ani domów. Kto chciałby ukraść mojego bezwartościowego starego forda?

Stado gronostajów?

Jeden z kudłatych dartmoorskich wołów?

A może owca?

Gdzieś w pobliżu słyszę owcę, również niewidoczną w tej mgle: *mee, mee, mee, mee, mee*, jakby ze mnie drwiła.

MEE, Kath Redway, MEE.

Lyla po raz pierwszy zwróciła moją uwagę na to, że owca wydaje dźwięk *mee*, a nie *bee*, i od tamtej pory nie mogę przestać o tym myśleć, ponieważ miała rację. Owce się z nas wyśmiewają, drwią. *Mee, mee, mee*, spójrz na siebie, co ty tutaj robisz, spójrz na tę kobietę, która zamyka drzwi samochodu na kluczyk, po co ona je zamyka, *mee*, czyżby bała się, że mogłaby wrócić do tego samochodu i *wjechać nim do zbiornika wodnego?*

Meeeeeeeeee!

Te myśli nie dają mi spokoju: jestem uwięziona we własnym ciele. Jakim sposobem mogłabym chcieć się zabić? Co ja robiłam w tamten feralny grudniowy dzień? Po

prostu nie mogę w to uwierzyć. A jednak muszę.

Kiedy idę wśród wrzosowisk drogą zasnutą kłębamii mgły, w stronę zajazdu, analizuję to chyba po raz dwusetny. Nie myślę o niczym innym od czasu wizyty Tessy.

Pamiętam święta Bożego Narodzenia, naprawdę wszystko pamiętam. Było miło. Robiliśmy to co zawsze, pojechaliśmy do Salcombe jako ubodzy krewni i świętowaliśmy na koszt mojego brata.

Jedliśmy pieczoną gęś, taką, jaką jadali u Dickensa. I Lyla bawiła się ze swoimi rówieśnikami, ze swoimi hałaśliwymi kuzynami, ośmioletnim Oskarem i dziewięcioletnim Charliem – albo z Fokstrotem i Tangiem, jak nazywa ich Dan. Charlie i Oskar tolerują Lylę, ponieważ razem się wychowywali. Kiedy ciągle przebiera palcami, wpada w chorobliwy lęk przed rzeczami, które drapią, albo chowa się nieśmiało pod stołem, na przykład z encyklopedią, akceptują to, śmieją się dobrodusznie, co sprawia, że Lyla też się uśmiecha, wychodzi spod stołu i bawi się z nimi na swój dziwny, rozbrajający sposób. Właśnie dlatego lubię święta Bożego Narodzenia. Bo wtedy Lyla jest szczęśliwa.

W tym roku też dobrze się bawiłam w święta. Pamiętam krakersy, nalewkę z tarniny na bazie dzinu i wykwintne bombonierki, które mój brat kupił w jakimś ekskluzywnym sklepie w Londynie, i to, jak potem, drugiego dnia, wracaliśmy samochodem do Huckerby, najedzeni do syta i zadowoleni. Pamiętam też tamten wieczór, kiedy Adam wyjechał na tydzień, żeby remontować chatę strażników w północnej części wrzosowisk, zostawiając mnie samą z Lylą.

Potem na wszystko opada zasłona mgły, jakby drzwi się zamknęły i wszystko pogrążyło się w bezlitosnej mgle mojej pourazowej amnezji wstecznej, w oparach mojego poturbowanego i bezużytecznego mózgu.

Począwszy od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia właściwie mam pustkę w głowie. Cztery dni później usiłowałam się zabić. I nie mam pojęcia dlaczego.

Mee.

Kiedy podchodzę do gospody, dostrzegam, że drzwi są zamknięte, a w oknach jest ciemno. Wygląda na to, że gospoda jest zamknięta. Miejsce słynie z tego, że od tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku nieprzerwanie pali się tam ogień w kominku. Jednak zdarza się, że w martwym sezonie zimowym czasowo zamykają gospodę. Tak bardzo chciałabym, żeby teraz była otwarta, ponieważ to jedyne miejsce, gdzie mogę znaleźć Adama, mojego nieuchwytnego męża. W końcu jest strażnikiem parku

narodowego, a to oznacza, że jego teren działania obejmuje ogromne połacie wrzosowisk ze wszystkimi kryształowymi strumieniami, mostkami z kamieni, ukrytymi zagajnikami i zapomnianymi wioskami. Wiecznie jest poza domem, zazwyczaj na odległych terenach, gdzie telefony nie mają zasięgu, wobec czego nie można się z nim skontaktować.

Spędziłam spokojnie dni po wizycie Tessy, nie poruszając w ogóle tego trudnego tematu – udając, że ta przytłaczająca sprawa nie istnieje, że nic się nie wydarzyło. *Napijmy się jeszcze herbaty i nic nie mówmy.* Wiem, że Adam żywi do mnie urazę, choć stara się nie pokazywać tego po sobie.

Tego ranka mój nastrój się zmienił. Zawiozłam Lylę do szkoły, wróciłam do biura w Princetown, włączyłam komputer i wpisałam kilka słów: „Terminu wypalanie traw użyto po raz pierwszy w trzynastowiecznym poemacie. Oznacza spektakularne, kontrowersyjne zimowe wypalanie uporczywie rozrastających się dartmoorskich kolcolistów i paproci orlicy, które nadal można zobaczyć zimą w wyższych partiach wrzosowisk...”. Potem przestałam pisać i przyjrzałam się swoim głupim słowom, tak nieistotnym z punktu widzenia tej luki, która powstała w moim życiu, otwartej rany, w którą lada chwila mogło się wdać zakażenie. Postanowiłam wyjść z biura i porozmawiać z mężem – natychmiast. Naprędce wymyśliłam jakąś wymówkę w pracy i od razu przyjechałam tutaj.

Dość już tej herbaty, dość zaprzeczania. Dość już tych wyimaginowanych mężczyzn w lesie.

Potrzebuję faktów.

Naciskam zardzewiałą kłankę wysłużonych drewnianych drzwi i przechodzę przez próg. Gospoda jest otwarta, ale świeci pustkami. Na jednym końcu siedzi tylko kilku lokalnych pijaczków nad kieliszkami i kuflami, na drugim ogromny szary wilczarz pochrapuje przed wiecznym ogniem.

Podejrzewam, że ta historia o wiecznym ogniu w Warren House to wymysły dla turystów, czyste kłamstwo. Ale przecież wszyscy kłamiemy, żeby jakoś przetrwać. Właściwie dlaczego nie? Żałuję, że nie znam więcej kłamstw, którymi mogłabym się oszukiwać. Okłamywałabym się z radością do końca życia, gdybym tylko potrafiła. Naprawdę nie próbowałam popełnić samobójstwa – nie! Próbowałam zbadać zbiornik wodny... Sprawdzić, czy mój samochód będzie unosił się na wodzie... Znajdowałam się wtedy w świecie równoległym. Nigdy nie usiłowałam się zabić i porzucić mojej

córki, *mee, mee, mee, mee, mee.*

Jestem o krok od wybuchnięcia płaczem.

– Witaj, Katarina.

Jakaś przyjazna twarz – Ron, barman. Jest właścicielem tej gospody od dziesiątków lat, od wieków. Zastanawiam się, czy to on rozpalił ogień w tym palenisku w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku. Na pewno znał moją matkę, która uwielbiała tę nastrojową niewielką gospodę z jej duchami i legendami oraz zmumifikowanymi kotami pogrzebanymi w murach i kamieniami z wioski z epoki żelaza, które widać z okien baru. Wiedział, że nazywała mnie Katariną, i wie, że skróciłam to imię do Kath, ponieważ uznałam je za pretensjonalne. Wobec tego mi dokucza.

– Hej, Ron. Możesz do mnie mówić Kath?

– Nieee – droczy się. – To nie w porządku. Co by na to powiedziała twoja mama?

Odbyliśmy tę konwersację pewnie z sześćset razy. Teraz to ukojenie dla mojej zbolącej duszy.

– Jak się masz? Słyszałem o wypadku.

– Ach, w porządku. Dochodzę do siebie. Nie pogardziłabym jakimiś spontanicznymi wakacjami na Malediwach, wiesz.

Zastanawia się.

– Czy to aby nie jest to miejsce, które coraz bardziej pogrąża się w wodzie?

– To prawie jak Dartmoor w styczniu.

Chichocze i odwraca się, żeby obsłużyć innego klienta, podnosząc szklankę do dozownika i nalewając porcję gordon'sa. Przyglądam się, jak pracuje, patrzę na jego ogorzałą, zaczerwienioną od grogu twarz. Zapewne całował mnie, kiedy byłam niemowlęciem, kiedy nazywałam się Katarina Olivia Mirabel Kinnersley, a nie Kath Redway.

Jestem okrojona. Skrócona. Przycięta. Spadłam ze społecznego szczytu. I mam to gdzieś. Zawsze chciałam mieć zwyczajne życie, ze zwyczajnym szczęściem, zwyczajnym i przystojnym mężem, zwyczajną i piękną córką, szczęśliwymi psami, starym domem... I niby próbowałam to wszystko porzucić? Wtrącić ich do czegoś w rodzaju piekła beze mnie?

Nie mogę dać się złamać. Muszę trzymać się w garści.

Jestem ciekawa, czy Ron zna prawdę o moim „wypadku”. Zastanawiam się, ilu ludzi wie, że tak naprawdę była to próba samobójcza. Nie sądzę, żeby pisano o tym

w gazetach. Podejrzewam, że miejscowa policja zrobiła Adamowi przysługę, przysługę ludzi z Dartmoor dla człowieka z Dartmoor. Adam jest popularny, przystojny chłopak z Chagford, z rodu Redwayów, strażnik parku narodowego, a ludzie z wrzosowisk stanowią bardzo zżyłą społeczność.

Tymczasem ja niezupełnie do niej należę. Mówiąca poprawną angielszczyzną dziewczyna z wybrzeża, znajoma, zawsze serdecznie przyjmowana, ale niebędąca jedną z nich.

Nie jestem i nigdy nie będę.

– Skarbie, co ci podać?

– To co zwykle.

Chichocze.

– Twojego męża? Nie jestem pewien, czy dzisiaj do nas wstąpił, bo rano mnie nie było.

Kiwamy do siebie porozumiewawczo głowami. Ron nachyla się nad barem i woła do jednego z pijących, którzy siedzą przy oddalonych od baru stołach, rolnika, sądząc po jego zabłoconych butach z wysokimi cholewami. Pije sam. Chyba go rozpoznaję – to jeszcze jeden kuzyn Adama. Ma ich tak wielu, tak wielu kuzynów o tych samych ciemnych włosach, przenikliwych oczach i zawadiacko wystających kościach policzkowych – cechy wyglądu, które odziedziczyła po nich Lyla. Ten wyjątkowo przystojny mężczyzna to kuzyn ze strony ciotki Adama, siostry jego ojca. I nie jestem pewna, czy zbytnio za sobą przepadają.

– Jack, widziałeś swojego kuzyna?

Jack kiwa głową, pijąc piwo.

– Adama? Tak. Jakaś godzinę temu. Zdaje się, że jest w Vitifer, jakaś owca zaplątała się w drut kolczasty.

Ron odwraca się do mnie, wzruszając ramionami w sposób, który mówi: *I co chcesz zrobić?*

– Jak daleko stąd jest Vitifer? – dopytuję.

Ron kręci głową.

– Pół godziny spacerem na przełaj przez wrzosowiska. Ale nie chcesz tam iść w taką mgłę, uwierz mi. Zgubiłabyś się w ciągu pięciu minut i musielibyśmy wzywać lotnicze pogotowie ratunkowe. A to pójdzie z moich podatków. – Szczerzy zęby w uśmiechu.

W przeciwieństwie do mnie.

– Naprawdę muszę się z nim zobaczyć. To bardzo, bardzo ważne.

– Daj spokój, proszę...

– Muszę. Proszę. Muszę! MUSZĘ!

Poniewczasie zdaję sobie sprawę, że krzyczę. Wilczarz podnosi swój dostoyny pysk, pośród dymu z palącego się w kominku torfu wyczuwając napięcie. W gospodzie zapada cisza – ogień chyba przygasa. Zrobiłam scenę. A nigdy nie robię scen.

Przez chwilę wszyscy są zażenowani. Cisza jest przejmująca. Potem ktoś się odzywa:

– Hej, zaprowadzę cię tam. Nie ma sprawy. – To znowu Jack. Idzie przez salę i stawia pusty kieliszek na kontuarze. Uśmiecha się do mnie. – I tak idę w tamtą stronę, muszę spotkać się z kumplem w sprawie paszy. Dzięki, Ron.

Ron spogląda na nas oboje, niepewnie patrzy na Jacka spod przymrużonych powiek, po czym wzrusza ramionami w moim kierunku.

– Jesteś bardziej podobna do swojej mamy, niż sądziłem. Uwielbiała ryzyko.

Jack ściska mnie za ramię. Dziesięć minut później skaczę z jednej kępy trawy na drugą i brnę przez zasnutą mgłą grzędzawisko obok Jacka, który ostrożnie mnie prowadzi, u boku.

Ron miał całkowitą rację. W tej mgle nie miałabym zielonego pojęcia, w którym kierunku iść. Natychmiast bym zboczyła ze szlaku, utknęła po kolana w bagnie, wpadła po uszy do młynówki, przewróciła się i utonęła. *O, patrzcie tylko, znowu się próbowała zabić. I tym razem jej się udało.*

Mee.

Jack mówi mi, że hoduje owce, choć dobrze o tym wiem. Opowiada mi wszystko na temat owiec, kiedy tak wędrujemy przez mgłę.

– Wiesz, mawiają, że owce są głupie – odzywa się, pomagając mi przejść przez powalone drzewo. – Cóż... mają rację. Owce potrafią tylko dobrze umierać. Wybieraj, co tylko chcesz, a one na pewno to złapią. Wszy, kleszcze, parchy, duże tłuste robaki długości dziecięcej ręki. – Śmieje się, opiera ciężką dłoń na moim ramieniu, a czasami, nieco zbyt serdecznie, wokół mojej talii. – Zgnilizna racic, zapalenie trawieńca, tęzec, choroba miękkiej nerki, szelestnica. I jakby tego było mało, jeśli nie udało im się zdechnąć po zjedzeniu ziela krostawca albo utopić w rejonie Black-a-Tor, idą i wsadzają łeb w druty kolczaste... Czasami mam wrażenie, że owce są z natury samobójcami.

Próbuję nie dać się sprowokować. Czyżby znał moją historię? Czy mnie wkłęca? Jestem prawie pewna, że Adam nie lubi Jacka Bryanta. Jakaś dawna rodzinna kłótnia...

Jego ręka znowu wędruje do mojej talii.

Ściska mnie.

– No i są jeszcze ci wyznawcy szatana.

– Co?

– Tak, tak – kontynuuje swoją myśl Jack, naprowadzając mnie na niewielki mostek z kamieni. – Mnóstwo tego wszystkiego dookoła: dziwne wzory, kręgi wypalone ogniem, torturowane zwierzęta. Adam przez cały czas ma z tym do czynienia. –

Zawiesza głos, wpatrując się we mnie we mgle. Uśmiecha się znacząco. – Był taki przypadek ze źrebakiem. Jezu... Nic ci o tym nie mówił?

– Nie.

– Pewnie nie chce przenosić tego do domu, przestraszyć tej waszej małej, Lyli, co? – Ma bardzo szeroki uśmiech na twarzy, jakby go to wszystko bawiło. – W każdym razie... zeszłej jesieni znalazł źrebaka. Dziwnie zakrwawionego, otoczonego polaciami wypalanej trawy. – Jack głośno chichocze. – Zadzwoił do mnie i poprosił o pomoc. Co za robota... Biedny mały źrebak, biedaczysko. Obcięli mu język, wyłupili oczy i odcięli mu... no wiesz... genitalia, całkiem mu je obcięli... i jeszcze ucho. Na nodze miał dziwny znak namalowany białą farbą, jakiś symbol, gwiazda czy coś takiego. – Jack lustruje wzrokiem horyzont, chociaż ja dostrzegam tylko mgłę, po czym chwyta mnie za rękę. – A najdziwniejsze jest to, że wlekli ten krwawiący tułów, kiedy zwierzę jeszcze żyło, ciągaliby je, rysując krwią okręgi, gwiazdy i te ześwirowane wzory na oszronionej ziemi. Słyszałem, że to symbole szatana. Najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Miałem cholerne dreszcze. To stało się niedaleko waszego domu, na farmie Pete'a Bickle'a. Niedaleko od lasu Hobajob i Huckerby. Pomyślałem, że to nawet zabawne, że twojej matce pewnie spodobałby się ten nastrój grozy – jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Co? – Wpatruję się w niego uważnie. W te niebieskie oczy, tak bardzo podobne do oczu Adama, choć jeszcze bardziej przejmujące chłodem. – Mojej matce? Znałaś moją mamę?

– Jasne, że znałem Kath, dawno temu, kiedy byliśmy dziećmi, wszyscy kuzynowie, chłopaki z Chagford. Fascynowała się tymi pogańskimi sprawami, prawda? Na pewno o tym wiesz. Nie mam oczywiście na myśli torturowania zwierząt, nic w tym

rodzaju. – Śmieje się. – Po prostu lubiła te symbole. Zaklęcia. Duchy, zjawy, wilcze jagody, dziwaczne grzybki i różne takie. Taniec nago wokół kamieni, to, co kiedyś robili na wrzosowiskach wszyscy ci hippisi z Totnes. Zdziwiające, że nie zmarła na grypę, ta twoja matka, biorąc pod uwagę, ile czasu spędziła całkiem nagusieńka tam, na skalistych wzgórzach. Ci to potrafili się bawić... – Nagle urywa. Jakby się ze mną droczył. – A oto i Adam. – Milknie. – Przynajmniej tak mi się zdaje. Ta mgła cholernie daje popalić.

Vitifer Leat

Poniedziałek po południu

Adam wyłania się z tej chłodnej mgły. Stoi obok płotu z drutu kolczastego, ma surową, pozbawioną wyrazu twarz. Dostrzegam owcę, oddech ma urywany, leży na boku, z głową uwięzioną w potwornie zaplątany drut kolczasty. Jej kudłate runo jest całe ubłocone, wokół karku widać smugi krwi, gdzie wbija się drut. Zwierzę kopie tylną nogą, słabo, raz po raz.

Jack robi krok naprzód.

– Cześć, Adamie, twoja żona próbowała cię znaleźć. No to ją przyprowadziłem. Mam nadzieję, że to nie problem... chyba...

Adam nie odzywa się ani słowem. Jedynie kiwa głową.

Jack wpatruje się w owieczkę.

– Niech to szlag, głupie zwierzęta. Ta to chyba ze stada Ryana Thorne'a, co? Trudno powiedzieć przez to błoto.

Pochyliła się nad zwierzęciem, strzepuje trochę błota, odsłaniając purpurową plamę na runie.

– Tak, należy do Thorne'a.

Właśnie tak rozpoznaje się owce na otwartych terenach wrzosowisk. Dzięki kolorowym plamom namalowanym farbą na runie. Lyla lubi wymyślać zabawy z tymi kolorowymi owcami: jeden punkt za czerwoną owcę, dwa za niebieską, pięć za różową. Czasem bawimy się w to z nią, ale tylko dlatego, że to jedyny sposób, by ją w cokolwiek zaangażować, kiedy popada w tę swoją melancholię. Wtedy odzywa się tylko, gdy skupia się na zabawie o wyraźnej strukturze albo takiej z numerami; gdy układa wzory... podobne do tych w lesie Hobajob, ze śmieci pochodzących z łazienki mojej sypialni.

Jack i Adam wymieniają kilka zdań. Rozmawiają o pogodzie. Przyglądam się owcy, wędruję myślami do Hobajob i Huckerby.

Nadal nie jestem w stanie znaleźć odpowiedzi na pytanie, czy Lyla zabrała moją starą szczotkę do włosów i ją tam ukryła. Możliwe, że to ja sama wyrzuciłam tę

szczotkę, razem z chusteczkami i tamponami, kiedy moja pamięć była w opłakanym stanie. Jednak nie mam pojęcia, dlaczego miałabym coś takiego zrobić, nie mam nawet pewności, że ta szczotka należała do mnie – w supermarkecie każdy może kupić identyczną.

Natomiast niepokoi mnie ślad szminki. I ta plama krwi. I jeszcze włosy. Kawalki mnie... Wyczuwam w tym jakiś rytuał. Przypuszczam, że to łagodna forma paranoi, mój czasowo wytracony z równowagi umysł... A jednak nocą nie daje mi to spokoju. Wpatruję się w nasz piętnastowieczny sufit, podczas gdy Adam cicho pochrapuje obok mnie.

Jack i Adam milkną. Adam odwraca się i patrzy teraz w moim kierunku. Bez słowa. Jack najwyraźniej wyczuwa napięcie. Rzuca szybkie pożegnanie z wymuszonym uśmiechem i oddala się we mgle. Znika w mgnieniu oka. I choć nie jestem oczarowana Jackiem Bryantem, jakaś część mnie chce krzyknąć: *Nie odchodź!*

Adam się odzywa.

– Co ty tutaj robisz? Z Jackiem Bryantem?

Nawet się nie przywitał. Jego wrogość jest oczywista.

– Pokazał mi drogę. Przyszłam się z tobą spotkać. Opowiadał mi o chorobach owiec i o mojej matce.

Adam chrząka. Błagalnie szukam wzrokiem jego gniewnego spojrzenia.

– Chyba czas, żebyśmy porozmawiali, Adamie. Żebyśmy porozmawiali tak naprawdę.

Znowu nie okazuje mi żadnego ciepła, patrzy tylko na zboląłą owcę. Ocenia.

Uprzejmość, jaką okazujemy sobie na co dzień w Huckerby, gdzieś zniknęła, pozory, które zachowujemy ze względu na Lylę, zostały odrzucone. Po raz pierwszy od czasu wizyty Tessy jesteśmy naprawdę sami. Teraz dostrzegam w moim mężu tę surowość. Pogardę. I nie jestem pewna, czy mogę go za to winić. A gdyby on zrobił mi coś takiego? Próbował się zabić, bez żadnego powodu, pozostawiając Lylę bez ojca, tę bezbronną dziewczynkę, która dorastałaby w przekonaniu, że tata nie kochał jej wystarczająco mocno? Znienawidziłabym go za to. Znienawidziła. Zapewne w głębi duszy przez cały czas życzyłabym mu śmierci – i wtedy może udałoby mu się popełnić to samobójstwo.

Jednak muszę myśleć o Lyli i przejść przez to wszystko dla niej. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie tego, co zrobiłam tuż przed Nowym Rokiem. Nie jestem wariatką

i rzadko bywam – albo bywałam – nieracjonalna. Musiałabym mieć powód, żeby wjechać samochodem do zalewu. Tyle że nie mogę sobie niczego przypomnieć, ponieważ cierpię na łagodny czy też umiarkowany uraz mózgu, między trzynaście a piętnaście punktów w skali Glasgow. Ale odpowiedź w końcu przyjdzie.

– Adamie, proszę. Nie mogę sobie z tym poradzić, nie mogę poradzić sobie z tym udawaniem, że nic się nie stało. Już ani chwili dłużej. Wiem, że przypuszczalnie zrobiłam coś okropnego, ale musimy o tym porozmawiać.

Wzrusza ramionami.

– Tak czy owak, najpierw muszę sobie poradzić z tą owcą. – Nie patrzy na mnie. – Ona nie chce umierać. Nie próbowała się zabić.

Głaszcząc po karku owcę, która wygląda dziwnie spokojnie, spoglądając błyszczącymi oczami, pogodzona z tym, że tam utkwiała, pogodzona z tym, że umiera – te druty kolczaste są potwornie ciasno owinięte i poplątane.

– Musiała próbować się oswobodzić przez całą noc – mówi Adam, łypiąc na mnie jednym okiem. – Rozmawiałem z jej właścicielem, Ryanem, na targu w Tavistock. Powiedział, żebym robił, co do mnie należy.

Dopiero teraz rozumiem, co się dzieje.

– Ale... nie... nie możesz... nie możesz przeciąć tego drutu?

– Mógłbym to zrobić wczoraj wieczorem. – Przechyliła na bok przystojną twarz, z nutą żalu, choć niezbyt wielkiego. – Ale teraz sprawy zaszły za daleko. Próbowała się uwolnić i tylko pogorszyła swoją sytuację. Druty wbiły się głęboko w kark. Jest na wpół uduszona. – Brnie w stronę kształtu, który musi być jego land roverem. Słyszę, jak otwiera tylne drzwi, a potem przekłada coś, czegoś szuka, cały czas głośno mówiąc: – Kilku pijaczków z gospody Warren powiedziało, że ją słyszeli wczoraj późną nocą. Wyła. Czy kiedykolwiek słyszałaś owcę, która wyje? – Wraca, niosąc opartą na przedramieniu rozłożoną dubeltówkę. Chłodne spojrzenie jego niebieskich oczu spotyka się z moim wzrokiem, na ustach ma cień uśmiechu.

– Kath, czy kiedykolwiek słyszałaś taki dźwięk?

– Zaczekaj. Proszę.

– To potworny odgłos. Bardzo ludzki, jakby to było małe dziecko. – Gęsta mgła nas osacza, widoczność ogranicza się najwyżej do dziewięciu metrów. – Odgłos prawdziwego ludzkiego bólu. Małego dziecka, które słyszy, że umarła jego matka.

– Przestań, Adamie. Przepraszam... Właśnie dlatego chcę porozmawiać... chcę to

wszystko przegadać...

Owca beczy, przerywa mi. Walczy o życie. Na pewno widzi broń Adama. Być może wie, co to dla niej oznacza. Przyklękam obok ledwie dyszącego zwierzęcia, głaszczę sierść na krwawiącym łebku, dziwnie czystą, jakby owca była zwierzęciem domowym. Mam wrażenie, że ten metalowy drut nie jest wbity aż tak głęboko.

– Zaczekaj, Adamie. Myślę, że możemy ją jeszcze uratować.

– Nie bądź taka cholernie głupia!

– Nie, posłuchaj mnie, nie musisz jej zabijać. Te druty nie są wcale takie ciasne.

Gestykułuje ze złością. Wysoki mężczyzna, z bronią, w gęstniejącej mgle. I jego ręka, jakby gotowa uderzyć mnie w twarz.

– Odsuń się. Jesteś taka sentymentalna. Nie ma już dla niej żadnej nadziei.

– Nie, Adamie! – Mój opór rośnie. Moja chęć, żeby się przeciwstawić. Ta owca nie musi umierać. – Nie odsunę się.

– To moja praca, Kath. Nic nie rozumiesz. Nigdy nic nie rozumiesz. To wrzosowiska!

Patrzymy na siebie.

– Cofnij się!

– Nie.

– Cofnij się!

Wiem, że wcale nie chodzi mu o tę owcę. To do mnie czuje tę pogardę; pogardę, która właśnie teraz się ujawnia.

Jednak mnie naprawdę chodzi o owcę... przynajmniej częściowo. Dlaczego on musi być zawsze taki brutalny, taki bezwzględny? Wiem, że dorastał na farmie na wrzosowiskach. Wiem, że postrzega wrzosowisko jako swoje miejsce pracy. Wiem, że jego rodzinna historia sprawiła, że stał się twardy. Jednak czasem posuwa się za daleko. Już kiedyś widziałam ten chłodny błysk jego niebieskich oczu, kiedy łamał kark bażantowi potrąconemu przez samochód w Houndtor – czasem ten błysk przypomina niezaspokojony apetyt; przyjemność zabijania, pójdzie za głosem instynktu, delectowanie się krwią.

– Odsuń się. Natychmiast. Ta owca cierpi. Tylko pogarszasz sytuację. Nie jesteś sobą. Zachowuj się racjonalnie!

Zaczynam się zastanawiać. Waham się. Rozważam w głębi duszy, czy on ma rację. Czy ja myślę racjonalnie? W końcu to ja wjechałam samochodem do wody. To ja mam

amnezję. To ja zrobiłam wszystko nie tak.

Potulnie się wycofuję. Adam kiwa głową. Niemalże zadowolony podchodzi bliżej. Skupia się, wyjmując z kieszeni dwa naboje i ładuje strzelbę. Zamyka ją z trzaskiem i blokuje lufę.

– Odsuń się do tyłu. Jeśli źle wyceluję, może się zrobić nieprzyjemnie.

Adam celuje. Wciąż nie wiem, czy ta owca ma świadomość, co się dzieje. Spogląda dużymi, leniwymi oczami, mrugając, niemalże kokieteryjnie, i patrzy z roztargnieniem na Adama. Nawet nie drgnie. Być może wie, że za chwilę umrze. Ale przyjmuje to ze spokojem. Zastanawiam się, czy na końcu wszyscy to przyjmujemy ze spokojem...

Wylot lufy zastyga w bezruchu. Przymrużywszy oko, Adam patrzy przez celownik. Oddycha pewnie, spokojnie.

Czas płynie wolniej w tych mgłach. Przyglądam się.

Inne owce przypominają gapiów, którzy zebrali się dookoła. Szare sylwetki we mgle.

Mee, mee, spójrz na niego, *mee*, nic go to nie obchodzi. *Mee*, ona jest szalona. Patrzcie na nich.

Zatykam uszy dłońmi, przygotowując się na potworny dźwięk – jak moja córka, kiedy słyszy odgłos motorów na zwiększonych obrotach albo głośne brawa, albo tłum krzyzących ludzi. Czasem wystarczy nawet stukot kopyt bydła przebiegającego przez rów przykryty kratownicą, żeby wytrącić Lylę z równowagi. Mówi wtedy, że te dźwięki mają czarną i czerwoną barwę, przerażające kolory, podczas gdy jej ulubione brzmienia przybierają odcienie niebieskiego i srebra. To kolejny objaw. Synestezja. Wyszukałam w Google’u.

Owca czeka. Chcę to przerwać. I chcę, żeby Adam się pośpieszył. Chcę zamknąć oczy, a jednak nie jestem w stanie.

Muszę patrzeć.

Adam przesuwając palcem po spuście. I kiedy to robi, owca nagle się przesuwając, rozpaczliwie beczy i wyplątuje się z drutu. Uwalnia się...

– Adamie! – Podchodzę bliżej, protestując. – Adamie, przestań! Uwolniła się! Przestań!

Ale broń wystrzela. Dźwięk odbija się echem i rezonuje, uciszając obserwujące owce, które rozbiegają się po mokrej trawie. Nagle czuję jakąś koszmarną wilgoć – to krew ochlapuje całe moje dzinsy. Jestem zalana krwią. Przerazona spoglądam w dół.

– Jezu Chryste, ty stuknięta kobieto! – Na wpół się śmieje, na wpół wścieka.

Potrząsam głową, oszołomiona, walcząc z obrzydzeniem. Jestem przemoczona krwią, a owca nie żyje, ma łeb przepołowiony, czaszkę, mięśnie i kości w strzępach, pomieszane z resztkami mózgu. Czuć swąd spalenizny, który zanieczyszcza powietrze, a ja wyglądam, jakbym przebrnęła przez bagno krwi.

– Adamie... – Przykładam trzęsącą się dłoń do ust, odzyskując równowagę. – Adamie, ona się wyswobodziła, zastrzeliłeś ją bez powodu...

– I tak by zdechła. Druty wbiły się zbyt głęboko.

Zakrywam dłońmi oczy. Nie chcę patrzeć ani na owcę, ani na mojego męża.

– Przepraszam – mówię w końcu, ponieważ jestem tak bardzo zmęczona całą tą walką. – Przepraszam. Miałeś rację. Spójrz na mnie, na moje dzinsy. Och.

– Zejdzie w praniu. Z krwią tak już jest. – Obdarza mnie przelotnym współczującym uśmiechem, pierwsza oznaka prawdziwego ciepła od wielu dni. – Posłuchaj, Kath, muszę zdjąć skórę z tej owcy, to dużo dobrego mięsa. Nie może się zmarnować. To dopiero byłoby złe. Naprawdę chcesz teraz rozmawiać?

Tak naprawdę to chcę wracać do samochodu i pojechać do domu, przesiedzieć godzinę w gorącej kąpieli. Ale muszę być silna.

– Tak. Przyszłam tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

– Dobrze. – Burczy pod nosem, pochylając się nad owcą. Strzelbę zastępuje teraz nóż w jego dłoni. – Dobrze. Proszę. Mów, a ja będę pracował.

– Mam mówić, kiedy ty będziesz ćwiartował owcę?

– Kath, to ty przyszłaś tutaj. To ty przeszkadzałaś. To ty...

...wjechałaś samochodem do wody.

Ale do tego się nie posuwa. Okazuje litość. Przykłada za to nóż do gardła owcy i jednym wprawnym, zwinnym ruchem brutalnie otwiera czerwoną ranę. Głowa owcy opada do tyłu. Leje się krew, gęsta i gorąca, gotowa do wypicia przez chłonną ziemię. Na darni tworzą się czerwone kałuże – różowa, parująca piana.

– No mów – naciska. – Rozmawiaj ze mną teraz, jeśli tego chcesz.

– W porządku. – Przykłąkam obok niego. Czuję przez dzinsy przenikliwy chłód ziemi. – Chciałabym cofnąć się w czasie do tamtych dni, Adamie. Łamię sobie nad tym głowę. Nic nie pamiętam. To znaczy przypominam sobie Boże Narodzenie, drugi dzień świąt, a potem mam pustkę. Moim pierwszym wspomnieniem jest moment, kiedy obudziłam się w szpitalu. Jednak nie mogę ufać swojej pamięci. Bo wiem, że są rzeczy,

które sobie wymyśliłam, na przykład tamto oblodzenie na drodze... Albo pomysł, że to był wypadek.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? Skoro niczego nie pamiętasz.
- Jak mnie znaleziono? Po tym wszystkim?
- Opowiadałem ci już o tym.
- Opowiedz mi jeszcze raz!

Wyciera nóż o ubranie. Krew już prawie przestała płynąć i teraz kapie maleńkimi szkarłatnymi kropelkami, jedna po drugiej, swą delikatnością przypominają perełki.

– Zauważył cię nad zalewem jakiś emerytowany radny, który wezwał służby ratunkowe i pomagał w poszukiwaniach w środku nocy. Byłaś przemoknięta. Musiałaś jakoś wydostać się z samochodu pod wodą, dopłynąć do brzegu, wdrapać się na ląd...

– Ale dlaczego miałabym to robić, skoro... – ledwo przechodzi mi to przez gardło, a jednak muszę to z siebie wydusić – ...skoro chciałam umrzeć?

Wzdycha. Pociera ręką czoło. Może ściera ból, może smutek czy żal z powodu tego, że mogłam zrobić coś tak potwornego.

– Chciałbym to wiedzieć, Kath. Naprawdę chciałbym wiedzieć, dlaczego to wszystko się wydarzyło.

Być może on nic nie wie, ale ja tak. Szukałam słowa „samobójstwo” w Google’u. Osoby, które przeżyły próbę samobójczą, które skoczyły z mostu, budynku czy urwiska, ale przeżyły, mówią, że żałowały w tej samej chwili, gdy skakały, w tym pierwszym momencie, kiedy było już za późno...

Może ja też tak miałam: może żałowałam tego już w chwili, kiedy wjeżdżałam samochodem do wody, kiedy widziałam, jak ciemna toń wdziera się do środka przez okna. Może w tym ostatnim momencie pojawił się przed moimi oczami obraz Lyli: Lyla siedząca samotnie w swoim pokoju z łańcuszkami zrobionymi ze spinaczy, Lyla patrząca na kartkę zrobioną z okazji Dnia Matki – rysunek przedstawia dinozaura wydającego z siebie dźwięk *wrr* i duże czerwone serce dla mamusi, nieżyjącej mamusi, która wjechała samochodem do zalewu i zostawiła ją samą...

Dygoczę z zimna. Wstrząsają mną wyrzuty sumienia. Odczuwam bolesną skruchę, ale jednocześnie dręcą mnie wątpliwości: nadal nie mogę uwierzyć, że byłabym w stanie się zabić. Musi być jakieś wytłumaczenie. Jednak wszystkie moje myśli pogrążają się w ciemnościach, niczym strumień na wrzosowiskach, który przepada w bagnach w pobliżu Belstones. Niczym wieśniacy, którzy sypiali niegdyś z Biblią na

piersiach, ponieważ tak bardzo obawiali się tych mgieł i grzęzawisk.

Teraz zaczynam rozumieć te ich zabobony. I rytuały.

Adam kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Posłuchaj, Kath. Proszę. Bez względu na to, co się wydarzyło, wciąż tutaj jesteś, a Lyla potrzebuje cię, żeby dojsć do siebie. Daj spokój.

Czuję się, jakby rzucał mi koło ratunkowe.

– Pozwól, że odprowadzę cię do gospody, Kath. Muszę oprawić tę owcę, to potworna robota, ale nie można z tym zwlekać. Nie sądzę, żeby w międzyczasie dopadły ją lisy. Jedź do domu, weź kąpiel i przebierz się. – Pomaga mi wstać. – Możemy jeszcze porozmawiać w drodze powrotnej, jeśli chcesz.

Mozolnie wlecemy się, noga za nogą, po namokniętej ścieżce w kierunku Warren House. Mgły unoszą się nieco, odsłaniając przed nami pofałdowane wrzosowiska. Kwaśny torf, podmokłe pustkowia.

– Czyli byłam przytomna, kiedy mnie odnaleziono? Przy tym zbiorniku wodnym?

– Tak, Kath. Idź w lewo.

– Czy coś powiedziałam?

– Właściwie nie. Poza: „Pomóżcie mi, pomóżcie mi”. A potem straciłaś przytomność, już w karetce. Ocknęłaś się w szpitalu. Twój brat przyjechał jako pierwszy... ze mną nie mogli się skontaktować.

– Daniel przyjechał jako pierwszy? Myślałam, że to byłeś ty?!

Wzrusza ramionami.

– O tym też zapomniałaś. W ten pierwszy dzień byłaś półprzytomna. Powoli dochodziłaś do siebie w ciągu następnego tygodnia.

Czyli Tessa miała rację. Moja pamięć, próbując ozdrowieć, wymyślała fakty. Przypominam sobie moment, w którym Adam wszedł na salę szpitalną, z kwiatami, brzoskwiniami, książkami, poezją... I to, jak płakałam ze szczęścia, że pierwszą osobą, która mnie odwiedziła, był mój kochany mąż; przyszedł zobaczyć cudem odzyskaną żonę.

Ale to wszystko bzdury. Pierwszą osobą, która mnie odwiedziła, tak naprawdę był Daniel, mój brat. Dlaczego Daniel?

Bo Adam był poza zasięgiem.

Mój mąż wskazuje palcem przed siebie.

– Tam jest Warren House. Stąd już łatwo dojsć. Idź wzdłuż strumienia. Zawsze,

kiedy się zgubisz, idź z nurtem strumienia. Lepiej już wróć.

Nie można było się skontaktować z moim mężem. Był niedostępny. Nie było go. Przez wszystkie te dni po drugim dniu świąt Bożego Narodzenia.

Czuję wewnętrzną potrzebę, żeby nabrać jakiegoś dystansu, żeby przyjrzeć się obiektywnie tej sprawie. Rozpadanie się na bezradne kawałki nie pomoże ani Lyli, ani mnie. Jestem zbyt bojaźliwa. Chwytam mojego męża za nadgarstek.

– Adamie, wiem, że wtedy remontowałeś tę chatę... Wyjechałeś z domu w pierwszy dzień po świętach, prawda?

– Tak. Zaplanowaliśmy to razem – przyznaje beznamiętnym, przyciszonym głosem.
– Mówiłem ci o tym przed świętami i nie miałaś nic przeciwko. Powiedziałaś, że zasłużyłem na to, by spędzić trochę czasu poza domem, samemu. Tak jak zwykle.

To prawda. Adam pracuje więcej ode mnie, i więcej też zarabia. Latem czasami spędza w pracy całe dni, od świtu do zmroku. Dawno temu postanowiliśmy oboje, że rekompensatą za to będzie dla niego odpoczynek od angażującej emocjonalnie i czasami męczącej rodziny. To nasza siła napędowa, dawanie i branie. Tak działa nasze małżeństwo i dlatego wciąż udaje nam się funkcjonować, podążać wytyczoną drogą.

A jednak zboczyliśmy z niej. Tam, przy Burratorze.

– Gdzie dokładnie wtedy byłeś, Adamie? W tamtym tygodniu?

– W Chacie Starych Strażników. Na terenie należącym do parku.

– Ale gdzie dokładnie? – Uświadamiam sobie, że nigdy go o to nie pytałam.

– W Dixworthy.

– Gdzie to jest?

– Trudno wyjaśnić.

– Dlaczego?

Wzdycha zirytowany.

– Czy to ma jakieś znaczenie? To pustkowie, daleko w północnej części wrzosowisk. Gdzieś pomiędzy... sam nie wiem... w kierunku Manaton, jakoś tak. Chcesz kod pocztowy? Widok ulic z mapy Google? O co ci chodzi?

Rozumiem go. Jesteśmy mężem i żoną, stoimy w opadającej mgle, na zboczu szarych skał wrzosowiska, kłócąc się o dokładne położenie chaty strażników, aby wyjaśnić, dlaczego żona usiłowała popełnić samobójstwo. Śmieszne. A jednak chcę wiedzieć, potrzebuję tego.

– Zaczekaj – kontynuuję. – Zdaje się, że słyszałam o tym Manaton. To niedaleko

grobu Kitty Jay, prawda? W stronę Chagford?

Milczy. Na ułamek sekundy jego wyraz twarzy się zmienia. Widzę cień czegoś, ale to coś zaraz znika. A jednak ją widziałam. Widziałam to. Jestem tego pewna.

– Dobra, muszę oskórować tę cholerną owcę! Pozdrów ode mnie Rona. Zapytaj, czy ma ochotę na kotlety z baraniny.

I odchodzi. Tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Skręcam i schodzę ze wzgórza, cały czas idąc wzdłuż strumienia. W kilka minut docieram do Warren House. Jestem tutaj jedyną żywą duszą. Poza jedną małą czarnogłową owieczką, która wałęsa się płochliwie przy pobielonej wapnem ścianie. Spogląda na mnie: na krwawe plamy na moich dżinsach, na błoto i wilgoć rozsmarowane na mojej głupiej, tchórzliwej twarzy. Nawet nie fatyguje się, żeby powiedzieć *mee*.

Przez chwilę stoję, jakbym była przykuta do tej dartmoorskiej ziemi. Przypominam menhir. Zimny i twardy kamień. Ponieważ znam Adama od dwudziestu lat. I nagle uświadomiłam sobie, co to za cień widziałam na twarzy mojego męża. Tę minę, zaledwie chwilowy przebłysk.

Poczucie winy.

Salcombe

Sobota rano

Dookoła panowała nienaturalna cisza. Sobotni poranek w domu Kinnersleyów oznaczał zwykle cotygodniowe apogeum hałasu, ponieważ Charlie i Oskar budzili się, uświadamiali sobie, że jest sobota, wydawali z siebie okrzyki zachwyty i odgrywali po raz kolejny bitwę na miecze świetlne z *Gwiezdných wojen*, używając do tego celu bananów.

Tego dnia jednak Tessa Kinnersley siedziała przy biurku w swoim niewielkim gabinecie, w przystosowanej antresoli na piętrze, i wsłuchiwała się w rozkoszną ciszę. Westchnęła z zadowoleniem. Wykonała już główną część pracy przewidzianej na dzisiaj – spisała informacje do cyklu wykładów na przyszły rok. „Psychologia zła”.

Teraz popijała ekologiczną kawę, trzymając ciepłą filiżankę w obu dłoniach, i spoglądała przez wiktoriańskie okno na łódki żeglujące w małej zatoczce i na rosnące nad wodą lasy. Psiarze wymieniali uprzejmości na nabrzeżu, jakaś młoda para spacerowała, trzymając się za ręce – młodzi zaglądali do witryn agentów nieruchomości, by zaraz ruszyć dalej z marsowymi minami.

Na południowym wybrzeżu hrabstwa Devon był ciepły zimowy dzień. Promienie słońca wpadały ukosem przez okno gabinetu – gdyby stanąć w tym ciepłe i zamknąć oczy, mogłoby się wydawać, że to wiosna.

Zastanawiała się, ile jeszcze godzin spokoju ją czeka. Dan zapakował chłopców do swojego dużego lexusa około dziesiątej rano, a film, który tak bardzo chcieli zobaczyć, rozpoczynał się w południe, więc pewnie wszyscy wrócą koło piętnastej. Albo szesnastej. Miała cały dom dla siebie prawie przez cały dzień, i była to bardzo przyjemna perspektywa. Może pójdzie do delikatesów, żeby kupić trochę tej wspaniałej hiszpańskiej szynki, *jamón ibérico de bellota*, i zrobi sobie kanapkę na lunch.

Jednak najpierw miała innego rodzaju głód do zaspokojenia – apetyt na prawdę w kwestii próby samobójczej swojej szwagierki. Ogromnie ją to dręczyło. Wyznanie Kath tej okropnej prawdy jedynie pogłębiło obawy Tessy. Co stanie się z Kath, kiedy odzyska pamięć? I, przede wszystkim, dlaczego ona w ogóle to zrobiła?

Wszelkie kalkulacje się nie zgadzały. Za każdym razem, kiedy Tessa próbowała dodać dwa do dwóch, wynik najwyraźniej wskazywał trzy. W tej historii brakowało jakiegoś elementu, jakiejś ciemnej strony, której Tessa nie potrafiła rozszyfrować. Jakim sposobem ta kobieta mogła przejść od hałaśliwych, ciepłych, rodzinnych świąt Bożego Narodzenia, na których szczęśliwe dzieciaki sprzeczały się o dwufuntową monetę w puddingu, do mroku samobójstwa, które rzekomo usiłowała popełnić zaledwie cztery dni później?

Tessa dołała sobie kawy i wróciła do biurka, wpatrując się w czarny ekran komputera. Czy w czasie świąt cokolwiek wskazywało na to, co miało się później wydarzyć? Nic nie przychodziło jej na myśl. Te święta były szczególnie radosne. Dan i Adam, którzy niespecjalnie za sobą przepadali, ale dogadywali się, jeśli była taka potrzeba, nawiązali więź dzięki jakiejś zawiłej dyskusji na temat rugby oraz kilku cygarom, którymi Dan poczęstował Adama w ogrodzie. Kath wyglądała na zrelaksowaną, uśmiechniętą, zadowoloną, że Lyla ma się z kim bawić. Sporadyczne sprzeczki Kath z Danem, w dzieciństwie ukochanym synusiem mamusi, tym razem też nie miały miejsca.

Dzieciaki doskonale się bawiły w chowanego w całym domu – biegały tam i z powrotem po pięciu poziomach, od piwnicy aż po strych, piszcząc z udawanego przerażenia, kiedy jedno znajdowało drugie w gościnnej łazience, za zasłonką prysznicową.

Lyla robiła obroty w miejscu, kiedy całą trójką planowali następną zabawę. Troje mąciwodów. Dzięki swojej wiedzy psychologicznej Tessa dawno temu rozpoznała w tych dziwnych ruchach ciała rodzaj czynnika pobudzającego służącego autostymulacji – powtarzające się tiki ruchowe były charakterystyczne dla dzieci z zaburzeniami ze spektrum autyzmu.

Tyle że kręcenie się w kółko niczym bączek oznaczało u Lyli radość.

Gdyby Lyla była nieszczęśliwa, krzywiłaby się, a nawet warczała. Albo machała rączkami jak mały ptaszek, w górę i w dół, w górę i w dół. Lyla czasem zachowywała się w taki sposób, kiedy była przygnębiona. Upiorny wyraz twarzy, szaleńcze wymachiwanie rękami. Jednak w Boże Narodzenie nie widać było żadnych oznak przygnębienia.

Święta były udane. Drugiego dnia Redwayowie pożegnali się, podziękowali pięknie i zapakowali do wysłużonego land rovera całą skrzynkę resztek jedzenia dla Felixa

i Randala. Kiedy wycofywali samochód z podjazdu, Lyla z tylnego siedzenia machała bez troski do Charliego i Oskara, z psami dyszącymi po obu jej stronach.

Cztery dni później Kath Redway powoli i z rozwagą wjechała samochodem do mrocznej toni zalewu Burrator.

Dwa plus dwa równa się trzy. Gdzie była ta ciemna strona?

Upijając kolejny łyk kawy, Tessa włączyła laptop i weszła na stronę, którą już wcześniej zaznaczyła. Samobójstwo. Przyczyny. Znaki ostrzegawcze.

Jedna na cztery osoby, które próbują popełnić samobójstwo, zostawia list. Jeśli pozostawi wiadomość, prawdopodobieństwo, że próba samobójcza się powiedzie, znacznie wzrasta...

Kath zostawiła wiadomość. I prawie jej się udało. A to znaczy, że kolejna informacja jest szczególnie niepokojąca:

Jedna na trzy osoby, które podejmują próbę samobójczą, powtarza ją w ciągu roku, a blisko dziesięć procent spośród tych, które grożą samobójstwem lub próbują je popełnić, w końcu odbiera sobie życie.

Czy istnieje podłoże genetyczne tych skłonności? Chyba nie. Dan twierdzi, że w rodzinie Kinnersleyów nie było żadnych przypadków nieczytalności ani prób samobójczych. Jego matka miała szczęśliwe dzieciństwo, podobnie jak jej rodzice. Najgorszą rodzinną przypadłością był alkoholizm, ale, jak mówił Dan, otwierając kolejną butelkę riojy, zgodnie ze współczesnymi standardami przed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym rokiem wszyscy byli alkoholikami.

Dan z pewnością lubił alkohol i za każdym razem, kiedy pił, a Tessa robiła mu na ten temat wymówki, mawiał, że Winston Churchill wypił przez całe życie czterdzieści dwa tysiące butelek szampana i gdzieś pomiędzy jednym srebrnym kielichem sławnego Pol Roger Reserve a drugim pokonał nazistów i dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Jeśli zaś chodzi o ich ojca, przypadkowego Amerykanina, to zginął w wypadku samochodowym. Nie było tam żadnego pijanego kierowcy, żadnego alkoholu, po prostu pech, a potem ten groteskowy pogrzeb – z tego, co zapamiętał Dan – z Hare Krysna i pogańskim zawożeniem, obmyślony samodzielnie przez Penny K.

Tessa przewijała stronę internetową w poszukiwaniu konkretnych informacji. O,

tutaj:

Podczas ciąży i przez pierwszy rok po urodzeniu dziecka ryzyko popełnienia samobójstwa maleje od trzech do ośmiu razy.

Albo tutaj:

Jedno ze szwedzkich badań (Berglund, 1992) wykazało, że posiadanie dzieci wyraźnie zabezpiecza przed próbami samobójczymi. Przypadki samobójstw wśród rodziców stanowią połowę tych u osób niemających dzieci. Sprawdza się to zwłaszcza w grupie rodziców małych dzieci (poniżej dwunastu lat)...

Tessa odsunęła się od ekranu komputera. To właśnie dlatego dwa plus dwa nie chciało się równać cztery. Brakującym elementem była Lyla. Tessa po prostu nie wierzyła w to, że Kath Redway zostawiłaby swoje jedyne dziecko, jedyną córkę, która poczułaby się jeszcze bardziej samotna na tym świecie. Kath uwielbiała swoją jedynaczkę, która odwzajemniała jej miłość. Można by raczej powiedzieć, że to Lyla nadawała jej życiu sens. Lyla była dla Kath najważniejsza.

Dziewczynka była rozkoszna, na swój sposób. Kiedy Tessa przyjechała do Huckerby w okresie przedświątecznym, Lyla z dumą pochwaliła się wszystkimi piórkami, jakie zebrała, i entuzjastycznie wyrecytowała nazwy wszystkich gatunków ptaków. Bezbłędnie jakieś trzydzieści do czterdziestu nazw po łacinie, zaśmiewając się przy tym z samej siebie, zupełnie jakby chciała zadrwić z własnych obsesji.

Było to poruszające i słodkie. Kiedy pozwalało się tej samotnej małej dziewczynce być sobą, powracał uśmiech, poczucie humoru, wybuchy śmiechu, a jej ładna buzia jaśniała. Jeśli udało się przebić przez tę ogromną nieśmiałość, mała Lyla Redway odsłaniała swój wewnętrzny urok. Która matka porzuciłaby coś takiego? Z pewnością nie Kath.

Kawa wystygła. Tessa mimo to przełknęła jej gorycz, wpatrując się bacznie i nieobecnie w wzrok w oświetlone promieniami słońca dachy Salcombe i błękitne ujście rzeki Kingsbridge. W jej głowie rodził się pewien pomysł.

Czy to mogło mieć coś wspólnego z Adamem? Jego zniknięcie, tuż po świętach Bożego Narodzenia, było nieco raptowne. Jednak Redwayowie czasem tak robili. Czasem spędzali czas osobno, taki dziwny tydzień. Ale kochali się nawzajem i kochali Lylę. I dobrze im się układało. Adam przeszedł ciężką chorobę kilka lat wcześniej,

a Kath przez cały czas go pielęgnowała.

Niewierność? Tessa rozważała przez chwilę taką możliwość, lecz zaraz ją odrzuciła. Owszem, Adam był bardzo przystojny i na pewno podobał się kobietom, ale Tessa nie słyszała żadnych pogłosek na temat zdrady, a Dartmoor zimą aż wrzało od plotek. Po prostu ludzie nie mieli nic innego do roboty.

Co jeszcze?

Zamykając laptop, Tessa przeanalizowała przebieg tamtego dnia. Po południu, przed próbą samobójczą, Kath zostawiła Lylę u swojej przyjaciółki, Emmy Spalding. Spaldingowie byli ich najbliższymi sąsiadami, a także gospodarzami Redwayów, właścicielami Huckerby.

Zgodnie z tym, co mówiła Emma, prośba Kath była nieoczekiwana, ale nie nietypowa – w końcu dość często prosiła ją o pomoc i Emma lubiła, kiedy Lyla u niej zostawała. Bywało, że Lyla, to małe zwierzątko, sama tam wędrowała – z Huckerby przez dzikie wrzosowiska na farmę Spaldingów, zawsze po śladach swoich obrońców, Felixa i Randała. Kiedy przychodziła, Emma dawała jej herbatniki i mleko, po czym wszyscy szli do stajni, gdzie Spaldingowie trzymali swoje konie.

Lyla uwielbiała te konie. Spędzała całe godziny, szcztokując je i karmiąc, czesała im grzywy, opiekowała się nimi, gdy były chore. Emma Spalding powiedziała kiedyś Tessie, że jest przekonana, że konie lepiej się czują, kiedy Lyla przy nich jest, jakby miała jakiś szczególny dar. Coś niezwykłego, coś magicznego.

Jednak Tessa nie wierzyła w dary ani czary, ani w niezwykłość. Umysł był komputerem, a ludzka dusza stanowiła jego oprogramowanie. Swoje wykłady na temat natury zła zaplanowała właśnie w taki sposób, żeby pokazać, że geny i środowisko, natura i wychowanie, rodzice i ta planeta – oraz ich skomplikowane interakcje – zawsze były odpowiedzialne za ludzkie okrucieństwo i przestępczość.

A to z kolei oznaczało, że musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie z pozoru niezrozumiałej, aczkolwiek brutalnej decyzji Kath, żeby się zabić i zostawić swoją małą córeczkę bez matki.

Odpowiedź na to pytanie leżała gdzieś tam, na wzniesieniach wrzosowisk. Ukryta, ale możliwa do znalezienia.

Tessa gapiała się przez zwieńczone łukiem okno swojego gabinetu. Ogromna mewa nagle wylądowała na sąsiednim dachu. Olbrzymi szary ptak potrząsał gwałtownie łebkiem, jakby bezgłośnie mówił:

NIE, NIE, NIE.

Sobota po południu

Telefon komórkowy Tessy zadzwonił, przerywając jej lekturę. Na ekranie widniało imię KATH.

Tessa poczuła ukłucie niepokoju. Odebrała. Usiadła na sofie, odłożyła książkę.

– Cześć, Kath. Wszystko w porządku?

– Tak. Tak, wszystko dobrze. Chciałam tylko o coś zapytać... Zapytać o coś Dana. Ale nie odbiera telefonu.

W głosie Kath słychać było napięcie. Tak jednak bywało od czasu wypadku. Można było się tego spodziewać. Tessa rzuciła okiem na zegarek, piętnasta dwadzieścia.

– Dan pewnie prowadzi samochód, Kath. Zabrał chłopców do Plymouth na jakiś film o kosmosie albo o dinozaurach. W każdym razie trójwymiarowy, bo głównie o to im chodziło. – Kath zachichotała i Tessa mówiła dalej: – Pewnie wyłączył komórkę. Ma na tym punkcie bzika, kiedy jedzie samochodem z chłopcami.

– Tak – powiedziała Kath, i nic więcej.

– A o co chodzi? Mogę go zapytać, kiedy wróci, albo przekazać mu, żeby do ciebie zadzwonił. To pewnie nie potrwa długo.

– Dobrze, dobrze. – Kath zamilkła. Nieprzekonująco.

Tessa wyobraziła sobie swoją szwagierkę w tym długim wiejskim domu wysoko na wrzosowiskach. Tutaj była słoneczna pogoda, ale tam być może padał deszcz, grad, wszystko spowity mgły, a może nawet sypał śnieg. Niby niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd, a zupełnie inny świat... Chłodniejszy, bardziej surowy.

– Kath?

– Chciałam go tylko zapytać o tamten dzień... Widzisz, dowiedziałam się, że Dan był pierwszą osobą, która przyjechała do mnie do szpitala. – Głos zaczął jej się łamać.

Tessa zapytała łagodnie:

– A ty o tym zapomniałaś?

– Tak! Naprawdę myślałam, że pierwszą osobą, która mnie odwiedziła, był Adam! O Boże, Tesso, te wspomnienia... one są wszędzie porozrzucane... Mam poczucie, jakby mój umysł był rozsypany na kawałki, jak... jak góra zabawek, gdy Lyla miała trzy latka... a takie trzylatki to potrafią w pięć sekund doprowadzić salon do ruiny, co?

I właśnie tak wygląda mój umysł. Chcę poukładać te zabawki na swoje miejsce, w odpowiednich pudełkach... Czy to ma sens?

– Oczywiście. I tak się stanie, Kath. Wspomnienia powrócą, mózg z czasem dochodzi do siebie. Ale musisz dać mu czas.

– Dobrze, tak. Wiem, że masz rację. – Kath westchnęła. – Dziękuję, Tesso. Muszę iść po Lylę. Bóg jeden wie, gdzie ona jest, a wkrótce zapadnie zmrok. Ale...

– Mów.

– Czy mogłabyś zapytać Dana, o której godzinie do mnie przyszedł? Muszę sobie to wszystko poukładać w czasie. Poukładać w głowie. Możesz poprosić, żeby do mnie zadzwonił?

– Jasne. Oczywiście.

Pożegnały się. Tessa położyła się na sofie, wzięła do ręki powieść, przeczytała dwa akapity i wtedy jej nadzwyczaj spokojna sobota została zakłócona przez chłopców, którzy wrócili z Danem – wybuchem energii, krzykami i rzucaniem kurtek. *Mamusiu, mamusiu, mamusiu! Film był wspaniały, oni mieli hełmy zrobione ze światła i... i... i...*

Godzinę zajęło jej, żeby odzyskać męża tylko dla siebie, kiedy chłopcy usiedli do jakiejś gry komputerowej w salonie. Tessa i Dan schowali się w przestronnej jasnej kuchni i zasiedli nad kubkami gorącej herbaty.

– Po filmie poszliśmy do jakiegoś sklepu na rogu, z taką maszyną do losowania, i Oskar oznajmił, zupełnie nie wiadomo dlaczego, że jeśli coś wygramy, to on kupi sowę śnieżną i trzy miniaturowe świnki: dla ciebie, dla mnie i dla Charliego, a moja będzie ruda i będzie spała ze mną w nocy. – Dan się roześmiał. – No nie, skąd oni biorą takie pomysły? Dzieci są niczym błyskotliwi francuscy surrealiści. Szkoda, że kiedyś będą się musiały obudzić z tego snu.

Tessa też zaczęła chichotać.

– Dzwoniła Kath.

– Tak? – Jego uśmiech zbladł. – Coś się stało?

– Nie, nic. To znaczy Kath mówi, że czuje się dobrze. Ale miała pytanie o tamtą noc, a raczej o następny dzień.

– Dawaj. Zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc, wiesz o tym, Tesso. Ale czuję się całkowicie bezradny. Nie da się rozwikłać tej zagadki. Pytaj.

– Powiedziała, że byłeś pierwszą osobą, która ją odwiedziła w szpitalu, ty, a nie Adam. Ale mówi, że o tym zapomniała, oczywiście to kolejny objaw amnezji. I że

chciałaby sobie to wszystko poukładać chronologicznie, żeby wypełnić luki. Chce na przykład wiedzieć, o której ją odwiedziłeś.

Dan zmarszczył brwi.

– Dobre pytanie. – Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. – Boże, nie wiem. To wszystko było takie chaotyczne, pamiętam to jak przez mgłę.

– Byłeś w Londynie, służbowo – podsunęła.

– Tak, tak, zaraz to sobie poukładam. – Podeszedł do okna w kuchni, wyjrzał na ogród na tyłach domu, na huśtawkę, na zimowy zmierzch, na piękny dzień, który gasł w różach i osuwał się w ciemność. – Rano zadzwonili do mnie ze szpitala, więc wcisnąłem gaz do dechy na M4... Tak, tak, pamiętam to. Zdaje się, że przejechałem z ronda w Chiswick do Plymouth w jakieś trzy cholerne godziny. Na szczęście nie było żadnych fotoradarów. Tak, to musiało być koło południa. – Wzruszył ramionami. – Ale czy to pomoże? Zadzwonię do niej. Zadzwonię do niej później, obiecuję. I tak muszę z nią pogadać o urodzinach Charliego i Lyli.

Tessa się skrzywiła. Urodziny. Zazwyczaj wyprawiali wspólne przyjęcie urodzinowe dla Lyli i Charliego, na wrzosowisku albo na wybrzeżu, ponieważ urodzili się w odstępie dwóch dni. Sensowne rozwiązanie, poza tym Tessa wiedziała, że tym sposobem pomagają Lyli i Kath, bo wspólne przyjęcie maskowało smutną prawdę, że Lyla miała niewielu, jeśli w ogóle jakichkolwiek, przyjaciół ze szkoły. Jej poczucie samotności łagodziła obecność kuzynów i ich przyjaciół. Ale w tym roku Dan miał inne plany. Tessa potrząsnęła głową.

– Czy naprawdę musimy to robić? Nie możemy poczekać do przyszłego roku?

– Obiecałem mu wycieczkę do Disneylandu pod Paryżem. Bóg jeden wie dlaczego. Głupio zrobiłem, wiem. Jednak nie mogę się teraz wycofać z tej obietnicy, poza tym on jest taki podekscytowany, podobnie jak Oskar. W aucie w kółko o tym gadali. Wszystko jest zaplanowane, pojedziemy tam w drodze powrotnej z naszych wakacji na Kanarach, złapiemy troszeczkę słońca zimą!

– Ale Lyla...

– Zapłacę za nich, żeby zabrali ją do Disneylandu, mogliby pojechać tam na weekend. – Uśmiech Dana był zniewalający. – Zapłacę za nich wszystkich! Za Lylę, Kath, a nawet za Adama...

– Wiesz, że Adam się na to nie zgodzi. Odbierze to jako litość. Ma swój honor. Z drugiej strony będzie chciał być z Lylą w dniu jej urodzin. Jak każdy tata.

Dan wzruszył ramionami. Coś w stylu „tak, wiem”.

– Może zrobimy drugie przyjęcie po powrocie z wakacji?

– Hmm – zamyśliła się Tessa. – Sądzę, że moglibyśmy znowu urządzić przyjęcie w hotelu Two Bridges. Zawsze im się tam podoba, ten niesamowity spacer do lasu Wistmana. Już sama nie wiem...

– Dobrze. – Dan powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem i znowu na chwilę zmarszczył brwi, po czym odwrócił się zdenerwowany. – Jezu, co oni, do cholery, wyczyniają? Chłopcy! Fokstrot, Tango, przestańcie!

Wypadł z kuchni, żeby ukrócić braterską sprzeczkę w salonie. Tessa słyszała Charliego, jak krzyczał:

– Oddawaj to, oddawaj to, oddawaj to!

Kłótnia nie wyglądała na zbyt poważną. Najgorzej było, jak bili się w ciszy – oznaczało to, że Charlie dusił Oskara, pozbawiając go tchu. Albo na odwrót. Zadziwiające, jak bardzo się nawzajem kochali i jak jednocześnie wciąż skakali sobie do oczu.

Tessa zabrała kubki i wstawiła je do zlewu, zastanawiając się nad odpowiedzią Dana. Chronologia wydarzeń Kath. Coś ją tknęło, coś było w tej informacji. Ale o co chodziło?

Metodycznie umyła pierwszy kubek i odłożyła go na metalową suszarkę do naczyń. Kiedy płukała drugi, spojrzała przez okno na ogród, na huśtawkę, na piłkarzyki i duży plastikowy zabawkowy samochód, na tyle duży, że dziecko mogło w nim siedzieć, chociaż chłopcy w szybkim tempie z niego wyrastali.

Samochód! O to chodziło. Dan powiedział, że przejechał z Londynu do Plymouth w ekspresowym tempie, żeby zobaczyć się z siostrą, że z pewnością mógłby zostać zatrzymany przez policję albo zarejestrowany przez fotoradar...

Tessa przestała płukać, kubek zawisł jej w dłoni. Wpatrywała się w zachód słońca. Dan powiedział, że jechał samochodem zbyt szybko, ale to wszystko nie było tak. Ponieważ on wcale nie pojechał do Londynu samochodem. Tessa dokładnie przypomniała sobie tamtą rozmowę późnym wieczorem drugiego dnia świąt. O tym, że nawet nie chciał słyszeć o świątecznym ruchu na drogach, o korku na M5. O tym, że postanowił pojechać do Londynu pociągiem.

Dlaczego jej mąż kłamał, i to we wszystkich tych kwestiach? Czy chodziło jedynie o dezorientację, jaką wszyscy odczuwali?

Cały czas zamyślona, Tessa odstawiła drugi kubek. Słyszała chłopców, którzy nadal kłócili się w salonie.

– Oddawaj, oddawaj, oddawaj.

Burrator

Niedziela rano

Jestem tutaj. Wróciłam. Na miejsce zbrodni.

Woda ma odcień spokojnego błękitu, a nad nią wisi intensywnie szare niebo. Dłonie mam wciśnięte do kieszeni anoraka, schowane przed zimowym chłodem. Wpatruję się w wyrwę w granitowej ścianie, przez którą trzy tygodnie temu wjechałam samochodem do wody.

Ta szpara na szerokość ledwie mieści samochód. Czyli Tessa miała rację. Trzeba uważnie kierować, żeby przez nią przejechać. I tak właśnie zrobiłam. Celowo wjechałam samochodem w wyrwę w murze, prosto do głębokiej, ciemnej, lodowatej wody, tak że ledwo uszłam z życiem.

Podchodzę bliżej. Zdenerwowana, jakbym mogła znowu tam wpaść. Jakbym mogła poznać prawdę.

Ktoś rozpiął na feralnej wyrwie w murze szarą metalową siatkę. Przypuszczalnie po to, by zapobiec kolejnym próbom samobójczym wzorowanym na mojej, by powstrzymać wszystkie inne trzydziestosześcioletnie dartmoorskie matki jedynaczek przed wjechaniem samochodem do tego zbiornika wodnego bez żadnej wyraźnej przyczyny. Zastanawiam się, dlaczego po prostu nie dokończyli tego remontu.

Zupełnie jak jeden z tych kościołów zrujnowanych w czasie wojny, które pozostawiano w katastrofalnym stanie jako pomnik ku przestrodze potomnych.

A może w gminie zabrakło pieniędzy albo ekipa budowlana ma urlop... Bo na pomnik to nie wygląda – nikt już o tym nie pamięta. Wiem, bo w końcu znalazłam w sobie odwagę, by przyjrzeć się bliżej tej mojej tajemniczej próbie samobójczej, i znalazłam jedynie króciutką wzmiankę na lokalnej stronie internetowej.

Cytują to jeszcze w innych miejscach, ale bez żadnych szczegółów czy rozwijania tematu. Wiem także, że Adam usunął wszystko z Facebooka – zajął się zawartością naszych kont w mediach społecznościowych, żeby ochronić moją reputację.

Czyli jeden artykuł... poza plotkami, które mogli powtarzać policjanci i pielęgniarki. Wyjmuję telefon i czytam zapisaną wiadomość prasową.

Wypadek nad zalewem Burrator

Trzydziestosześcioletnia kobieta, mieszkanka okolic Princetown, wyszła cało z poważnego wypadku, do którego doszło 30 grudnia. Jej samochód gwałtownie skręcił i wjechał do zalewu Burrator, malowniczego zakątka w regionie Dartmoor. Wypadek prawdopodobnie miał miejsce około 21.00, chociaż ofierze udzielono pomocy dopiero 31 grudnia w godzinach porannych. Kobieta przebywa obecnie w Szpitalu Derriford w Plymouth, a jej stan jest stabilny...

Jest tam jeszcze jeden krótki akapit, ale poza tym to wszystko. Mój los, namacalne okrucieństwo mojego życia, które o mało co nie dobiegło końca, tak oto streszczone dla świata.

Podchodzę do muru, kładę telefon na chłodnych płaskich wiktoriańskich kamieniach i wpatruję się w niczym niezmaconą wodę.

Głucha cisza głębokiej zimy sprawia, że wszystko nieruchomieje. Nie słychać śpiewu ptaków, odgłosów kaczek, tafla wody przypomina milczące lustro, w którym odbija się przytłaczający sufit pustego nieba. Lasy pochylone nad wodą, stłoczone pod wysokimi granitowymi kciukami Sheepstor, są niezwykle mroczne i nieruchome. Zza tych starych drzew nikt na mnie nie patrzy, nikt mnie nie obserwuje. Nikt mnie nie widzi.

Trudno wyobrazić sobie to miejsce jako scenę dramatu. Ale tak było. Próbuje przywołać w pamięci tamten wieczór, przywołać w pamięci siebie – jak jechałam, jak powoli zjeżdżałam z B3212, mijając mały Spar w Dousland, po czym skręciłam w boczną drogę prowadzącą do zalewu, na sam dół, wieczorem w przeddzień sylwestra. Jak byłam ubrana? Czy miałam makijaż? Jak przygotowałam się na ten dzień? Czy byłam podekscytowana, czy dygotałam niczym jakieś zombie? Czy byłam głodna, spragniona, a może płakałam?

Lodowaty wiatr porusza wodami Burratora, układając je w czarne fale rozpryskujące się o ścianę zapory. Potem wszystko się uspokaja i znowu zapada cisza. Jakby świat czekał, aż rozwiązę tę zagadkę.

Próbuje przywołać w pamięci swój wyraz twarzy w tej ostatniej sekundzie. Czy myślałam wtedy o Lyli?

Wiem, że nie byłam pijana. Badania przeprowadzone w szpitalu wykazały ledwie wykrywalny poziom stężenia alkoholu we krwi i żadnego śladu narkotyków. A więc

byłam trzeźwa, kiedy to zrobiłam. Nie mam nawet takiej wymówki.

Biorę znowu do ręki telefon i wpatruję się w słowa artykułu, jakby miały magicznie ułożyć się w jakąś odpowiedź. Zamiast tego pojawiają się jedynie kolejne pytania. Dlaczego miałam wrażenie, że tamten wieczór był mroźny? Kilka razy sprawdzałam pogodę – było ciepło i sucho, tak jak mówiła Tessa. Żadnego oblodzenia, na którym można by się poślizgnąć, żadnego szronu, niczego takiego.

Całkowicie sucho.

Tajemnice z wolna stają się coraz bardziej nieprzeniknione, jak ciemne wody Burratora.

A Adam sprawia, że są jeszcze bardziej niezgłębione. Zdecydowanie widziałam na jego twarzy poczucie winy. Mój mąż zazwyczaj przypomina otwartą księgę. To uczciwy człowiek. Jeśli w ogóle kłamie, to rzadko.

Właśnie dlatego go kocham.

Dlaczego więc czuje się winny? Co przede mną ukrywa?

Być może poczucie winy związane jest z moją próbą samobójczą, z przekonaniem, że powinien był coś zrobić. Te wszystkie emocje, które ludzie czują, kiedy ktoś, kogo znają, próbuje się zabić. *Powinienem był porozmawiać, powinienem był tam być, powinienem był zadzwonić po świętach Bożego Narodzenia.* Między innymi dlatego uważam samobójstwo za coś obrzydliwego, i z tego powodu naprawdę nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam – samobójstwo zaraża wszystkich dookoła poczuciem winy, z którego już nigdy, do końca swojego życia, nie uda im się wyleczyć. Nie zrobiłabym czegoś takiego Adamowi, nie zrobiłabym tego Lyli.

Rozprasza mnie odgłos krakania. Podnoszę wzrok. Pięć kruków krąży na białym tle, pięć czarnych krzyży zataczających kolejne koła. Polują, łączą się w pary czy jeszcze coś innego? Nie rozumiem ich zachowania. Lyla z pewnością wiedziałaby, o co chodzi. Uwielbia wrony i kruki, gawrony i sroki, wszystkie te zimowe ptaki. Twierdzi, że należą do rodziny krukowatych i są bardzo inteligentne. Może więc krukowate rozumieją, może były tutaj tamtego wieczoru... te zimowe ptaki, wrony i kruki... Bo poza nimi nikt nic nie wie i nikt nic nie widział.

Ale może teraz ktoś mnie widzi.

Po lewej stronie, na wzgórzu, dostrzegam ciemną postać, która spogląda w dół, w moim kierunku. Sądzę, że to jakiś mężczyzna. Postać jest obramowana szarymi chmurami, czarny kształt człowieka. Jego postawa podpowiada, że patrzy przez

lornetkę. Bada coś wzrokiem. Może to jakiś obserwator ptaków – nad zalew przyjeżdża ich wielu. Miłośnicy ptaków szukający drapieżników i ptactwa wodnego.

Mężczyzna idzie dalej wzdłuż krawędzi wzgórza. Porusza się w charakterystyczny sposób. Znam ten chód, postawę, ten sposób ułożenia ramion.

To Adam.

I zdecydowanie to mnie się przygląda, nie żadnym ptakom. Musiał mnie śledzić. Mój mąż mnie śledzi. Może myśli, że robi mi przysługę, chroniąc mnie przede mną samą. Może martwił się, żebym znowu nie wjechała do wody.

Ogarnia mnie gniew. Przecież to nie w porządku. Może depcze mi po piętach od wielu tygodni! To niepokojące. Przeróżające.

Poczerwieniała z wściekłości łapię telefon, patrzę prosto na niego, tam wysoko na wzgórzu. Niech widzi, jak do niego dzwonię. Zobaczymy, jak zareaguje.

Ale oczywiście nie ma zasięgu. W Dartmoor zasięg urywa się dokładnie wtedy, kiedy jest potrzebny. Jakby to było prądowe prawo ustanowione przez parlamenty cynowe, średniowieczne prawo Methral Brook i Great Week Mine ^[3]. Zero Zasięgu, Kiedy Go Potrzebujesz. Stoję więc i wydzieram się jak szalona:

– Adam!

Postać ani drgnie.

– Adam, widzę cię! Adam!

Mój rozpaczliwy krzyk nie przynosi żadnego efektu. Postać się oddala.

– Adam!

Czyżby mnie w ogóle nie słyszał? A teraz znika. Może to wcale nie był Adam. Choć jestem pewna, że to on. Co on tutaj robił? Pilnował mnie? Czuwał nade mną? Powiedział, że być może będzie musiał podrzucić Lylę do Spaldingów, ponieważ czasem musi popracować też w niedzielę. Czasem musi pracować codziennie.

Tak czy owak, nie potrzebuję, żeby mnie pilnował, i z pewnością nie chcę, żeby mnie śledził, jakbym była jakimś przestępcą. Albo kimś, kogo trzeba prowadzić za rączkę, bo znowu ma zamiar rzucić się do wody.

Jednak ta konfrontacja będzie musiała poczekać. Mam do zrobienia coś innego, pilniejszego. Coś, co wymaga innego rodzaju odwagi. Korzystając z okazji, przewijam do końca raport na ekranie mojego telefonu, aż pojawia się to kluczowe nazwisko. Nazwisko jedyne go świadka mojego samobójstwa.

Nazywa się Brian Angove.

Venner

Niedziela rano

Nietrudno znaleźć ten dom. W maleńkiej osadzie Venner, oddalonej od Burratora o niecałe dwa kilometry, stoi jakieś sześć chałup. Wioska jest tak niewielka, że nie ma tutaj ani kościoła, ani pubu, ani sklepu, jedynie kilka domów krytych strzechą, z których kłęby dymu rozplývają się na zimnym, białym niebie niczym bazgroły na czystej kartce papieru.

Według Google'a chata Briana Angove'a nazywa się Kaczka Krzyżówka.

Oto i ona. Mała czarna tabliczka, na której widnieje niebieska kaczka, a w ogrodzie stoi pomalowany na czerwono domek. W dzień musi wyglądać bardzo ładnie. To tego typu miejsce, w którym turyści zatrzymują się na chwilę, żeby obfotografować je smartfonami, zanim ruszą dalej do oddalonego o osiem kilometrów pubu z doskonałym jedzeniem, tego, w którym podają jagnięcinę z Exmoor.

Dym wije się z komina chaty. Czyli Brian Angove jest w domu. Przelykając swoje obawy, otwieram niewielką skrzypiącą furtkę i idę ścieżką, liczę do trzech w rytm swoich szybkich uderzeń serca i stukam do drzwi żeliwną kołatką.

Nikt nie odpowiada. Spoglądam na okna. Szyby są tak grube i stare, że trudno powiedzieć, czy w środku ktoś jest. Samotna wrona obserwuje mnie ze słupa telegraficznego, przechylając z ciekawością łebek. Może przyleciała za mną znad Burratora.

Stukam jeszcze raz, bez skutku. W środku nikogo nie ma. Wzdychając z mieszanką niepokoju i ulgi, odwracam się i ruszam w kierunku samochodu.

– Dzień dobry? Mogę w czymś pomóc?

To on. Rozpoznaję go po zdjęciach, które znalazłam w internecie. Emerytowany radny. Sześćdziesiąt siedem lat, ale najwyraźniej w świetnej formie. Brian Angove ma na sobie jasnoniebieski rozpinany sweter i brązowe sztruksy. Słyszę ujadanie psa dobiegające z ciemnego wnętrza domu.

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Zaczyna mu coś świtać.

– A niech mnie. Wiem, kim pani jest.

Wzruszam ramionami.

– Proszę – mówi. – Proszę wejść. Właśnie zaparzyłem dzbanek herbaty. To darjeeling.

Przyjmuję jego zaproszenie i wchodzę do pachnącego herbatą maleńkiego domu, pełnego starych fotografii oraz spłowiałych kotylionów z zawodów jeździeckich i wyblakłych zdjęć dzieci. Bierze ode mnie płaszcz, gdzieś go odwiesza, po czym wraca i prowadzi mnie korytarzem do schludnego stołu kuchennego. Nalewa mi herbatę do kwiecistych chińskich filiżanek, przerywając na chwilę, żeby powiedzieć:

– Możemy napić się czegoś mocniejszego, jeśli ma pani ochotę, pani...

– Redway. Kath Redway.

– Tak. Oczywiście. Redway, jasne. – Ma uprzejmy uśmiech. Widać, że chce pomóc, ale dostrzegam też cień współczucia.

– Bardzo dobra herbata – chwałę. – To miłe z pana strony, dziękuję. I przepraszam, że zawracam panu głowę.

– To żaden kłopot – odpowiada. – Jestem tutaj samiusieńki, szczególnie w niedziele. Będę wielce uszczęśliwiony, jeśli nasza rozmowa okaże się pomocna. Choć może brzmi to raczej osobliwie... – na chwilę jego twarz oblewa się rumieńcem – ...biorąc pod uwagę okoliczności. Ech.

– Nie, nie, wszystko w porządku, wszystko dobrze. – Śpieszę się, ponieważ mam obawę, że jeśli przerwę, choćby na chwilę, to zamilknę i wyjdę. Panicznie bałam się tego spotkania, odkąd odkryłam tożsamość świadka. – Panie Angove...

– Brian.

– Brian, nie wiem, czy znasz wszystkie fakty dotyczące mojego wypadku... To znaczy... no wiesz... mojego... – to słowo ledwo przechodzi mi przez gardło – ...samobójstwa. Fakty dotyczące mojej próby samobójczej. Wszystkie te sprawy... Yyy...

Łagodne spojrzenie Briana spotyka się z moim wzrokiem i znowu dostrzegam w jego oczach współczucie. Przypuszczam, że to coś bardziej pozytywnego niż niechęć albo pogarda. Współczucie dla kobiety, która próbowała zostawić córkę całkiem samą na tym świecie.

– Kath, wiem tylko tyle, co widziałem. Opowiedziałem o tym policjantom, kiedy mnie przesłuchiwali. To wszystko.

– Może więc opowiem ci coś więcej o sobie. – Słowa płyną z moich ust niczym rwące dartmoorskie potoki. – Mam łagodną amnezję wsteczną spowodowaną urazem

mózgu na skutek wypadku. Oznacza to, że niewiele pamiętam, łącznie z kilkoma dniami poprzedzającymi to... – Znowu to słowo nie chce przejść mi przez gardło. – To, co zrobiłam tamtego wieczoru.

– Rozumiem, naprawdę rozumiem, możesz być spokojna. Moja żona miała zaniki pamięci, zanim zmarła. – Ma miękki głos. Smutny. – Alzheimer, bardzo wczesna postać. Rozumiem takie sprawy i nie oceniam. Zakładam, w świetle tego, co mówisz, że chcesz wiedzieć dokładnie, co widziałem.

– Tak – przyznaję, bardzo cicho. – Tak, proszę.

Dolewa herbaty. I opowiada mi wszystko, czego się spodziewałam, wszystko, co już zostało powiedziane... Ciepły i suchy zimowy grudniowy wieczór. Żadnego lodu, żadnego szronu. Spacerował z psem wokół Burratora, przechodził przez zaporę na rzece Meavy, do lasu dębowego. Potem zobaczył mnie i mój samochód. Starą toyotę zaparkowaną na asfalcie. Obok zapory i zalewu.

– Zaparkowałam tam?

– Tak. Właśnie dlatego zatrzymałem się i patrzyłem. Niewiele osób przyjeżdża nad zalew nocą w zimie.

– Ktoś był ze mną w samochodzie?

Marszczy brwi.

– Chcesz znać wszystkie szczegóły, tak?

– Tak.

– Doskonale. Przypominam sobie myśl, która przyszła mi wtedy do głowy, że to nieco niezwykle... Jakiś samotnik w aucie, nad zalewem, w ciemnościach. Wpatrujący się w tafle wody. Siedziałaś wyprostowana, nieruchoma niczym posąg. Jakbyś się nad czymś intensywnie zastanawiała.

Coś tutaj nie daje mi spokoju.

– Było ciemno, więc jak mogłeś coś dostrzec?

– Była pełnia, a chmury odsłaniały księżyc. Miałaś na sobie anorak, czy coś takiego, i kaptur na głowie. Ale widziałem twój profil.

– Czy to na pewno byłam ja?

– Tak mówiła policja, kiedy mnie przesłuchiwali, a któż inny to mógł być?

Wpatruję się w swoją filiżankę herbaty Darjeeling. Smaczna. Wytworna. Bardziej wytworna niż te, które pijamy w domu. Parzona z prawdziwych herbacianych liści. Mam ochotę porzucić je dookoła, jak moja matka, kiedy dopadała ją chęć na

pogańskie rytuały, odprawiane wieczorem, w blasku świec w Salcombe, w towarzystwie wszystkich swoich hippisowskich przyjaciół zebranych wokół kart tarota i afrykańskich masek, uśmiechających się znacząco ze ściany. Różni nas jedynie to, że ja chcę zobaczyć przeszłość. Nie przyszłość.

Patrzę prosto w oczy Briana.

– I co się wydarzyło potem?

Potrząsa głową, powoli, ze smutkiem.

– Podjechałaś samochodem bliżej zalewu. Nieco mnie to zaniepokoiło, ponieważ była tam ta wyrwa w murze. Ale znowu się zatrzymałaś.

– A potem?

– Przyglądałem się przez chwilę, ale tylko tam siedziałaś. Aż wstyd powiedzieć... – Oblewa się rumieńcem i wzdycha. – Cóż... trochę się tym znudziłem. Uznałem, że rozmyślasz, zastanawiasz się nad czymś. Ludzie przecież tak robią, przyjeżdżają nad zalew, żeby pomyśleć. Woda działa uspokajająco, prawda? Kojąco. Poszedłem więc dalej na spacer z Delilah. Naszą stałą trasą. Nie myślałem o tobie, dopóki nie dotarłem na najwyższe wzniesienie nad zalewem, skąd można spojrzeć w dół. I wtedy to zobaczyłem. – Wzrusza ramionami i wygląda na dość zmartwionego. To jest ta chwila. – Nie mogłem w to uwierzyć... – Zamyka oczy, jakby odmawiał krótką modlitwę. Otwiera je po chwili i patrzy na mnie. – Widziałem, jak szybko przejechałaś przez tę wyrwę w murze i wjechałaś do zalewu. Ot tak. To było straszne i zarazem dziwne, przepraszam, jak jakiś sen. Koszmar.

Zastanawiam się, czy zaczniesz płakać. Zastanawiam się, czy ja zacznę płakać.

Pijemy herbatę. Brian opowiada dalej:

– Najbardziej uderzyła mnie ta cisza, spokój całej tej sytuacji. Nie było głośno ani dramatycznie: cisza jak makiem zasiał, ciepły wieczór, ty szybko wjeżdżająca do wody i samochód tonący tak bezszelestnie, tak błyskawicznie. Kilka sekund później wydawało się, jakby nigdy cię tam nie było. Gdybym tego nie widział, nikt by nie miał o tym pojęcia. Kobieta, która zniknęła na zawsze, w mgnieniu oka.

Nie odzywam się ani słowem. Moje milczenie jest przepełnione cierpieniem.

– Kath? – pyta Brian.

– Przepraszam. Och, przepraszam. – Chcę o tym zapomnieć, uciec od tego potwornego obrazu samochodu, który tak szybko tonie. W mgnieniu oka. – A co wydarzyło się potem, jak już wjechałam do wody? Co się później stało?

Spogląda na mnie, żałośnie, współczująco.

– Cóż. Zamurowało mnie, stałem tam przez chwilę, jakąś minutę.

– Dlaczego?

– Byłem tak zszokowany, że... przepraszam... ale pobiegłem prosto do domu. Nie zabrałem ze sobą telefonu komórkowego, choć i tak nie ma tam przecież zasięgu. Ale obawiam się, że nie biegam zbyt szybko, nie w tym wieku. Dotarłem do domu i zadzwoniłem po służby ratunkowe. Przyjęli zgłoszenie.

– To było około dwudziestej pierwszej?

Kiwa głową.

– Słyszałem, jak szukali, sprowadzili nurków, ale znaleziono cię wiele godzin później na drugim brzegu zalewu... w lesie. Chyba tam dopłynęłaś.

– Tak, zdaje się, że tak było.

Na jego twarzy wciąż maluje się ból, żal, że wtedy nie sprawdził, co się ze mną działo, wtedy, zanim zrobiłam tę okropną rzecz.

Spoglądam znad herbaty na jedyne go świadka tych wydarzeń.

– Brian. To nie twoja wina. Ani trochę. Skąd miałaś wiedzieć? Skąd ktokolwiek miał wiedzieć?

Kiwa głową. Nasze spojrzenia się spotykają, a potem odwracamy wzrok. Filiżanki dziwnie zgrzytają na spodeczkach.

Moje największe obawy jeszcze się powiększają. Słowa Briana brzmią bardzo sensownie i... pogarszają sytuację. Wjechałam samochodem do zalewu Burrator. *I zrobiłam to rozmyślnie.* Wahałam się, miałam obiekcje i wątpliwości. Pewnie siedziałam w aucie i rozmyślałam o Lyli i Adamie, zastanawiałam się, czy mogę im coś takiego zrobić, zdobyć się na to, by z rozmysłem zniszczyć własną rodzinę. I podjęłam decyzję. Tak – doszłam do wniosku, że mogę im to zrobić. A potem wjechałam do wody samochodem, który teraz spoczywa na dnie zalewu, gdzie znaleźli go policyjni nurkowie. Zapewne pozostanie tam na wieki, stając się domem dla węgorzy i pstrągów. Zardzewieje i zamieni się w nicłość.

– Dziękuję – mówię do Briana.

Na mojej twarzy zapewne wciąż maluje się cierpienie, ponieważ Brian odpowiada:

– Przykro mi. Przykro mi, że nie pomyślałem... że nie podszedłem do ciebie, kiedy siedziałaś w tym zaparkowanym samochodzie i... i... cóż... po prostu przepraszam. Cieszę się, że żyjesz.

– Tak. – Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Cisza, która zapada, jest jakaś dziwna i ostateczna. Odsuwam swoje krzesło, by wstać, ale Brian zatrzymuje mnie gestem, mówi, że pójdzie przynieść mój płaszcz. I z tymi słowami znika.

Wstaję. Coś jakby ciągnie mnie, żeby podejść do okna na drugim końcu kuchni, które wychodzi na niewielki ogródek. Znowu mam to samo uczucie co zawsze, jakbym szukała czegoś, nie wiedząc tak naprawdę, czego szukam.

Spada to na mnie bez ostrzeżenia. Czuję ten zapach, słodki, niemalże mdły, i odkrywam jego źródło. Mały odświeżacz powietrza z pachnącymi patyczkami, na półce obok starych książek kucharskich. Intensywny, cytrynowy zapach. Ten zapach.

Co to jest? Nie mam pewności. A jednak coś mi to przypomina. Jakąś część tamtego wieczoru. To wspomnienie jest związane z jakimś mężczyzną; mężczyzną, który siedział w samochodzie, ze mną. Jest wściekły, krzyczy, przesywa mnie wzrokiem. Czy to wspomnienie z dnia, kiedy wjechałam do Burratora? Jestem pewna, że tak. To musi być prawda. Lekarze powiedzieli, że wspomnienia wrócą, nieproszone, a to może być ich pierwsza, najważniejsza część.

Opieram dłoń na ścianie kuchni, czuję, że tracę równowagę, że kolana się pode mną uginają.

– Dobrze się czujesz?

Odwracam się. To Brian. Z moim płaszczem.

– Tak – odpowiadam. – Przepraszam. Zdaje się, że właśnie coś sobie przypomniałam.

– Z tamtego dnia?

Oblewam się rumieńcem. Zupełnie nie wiem dlaczego.

– Tak.

Brian pomaga mi włożyć płaszcz, idziemy korytarzem i wychodzę z domu, by się z nim pożegnać. Zatrzymuje mnie, łagodnie kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Po raz pierwszy przypomniałaś sobie cokolwiek z tamtych wydarzeń?

– Tak, ale to nic takiego. Niewielki fragment... Twarz w samochodzie... Nic takiego.

– Ale lekarze twierdzą, że wszystkie wspomnienia w końcu powrócą, tak?

Kiwam głową z wahaniem.

– Tak, ale fragmentaryczne. Wrywkowe.

Na twarzy Briana pojawia się współczujący półuśmiech.

– Na początku swojej choroby żona odkryła, że może odzyskiwać wspomnienia za pomocą kilku... hmm... technik. Medytacja. Zdjęcia. Skojarzenia. To znaczy... – Zgląda mi badawczo prosto w oczy. – To znaczy, oczywiście, jeśli naprawdę chcesz, by te wspomnienia powróciły.

Żegnamy się uściskiem dłoni. Drzwi zamykają się za nim, a ja przechodzę na drugą stronę drogi do samochodu. Myślę o Burratorze. Kiedyś tutaj przyjeżdżałam, gdy byłam młodsza, uwielbiałam ten widok ponad wodą, lasy i wysokie wzniesienie Sheepstor. Przyjeżdżałam tutaj, kiedy potrzebowałam sobie coś przemyśleć. Tamtego wieczoru, pod koniec grudnia, przyjechałam tutaj zastanowić się nad własną śmiercią i nad tym, jak mam to zrobić. Nie było tam nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać. Adam był daleko stąd. Zostawił mnie z Lylą w najciemniejszym zakątku roku.

Adam...

Niemalże zapomniałam. Ta postać na wzgórzu... To naprawdę był Adam. Znowu się nad tym zastanawiam i znów ogarnia mnie złość. Od jak dawna to robi? Od jak dawna mnie śledzi?

Sprawdzam telefon. Zasięg jest dobry. Wybieram numer Adama, czekając na nieuchronny komunikat poczty głosowej: „Cześć, tu Adam Redway, zapewne jestem na wrzosowiskach, zostaw wiadomość”.

Ale odbiera.

– Cześć, Kath.

– Dlaczego mnie śledzisz?

Milczenie mojego męża przedłuża się. Zaskoczenie albo poczucie winy. Nie potrafię określić. Nic nie mówi. Wpadam we wściekłość.

– No mów! Dlaczego? Widziałam cię dzisiaj. Na wzgórzu. Dlaczego mnie śledzisz?

– O czym ty, do ciężkiej cholery, mówisz?

– Byłeś tam, na wzgórzu. To jest odrażające. Tak się nie robi. Przestań mnie śledzić!

Słyszę, jak ciężko oddycha, jakby obmyślał jakieś kłamstwo. W tle wieje wiatr. Adam nadal jest gdzieś poza domem.

Chcę, żeby powiedział słowo „Burrator”, żeby ono nie padło z moich ust. Żeby wiedziała, że jest winny.

– Nie śledzę cię, Kath, nie robię takich rzeczy. Jezu Chryste! To jakieś kompletne wariactwo. Przecież nie śledzę własnej żony! Nie mam na to czasu! Jestem w pracy!

– Nie wierzę ci...

– Posłuchaj. Jestem w Throwleigh, pomagam Nigelowi. Mamy tutaj więcej takich, co nielegalnie wyrzucają śmieci. Te pieprzone izolacje dachowe zabijają kuce. Mogę zrobić zdjęcia, jeśli chcesz. Czy to będzie wystarczający dowód?

– Widziałam cię! Patrzyłeś na mnie z góry, przez lornetkę!

– Nie widziałś mnie! Chryste! No chyba że byłaś na podwórku Nigela. Jezu, Kath, przestań w końcu!

Ściskam telefon w dłoni, tak mocno, że chyba zaraz go zgmiotę. Albo coś innego. Moje kłykcie zbieleły ze złości. Dlaczego mój mąż nie odwiedził mnie jako pierwszy w szpitalu?

Muszę go teraz przycisnąć.

– Adam, co robiłeś tamtego wieczoru? Dlaczego musiałeś wyjechać na tydzień? Tuż po świętach Bożego Narodzenia?

– Remontowałem chatę strażników. Już ci mówiłem.

– Sam?

Słyszę ciche rżenie kucy w tle. Adam odpowiada, przekrzykując odgłosy natury:

– Miał do mnie dołączyć Dez. Dez Pritchard. Ale nie dojechał, miał jakąś świąteczną wtopę, no wiesz... – Przerywa, słyszę nagłe westchnięcie. – Wiesz, taki syf, który zdarza się w święta Bożego Narodzenia, Kath, wiesz jaki, prawda? Hmm? – Jego sarkazm jest wymuszony, ale i tak boli. – Tak, byłem sam. Miałem trochę spokoju. Przynajmniej raz.

Przyciskam telefon do ucha tak mocno, że aż odczuwam ból. Jestem wściekła i jednocześnie zmieszana. Nie dość, że był nieuchwytny przez cały ten okres po świętach, to jeszcze był tam sam. Nie wiedziałam o tym. Przypuszczałam, że był razem z innymi, bo z pewnością taki był plan. Nie wiedziałam tylko, że plan się nie powiódł.

To na pewno coś oznacza. Mógł być wtedy gdziekolwiek. Mógł zrobić wszystko. Mógł przyjechać do domu. Nie ma żadnego alibi.

Zanim zdoła się rozłączyć, pytam go ponownie:

– Pozwól, że to sobie uporządkuję. Wolaleś siedzieć tam sam przez cały tydzień, spać w jakiejś chacie, niż wracać do domu, wieczorami, do mnie i do Lyli, tak?

Gdziekolwiek się teraz znajduje, huczy tam wiatr. Jednak głos Adama jest silniejszy:

– Przez kilka dni tak, Kath. Tak, przyznałem sobie prawo do cholernego czasu wyłącznie dla siebie, z daleka od Huckerby. Jaki sens miałyby mój wcześniejszy powrót?

To kawał drogi z Manaton, środek zimy, połowa dróg była zasypana. Podróż zajęłaby mi długie godziny. Poza tym kogo to, do cholery, obchodzi? Dlaczego muszę się tłumaczyć? Wiesz, że od trzech lat nie miałem żadnych pieprzonych wakacji poza Dartmoor! Przez trzy lata z rzędu! Wiesz o tym dobrze, Kath, prawda?

Tak, to prawda. Nie mogę nic na to poradzić i krzywię się, stojąc w strugach deszczu. Przez ostatnie trzy lata jeździłam latem na wakacje do słonecznej Portugalii z Tessą, Danem i ich dziećmi. Dan zawsze płaci za mnie i za Lylę. Adam odmawia przyjmowania jałmużny, jak to nazywa, i nie jeździ z nami – nie przyjmie pieniędzy od Dana. Choć niechętnie, zgadza się jednak na nasze wyjazdy, żeby Lyla miała się z kim bawić. W przeciwnym razie w ogóle nie wyjechałaby na żadne wakacje.

Kiedy wyjeżdżamy, Adam zostaje na wrzosowisku i pracuje. Piętnaście godzin dziennie. Długie, wyczerpujące letnie zmiany.

Mój gniew słabnie. Albo raczej moja siła woli.

Oznajmiam mężowi, że porozmawiamy o tym później, i rozłączam się, zanim jeszcze bardziej zaszkodzię naszemu małżeństwu.

Otwieram drzwi do samochodu, a potem siedzę przez chwilę za kierownicą i przyglądam się ze smutkiem kropłom deszczu na przedniej szybie. Z całych sił chcę uwierzyć Adamowi. A jednocześnie równie mocno nie chcę mu uwierzyć. Stoję rozdarta dokładnie na dwie części w obliczu najpoważniejszego dylematu. Jeśli mu uwierzę i jeśli faktycznie nie było go tam nad zalewem, będzie to oznaczało, że mój stan się pogarsza. Że zaczynam sobie wyobrażać różne rzeczy, podobnie jak to zrobiłam w lesie Hobajob. A jeśli mu nie uwierzę, będzie to oznaczało, że mój mąż jest nie tylko kłamcą, ale też kimś innym. Kimś znacznie gorszym.

Nie mogę przestać myśleć o tym, gdzie on wtedy był, tamtego wieczoru, kiedy wjechałam samochodem do Burratora.

Dość już tego!

Zapinam pasy, przekręcam kluczyk w stacyjce. Wciskam pedał gazu do podłogi i odjeżdżam z piskiem opon. Kiedy wyjeżdżam z wioski, dopada mnie kolejna, jeszcze bardziej mroczna myśl. Brian Angove powiedział, że tamtego wieczoru wjechałam szybko do zalewu. A jeśli tak naprawdę nie chciałam nacisnąć pedału gazu, jeśli miałam zamiar zrobić coś zupełnie innego? Nacisnąć na pedał hamulca? Zawrócić?

Tylko jeden człowiek będzie to wiedział, jedyny człowiek, który naprawiał mój samochód.

Adam.

Zawsze sam wszystko robił przy toyocie, utrzymywał ją na chodzie, oszczędzając tym samym pieniądze. Nie stać nas na profesjonalny warsztat i mechanika, a on zna się na silnikach. Wie o nich wszystko. Dorastał na farmie, naprawiając ciągniki, naczepy i remontując stare motory.

Czy można wykluczyć, że w trakcie świąt Bożego Narodzenia majstrował przy hamulcach, przy gazie, czymkolwiek, co sprawiło, że moje auto zaczęło stanowić zagrożenie? Nie jestem w stanie tego ocenić, a mój samochód spoczywa teraz głęboko pod wodą i nie sposób tego ustalić. Choć to z pewnością możliwe. Adam mógłby zrobić coś takiego, ale tylko jeśli byłby pewien, że nie będę jechać razem z Lylą. Czyli musiałby wrócić do Huckerby w tamtym tygodniu, tamtego dnia... A może kazał to zrobić komuś innemu w odpowiednim momencie, komuś, kto mnie obserwował. Może nigdy nie miałam zamiaru wjeżdżać samochodem do wody, tylko samochód został uszkodzony i...

Zasłaniam usta dłonią, jakbym powiedziała coś strasznego.

Nie. Po prostu nie mogę myśleć o moim mężu w taki sposób. Jakie motywy mogłyby nim kierować, dlaczego miałyby chcieć się mnie pozbyć? Albo życzyć mi, żebym miała śmiertelny wypadek? Moje myśli wirują, wzbijają się w powietrze wraz z dartmoorskim wichrem. Na Skir Hill szaleje zamieć. I kiedy ruszam, odjeżdżam z piskiem opon, wrony wciąż obserwują mnie ze słupów telegraficznych.

Czarne pióra. Czarne ślepia.

Princeton

Poniedziałek po południu

Adam stał, chuchając powietrzem na zmarznięte dłonie, i czekał na lodowatym podwórku, aż Lyla wyjdzie ze szkoły. Tak samo jak kiedyś jego babcia, która przyjeżdżała po niego, gdy jeszcze była w stanie prowadzić.

Matka rzadko przychodziła odebrać go ze szkoły – była zbyt przygnębiona albo zbyt pijana z powodu tego, że była zbyt przygnębiona, albo wzięła właśnie te tabletki, po których była senna, apatyczna i nie dawała rady prowadzić samochodu, ale które czyniły jej upokorzenie w małżeństwie znośnym. Tata też nigdy po niego nie przychodził – zawsze był gdzieś poza domem, pracował na jakiejś budowie, a raczej był z jakąś kobietą. Szcherzył zęby w uśmiechu, kiedy wracał do domu, ale nigdy nie dzielił się tym, co go tak rozbawiło. Ponieważ nikt inny nie widział w tym nic zabawnego.

Witając się kiwnięciem głowy z innymi rodzicami, którzy ucinali sobie pogawędkę na szkolnym podwórzu, Adam zastanawiał się, czy odszedł od tego wzorca. Złego ojcostwa. Od tego stale powtarzającego się cyklu przypominającego ciągły obieg wody w kole młyńskim. Jeszcze przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia odpowiedziałby na to pytanie twierdząco. W końcu był dobrym ojcem, dobrym mężem: pracował, kiedy tylko mógł, zapewniał byt i chronił, nie pocałował żadnej innej kobiety od czasu ślubnego pocałunku z Kath.

Ale teraz? Po tym, jak Kath wjechała samochodem do Burratora, Lyla czasem zachowywała się tak, jakby to on ponosił winę za to nieszczęście. Czasem odpychała jego dłoń od swojej twarzy, kiedy próbował ją pocieszyć, wzdragała się, gdy chciał jej dać buziaka. Czasem robiła to z prawdziwym strachem w oczach, jakby wiedziała na temat swojego taty coś, czego on sam o sobie nie wiedział.

Adam rozpaczliwie pragnął, żeby powróciły dawne czasy. Nie chciał być tutaj, w tym okropnym Princeton, patrząc z ukosa na więzienie, które górowało nad tą częścią miasta niczym wściekle czarny pałac jakiegoś tyrana.

Więzienia w Princeton nie dało się nie zauważyć. Kiedy Adam rozcierał dłonie z powodu przenikliwego zimna, przyszli mu na myśl wszyscy starzejący się przestępcy,

którzy tam siedzieli. Gwałciciele, pedofile, mordercy. Więzienie zostało dawno temu zdegradowane z kategorii A do C, ale wielu najgorszych zbirów nadal odbywało tam karę, ponieważ zostali uznani za zbyt starych i pozbawionych sił, żeby próbowali uciec. Zepsuci od środka, zbyt moralnie zniszczeni. Nieszkodliwie źli.

Być może ci goście właśnie teraz mu się przyglądali ze swoich cel, zastanawiając się, co robi. Może po prostu czekali na śmierć, czekali na chwilę, w której będą mogli zostać pochowani u boku żołnierzy napoleońskich w ponurym kościele w Princetown, gdzie panowała tak zgniła wilgoć, że w nawie głównej chwasty i paprocie wyrastały z szerokich na pół metra kamiennych murów.

Kiedy wiele lat temu mieszkali w Princetown, Kath miała obsesję na punkcie tego więzienia, dręczyły ją koszmary senne. Adam zrobił więc wszystko, co możliwe, żeby znaleźć dla nich nowe, lepsze miejsce do życia niż Princetown. Szukał i szukał, przy ich ograniczonym budżecie, aż przyjaciel jego wujka Eddiego skontaktował go ze Spaldingami, którzy zaproponowali im wynajęcie Huckerby.

Dokonał tego. On. Adam. Głowa rodziny. Uratował ich. A teraz go oskarżano?

Emocje chwytaly go za gardło. Próbował z nimi walczyć. Spojrzał na zegarek, po czym podniósł wzrok w stronę, z której dobiegał hałas. Strumień dzieci wylewał się, chyba dość wcześnie, ze szkoły niczym wartki potok, jak radosny wodospad West Dart, torując sobie drogę ze śpiewem pod Crockern Tor, ale Adam wiedział, że będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

Ponieważ było za wcześnie.

A Lyla przestrzegała zasad. Jeśli istniały jakieś zasady albo normy, po prostu musiała ich przestrzegać, i to ściśle. W przeciwnym razie wpadała w panikę. Kolejny powód, dla którego cała ich trójka była o wiele szczęśliwsza – a przynajmniej do czasu – żyjąc na pustkowiu, w tym wiejskim, tradycyjnym długim domu, który znalazł dla nich w Huckerby, domu, w którym spędził całe tygodnie, miesiące, lata, uszczelniając go i wprowadzając udogodnienia, gdzie jego córka mogła do woli włóczyć się po wrzosowiskach, nie martwiąc się o to, że być może bezprawnie wkracza na teren prywatny i łamie zasady.

Zasady budziły w niej niepokój. Trzeba było ich przestrzegać. Szczególnie szkolną zasadę, zgodnie z którą lekcje kończyły się o piętnastej dwadzieścia pięć. Choć z jakiegoś powodu dzisiaj dzieciaki wysypały się ze szkoły o piętnastej szesnaście.

Rozejrzał się dookoła. Pozostali rodzice szybko się rozchodzili, prowadząc swoje

pociechy do samochodów.

Piętnasta siedemnaście.

Piętnasta osiemnaście.

Nauczyciel dyżurujący wszedł z powrotem do szkoły. Ostatni hodowca bydła wziął swoją chudą jak patyk córeczkę za rączkę i opuścił podwórko, po drodze kiwając głową do Adama.

– Wszystko w porządku, Adamie? Słyszałem, że idzie niezłe zimno?

Adam odpowiedział uprzejmym uśmiechem.

A teraz został zupełnie sam.

Piętnasta dwadzieścia. Zauważył jakąś ciekawską twarz, która przyglądała mu się z okna sekretariatu szkoły.

Twarz szybko zniknęła.

Piętnasta dwadzieścia dwa.

Piętnasta dwadzieścia trzy.

Piętnasta dwadzieścia cztery.

Wszyscy już poszli. Poza Adamem i zabójcami w więzieniu. W końcu Lyła pojawiła się w pomalowanych farbą drzwiach szkoły, wyglądając na puste podwórko, z wyrazem zdziwienia na twarzy, a potem, powłóczęc nogami, podeszła do ojca.

– Gdzie oni są? Dlaczego wyszli wcześniej? To niedozwolone.

Adam sięgnął po jej dłoń, ale z niepokojem przebierała paluszkami.

– Nie powinni pozwalać nikomu wychodzić wcześniej. Lekcje mają się kończyć o piętnastej dwadzieścia pięć. Próbowałam ich zatrzymać.

– Co?

– Próbowałam to powiedzieć innym dzieciom. Łamali zasady!

Adam wpatrywał się w córkę, krzywiąc się w głębi duszy, ale kiedy szli do samochodu, zdobył się na uśmiech.

– Pewnie to nauczyciel wypuścił ich wcześniej. Może nie słyszałaś... – Zawiesił głos, pełen bólu. – Co inne dzieci mówiły do ciebie? Jak zareagowały?

– Och. Jak zwykle. Śmiali się ze mnie. – Zniżyła głos niemalże do szeptu, bardziej miękkiego i smutnego niż powiewy letniego wiatru w Skaigh Woods, tak cichego, że aż serce mu się rozdzierało. – W porządku, tatusiu. Oni zawsze się ze mnie wyśmiewają, jestem już do tego przyzwyczajona. Wiesz, jak mnie nazywają?

Adam nie był pewien, czy chce wiedzieć.

– Jak cię nazywają, Lyla?

– Dziewczyna, Której Nie Ma – odparła. – Jakiś chłopak to wymyślił i teraz wszyscy to powtarzają. Jestem Dziewczyną, Której Nie Ma.

Poczuł ukłucie bólu, ostre i głębokie.

– Skarbie. – Próbował zachować najnormalniejszy ton głosu, na jaki było go stać. – Powiesz mi, jeśli ktoś by ci dokuczał, prawda?

– Ale oni mi nie dokuczają, tatusiu, oni mnie ignorują. Dlatego właśnie całe przerwy spędzam sama, obok fontanny. Albo w kącie, gdzie nikt mnie nie widzi.

– Nigdy z nikim się nie bawisz?

– Oni tak dziwnie się bawią, tatusiu. Naprawdę próbowałam to zrozumieć, naprawdę próbowałam się przyłączyć, ale oni się ze mnie wyśmiewali. – Uśmiecha się pogodnie, choć ze smutkiem, jakby gdzieś do nieba nad głową, wędrując wzrokiem za jakimś ptakiem, uśmiechając się dzielnie do czegoś, czego Adam nie potrafi dostrzec. – To nie ich wina, że nie rozumiem tych zabaw. Jeden z chłopców powiedział, że jestem jak taka wiedźma, która mieszka na skraju wsi i z którą nikt nie rozmawia. Oni żartowali, tatusiu, prawda?

Podniosła na niego wzrok, a on dostrzegł w nim dręczące ją myśli, które tak bardzo próbowała ukryć.

On tymczasem usiłował nie pokazywać swojego żalu. Dziewczyna, Której Nie Ma. To było okrutne i bolesne. I tak bardzo trafne. Czasem, kiedy patrzył na swoją piękną, ekscentryczną córkę, wspinając się z nią po wysokich granitowych skalistych wzgórzach albo stając w dąbrowie w Soussons, widział, że Lyla z przechyloną na bok ładną główką, i z na wpół przymkniętymi niebieskimi oczami słyszy nieuchwytnie dźwięki, odgłosy wrzosowiska – ryjówki pod zębami wiedźmy, motyle na wiciokrzewie. Myślał sobie wtedy, że jej tam nie ma. Że jest gdzie indziej. I nikt nie wie gdzie.

Wsiadli do land rovera. Adam uruchomił silnik i wyjechali z Princetown.

Lyla milczała. Adam spojrzał w lusterko. Wpatrywała się w coś, co trzymała w rączce. Z lekkim uczuciem niepokoju rozpoznał ten przedmiot.

Kamień wiedźmy. Wypolerowany kamień z dziurą na wylot powstałą na skutek procesu wietrzenia skał. Kamień odczyniający zło. Nie widział takiego od wielu lat.

– Skąd to wzięłaś, skarbie?

Lyla podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się w lusterku, a ona wzruszyła

ramionami.

– Skądś.

– Powiesz mi?

Potrząsnęła głową. Obracała kamień w dłoniach. W kółko.

– Wiesz, że to szczególny kamień, prawda?

Brak odpowiedzi.

Naciskał więc dalej:

– Dawniej ludzie wieszali je nad drzwiami albo kładli w specjalnych miejscach.

Wierzyli, że takie kamienie mają magiczną moc. Takie tam brednie.

Lyla mruczała pod nosem, wciąż bawiąc się kamieniem.

– Ciągłe je znajduję.

Nagle poczuł wewnętrzne napięcie.

– Gdzie? Gdzie je znajdujesz?

Znowu wzruszyła ramionami.

– W miejscach.

– W jakich miejscach?

Monosylaby zamieniły się w ciszę. Odwróciła wzrok. A on wiedział już, że nic więcej nie powie. Ani słowa przez dłuższą chwilę, ani słowa przez cały dzień. I nic się nie da zrobić. Adam wpatrywał się w krajobraz za szybą, jadąc drogą przez wrzosowiska, światło słoneczne i cienie chmur ganiały się nawzajem po szarych zboczach wzgórz, wiatr wzdychał w paprociach i wrzosach. Słabe zimowe słońce zawsze dawało takie zmienne światło – w jednej chwili błyszczało na srebrzystych kwitnących gałązkach brzoź, po czym znowu znikало, pograżając wszystko w ciemnościach.

Ta cisza była zbyt trudna do zniesienia.

– Wiesz, że twoja prababcia zbierała te szczególne kamienie?

Lyla nie odpowiedziała. Adam rozmawiał sam ze sobą.

– Znała wszystkie legendy i opowieści. Szkoda, że jej nie poznałaś. Była wspaniałą kobietą. Moja babcia. Molly Redway. Pokochałybyś ją, Lylo.

Lyla nadal milczała. Adam jechał dalej, znał tę drogę tak dobrze, że właściwie mógłby zamknąć oczy i pojechać na ślepo. Pozwolił sobie więc zanurzyć się we wspomnieniach. Miał siedem lat. Babcia Molly opowiadała mu historie w swoim przytulnym małym domku niedaleko Docombe, o którego furtkę ogrodową Adam

opierał swój rower. Czasem przyjeżdżał odwiedzić babcię ze swoimi kuzynami, Jackiem, Harrym i Neilem, ale zazwyczaj bywał u niej sam.

Bo Adam był jedynym członkiem rodziny, którego naprawdę interesowały babcine opowieści. A historie były naprawdę wspaniałe – odrywały go od nieszczęścia w rodzinnym domu. Tak wiele opowieści – o Walla Brook, strumieniu obcych, o małych jaskiniach, które wykorzystywali górnicy w okolicach Lydford, gdzie mieszkały skrzaty; i o Amicombe Hill w najbardziej mroźne zimowe wieczory. Mówiono, że w te ciche zimowe wieczory, kiedy w głębokich studniach odbijał się zakrzywiony księżyc, można było usłyszeć wycie diabła i jego wiedźm. Opowiadano także, że pewnego razu diabeł wstąpił do gospody w Tavistock w drodze do Widedcombe i zapłacił pieniędzmi, które następnego dnia zamieniły się w suche liście.

Opowieści snuły się bez końca. Każdego wieczoru inna. Opowieści o zaklęciach, o topielcach i bagnach, historie o rzece Dart, która pochłonęła kolejne życie – *Dart, Dart, co roku domagasz się kolejnej duszy*. A potem następowały te niekończące się zimowe opowieści o zjawach: o duchach rozbójników, o upiornych dłoniach, zjawach żołnierzy, o drzewach-zjawach, o duchach od Sheepstor po Lustleigh. Kiedy już skończyła opowiadać taką historię, babcia Molly śmiała się na całe gardło i zaparzała kolejną filiżankę herbaty. Adam też się zaśmiewał, czuł się bezpiecznie – przecież to wszystko było na żarty. Wszyscy wiedzieli, że te opowieści to tylko głupie bajki – pod Vixen Tor nie było żadnych wiedźm.

Już ich tam nie było.

Adam zaśmiewał się więc i jadł owocowe ciasto swojej babci, czuł się szczęśliwy i bezpieczny w jej domu, podobnie jak na farmie wujka Eddiego. Natomiast zupełnie inaczej było w jego rodzinnym domu, w którym mama płakała po cichu, trzymając w ręce jakąś butelkę, po czym zasypiała na sofie, ze śliną ściekającą na poduszkę, taty nie było całymi godzinami, a starsza siostra wyjechała, żeby pracować w Bristolu.

A potem, wiele lat później, opowiedział te historie matce Kath, ponieważ zawsze ciekawiły ją takie rzeczy. Jednak Penny Kinnersley nie śmiała się, siedząc w pubie w Chagford. Zamówiła droższe wino i słuchała z powagą wszystkich tych dartmoorskich opowieści, jakby dowiadywała się z nich czegoś ważnego. Penny Kinnersley, która lubiła obliczać horoskopy urodzeniowe i modlić się do księżyca; Penny Kinnersley, która kazała rozrzucić swoje prochy wokół grobu Kitty Jay. Tak, Penny Kinnersley wiedziałyby wszystko o kamieniach wiedźm. I o Vixen Tor.

Adam gwałtownie zaparkował samochód. Ostatni obowiązek tego dnia – miał osobiście zapłacić za drewno do kominka na zimę. Wszyscy w Dartmoor lubią zapłatę w gotówce.

Odwrócił się do swojej małej dziewczynki przypiętej pasami na tylnym siedzeniu land rovera. Położyła kamień wiedźmy na fotelu, układając go w falistej krzywej linii razem ze swoimi piórami, ołówkami i gumką do ścierania. Oczywiście tworzyły jakiś wzór. Wciąż układała wzory. Ale ten kamień wiedźm... to było coś nowego.

Skąd go wzięła?

– Muszę wstąpić do tego domu. Za sekundę będę z powrotem. Chcesz ze mną pójść?

Lyla potrząsnęła głową. Przesunęła kamień na lewo, udoskonalała wzór.

Adam gwałtownie otworzył drzwi samochodu. Panował dotkliwy chłód. Podbiegł kawałek, nacisnął dzwonek, ale stojący na pustkowiu dom Pritchardów wyglądał na pusty, wsunął więc kopertę z gotówką przez otwór na listy. Pieniądze, które zarobił. Uraza powróciła, kiedy przypomniał sobie ostatnie oskarżenie Kath. „Śledzisz mnie!” Czego ona właściwie oczekiwała? Co miał robić? Nie miał jej pilnować? Nie miał sprawdzać, co się z nią dzieje?

Tak – śledził ją, sprawdzał, obserwował. Robił to, co do niego należało, pracował w gospodarstwie, wykonywał swoje obowiązki na wrzosowiskach. Zastrzelił umierającą owcę. Rozbierał mięso. Chronił Kath przed nią samą. Ratował rodzinę. Przeprowadzał ją przez trudny czas. Ponieważ był dobrym mężem i dobrym ojcem. A czasem dobrzy ludzie muszą odwalać kiepską robotę.

Ale czasem powinni siedzieć cicho, kiedy wykonują taką robotę, nawet jeśli mają świadomość, że zostali skrzywdzeni. Jednak uraza nadal w nim wzbierała. I nie mógł nic na to poradzić. Zastanawiał się, czy to był ten moment, w którym należało powiedzieć Kath o tym, co mówiła, kiedy przyjechał do niej do szpitala, gdy była jeszcze zamroczona, zanim znowu zapadła w sen. Słowa, o których z pewnością wolałaby zapomnieć.

„Adam, przepraszam... Ten seks... nigdy go nie chciałam... Wszystko przez te oczy... obudziły we mnie wspomnienia... To moja wina”.

Ale nadal nie mogło mu to przejść przez gardło, pomimo zazdrości. To by ją pewnie całkowicie złamało. A Lyla potrzebowała teraz matki bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ zachowywała się o wiele dziwniej niż zwykle. Z kim jednak Kath uprawiała seks? I dlaczego potem wjechała samochodem do wody? Czy to w ogóle miało ze sobą

jakiś związek? Adam zastanawiał się nad tym starym samochodem. Zawsze go sprawdzał, bo auto było niemal ruiną. Ale w tamtym tygodniu był poza domem...

Mróz szczypał, kiedy Adam otworzył drzwi samochodu.

– Wszystko w porządku, Lylo?

Córka ledwie go zauważyła. Wpatrywała się w kamień wiedzim.

Oddychając głęboko, Adam ruszył wąskimi, wybrukowanymi kamieniem drogami, minął znak „Uważaj na siebie na wrzosowiskach”, przemknął ponad kościstym stukotem kolejnej metalowej kraty dla bydła – ten dźwięk sprawiał, że Lyła zatykała sobie rączkami uszy. Jechał dalej, wchodząc szybko w ostre zakręty, i raz za razem spoglądał we wsteczne lusterko. Lyła patrzyła przez szybę ponad deszczowym pustkowiem w kierunku Blackdown.

Wędrując wzrokiem za jej spojrzeniem, Adam uświadomił sobie, że córka nie patrzy bez celu w dal. Obserwowała kuca galopującego przez szare, dzikie trawy, jakieś kilkaset metrów stamtąd. Zwolnił i zapatrzył się w ten obraz razem z nią. Kochał kuce równie mocno jak ona. Zamieszkiwały te tereny już tak długo, pewnie dłużej niż ludzie. Wrzosowiska rządzą się swoimi prawami. Czasem setki dzikich kuców rozbiegają się, uciekają w popłochu, bez żadnego powodu. Adam nieraz widział to na własne oczy. I zawsze był to wspaniały widok. Olbrzymie stado uciekające galopem przed czymś niewidzialnym, jakby zwierzęta zobaczyły na wrzosowisku jakiegoś ducha, coś pradawnego, co dawno temu odeszło, co tylko kuce ze wzgórz mogą pamiętać.

Wzdrygnął się w duchu, ponieważ z dojmującym bólem powróciło do niego związane z tym obrazem wspomnienie. Kuce. Praca, która okazała się ponad jego siły. Zabijanie kuców.

Musiało to być dobre piętnaście lat temu, albo i więcej, kiedy byli jeszcze nastolatkami. Adam, jego wujek i kuzynowie – Neil, Alec, Jack, kto akurat był w pobliżu – wszyscy byli zatrudnieni do odstrzału dzikich kuców, ponieważ organizacja Natural England uznała to za konieczne. Odstrzelili mieszańce, żeby zachować prawdziwą rasę kuców z wrzosowisk i ochronić te tereny przed nadmiernym wypasem, który mógłby doprowadzić do erozji gleby. Było to przerażające zajęcie, którego nikt nie chciał się podejmować. Ale Redwayowie potrzebowali gotówki, więc makabryczny proceder leżał w ich interesie.

Jack szczególnie to lubił, ponieważ zawsze potrzebował pieniędzy. I tak oto Adam wraz ze swoim wujkiem i kuzynami wyjeżdżali na tydzień do Kes Tor, Grimspound

albo na tereny dawnych kamieniołomów, na południe od Princetown, daleko od szosy, tropili całe stada kuców, osaczając przerażone konie, klacze i ogiery w ciemnych kamieniołomach i skalistych zaułkach. A potem wychodzili, każdy ze swoim paralizatorem do ogłuszania zwierząt, i robili swoje.

Mieli wypróbowaną metodę. Okrutną i ponurą.

Najpierw wabisz konia miętą, miętową pastylką, którą kładziesz na wewnętrznej stronie dłoni, potem czekasz, aż jedno ze zwierząt uspokoi się i podejdzie poza zasięgiem wzroku stada. Później, kiedy przestanie już jeść słodycze z twojej ręki, przykładasz pistolet ogłuszający do miękkiego czoła, jakieś osiem centymetrów powyżej ślepi, tuż pod zwisającą nad czołem piękną grzywą, w miejscu znajdującym się w martwym polu nieświadomego kuca. Uroczym miejscu. I pif-paf!

Wkładali najgorsze ubrania, ponieważ kończyli pracę uwalani krwią i zwierzęcymi strzępami. Czasami trzeba było zabijać źrebaki, a wtedy klacze podbiegały i patrzyły, jak ich młode osuwają się w błoto i turzyce... i to ich nagłe, rozpaczliwe, matczyne ciche rżenie było najgorsze do zniesienia – przypominało wstrząsający lament, tylko przesycony bólem. Czasami trzeba było zabijać także matki. Te odgłosy cierpienia były nie do zniesienia.

Adam otrząsnął się z tego ponurego wspomnienia. Konia już nie było, a Lyla nie patrzyła przez szybę. Adam ruszył dalej, spoglądając we wsteczne lusterko.

– Lylo, chciałbym cię o coś zapytać.

Dostrzegł skrzywienie na jej twarzy, ale się nie odezwała.

– Dlaczego zachowujesz się wobec mnie jakoś tak dziwnie, skarbie?

Lyla potrząsnęła głową.

– Wcale nie.

– Tak – naciskał Adam. – Tak się zachowujesz. Od świąt Bożego Narodzenia i tego... yyy... wypadku mamusi. Zachowujesz się jakoś inaczej wobec mnie. Podobnie jak mamusia.

Kiedy zmienił bieg, odpowiedziała:

– Nieprawda.

– Tak robisz.

– Nie.

Daremność tych prób przypominała stąpanie po grząskim gruncie.

– Lylo, proszę. Chcę tylko pomóc. Jeśli coś cię niepokoi, powiedz nam o tym,

powiedz o tym mnie. Kochamy cię i nie chcemy, żebyś się niepokoiła. Możesz nam o wszystkim powiedzieć.

Potrząsnęła głową i w milczeniu odwróciła twarz, patrząc gdzieś poza niego, na rozległą ścianę zimowego deszczu w oddali. Odwrócona twarz skrywała błysk w jej oczach. Lyla wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości. Wkrótce skończy dziesięć lat, wkrótce będą jej kolejne urodziny, a Kath, wbrew jego radom, zamierzała zorganizować przyjęcie. Tylko kto na nie przyjdzie? Kath twierdziła, że ma już ustne potwierdzenie od tuzina rodziców, oznajmiła to nawet zaskoczonej, a potem jakże podekscytowanej Lyli. Jednak Adam uważał, że ten początkowy entuzjazm to jedynie wyraz litości tych rodziców dla dziwnej małej dziewczynki.

W swoim czasie dzieci same się temu sprzeciwią. *Nie bawimy się z nią.* A potem pojawią się, jak zwykle, odmowy, zmiany planów i przeprosiny. Sprawiając Lyli jeszcze większy ból.

Postanowił podjąć kolejną próbę.

– Lyla, jak już powiedziałem, będzie lepiej, jeśli o wszystkim powiesz. To wszystko.

– O czym?

– Powiedz nam, czy coś cię niepokoi...

– Nie, tato. Proszę.

– Co?

– Proszę, przestań mnie wypytywać. Nie chcesz tego wiedzieć. Nie chcesz tego wiedzieć!

Był zdezorientowany. Czego miałby nie chcieć wiedzieć? O czym ona wiedziała? Zastanawiał się, czy Lyla była świadkiem tego, co Kath zrobiła tamtego wieczoru? Być może była świadkiem niewierności, która stanowi klucz do tego wszystkiego. Najwyraźniej jego córka wiedziała więcej, niż była skłonna przyznać. Może to było tak straszne, że nie była w stanie o tym mówić.

– Lylo...

– Nie, tatusiu. Przestań!

Na razie dał więc sobie spokój z wypytywaniem. Zdawało się to bezcelowe, a nawet przynosiło efekt przeciwny do zamierzonego. Poza tym niemalże dojeżdżali do domu. Zachód słońca rozlany na niebie nad Hexworthy był piękny i dziki. Nasycony pomarańcz rozplływający się w czerwień i czerni. Zaparkował land rovera i ruszyli przez podwórze, brnąc w grząskiej ziemi. Po samochodzie Kath nie było ani śladu.

Lyla pobiegła przodem. Tak szybko teraz potrafiła biegać. Zawołał jeszcze do córki znikającej z jego pola widzenia:

– Pamiętaj, żeby zdjąć mundurek!

Otworzyła drzwi wejściowe i wbiegła do środka. Nigdy nie zamykali ich na klucz. Adam podszedł do bagażnika samochodu, żeby wyjąć zakupy w zapadającym zimowym zmierzchu. Dźwigając siatki z Lidla, przystanął na chwilę – córka śpiewała w kuchni jakąś piosenkę. Uwielbia śpiewać. Miała uroczy głos, chociaż zazwyczaj była zbyt nieśmiała, żeby pozwolić komuś tego słuchać. Uwielbiała wszystkie piosenki Setha Lakemana, szczególnie *The Streamers*, *Band of Gold*, a jej ulubiona to *The White Hare*.

*Wołanie białego zająca,
Jej wzrok ogniem płonie.*

Cieszył się, że nigdy nie śpiewała piosenki o Kitty Jay. Melodia była za głośna, a słowa za trudne do zniesienia. O wiele za trudne.

Jednak tym razem nie rozpoznawał piosenki – słowa były jakieś inne.

Naprawdę były inne?

Adam zabrał tyle siatek, ile był w stanie unieść, próbując wypełnić ten nudny obowiązek najszybciej, jak się dało, i szedł chwiejnym krokiem w kierunku drzwi do kuchni. Spojrzał pod nogi. Na podwórku, niedaleko drzwi wejściowych, leżał martwy szczur, szczerząc zęby w straszliwym uśmiechu, jakby zdychał w męczarniach. Bez wątplenia został otruty. Ale kto go tutaj zostawił? Akurat tutaj, przed drzwiami?

Jego dziewczynka wciąż śpiewała.

I właśnie wtedy uświadomił sobie, co śpiewa. Zimny dreszcz przeszył jego palce, ramiona i zbliżał się do struchlałego serca.

*Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy,
Błagam, błagam, nie zbliżaj się.*

Adam poczuł, jak ogarnia go irracjonalny strach. Po raz pierwszy w życiu bał się czegoś, czego nie potrafił zrozumieć, jakby słyszał jedną z tych historii, które opowiadała jego babcia, i naprawdę w nią uwierzył. Najpierw ten kamień więdźmy, a teraz to...

Lyla zaśpiewała raz jeszcze:

*Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy,
Błagam, błagam, nie zbliżaj się.*

Serce łomotało mu aż do granicy bólu. To była stara piosenka, którą kiedyś zaśpiewała mu Molly, zaledwie raz albo dwa razy. Stara dartmoorska melodia. Całkiem o niej zapomniał, i o tym, że śpiewała ją babcia. Był pewien, że nikt inny nie mógł jej pamiętać. Przypomniał sobie, jak babcia Molly opowiadała mu legendę o lśniących niebieskim blaskiem ognikach, które pojawiały się w nocy przy oknie i zapowiadały śmierć. Tę pieśń śpiewano tylko wtedy, kiedy ktoś miał niedługo umrzeć. Babcia też mu ją śpiewała, pieśń o niebieskim płomieniu w mroku nocy. Miał siedem, może osiem lat. Matka Adama zmarła kilka tygodni później. Śmierć nastąpiła na skutek nagłego, niezdiagnozowanego nowotworu, takiego, który całkowicie zżera człowieka, aż wydaje się, jakby ten nigdy nie istniał. Niczym płomień świecy zgaszony dwoma palcami. Kilka lat później jego ojciec przeprowadził się do Exeter i zamieszkał z jakąś nową kobietą, z którą zapewne przez cały czas się spotykał, a Adam zamieszkał u wujka Eddiego. I był z tego powodu zadowolony.

I nigdy więcej od nikogo jej już nie usłyszał.

Po jakimś czasie Adam zapomniał o niej i o tym, że Molly ją śpiewała. Ale teraz wszystko mu się przypomniało. Teraz jego dziewięcioletnia córka śpiewała tę samą pieśń bardzo smutnym głosem, stojąc na środku pogrążonej w mroku kuchni i patrząc przez okno na ostatni przebłysk umierającego zimowego dnia. Śpiewała pieśń o umarłych, którzy ku nim zmierzali.

*Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy,
Błagam, błagam, nie zbliżaj się.*

Tłumiąc wstrząsający nim dreszcz, Adam odwrócił się, żeby zamknąć drzwi do kuchni. A kiedy drzwi się zamknęły, martwy szczur wyszczerzył do niego w uśmiechu żółte, nagie kły.

Hexworthy

Wtorek po południu

Przyglądam się, pogrążona w swoich myślach, jak psy pędzą przed nami po otwartej przestrzeni wrzosowiska. Pełen wigoru spacer. Emma Spalding przyszła na ten spacer ubrana lepiej ode mnie – markowe kalosze Hunter, zielona kurtka marki Barbour, gruby szal. Wygląda na prawdziwą kobietę ze wsi, wysoka i tęga, koło pięćdziesiątki, przechadzała się po wrzosowiskach z taką pewnością siebie, jakby była właścicielką całego terenu – od Ashburton po Bridestowe.

Mam na sobie dzinsy i poprzecierane buty turystyczne, które przemakają. Nie stać nas na nowe, ale mam to gdzieś. Dobrze jest wyjść z domu. Cały wczorajszy dzień spędziłam na projektowaniu zaproszeń na przyjęcie urodzinowe Lyli. Już dawno dzwoniłam z zaproszeniami, i odzew był bardzo pozytywny, ale chciałam teraz wszystkim przypomnieć o imprezie, zrobić to oficjalnie. Długie godziny zajęło mi narysowanie na laptopie ptaszków i rybek, które byłyby w stylu Lyli, próbując przypomnieć wszystkim, że moja córka jest nie tylko tą dziwną, skąpowaną dziewczynką, której nikt nie lubi, ale też wyjątkową, wartościową, zabawną, uroczą osobką, jeśli tylko ktoś da jej szansę. Potem włożyłam wszystkie zaproszenia do kopert, ponaklejałam znaczki i zawiozłam na pocztę w Princetown. Odmówiłam jeszcze krótką modlitwę, wsuwając je do otworu skrzynki na listy. Zaprosiłam właściwie wszystkie dzieci z jej szkoły, trzydzieścioro albo czterdzieścioro dzieciaków, w nadziei że przyjdzie przynajmniej ośmioro albo dziewięcioro spośród tej dwunastki, której rodzice od razu przyjęli zaproszenie.

Podnoszę teraz wzrok. Emma żwawo maszeruje. Przyśpieszam kroku, żeby ją dogonić, przemierzając zamaszystym krokiem pofalowane wzgórze obrosnięte paprociami. Widzę stąd kryte strzechą dachy domów we wsi Hexworthy, pobielone wapnem ściany gospody Forest Inn. W oddali dostrzegam wzniesienia Buckland Beacon, z kamiennymi płytami Dziesięciu Przykazań, słowami Boga wyrytymi dawno temu w granicie przez jakiegoś nawiedzonego właściciela ziemskiego.

Nie zabijaj.

Kiedy idziemy, patrzę na Beacon. Przypominam sobie ten czas, kiedy jako nastolatka przez kilka lat chodziłam do kościoła. Myślę, że robiłam to wyłącznie po to, żeby wkurzyć moją matkę – taki nieudolny akt buntu. Chrześcijaństwo! Religia Abrahama! Patriarchat! Mama była stosownie oburzona – zapewne wołałaby, żebym wywoływała demony. Albo tańczyła nago wokół kamieni w Scorhill, podobnie jak ona ze swoimi przyjaciółmi z Totnes.

A jednak teraz moje wspomnienia z tamtego okresu, moje chodzenie do kościoła, moje uderzanie w tamburyn, zaczynają mnie prześladować. Przypominają mi, że jestem śmiertelnym grzesznikiem. Osobą, która próbowała popełnić samobójstwo.

Należy pamiętać o tym, że Porządek Pochówku Zmarłych nie przysługuje osobom, które podniosły rękę na własne życie...

– Kath? Jesteś z nami, moja droga?

Odwracam się do Emmy i zmuszam się do uśmiechu.

– Tak. Zastanawiałam się tylko, gdzie przepadły psy. Aha, popatrz, to Randal!

Wołam go, ale pies ignoruje mnie i idzie dalej, nadstawiając uszu. Zapewne wyczuł jakiegoś królika albo zająca. Albo powróciło do niego jakieś psie wspomnienie zapachu, coś, co dawno zostało zapomniane.

– Te twoje psy chodzą swoimi drogami – stwierdza Emma Spalding. – Chyba że są w towarzystwie Lyli. – Śmieje się rubasznie. – Wystarczy jedno jej słowo, jakby była Królową Elfów.

Kiwam głową, oglądając się za siebie. Ostatnio tak robię – rozglądam się po wrzosowisku, jakby coś miało nas zaatakować, nagle i zdecydowanie. Ale teraz wydaje się tylko, że zanoszą się na deszcz – czarne chmury formują zimowe regimenty.

– Dziękuję za towarzystwo, Emmo, pogoda dzisiaj nie jest zbyt ładna.

– Nie przejmuję się tym – odpowiada. – Wspaniale jest chwilę pobyć poza gospodarstwem. Całe rano spędziłam, rozmawiając przez telefon. Próbowałam zdobyć pozwolenie na wypalanie traw. Nie masz pojęcia, jak trudno je uzyskać! – Przybiera komiczny oficjalny ton głosu, przedrzeźniając jakiegoś sztywnego urzędnika państwowego: – „Na terenach porośniętych czarną jagodą, których powierzchnia przekracza dwadzieścia hektarów, można wypalać trawy raz na siedemdziesiąt osiem miesięcy”. – Uderza krzew kolcolistu swoim kosturkiem. – Niczego nie rozumieją. Miejscowi zajmują się tymi wrzosowiskami od tysięcy lat. To my stworzyliśmy te

wrzosowiska, a tu pojawiają się ludzie z Departamentu Środowiska i twierdzą, że wiedzą lepiej! Też coś! Spójrz na te wszystkie wrzosi zwyczajne, przecież trzeba je wypalić. – Czuć lekki wiaterek i Emma odgarnia siwiejące włosy z oczu. –

Przepraszam, Kath! Znowu się wkurzam, ech! Prowadzenie gospodarstwa na tych wrzosowiskach jest tak cholernie trudne. Ale Kochamy to, prawda?

– Tak, tak. Kochamy. – Chciałabym zgodzić się z tym bardziej szczerze, ale w głowie dzwoni mi głos córki.

Lyla nienawidzi tego wypalania traw, czasami nawet przez to płacze – bo wtedy giną zwierzęta, mniejsze ptaki, a kiedy spacerujesz potem przez ten wypalony krajobraz wrzosowisk, wszędzie widać czerń i człowiek cały jest w tym popiele, w popiele spalonych martwych istnień.

– Kath?

– Przepraszam...

Jestem roztargniona w dwójnasób – myślę o Lyli i jednocześnie przeczesuję wzrokiem trawę w poszukiwaniu śladów naszych żywiołowych, aczkolwiek śmiertelnych psów. Słyszę, jak szczekają, ale ich nie widzę. Pewnie już w połowie spenetrowały tę czy inną norę, osaczając jakąś przerażoną królicę. W Dartmoor typowe dla natury okrucieństwo zawsze daje się we znaki, nawet podczas codziennego popołudniowego spaceru.

– Chciałaś mnie o coś zapytać – przypomina Emma, kiedy jeden z psów, Randal, pojawia się w zasięgu wzroku, po czym znowu znika, zajadle szczekając.

– Tak. – Sztywnieję, przywołując moje coraz bardziej słabnące postanowienie. Muszę to zrobić. Oczyszczyć te wody. Odsłonić skaliste wzgórza i pagórki. Wierzę, że mi się to uda. Ale potrzebuję więcej pomocy, więcej faktów. – O tamten dzień... dzień, w którym... – Przełykam cierpki smak wstydu i zażenowania. – Dzień, kiedy to zrobiłam.

Emma patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem.

– Mówiąc szczerze, Kath, zastanawiałam się, czy w ogóle o to zapytasz.

– W porządku – odpowiadam. – Czy możesz mi powiedzieć, proszę, jak wyglądałam, kiedy tamtego dnia do ciebie wstąpiłam?

– Ale o której godzinie?

Przystaję i wpatruję się w nią skonsternowana.

– Nie rozumiem... Co masz na myśli?

– Tamtego dnia przyszedł do nas dwa razy. Wytrzeszcza oczy w odpowiedzi na moje tępe spojrzenie. – Nie pamiętasz?!

Ogarnia mnie niemoc. Kolejna rzecz zagubiona na dnie przepastnych szuflad mojej matki. Kolejny słoik miodu Manuka, o którym zapomniałam, że w ogóle go posiadam.

– Nie, nie pamiętam. O Boże, to wszystko mnie przeraża. Powiedz mi, proszę... Próbuję połączyć to wszystko w całość.

– Dobrze. Może usiądziemy tutaj i schowamy się przed wiatrem, co? Twoje mieszańce charta z owczarkiem szkockim pewnie w końcu się pojawią. – Wskazuje palcem na półkę skalną odsłoniętego granitu, część niskiego wzgórza po lewej stronie.

Siadamy na zimnym, wilgotnym kamieniu, a ja zamieniam się w słuch. Słucham uważnie. A ona opowiada:

– Koło południa Lyla przysłała do nas, sama, z Felixem i Randalem. Zadzwoiłaś do mnie wcześniej i zapytałaś, czy może przyjść. Powiedziałaś, że masz jakieś zakupy do zrobienia czy coś takiego. W Tavistock, tak? W każdym razie Lyla nie chciała z tobą jechać.

Kiwam głową – brzmi sensownie. Lyla nie lubi dużych miast, irytującego tłumu ludzi. Kiedyś dostawała niemych ataków złości przed wejściem do dużego sklepu i zamykała się w sobie. Sztywniała z przerażenia. Przybierała pozycję embrionalną i nie ruszała się z miejsca. Czasem musieliśmy ją podnosić z ziemi i siłą pakować do samochodu.

– Jak długo Lyla... – Bardzo chcę dopasować te nowe informacje do tych, które już mam, choć nie bardzo wiem, jak je ze sobą pogodzić. – Jak długo była u was za pierwszym razem?

– Kilka godzin. Może cztery. Wyrzucałyśmy razem gnój ze stajni. Było miło. Wyjechaliśmy z George'em na święta Bożego Narodzenia i wróciliśmy zaledwie dzień wcześniej, więc bardzo się za nią stęskniliśmy!

– A kiedy już zrobiłam te zakupy, przyjechałam ją odebrać, tak?

Emma potwierdza.

– Tak.

– Niezupełnie to rozumiem...

Emma mówi, bardzo cierpliwie:

– Tamtego dnia zostawiłaś u nas Lylę dwukrotnie. Najpierw po południu, a później wieczorem.

Potrząsam głową, patrząc na krzewy kolcolistu. Zdaje się, że jakiś gospodarz wypala już trawy w kierunku Scorrison. Widzę kłęby białego dymu, długą, cieniutką smugę pomarańczowego ognia. Wyobrażam sobie Lylę, jak na to patrzy, wyobrażam sobie, jak myśli o tych wszystkich małych zwierzątkach z wrzosowiska, o polnych myszkach spalonych żywcem, o ptaszkach schwytych w sidła ognia.

Moja konsternacja jest równie głęboka jak dartmoorskie kopalnie. Jeśli podrzuciłam do nich Lylę raz, to nie mam pojęcia, dlaczego, na Boga, miałabym to zrobić powtórnie, prosząc Emmę o tak wiele. Spaldingowie są dla nas bardzo życzliwi. Kiedy Adam zachorował, o połowę obniżyli nam czynsz. Nie chcę nadużywać ich uprzejmości. Odwracam się do Emmy.

– Czyli wieczorem znowu przywiozłam Lylę? Jak wyglądałam?

Kolejna chwila niezręcznego milczenia, zupełnie nie w jej stylu. Moja przyjaciółka milczy. W przeciwieństwie do mnie.

– Emma, proszę, muszę wiedzieć. Próbowałam to zrobić, tę okropną rzecz. I nie pamiętam dlaczego. Bez względu na to, co usłyszę, muszę to wiedzieć. Już gorzej być nie może.

– Cóż, kochana – odpowiada cicho. – Przez cały tamten dzień byłaś... hmm... trochę dziwna. Nieobecna duchem. Tak to się mówi?

Wiatr szumi w paprociach, niespokojny i niecierpliwy. Jakby czekał na coś złego, co ma się wydarzyć. Emma uśmiecha się niepewnie, pocieszająco.

– Byłaś rozdrażniona, Kath. Wiedziałam, że od świąt byłaś sama z Lylą. Wiedzieliśmy, że Adam wyjechał, więc złożyłam twoje zachowanie na karb tego wszystkiego. Samotności i odosobnienia. Po drugim dniu świąt zaczął padać rześisty deszcz, a kiedy wróciliśmy do domu, miejscami było widać podtopienia. Raybarrow przypominała Kanał Bristolski.

– Ale ja umiem sobie radzić z deszczem. I często zostaję sama z Lylą. Lubimy siedzieć sobie we dwójkę w Huckerby. Nie rozumiem, dlaczego miałabym być rozdrażniona.

Szarobiały dym z wypalanych traw przesłania widok. Nic nie widzę. Nic nie widzę.

– Emma, musi być coś jeszcze. Co mówiłam? Jak wyglądałam? Powiedz mi coś, cokolwiek...

– Dobrze, Kath, skarbie. – Kładzie dłoń na moim ramieniu matczynym gestem. – Wyglądałaś na rozdrażnioną, ale także na odrobinę... cóż... podekscytowaną.

Moja konsternacja rośnie. Otwieram usta, ale nie odzywam się ani słowem. Między nami zapada cisza, aż w końcu Emma czuje się zmuszona, żeby mówić dalej.

– Chodzi o to, że wyglądałaś raczej na oszołomioną, infantylną, szczególnie za pierwszym razem, kiedy przyszłaś odebrać Lylę o szesnastej. Zdaje się, że wypijałaś jakiś alkohol. Dostrzegłam ślady po winie na twoich ustach. – Wzrusza ramionami z zakłopotaniem. – Ale nie byłaś pijana. Raczej, no wiesz, tak jak powiedziałam, podekscytowana.

O czym ona mówi?

– A za drugim razem – rozpaczliwie brnę dalej – kiedy znowu przywiozłam Lylę? Jakie wtedy sprawiałam wrażenie?

– Wyglądałaś bardziej elegancko.

– Przebrałam się?

– Tak, miałaś na sobie nową bluzkę... hmm, eleganckie botki i nowe dzinsy.

– Co?

– Posłuchaj, Kath. To nie ma absolutnie nic wspólnego ze mną. Jesteś moją przyjaciółką. Nie mam zamiaru nikogo oceniać, a szczególnie ciebie czy Adama. Każde małżeństwo jest inne, każde małżeństwo jest trudne. Bóg jeden wie, jak bardzo się od siebie z George'em różnimy. – Wstaje. – Naprawdę powinniśmy już iść. I psy już są, w samą porę.

Felix i Randal pędzą z powrotem, klapiąc radośnie uszami.

Nie mogę tak tego zostawić. Kiedy wędrujemy z powrotem do Huckerby, znowu naciskam.

– Emma, miałaś zamiar mi jeszcze coś powiedzieć?

Milczy.

– Emma, proszę, jestem bliska szaleństwa. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Bez względu na to, jakie to będzie bolesne, niewiedza jest gorsza.

Wzdycha, uderzając raz po raz krzaki kolcolistu swoim kosturkiem, jakby chciała je połamać.

– Muszę wracać – mówi. – Konie same się nie nakarmią!

Rozmowę przerywa nam głośne dyszenie z mojej lewej strony, które każe mi się odwrócić. To Felix. Ma krew na zębach. Musiały z Randalem dopaść jakiegoś królika, pożreć jego nogę albo oko, a potem zostawić zwierzę wykrwawiające się na śmierć. Albo po prostu je zabiły. Wszystko jest zbrukane krwią. A mnie zostało niewiele czasu.

Adamowi podoba się, że psy polują. Że zabijają.

Adam, Adam, Adam. Czy to on jest tym człowiekiem z wrzosowiska, czy też ktoś inny przyszedł wtedy na spotkanie ze mną? I co mi ten ktoś zrobił?

Nie mam pojęcia. A wkrótce muszę stawić czoła przyjęciu urodzinowemu mojej córki. Narasta we mnie lęk i konsternacja, osaczają mnie niczym ciemne głębiny. Czuję się, jakby wszystko mnie śledziło – psy, ptaki. Nie, przecież to niemożliwe. Muszę wziąć się w garść, wstrzymać oddech i uciec z tamtego samochodu, który pogrąża się w mroku.

Znowu biegnę, żeby dogonić Emmę, a potem biorę ją za rękę.

– Proszę, Emmo. Proszę. Powiedz mi wszystko. Muszę wiedzieć. Inaczej oszaleję.

Wzdycha ciężko, ale kiwa głową.

– Dobrze. Zgoda. Tylko proszę, nie wbijaj sobie nic do głowy, Kath! Jak już wspominałam, zachowywałaś się dziwnie, jakbyś była czymś oszołomiona, mówiłaś sama do siebie... Nie wiem, nie mam całkowitej pewności, ale mruczałaś coś pod nosem...

– Co mruczałam pod nosem?

– Wyglądałaś na zdenerwowaną. Powiedziałaś, że rozmawiałaś z Adamem... albo że musisz się z nim zobaczyć... Coś się wydarzyło.

– Co?

– Nie mam pojęcia. Ale powiedziałaś, że masz się z kimś spotkać. Wspomniałaś o Two Bridges. O hotelu Two Bridges.

Wiatr zamiera. Dokładnie we właściwym momencie.

Patrzę na nią.

– Z kim? Z kim miałam się spotkać?

Emma z trudem na mnie patrzy. Spogląda gdzieś ponad moim ramieniem, jakby mogła dojrzeć wybrzeże w Brixham, i w końcu się odzywa:

– Z bratem. Powiedziałaś, że masz się spotkać ze swoim bratem.

Myśli kłębią mi się w głowie. Wiatr porywa uschłą paproć i ciska nią w powietrze.

– Z moim bratem? Ale przecież on był w Londynie. Adam wyjechał, a ja miałam się spotkać z Danem? Moim bratem?

Emma idzie dalej, a ja stoję w miejscu. I myślę.

Daniel Kinnersley. Mój brat. Ten, który nie lubi Adama. Ten, który dostał dom. Ulubieniec mojej matki. Mój przystojny, bogaty i szczodry brat, o którego czasem,

wbrew sobie, bywam zazdrosna.

Dlaczego miałabym być podekscytowana spotkaniem z nim?

Nic tutaj się nie zgadza, a jednak najwyraźniej mam wszystkie części układanki. Albo jest w to wszystko zamieszany jeszcze jakiś inny mężczyzna, albo istnieje taka strona mojego brata i mojego męża, o którą nigdy bym ich nie podejrzewała.

A teraz zaczynam podejrzewać. I to obu.

Salcombe

Wtorek wieczorem

Tessa przyglądała się, jak mąż dolewa sobie wina. Daniel Kinnersley obserwował ją, jak mu się przygląda.

– To Imperial Reserva. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby zwietrzało. – Obrócił butelkę na stole w jadalni, żeby pokazać jej etykietę. – Spójrz! Compañía Vinícola del Norte de España! Rocznik dwa tysiące czwarty! Takie rzeczy serwują w niebiosach.

– Trzymam cię za słowo – odparła, uśmiechając się i biorąc łyk swojego białego wina.

Tessa nie lubiła czerwonego wina, ale za to lubiła entuzjazm Dana. Uwielbiała jego determinację, głód, ambicję, apetyt na świat i na nią. Przebywanie z Danielem było ekscytujące i podniecające. Wiele małżeństw obywało się bez seksu – wiedziała wystarczająco dużo na ten temat, by mieć świadomość, jaką jest szczęściarą.

– Hej – powiedział – pozwól, że posprzątam te talerze. Spędziłaś dobre kilka godzin, przygotowując pyszną kolację, więc wydaje się uczciwe, żebym poświęcił trzy do czterech minut na załadowanie zmywarki.

Zniknął w kuchni, niosąc talerzyki deserowe z resztkami tiramisu. Pogwizdywał.

Tessa usiadła wygodnie, częściowo przekonana. Chłopcy poszli już spać, gotowi na jutrzejszy wczesny lot. Skorzystali więc z Danem z okazji, żeby zrobić sobie prawdziwą kolację przy świecach, ze srebrnymi sztućcami, dobrym winem i stekami z miecznika w sosie z kaparów. Nigdy nie robiła ryby według tego przepisu, a teraz musiała stwierdzić, że danie okazało się zdecydowanym sukcesem.

Świat wydawał się całkiem przyjaznym miejscem. Duży dom cały lśnił. Przez okna jadalni piękne światła zatoki w Salcombe błyszczą jasno w aksamitnym zimowym mroku. Byli spakowani – słońce na Wyspach Kanaryjskich kusilo, a w drodze powrotnej mieli jeszcze spędzić weekend w Disneylandzie pod Paryżem. Mieli lot nazajutrz o dziesiątej rano, więc musieli wyjechać koło szóstej. Ale podróż była tego warta. Słońce w zimie!

Jedynym zmartwieniem była ta uporczywa myśl, której nie mogła się pozbyć. Kath.

Porzucona w tym wynajętym domu niczym rozbitek na wrzosowiskach. Kath. Zmuszona zorganizować przyjęcie urodzinowe dla swojej samotnej córeczki. I jeszcze to dręczące, uciążliwe kłamstwo – Dan, który twierdził, że wracał z Londynu samochodem, podczas gdy Tessa wiedziała, że jechał pociągiem.

Pogwizdując radośnie, Dan wrócił do jadalni, usiadł przy błyszczącym mahoniowym stole i wychylił resztę czerwonego wina, wzdychając z rozkoszy. Ospałym i swobodnym gestem sięgnął za siebie po kolejną butelkę.

– Tak, tak, tak. To druga butelka. – Uśmiechnął się psotnie. Bez troski. – Wiesz o tym, że Winston Churchill wypijał dziennie dziewięć litrów whisky i wiaderko piołunówki, a mimo to został papieżem? Zaraz po locie na Księżyc?

Wbrew sobie zaczęła chichotać i poczuła pragnienie, żeby go pocałować. Ale potem znowu pojawiła się ta dręcząca myśl. Kath. Jak mogła czuć się szczęśliwa i zadowolona, jak mogła żartować sobie z mężem, siedząc tutaj, w tym ogromnym domu, przy smacznym jedzeniu i w dobrym humorze, u progu zimowych wakacji, kiedy druga część rodziny Dana była pogrążona w chaosie i niedoli?

I jeszcze ta biedna mała dziewczynka.

I ten ponury, czasem groźny mąż.

– Dan... – Przyglądała się, jak ekstrawagancko odkorkowuje drugą butelkę, wacha korek, uważnie napełnia kieliszek do połowy. Wino wydawało luksusowy dźwięk, kiedy je nalewał: ten bulgocący dźwięk pieniędzy, dźwięk sukcesu Dana jako inwestora budowlanego, dźwięk ich szczęścia. Być może nadmiaru szczęścia. – Dan, czy myślisz, że moglibyśmy zrobić więcej, żeby pomóc Kath? Oni są w takiej sytuacji... Nie możemy jeszcze czegoś zrobić?

Spojrzał na nią przeszywającym wzrokiem.

– Na przykład czego?

– Nie wiem. Zapłacić za terapię. Cokolwiek.

– Nie istnieje taka terapia, sama to powiedziałaś. – Westchnął. – Nie możemy chociaż przez jeden wieczór o tym nie rozmawiać? Czy ty nigdy nie dasz sobie z tym spokoju?

– Dan, to twoja siostra! Martwię się o nią. I o Lylę. Próbuję im pomóc. Adam poprosił mnie, żebym się w to zaangażowała, a i ty powiedziałaś, że to dobry pomysł, żebym właśnie ja przekazała jej złe wieści. – Tessa podniosła rękę w geście protestu, kiedy Dan chciał jej przerwać. – Nie możemy tak tego zostawić. Wspomnienia powrócą

i to może być potworne. Bez względu na to, co doprowadziło ją do próby samobójczej. A co, jeśli znów się złamie? Co jeśli już ma kolejne, jeszcze głębsze załamanie nerwowe? Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiła, zanim powracające wspomnienia zadadzą jej cios.

Spojrzał na nią oczami zamglonymi alkoholem, a jednak nadal jasnym wzrokiem. Cynicznym.

– Dobrze. Jasne. Niech ci będzie. – Ziewnął. – Ale, Jezu, Tessa, to ciągle wtrącanie się, te bzdety w stylu Sherlocka donikąd nas nie zaprowadzą. Dlaczego tam pojechała? Kto, kiedy i co zrobił? Czy to komuś pomoże? – Potrząsnął głową. – Może powinniśmy wszyscy uznać, że zwariowała. Ma sporo szczęścia, że w ogóle żyje, że może żyć dalej.

– Skończę, Dan, skończę z moim... – dwoma palcami zrobiła znak cudzysłowu w powietrzu – ...,wtrącaniem się”, kiedy tylko zbadam wszystkie możliwości.

Dan westchnął.

– Dobrze, kochanie. Wszystko jedno.

Skosztował wina i pokiwał głową sam do siebie, zadowolony z głębi smaku.

Tessa siedziała po drugiej stronie stołu i się przyglądała. Mężczyzna rozkoszujący się słodyczą życia. I dobrze, pomyślała. Mimo wszystko na to zapracował. Zaharowywał się na śmierć, kiedy był młodszy, tworząc firmę. Siedem dni w tygodniu, prawie nie widywał chłopców. Teraz miał pracowników i firma nie wymagała od niego tyle uwagi, więc po powrocie do domu zrzucał buty, przeciągał się i był lepszym ojcem. Piłka nożna w weekendy, porządne wakacje. Jutro lecą na Wyspy Kanaryjskie, willa z dużym basenem z błękitną wodą. Mieli takie szczęście. Może zbyt duże. Znowu dopadły ją te myśli.

– Dan, czy kiedykolwiek miałeś poczucie winy z powodu tego, że matka zapisała ci ten dom, podczas gdy Kath właściwie nie dostała nic?

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie.

– Słucham?

– Ten dom. Mieliśmy dobry start w porównaniu z Kath i Adamem. Czy miewasz w związku z tym poczucie winy?

Przyjrzał się jej spokojnie. I skinął głową.

– Dobrze. Tak, mam poczucie winy w związku z tym domem. Oczywiście, że tak to czuję. Chociaż jednocześnie jestem ciekaw. Może matka miała swoje powody...

– Powody?

- Osobiste powody.
- Na przykład jakie?

Mąż beztrąsko ją zignorował. Podniósł właśnie kieliszek, żeby przyjrzeć się rubinowej barwie wina na tle płomienia świecy.

– Wyjątkowa – powiedział. – Dość rzadki szczep. Tempranillo, Graciano. Mazuelo. Niczym poezja pod postacią alkoholu.

Tessa przerwała mężowi.

– Dan? Co to znaczy, że „miała powody”?

– Bo kto, do cholery, wie, dlaczego matka tak zdecydowała? Mogła mieć całą masę powodów. Taka była, na tym polegał jej urok. Była roztrzepana. Może rzeczywiście wydawało jej się, że akcje, obrazy i te odrażające starocie były warte tyle samo co dom, kto ją tam wie? Pod koniec życia pomieszało jej się w głowie, miała totalny mętlik, malowała się na pomarańczowo na Goa, umierała na raka, mówiła o diable. – Potrząsnął głową i odstawił kieliszek na stół. – Poza tym, kochanie, naprawdę próbuję dawać im pieniądze, pomagać, ale Adam jest zbyt dumny. Po prostu ich nie przyjmuje. I ja go za to szanuję i będę szanować. Co jeszcze w tej sytuacji mogę zrobić?

Tessa skinęła głową. Mówił prawdę. Cóż jeszcze mogli zrobić poza tym, co już robili? W trakcie choroby Adama potajemnie dali Kath trochę gotówki, żeby pomóc, ale dalej już nie mogli się posunąć. Kath się to nie podobało. A Adam wpadłby we wściekłość, gdyby się zorientował, że wspierają ich finansowo. Wzajemna niechęć pogłębiłaby się jeszcze bardziej.

Wypiła kolejny łyk Sauvignon Blanc. Myślała o matce Dana, o jego rodzinie. I znowu o Kath.

Dan sięgnął ręką przez stół i splótł jej palce ze swoimi.

– Hej, skarbie, posłuchaj. Wiem, że martwisz się tym wszystkim, ale Kath jest twarda, twardsza, niż ci się wydaje. Naprawdę. Nic jej nie będzie.

– Właśnie o to chodzi, jest twarda, jest bystra. Nie rozumiem tego. Dlaczego miałyby coś takiego zrobić? Coś tak potwornego?

Skrzywił się z widocznym rozdrażnieniem. Ich palce nadal były ze sobą splecione.

– Może dopadł ją jakiś kryzys w czasie Bożego Narodzenia. Trudno byłoby ją nawet winić... Ta pieprzona pogoda na wrzosowiskach, te niekończące się zimy. Sam bym się powiesił jeszcze w listopadzie. – Ścisnął ją za rękę. – Czy możemy już o tym nie rozmawiać? To się staje męczące. Możemy już się odmeldować i pójść do łóżka?

- Jest dziesiąta wieczór.
 - Mogę cię przelecieć w kuchni, jeśli wolisz.
- Znowu ją rozśmieszył. I podniecił. Tessa uśmiechnęła się szeroko.
- Pozwól, że wypiję wino, ty okropny kusicielu.
 - Masz dziesięć minut.

Miała zaćmiony umysł. To wino, ten pomysł z seksem mąciły jej w głowie. Pamiętała, że miała zadać jeszcze jedno pytanie. Dlaczego kłamał w sprawie swojej podróży powrotnej, kiedy jechał do Kath do szpitala. Przecież tak naprawdę wracał pociągiem. Tak. To kłamstwo. Dlaczego kłamał? Ale miała zamroczony umysł i dobry humor. No i przecież to nie miało większego znaczenia, mogło poczekać.

A jednak nie mogło.

- Dan, jest jeszcze jedna sprawa, o którą chciałam zapytać.
- Mhmm?
- O ten dzień, kiedy... no wiesz... znaleziono Kath, a ty pędziłeś jak szalony do szpitala...

– Mhm. – Zatykał butelkę korkiem.

– Chodzi o to, że jechałeś samochodem jak szalony, ale nie rozumiem, jakim sposobem... – Żałowała, że wypila ten trzeci kieliszek. Ale musiała brnąć dalej, skoro już zaczęła. – Rzecz w tym, Dan, że nie pojechałeś do Londynu samochodem, nazajutrz po drugim dniu świąt, tylko pociągiem. Pamiętasz? Rozmawialiśmy na ten temat. Chciałeś uniknąć korków na autostradzie. Zostawiłeś tutaj samochód. Jakim więc sposobem mogłeś wracać stamtąd samochodem?

Dan był odwrócony do niej plecami i sprawdzał, czy dobrze zakorkował wino. Powoli odstawił butelkę na półkę z tyłu za sobą. Teraz odwrócił się i uśmiechnął.

– Jechałem z Alexem Delaneyem. Jednym z deweloperów z Truro. Ma cholernego astona martina i dał mi go poprowadzić! – Dan się roześmiał. – I tak jechał tutaj samochodem, więc pomyślałem sobie, że będzie szybciej niż pociągiem. Przypomnij mi, żebym kupił sobie astona martina, kiedy skończę pięćdziesiąt osiem lat. To niemal lepsze niż seks. Niemał, kochanie.

Czy on kłamał? Znowu? Tak podejrzewała. Trudno jej było odpowiedzieć na to pytanie. Może w ogóle nie chciała na nie odpowiadać. Może powinna to zostawić w spokoju. Miał rację. Jutro z samego rana wyjeżdżają na wakacje. Słońce, drinki i chłopcy zaśmiewający się w basenie.

Przyciągnął ją do siebie i ich usta się spotkały. Przy drugim pocałunku poczuła, jak jej wątpliwości się rozwiewają. Usłyszała dźwięk swojego telefonu, wibrującego na stole. Nawet z tej odległości dostrzegła napis KATH na ekranie. Może jednak najwyższy czas, żeby zapomnieć o szwagierce na tydzień albo i dwa. Zadzzwoni do niej, jak wrócą z wakacji.

Tak. To był czas, by poświęcić się swoim synom, swojemu mężowi i jego pocałunkom. A on wiedział, jak ją całować. Dan Kinnersley zawsze wiedział, jak ją całować. Była szczęśliwą żoną. Naprawdę miała wszystko. Dlaczego więc miałyby to burzyć?

Tessa nie chciała, żeby przestał ją całować. Zaciągnął ją do kuchni. Prawie zaniósł. Wciąż ją całował, z dużą wprawą, nawet wtedy, kiedy ją rozbierał. Przycisnął Tessę do lodówki, a potem podniósł i posadził na marmurowym blacie. Bardziej energicznie niż zwykle, o wiele bardziej.

Jakby chciał, żeby zapomniała, o czym rozmawiali.

Hotel Two Bridges

Sobota rano

Siedzę w samochodzie przed hotelem, czytam mejle i przyglądam się, jak pierzchają moje ostatnie nadzieje.

Droga Kath, z przykrością muszę napisać, że Daisy naprawdę kiepsko się poczuła dzisiaj rano, więc...

Cześć K, przepraszam, że tak późno daję znać!!! Siostra Nancy ma lekcje baletu i...

Nancy chciałyby pójść, a w tym samym czasie są te drugie...

I jeden komicznie formalny:

Droga Pani Redway, z żalem zawiadamiam, że Gabriella, wbrew naszym wcześniejszym nadziejom, nie może przyjąć Pani łaskawego zaproszenia na urodziny córki...

Nie przejmuję się nawet formą ostatniego stwierdzenia. Wystarczy mi sam przekaz: *Tak bardzo mi przykro...*

Wyłączam telefon w cichej rozpacz, wpatrując się w hotel i ten mały most z kamiennych płyt, odnowiony Georgian Bridge. Hotel Two Bridges, w samym środku wrzosowisk. Ten rozpadający się, liczący trzysta lat hotel, otoczony surowym krajobrazem wrzosowisk, położony centralnie przy lokalnej drodze pośród ponurej dzikiej natury, nad szemrzącą rzeczką West Dart, niegdyś był centrum życia w Dartmoor. Na podwórzu zatrzymywały się dyliżanse pocztowe, farmerzy, którzy przyjeżdżali konno, i nieustraszone podróżniczki w brzoskwiniowych albo liliowych jedwabnych botkach, którym w powozach jednokonnych towarzyszyli szwajcarzy w liberii, w wysokich butach z cholewkami. Teraz to miejsce stanowi punkt spotkań grup turystycznych i indywidualnych turystów, miłośników ptaków i entuzjastów sportów ekstremalnych. Stary hotel z witrynami pełnymi wypchanych bażantów

i starych tykających zegarów z Widecombe oraz szkła z monogramami królowej Wiktorii, to dobre miejsce na przyjęcie dla dziecka. Tyle że nie będzie żadnego przyjęcia.

Liczę, ile osób odmówiło, ile zmieniło zdanie, a ile przyjęło zaproszenie. Jeszcze kilka dni temu zostało tylko sześcioro dzieci, i był to całkiem przyzwoity wynik, bynajmniej nie oszałamiający, ale też nie żałosny. Ale biorąc pod uwagę wszystkich, którzy odwołali przybycie w ostatniej chwili (czyżby spotkali się i zdali sobie sprawę z tego, jakie dziwne i smutne mogłoby być to przyjęcie – czy wszyscy zmówili się, żeby nie przyjść na urodziny tej zwariowanej dziewczynki?), w tej chwili mamy zaledwie dwoje dzieci, które przyjęły zaproszenie. Dokładnie tak, jak spodziewał się Adam.

A co, jeśli nikt nie przyjdzie? Upokorzenie będzie potworne, nie do zapomnienia. Ale teraz jest już za późno, żeby odwołać przyjęcie. Zrobiłam specjalne zaproszenia, przygotowałam małe, zapakowane w torebki prezenty dla sześciorga dzieci. Teraz dwoje z nich dostanie po trzy torebki z prezentami.

Pod warunkiem że w ogóle się pojawią.

Wysiadam z samochodu i trzymając mocno na wodzy swoje emocje, ruszam do hotelu, niosąc tort z napisem: „OMG masz dziesięć lat!”, który upiekłam poprzedniego dnia. Jest ozdobiony różową polewą i mnóstwem lukrowych ptaszków i zajaczków, których wykonanie zajęło mi przynajmniej trzy godziny.

Patrę w lewo i krzywię się. Cała narożna część sali z barem jest zarezerwowana na przyjęcie urodzinowe Lyli. W hotelu Two Bridges organizują mnóstwo takich imprez i zawsze robią to w taki sam sposób. Prosiłam, żeby zarezerwowali miejsce na jakieś ośmioro dzieci i kilkoro dorosłych – parę dni temu musiałam podać im szacunkową liczbę gości. I teraz na dużym, długim stole stoi dwanaście talerzyków i dwanaście zestawów przezroczystych noży i widelców oraz półmiski z kanapkami, kiełbaskami i skrzydełkami z kurczaka przykryte folią. Krzesła zostały ozdobione niebieskimi balonami. Smutek przejmuje mi serce. Fatalnie to będzie wyglądało. Troje dzieci przycupniętych w kącie stołu nakrytego na przyjęcie dla dwunastu osób.

Po raz ostatni organizujemy przyjęcie urodzinowe dla mojej córki. Ma dziesięć lat, a w tym wieku już właściwie nie urządza się urodzin, prawda? Najbliższa impreza to osiemnastka.

Wobec tego ostatnie przyjęcie, zanim Lyla osiągnie pełnoletność, będzie koszmarem.

Czy mogę zrobić coś, żeby było lepiej? Nie powiedziałam Lyli o tym, że zaproszeni goście masowo odwołują przybycie na urodziny. Sądziłam, że szóstka dzieci wystarczy, by dobrze się bawić. Sześcioro dzieci robi wystarczająco dużo zgiełku.

A teraz?

Stawiam tort na przygotowanym stole, ignorując pełne wyczekiwania radosne uśmiechy barmanek, wychodzę na zewnątrz, na zimne, padające ukosem promienie słońca i wybieram numer Emmy Spalding. Może uda mi się zwerbować dorosłych, żeby zapełnić listę gości. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej?

Odpowiedź Emmy jest szybka i rozczarowująca.

– Przepraszam, Kath, ale jedziemy z George'em do Exeter na spotkanie z narzeczonym naszej córki. Gdyby nie to, oczywiście chętnie byśmy przyszli, uwielbiamy Lylę, ale...

– W porządku – odpowiadam. – Naprawdę dziękuję, że w ogóle wzięłaś to pod uwagę. – Kończę rozmowę i stoję, gapiąc się na drogę pośród wrzosowisk prowadzącą do Princetown.

Tak zwane przyjęcie urodzinowe rozpoczyna się za pół godziny. Nie, za piętnaście minut. I pojawi się na nim co najwyżej troje zakłopotanych dzieci, które usiądą za stołem nakrytym na dwanaście osób. Adam miał całkowitą rację, ostrzegając mnie przed tym. Powinniśmy byli wymyślić coś innego, jakiś specjalny seans filmowy, jazdę konną, wspinaczkę po skałkach, ale nie chciałam, żeby moja córka była jedynym dzieckiem na swoich dziesiątych urodzinach, do bólu samotnym dzieckiem. Tyle że teraz będzie odczuwać tę samotność jeszcze boleśniej.

Złowieszczy pisk opon. Adam i Lyla. Lyla ma na sobie długą czarną sukienkę z koronkowymi mankietami, która doskonale współgra z jej długimi czarnymi włosami. Wygląda ślicznie – ma zadatki na elegancką młodą kobietę. Najwyraźniej jest podekscytowana przyjęciem – i nad wyraz pobudzona ruchowo, podskakuje ze szczęścia, kręci się jak baletnica, z gracją i elegancko. Pewnego dnia stanie się piękną, smukłą nastolatką – będzie miała duże powodzenie u chłopców. Ale czy będzie wiedziała, co z tym zrobić? Ja byłam w tym wieku wstydliva, jej tata też. Podejrzewam, że będzie strasznie zdenerwowana, zawstydzona i nieprzystępna. Może przez całe życie nie mieć narzeczonego z powodu zwykłej nieśmiałości. Albo zaakceptuje każdego z powodu samotności. Jakiegoś narkomana, przestępcę, kogokolwiek. Przychodzą mi na myśl te martwe ptaszki, które układa, jej rosnąca nieufność, nawet wobec mnie

i Adama. Stan mojej córki się pogarsza. Muszę jej jakoś pomóc.

– Mamusiu, czy przyjdzie Lottie? A Simon? Tak jak mówiłaś? Czy oni wszyscy przyjdą? Ile osób będzie?

Chichocze ze szczęścia, od lat nie miała przyjęcia urodzinowego, poza tymi, na których świętowała z kuzynami, więc to zrozumiało, że jest podekscytowana. Wszystko zorganizowano tylko dla niej.

Wszyscy goście przyjdą specjalnie dla niej!

– Naprawdę zaprosiłaś Callum? I Swietlanę? A co z Ali? I z Jojo?

Klaszcze w dłonie, a Adam stoi za jej plecami i rzuca mi spojrzenie pełne jawnej wrogości. *Wszystko przez ciebie, Kath, wszystko przez ciebie.*

Lyla nie może już dłużej powstrzymać swojego podekscytowania i mijając mnie, biegnie do hotelu – zna dobrze to miejsce, była tutaj, kiedy urządzaliśmy przyjęcia z Charliem, Oskarem i ich przyjaciółmi, z Danem, Tessą i innymi rodzicami, kiedy było hucznie, wesoło i szliśmy na długi spacer do lasu Wistmana. Moja matka uwielbiała ten las. Przypuszczam, że chadzała tam z mężczyznami.

Adam ma na sobie skórzaną kurtkę, czarne dżinsy, i kilkudniowy ciemny zarost, który podkreśla jego mroczne spojrzenie.

– Ile? – rzuca pytanie.

Bezradnie wzruszam ramionami.

– Dwoje.

Jego niebieskie oczy są przeszywające i oskarżycielskie.

– Dwoje!?

– Mam nadzieję. Jeszcze nie potwierdzili.

– Chryste. Musisz to odwołać, Kath.

– Za późno! Zaczyna się lada chwila, wpisałam na zaproszeniach jedenastą. – Rzucam okiem na zegarek i wzdrygam się. – Pięć minut.

– Jezu. – Robi wydech. – Jezu Chryste! Ostrzegałem cię!

– Wiem.

Ma rację. Popełniłam kolejny potworny błąd. Jestem złą matką. Może z tym swoim umysłem ze skłonnościami samobójczymi w ogóle nie powinnam nią być. Jestem niezdolna do bycia matką. Powinni mi odebrać Lylę. Stanowię zagrożenie dla szczęścia mojej córki. Utrapienie.

Wariatka.

Adam kładzie rękę na moim ramieniu.

– No dalej. Zróbmy, co się da.

Wchodzimy do hotelu. Lyla już siedzi przy stole, podskakując na swoim miejscu. Taka szczęśliwa, że dzisiaj spotka się z przyjaciółmi. Z mnóstwem przyjaciół, z dwunastką dzieciaków. To sprawi, że klątwa samotności, która nad nią zawisała, straci swoją moc. Lyla rozpocznie nowe życie. Dziesięć lat!

Siadamy z Adamem po obu jej stronach przy długim pustym stole. Lyla trajkocze o tym, kto przyjdzie. Adam i ja próbujemy z nią rozmawiać, ale tak naprawdę siedzimy tam i zastanawiamy się w duchu nad całym tym jedzeniem, którego prawdopodobnie nie będzie miał kto zjeść. Podchodzi barmanka i składa Lyli serdeczne życzenia urodzinowe, Lyla uśmiecha się nieśmiało, chowa się za mną, a ja wzruszam ramionami do dziewczyny, która uśmiecha się z zakłopotaniem i spogląda na pusty stół, po czym pyta:

– Spodziewacie się całkiem sporej liczby gości, prawda?

Siedzę oniemiała, równie milcząca jak moja córka. Adam odpowiada:

– Z pewnością mamy dostateczną ilość jedzenia.

Mija dziesięć minut. Rozmawiamy z Adamem o psach. Adam wstaje i podchodzi do baru, dzwoni. Ma zamiar uciec? Zostawić mnie z tą katastrofą, którą sama spowodowałam?

Siedzę sama z Lylą i wpatrujemy się w kurczaka.

– Jesteś głodna? – pytam ją. – Możemy zacząć jeść, zanim przyjdą.

– Nie – odpowiada. – Musimy poczekać. To niegrzeczne jeść, zanim wszyscy przyjadą, przecież sami tak mnie uczyliście, takie są zasady. Musimy poczekać, aż wszyscy przyjadą. – W jej głosie już słychać zdenerwowanie. *Czy wszyscy przyjadą?*

Lyla co chwila wstaje i wygląda przez okno, czekając na nadjeżdżające samochody, czekając na swoich gości, swoich rzekomych przyjaciół. Parking jest pusty. Czasem podbiega do głównych drzwi i wygląda. Obsługa baru przygląda się Lyli.

Lyla biegnie z powrotem. Siada przy stole i wpatruje się w tort. Pobudzenie ruchowe, to jakby radosne rozbrykanie, zastępuje niepokój.

– Gdzie oni są, mamusiu? Przyjadą, prawda? Callum? Swietłana?

Spoglądam ukradkiem na mojego męża, który podchodząc do nas, odwzajemnia moje spojrzenie i tłumi pełne złości westchnienie. Personel zastanawia się, co teraz zrobić – spoglądają na nas, niepewni, być może zakłopotani, obsługując przyjęcie, które

się nie odbywa. Patrzą na samotną dziewczynkę na końcu ogromnego stołu z balonami, tortem i błyszczącymi torebkami z prezentami dla dzieci, które najwyraźniej nie mają zamiaru się pojawić.

– Wiele osób ma do pokonania długą drogę... No i ta pogoda...

Co ja w ogóle plotę? Jest jasny dzień, chłodny, ale słoneczny – nie ma żadnych problemów z pogodą. Lyla patrzy na mnie, jakby wiedziała, że kłamię. Dostrzegam w jej oczach pierwszą zapowiedź łez. Dzielnie je powstrzymuje, próbuje się uśmiechnąć. To ten rodzaj uśmiechu, który wygląda jak grymas, zastygnięty i dziwny.

Co możemy zrobić?

Jakiś hałas znowu przyciąga nas do okna. Pojawia się nadzieja. Duży SUV podjeżdża na parking. Wygląda na to, że na tylnych siedzeniach są dzieci. Wymieniamy z Adamem pełne nadziei spojrzenia. Wydaje mi się, że rozpoznaję ten samochód, widziałam go przed szkołą. Tak, rozpoznaję go. TAK!

Lyla wydaje z siebie okrzyk zachwytu. W końcu, pierwsi goście! Idziemy całą rodziną przywitać ich przed wejściem do hotelu. *Witamy! Chodźcie, zjecie tort i skrzydełka z kurczaka, a dla dorosłych jest prosecco!*

Wysiadają z samochodu. Dwoje dorosłych i dwoje dzieci, wszyscy o blond włosach. Lyla stoi, machając do nich, przewycięża swoją olbrzymią nieśmiałość, staje się odważna i dorosła, jest taka szczęśliwa, że ma gości, jakichkolwiek gości, taka szczęśliwa, że ma przyjaciół, jakichkolwiek przyjaciół. Jednak dwóch chłopców patrzy na nią ze zdumieniem.

Muszą być rok młodszy od niej. Widziałam ich w szkole, ale nawet nie chodzą z Lylą do jednej klasy.

Lyla przestaje machać, jej radosny uśmiech blednie. Stoi tam w swojej specjalnej wyjściowej sukience. Dwóch chłopców marszczy brwi i mówi coś do swojego taty, a ojciec wzrusza do nich ramionami i posyła nam nieprzytomny, przelotny, zdziwiony uśmiech, po czym cała szczęśliwa rodzina rusza ścieżką przez most z kamiennych płyt.

Nie mają zamiaru uczestniczyć w przyjęciu, nikt nie ma zamiaru uczestniczyć w przyjęciu – jest wpół do dwunastej... za piętnaście dwunasta... Wrzosowiska są okrutnie pogodne, chociaż odległe skaliste wzgórza wydają się mroczne i ponure, nawet w promieniach jasnego słońca. Lyla stoi na parkingu, zeszywniała, wpatrując się w puste przestrzenie, wpatrując się w nicość i wypatrując nikogo. Adam przytula ją, ale Lyla go odpycha. Odwraca się więc do mnie z cieniem złości na twarzy, po czym

wraca do hotelu, gdzie czeka stół. Pełny i zarazem pusty. Balony unoszą się w powietrzu. Tort stoi nienapoczęty.

To cierpienie jest nie do zniesienia. Włosy Lyli powiewają na łagodnym wietrze.

– Nikt... – mówi po cichu. – Nikt nie przyszedł. Nikt mnie nie lubi, mamusiu. Zupełnie nikt.

Chcę ją uściskać, aż wycisnę z niej cały ten smutek. Ale nie mogę. Chyba tak to wygląda. Najgorsza strona rodzicielstwa – świadomość, że bez względu na to, jak bardzo się starasz, ile włożysz w to pracy, ile wysiłków podejmiesz, nie możesz zagwarantować swoim dzieciom szczęścia. Nie możesz ochronić ich przed smutkiem.

Kilka łez płynie po policzkach Lyli, ale szybko ociera je rękawami swojej ślicznej eleganckiej sukienki. Stoimy tam, matka i córka, a ona mówi szybko, macha rękami, krzywi się na twarzy:

– Ludzie mnie nie lubią. W porządku, ja ich lubię, ale oni mnie nie lubią. To pewnie dlatego, że ich nie rozumiem, prawda? – Podnosi na mnie wzrok. – Chcę ich zrozumieć, ale nie potrafię. Próbuję się uśmiechać i próbuję rozmawiać, ale niczego nie rozumiem.

Oczy ma pełne łez, które lada chwila popłyną po policzkach. Odwaga Lyli czyni całą sytuację jeszcze bardziej bolesną.

Teraz już szłocha.

– Myślisz, że gdybym miała zamiar umrzeć, ludzie by mnie bardziej polubili? Kochałabyś mnie bardziej? Na chwilę przed tym, zanimbym umarła?

Wpatruję się w nią, próbując ukryć przerażenie. Sosny uginają się pod naporem wiatru. Sama mam poczucie, że uginam się pod naporem melancholii. Uginam się i łamię. Lyla pociąga nosem, patrząc pod nogi, kopiąc żwir swoimi butami na specjalne okazje.

– Naprawdę próbowałam, mamusiu. Naprawdę próbowałam się przyłączyć. Ale oni wszyscy się ze mnie wyśmiewali. Pewnie coś źle robiłam. To moja wina.

Na parking podjeżdża kolejne auto. To służbowy land rover należący do parku narodowego. Rozpoznaję ludzi, którzy wysiadają. To nie są dzieciaki. Nie są to także goście. To przyjaciele Adama: Suzie, strażniczka z Ashburton, ze swoją partnerką Alice i Gavin Davidson. Wszyscy się śmieją. Niosą jakieś rzeczy. Machają do nas.

Podjeżdżają dwa kolejne auta, w krótkim odstępie czasu, i pojawiają się inni ludzie. Ron z Warren House. Dez Pritchard ze swoją dziewczyną. I Tom, hodowca owiec, który mieszka niedaleko Gidleigh i zna Adama od wielu lat. Przyjechał też Harry, kuzyn

Adama, który sprzedał mi samochód, i najwyraźniej musiał wstąpić do Huckerby, bo przywiózł ze sobą Felixa i Randala.

Wszyscy nadchodzą, uśmiechają się i przytulają nas. Psy pędzą do Lyli, która przyklęka, żeby je przytulić, a one zlizują łzy z jej twarzy. Wszyscy mężczyźni i kobiety mierzwią włosy Lyli, a ona chociaż ten jeden raz się nie wstydzi – jest taka wtulona w psy, w swoje ukochane psy.

– Hej, Lylo Redway! – mówi Ron. – Słyszeliśmy, że ktoś wyjątkowy urządza tutaj przyjęcie! Czyli szykuje się wielkie świętowanie!

Stoję tam i uśmiecham się. Ciarki przechodzą mi po plecach i jestem tak ogromnie wdzięczna mojemu mężowi. On to wszystko zorganizował. Wykonał te wszystkie telefony – miał przygotowany plan awaryjny. Mój przystojny, lojalny, kochający i zaradny mąż uratował ten dzień. Nie było to takie przyjęcie urodzinowe, jakiego pragnęliśmy, ale Adam miał rację, że takiego przyjęcia nigdy nie mogliśmy mieć – bo Lyla nie ma przyjaciół. Chce ich mieć, ale nie potrafi nawiązać przyjaźni. Jest najbardziej samotnym dzieckiem, jakie może istnieć. A jednak przyciąga dorosłych, ma w sobie coś, co dorośli dostrzegają i doceniają.

I psy. I ptaki, kuce i myszy.

Przyjęcie zmienia się nie do poznania. Wchodząc z powrotem do hotelu, dostrzegam, że stół jest teraz zastawiony kuflami z piwem i butelkami wina, a mnóstwo rzeczy przygotowanych dla dzieci zniknęło. Wszyscy siadają i jest tylu gości, że personel już nie ma zakłopotanych min. Ludzie śmieją się i żartują, rozpoznają przyjaciół, wymieniają się najnowszymi plotkami i przynoszą dodatkowe krzesła.

Piwo zostają wypite, szklanki stukające jedne o drugie pobrzękują, psy siedzą u stóp Lyli, a ona uśmiecha się nieśmiało u szczytu stołu, kiedy śpiewamy jej *Sto lat*; wszystkie skrzydełka z kurczaka znikają, bułki z kiełbaskami oraz kanapki z grubymi plasterkami szynki i pomidorami zostają pożarte. Zamawiamy jeszcze więcej piwa. Zabawa jest świetna.

Nasi goście mieszają się ze stałymi bywalcami – widzę Suzie, która z ożywieniem rozmawia z barmanką, zapewne z nią flirtuje, ale to nie ma znaczenia, wszystko jest tak, jak trzeba. Adam siedzi u szczytu stołu, z kuflem piwa w dłoni, śpiewając fragmenty *The White Hare* Seta Lakemana, piosenki, która należała do mnie i do Adama, przy której się poznaliśmy – naszej specjalnej piosenki. Potem śpiewają jeszcze inne tradycyjne ludowe przyśpiewki, których nigdy wcześniej nie słyszałam, ale z chęcią

dołączam do wspólnej biesiady.

Dobry humor jest zaraźliwy. Czuję się, jakbym niemal zapomniała o wszystkim, począwszy od kamieni wiedzów, poprzez panikę w lesie Hobajob, podejrzenia dotyczące Adama i samochodu, aż po dziwną koncepcję, że przyjechałam tutaj, żeby się spotkać ze swoim bratem. W tej pięknej chwili tego pięknego dnia wszystko to znika. Staje się niewyraźne. Teraz śpiewamy. A Lyla się uśmiecha.

Na sam koniec tego wspólnego biesiadowania Adam mówi:

– Dobrze. Chodźcie, moi drodzy. Pójdźmy teraz zobaczyć skrzaty w lesie Wistmana! To tradycyjny punkt programu!

Wszyscy się śmiejemy i wstajemy. Lyla pędzi z przodu z Felixem i Randalem, a dorośli wybiegają za nimi. Nawet Ron biegnie, chociaż zdaje się, że jest nieco wstawiony. Adam i ja ruszamy w ślad za nimi i kiedy odchodzimy od stołu, przytulam go mocniej niż zwykle i całuję w policzek z kilkudniowym zarostem.

– Dziękuję ci, Adamie. Dziękuję za to, co zrobiłeś.

Uśmiecha się i podchodzi do baru, wydając portfel z kurtki. Zwraca się do jakiejś dziewczyny za barem. Młodej blondynki, drobnej, ładnej. Barmanka zawiązuje sobie z tyłu fartuch, jakby dopiero zaczynała swoją zmianę. Ma siniaki na szyi. Ślady po palcach? A w nosie srebrne kółko. Nosi jeden z tych modnych czarnych naszyjników-obrożi z koronki.

Bierze kartę kredytową Adama i sprawdza nazwisko, po czym wkłada ją do czytnika.

– Adam Redway? – pyta mimochodem.

– Mhm.

– Jest pan strażnikiem parku narodowego, prawda? Tym słynnym strażnikiem, który uratował turystów?!

Mój mąż skromnie potrząsa głową, i chichocze.

– Byli w wodzie, która miała jakieś trzydzieści centymetrów głębokości, więc żaden ze mnie superman.

– Ha. – Uśmiecha się. – I widziałam, że pan wędruje po okolicy, prawda? Sama też lubię spacerować, kiedy tylko mam okazję.

– Możliwe – odpowiada. – Chociaż to także część mojej pracy.

Dziewczyna wręcza mu kartę i rachunek.

– Na pewno to pana widziałam, jak chodził pan po lesie Hobajob jakiś tydzień albo

dwa temu, kiedy był taki straszny mróz. Było tak zimno, że musiałam wrócić do domu.

Adam bierze kartę. I nawet nie mrugnie okiem. Musi zdawać sobie sprawę z tego, że pewnie wszystko słyszę. A jednak to jego niewinne zdziwienie jest całkowicie przekonujące.

– Skąd, musiało ci się wydawać. Nie byłem w lesie Hobajob. Nigdy nie chodzę tam na wędrowki, wolę być wysoko na wrzosowiskach, na skalistych wzgórzach, po których hula wiatr. To jest moje miejsce. A wracając do wędrowek... idziemy na wyprawę do lasu Wistmana. Wielkie dzięki za organizację przyjęcia!

Dziewczyna kiwa głową i odstawia na bok czytnik do kart, zarumieniona i nieco zachmurzona. Odprowadza Adama wzrokiem, kiedy ten wolnym krokiem wychodzi z hotelu, a potem odwraca się i dopiero wtedy mnie zauważa. Na jej twarzy maluje się ogromne zaciekawienie. Jakby mnie rozpoznała, nieco podenerwowana, choć sama nie jest pewna dlaczego. I z tą niepewnością znowu znika w drzwiach za barem.

Zakłopotana albo zajęta, bez znaczenia.

Co tutaj się właśnie stało? Nie jestem pewna. Ta dziewczyna twierdzi, że widziała Adama w lesie Hobajob. Tymczasem on prawie nigdy tam nie chodzi, chyba że trzeba zaciągnąć Lylę do domu na herbatę. A jednak był w Hobajob i to zdaje się tego dnia, kiedy nadszedł zmróz – jestem pewna, że właśnie to miała na myśli.

Więc może jednak to był on... Może to on porzrzucał moje śmieci. Moją krew, moje włosy, mój tampon, nawet jeśli uważam to za jakiś absurd. Dlaczego własny mąż miałby mnie straszyć? Albo swoją córkę?

Wychodzę na zimne, rozleniwione słońce. Reszta gości już jest w drodze, wspinają się na przełazy, kierują się ku wzgórzom w stronę lasu Wistmana, schowanego w niewielkiej, zielonej dolinie. To pół godziny drogi stąd, ale warto odbyć mozolny marsz. Widzę pośród nich radośnie podskakującą Lylę.

Moja córka jest szczęśliwa. Ze swoimi psami u boku.

Mam zamiar ruszyć dalej, kiedy coś jeszcze przykuwa moją uwagę.

Niedaleko hotelu stoi stara wiata przystankowa oblepiona potarganymi plakatami – wspomnienie po tym, jak w Dartmoor działała porządna komunikacja publiczna. Wewnątrz wiaty stoi zardzewiała ławka – turyści chowają się tam przed deszczem.

A dzisiaj przez pękniętą i zakurzoną szybę dostrzegam, że ktoś tam siedzi i patrzy. Nie jest to jednak turysta – żaden zakapturzony wędrowiec ani ornitolog amator z drogą lornetką.

Rozpoznaję charakterystyczny profil kobiety. Raczej starszej kobiety.

I to sprawia, że po raz kolejny kręci mi się w głowie. Podnoszę dłoń do drżących ust. To moja matka.

Wiem, że to halucynacje. Wiem, że to zjawy, opary mojego niesprawnego umysłu.

A jednak, mimo wszystko, właśnie widzę swoją matkę przez pękniętą szybę betonowego przystanku na wrzosowiskach. Patrzy nieobecny wzrokiem na drogę – czeka na autobus, który nigdy nie nadjedzie. I teraz przerażająca twarz mojej matki odwraca się, spogląda w moim kierunku. Dostrzegam dziwny wyraz twarzy, jakby była zaskoczona moim widokiem, choć nie jakoś bardzo. Wstaje. Wychodzi z wiaty, żeby ze mną porozmawiać.

Nie.

To nie może być prawda. Przeszywa mnie przenikliwie zimno. Odwracam twarz, zasłaniając oczy drżącymi dłońmi. Kiedy ponownie spoglądam, twarz znika.

Ale przecież widziałam ją, wiem o tym – widziałam moją matkę! Mam halucynacje i widzę nieżyjących ludzi.

A teraz słyszę głos. Słaby, ale wciąż charakterystyczny:

– Katarina? Kochanie?

Nie. To zbyt wiele. Teraz biegnę biegnę biegnę biegnę biegnę biegnę drogą, biegnę, by znaleźć się jak najdalej od mojej mamusi, przebiegam przez mały mostek, wbiegam z powrotem do ciepłego hotelu.

Nie jestem w stanie stawić czoła lasowi Wistmana. Nie jestem w stanie stawić czoła niczemu.

Osuwam się na skórzaną sofę, kulę się, przybierając pozycję embrionalną, próbuję uspokoić pulsowanie skroni. Nie wiem, jak mam sama sobie wyjaśnić to przerażenie. Widziałam ducha. Mam popękany umysł.

Barmanka z siniakami wpatruje się we mnie z zaciekawieniem, powoli wycierając szklanę.

Morrice Town, Plymouth

Środa rano

Tessa i Kath stały obok siebie i spoglądały na przeraźliwe masywne mury oraz zwoje stalowego drutu kolczastego poskręcane w spirale na ich szczycie, niczym jakieś bożonarodzeniowe dekoracje w sennym koszmarze. Bandery marynarki wojennej łopotały gwałtownie na zimowym wietrze. Ogromne betonowe hangary przycupnęły nad ciemnymi wodami rzeki Tamar – miejsca stacjonowania nuklearnych okrętów podwodnych z pociskami gotowymi, by zniszczyć miasta na całym świecie, a jednocześnie ukrytymi przed ludzkim wzrokiem.

– Wygląda zupełnie jak więzienie w Princetown – westchnęła cicho Kath.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałam – odparła Tessa. – Przeniesiono tutaj większość z nas jakiś miesiąc temu na czas remontu głównego kampusu. Kiedy tu weszłam, wyjrzałam przez okno i pomyślałam: „O Boże, czuję się, jakbym była w Princetown”. Grube, wysokie mury niczym w więzieniu. Napijesz się kawy?

– Słucham?

– Zanim porozmawiamy, Kath. Mogę wysłać kogoś po kawę. Tuż obok jest mała kafejka, w której serwują doskonałą flat white.

Kath ma bladą twarz. I zdziwioną minę.

– Co to jest flat white?

Tessa zadzwoniła do swojej asystentki, która pracowała w pokoju obok. Pojawiła się natychmiast – uprzejma i radosna.

– Saro, mogłabyś skoczyć do Drake’a i przynieść mi flat white i...? – Tessa się odwróciła.

Kath siedziała zakłopotana, miętosząc nerwowo rękaw swojego zbyt obszernego swetra.

Tessa bardzo chciała jej pomóc. Zrobić dla niej cokolwiek.

– Kath? Napijesz się kawy?

– Aha, uhm, yhm, tak, poproszę, yyy, cappuccino. Dzięki.

Tessa zaproponowała Kath, żeby usiadła, po czym wysunęła swoje krzesło obrotowe

zza biurka, żeby skrócić dystans.

Niezależnie od tego, z jakiego powodu Kath tutaj przyszła, Tessa chciała, żeby poczuła się swobodnie, jeśli to w ogóle było możliwe – nie chciała, żeby to spotkanie przypominało wywiad albo, co gorsza, konsultację, terapię, diagnozę psychologiczną.

Kath uśmiechnęła się smutno.

– Dziękuję, że poświęciłaś mi czas, Tesso.

Tessa odsunęła od siebie poprzednią myśl.

– O Boże, nie przejmuj się. Środa rano to dobra pora, nie mam żadnych seminariów ani wykładów, zazwyczaj oglądam wtedy filmiki o kotach na Facebooku.

Oczy Kath rozszerzyły się.

– Naprawdę?

– Żartowałam.

– Aha. Rozumiem. – Kath zmusza się do cichego śmiechu. – O Boże, Tesso. Nie mam już nawet poczucia humoru. Nie wyczuwam sarkazmu ani ironii. Mam w głowie chaos, tyle się dzieje i nie mogę o tym nikomu opowiedzieć... o wszystkich tych sprawach, o tym wszystkim... – Przerwała, lekko się czerwieniąc, a potem śpiesznie dokończyła: – Muszę porozmawiać. Powiedzieć o tym komuś, powiedzieć o tym tobie.

– Dobrze, opowiadaj śmiało, proszę.

– Opowiem, tak, ja naprawdę... to znaczy jest tyle... na przykład... no dobrze, na przykład wtedy w Hobajob. W tym lesie niedaleko Huckerby, podobnym do lasu Wistmana. Dzień był mroźny, nadszedł zmróz, byłam tam z Lylą i z psami, doszliśmy do polany w środku lasu i... i tam leżały te wszystkie śmieci pokryte szronem, ale wyglądały, jakby ktoś je wyniósł z naszego domu: szczotka z moimi włosami, chusteczki poplamione krwią, takie rzeczy i jeszcze gorsze, a Lyli wydawało się, że kogoś widzi. Ciągle widuje jakiegoś mężczyznę na wrzosowiskach, czasem mówi, że być może to Adam. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale ta dziewczyna w Two Bridges powiedziała, że widziała Adama w lesie Hobajob mniej więcej w tym samym czasie, o co więc w tym wszystkim chodzi? Mnie samej wydaje się, że Adam mnie obserwuje. Ale to nie wszystko... mam tego o wiele więcej, Tesso, zbyt dużo, o wiele za dużo... Wszystko pocięte na kawałki. – Chwila ciszy. – Wszystko.

Tessa siedzi w osłupieniu. Milczy.

Kath spogląda na nią, jest całkiem blada.

– A wiesz, co jest najgorsze, Tesso? Wydawało mi się, że dobrze radzę sobie z tym

wszystkim. Radziłam sobie z Lylą, radziłam sobie, kiedy Adam był chory, ale tym razem czuję się beznadziejnie. Nie wystarczy kochać. Nie tym razem.

Smutna, martwa cisza została przerwana. Sara wróciła z kawą. Na tekturowych kubkach nadrukowano wizerunek sir Francisa Drake'a. I hasło reklamowe: „Nasza kawa rzuci cię na kolana”.

Tessa, wdzięczna za to wtargnięcie normalności, bierze do ręki swoją flat white i wypija łyżeczkę, zmieszana i zaniepokojona. Zastanawia się, jak zareagować. Kath nerwowo miętosi swój zmechacony rękaw. Sweter wygląda, jakby należało go zastąpić nowym. Zimowy płaszcz, który powiesiła na wieszaku, czasy świetności też ma już dawno za sobą. Tessa odczuwa ukłucie swojego standardowego poczucia winy.

Ona i Dan mają wszystko, Kath i Adam nie mają prawie nic i nawet o to muszą walczyć. Ona i Dan mają dwóch szczęśliwych, pełnych wigoru chłopców. Kath ma jedną, ale trudną córkę. Tessa i Dan przynajmniej trzy razy do roku wyjeżdżają na wakacje – tydzień na nartach, dwa tygodnie w promieniach śródziemnomorskiego słońca, krótkie wypadki do Barcelony, Nowego Jorku albo Sieny. Wczoraj wieczorem wrócili z ferii zimowych na Wyspach Kanaryjskich, a po drodze wstąpili do Disneylandu.

Kath tymczasem próbowała popełnić samobójstwo. A teraz być może przechodzi kolejne załamanie.

– Co o tym myślisz? – Kath potrząsa głową i odstawia kubek z kawą. – Może powinnam zażywać więcej leków?

– Cóż, obawiam się, że na to akurat nie mam wpływu. – Tessa kręci głową. – Jestem psychologiem, nie psychiatrą, a tylko psychiatrzy mogą wypisywać recepty na tego typu leki. Ale mogę udzielić ci porady, mogę dać ci skierowanie do specjalisty i... – Tessa delikatnie dotknęła ramienia Kath. – Mogę naprawdę cię wysłuchać, mamy cały ranek, odwołam też spotkania popołudniowe. Chcę ci pomóc. Pamiętaj, że was kochamy. Ciebie, Lylę i Adama. Proście o wszystko, czego potrzebujecie. Czasem wystarczy, że cię ktoś wysłucha. Kath, musisz opowiedzieć mi to wszystko spokojnie, powoli i po kolei. Opowiedz mi najlepiej, jak potrafisz, co pamiętasz.

Kath milcząco kiwnęła głową i w końcu, nareszcie, w formie niepewnego, ale wystarczająco przejrzystego monologu, opowiedziała o tym, co zapamiętała na temat mężczyzny w tamtym samochodzie, o kłótni, a przynajmniej żywiołowej wymianie zdań, i o cytrynowym zapachu, który w jakiś sposób był z tym wszystkim powiązany.

Opowiedziała Tessie o tym, że Lyla ostatnio stała się nieufna wobec obojga rodziców, ale, co dziwne, zwłaszcza w stosunku do swojego ojca. Opowiedziała Tessie o Adamie, który obserwował ją nad zalewem Burrator.

Następnie, w jeszcze bardziej spójny sposób, opowiedziała osobliwą historię o budzącym dreszcz popołudniu w lesie Hobajob i o tym wzorze ułożonym ze śmieci – chusteczek, szczotki do włosów, a nawet zużytego tamponu. Opisała, jak obie z Lylą wpadły w panikę, wyobrażając sobie tego mężczyznę, który je ścigał, podczas gdy w rzeczywistości nikogo tam nie było. Pomijając fakt, że barmanka w Two Bridges twierdziła, że widziała Adama w tym lesie, mniej więcej w tym samym czasie, tamtego popołudnia, kiedy chwycił siarczysty mróz.

Kath potrząsnęła głową.

– Rzecz w tym, Tesso, że nawet jeśli Adama tam nie było, nawet jeśli obecność jakiegoś mężczyzny była wyłącznie wytworem naszej wyobraźni, ta szczotka do włosów mogła należeć do mnie, bo te włosy wyglądały na moje, poza tym wydaje mi się, że kilka tygodni wcześniej zginęła mi dokładnie taka sama szczotka. Ale kto mógł ją zanieść do lasu Hobajob? Lyla? Ja? Adam? Może to była Lyla. Uwielbia ten las, cały czas tam chodzi. Ale dlaczego akurat te rzeczy? To naprawdę było przerażające. Od tamtej pory Lyla zachowuje się jeszcze dziwniej. Jakiś czas temu przyłapałam ją na tym, jak układała na podwórku jakiś wzór z martwych ptaszków. – Kath wyraźnie zadrżała. – To było takie upiorne... Te małe martwe ślepka, poukładane w rzędy i spirale. Wszystko to przypominało mi książki, które czytywała mama, na temat czarów, zaklęć i symboli. I te bzdurne starocie, które nam zostawiła. Maski z Namibii w holu i wszystkie te przedmioty, których nawet nie da się sprzedać.

Tessa kiwnęła głową, nie wiedząc właściwie, co ma na to odpowiedzieć. Szukała jakiegoś racjonalnego punktu zaczepienia, żeby przywrócić swoją szwagierkę do stanu równowagi.

– A co Adam myśli o tym wszystkim?

– Zaprzecza. Mówi, że mnie nie śledzi. Twierdzi, że nie był w lesie Hobajob.

– A co z tymi śmieciami na polanie?

Kath wzrusza ramionami.

– Twierdzi, że to ci, którzy wyrzucają śmieci na dziko. Może i ma rację. Poza tym uważa, że Lyla ułożyła jakiś przypadkowy wzór. Bo bywa, że tak właśnie robi... uwielbia układać wzory.

– Naprawdę?

– Tak – wzdycha Kath. – Tak. To prawda. Ale nawet Adam jest troszeczkę zaniepokojony, ponieważ Lyla śpiewa piosenki, których nie rozumiemy, i nie wiemy, gdzie się ich nauczyła. Piosenki o śmierci... O zbliżającej się śmierci. Tak czy owak, nie wiem, czy w ogóle mogę zaufać Adamowi, zaufać własnemu mężowi. A, no i okazało się, że wtedy, już po świętach Bożego Narodzenia, był sam, że nie ma żadnego alibi. A Lyla twierdzi, że widuje go na wrzosowiskach, w pobliżu domu. Powiedziała mi o tym, kiedy układała te martwe ptaki.

Tessa miała zamiar jej przerwać, ale Kath pośpiesznie mówiła dalej:

– Uświadomiłam sobie również, że Adam był ostatnią osobą, która miała dostęp do mojego samochodu. Czy mógł coś zrobić z hamulcami? Czy tamtego dnia mógł wrócić i przy nich majstrować? Czy mógł chcieć, żebym miała wypadek? I dlaczego w ogóle używam słowa „alibi”? To wszystko jest niedorzeczne, a jednak mnie przeraża, Tesso. Przeraża i wytrąca z równowagi. Koszmar.

Obawy Tessy jeszcze się pogłębiły. Próbowwała jednak je ukryć.

– Coś jeszcze? Mówiłaś, że było coś jeszcze.

Kath zaciska powieki na kilka sekund, jakby broniła się przed jakimś wspomnieniem. Potem opowiada Tessie o przyjęciu urodzinowym, które okazało się całkowitą porażką.

Tessa się krzywi.

– Ach, mój Boże. Tak mi przykro, powinniśmy tam być...

– Nic nie szkodzi – mówi Kath. – Teraz jest już po wszystkim, w każdym razie Adam uratował sytuację. Zadzwoił do wszystkich swoich przyjaciół i krewniaków, a oni przyjechali i sprawili Lyli ogromną przyjemność. Jak na ironię, to właśnie wtedy ta barmanka powiedziała, że widziała Adama w lesie Hobajob. To było już po przyjęciu, kiedy wszyscy zniknęli w lesie Wistmana, jak zawsze, pośród omszałych drzew.

– To dobry pomysł. Lubię las Wistmana. Musimy tam niedługo pojechać z chłopcami.

Kath spojrzała na Tessę, świdrując ją wzrokiem, jakby to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia.

– Tak, dzięki, dobry pomysł, dziękuję... Właśnie dlatego, między innymi, potrzebuję porozmawiać... z kimś, z kimkolwiek... ale przede wszystkim z tobą. Bo to jeszcze nie

wszystko. Zostało kilka szczegółów. Tylko o nich będzie mi znacznie trudniej mówić...
– Słowa Kath zastygły w ciszy.

Tessa siedziała w milczeniu, które się przedłużało. Najwyraźniej Kath potrzebowała czasu.

Chcąc rozluźnić atmosferę, Tessa obróciła się na fotelu i wyjrzała przez okno. Ogromny okręt wojenny wypływał właśnie z Devonport, z bazy marynarki wojennej na otwarte morze. Te okręty zawsze zaskakiwały Tessę. Były tak duże, najeżone antenami i groźne. Pracowała w Plymouth od sześciu lat i wciąż jeszcze do tego nie przywykła. Wojna w czasie pokoju, zło za murami.

Ale tak to właśnie wyglądało. Zło siedziało zamknięte za murami – okręty podwodne trzymano w betonowych bunkrach. Tessa zwyczajnie nie mogła uwierzyć w to, że Adam był w jakiś sposób zamieszany w próbę samobójczą Kath – ta sprawa z samochodem, potrzeba posiadania alibi, to wszystko nie trzymało się kupy, nie miał przecież motywu, nie ryzykowałby życia Lyli. Ale nie mogła również uwierzyć, że Kath próbowała popełnić samobójstwo bez żadnego powodu.

Także skrępowanie Lyli w stosunku do ojca i jej nieufność wobec niego można było zrozumieć. Tessa uznała, że były to po prostu oznaki cierpienia dziecka, które niemalże straciło matkę i w konsekwencji szukało kogoś, na kogo można by zrzucić winę za całe zdarzenie. W takim wypadku drugi rodzic był oczywistym wyborem. Nie mogła być to ukochana matka, której życie było zagrożone. Pozostawał ojciec, na którego córka przelała całą swoją złość.

Okręt wojenny prawie zniknął. Kierował się w stronę chłodnego i wzburzonego Atlantyku.

W końcu Kath odezwała się – tym razem ledwie słyszalnym szeptem:

– Dobrze, niech się dzieje... Muszę to powiedzieć. Zostały jeszcze dwie sprawy i chcę, żebyś o nich posłuchała.

Tessa sama poczuła przebiegający dreszcz, kiedy szwagierka opowiadała dalej:

– Pamiętasz, jak wspominałam o tym, że byłam u Emmy Spalding?

– Nie, ale mów dalej.

– No więc byłam u niej. Nawet chciałam ci o tym powiedzieć, jak tylko się dowiedziałam, ale wyjechałaś już na wakacje i uznałam, że może to nie jest dobry pomysł.

Tessa nachyliła się nieco bliżej.

– Co powiedziała ci Emma?

– Powiedziała, że przyjechałam do niej dwa razy tamtego dnia, tego dnia, kiedy... wjechałam do Burratora.

– No i?

Kath spojrzała w dół, na swoje zdarte tenisówki.

– Ponoć byłam podekscytowana. I wyszykowana, umalowana... pobudzona. I powiedziałam Emmie coś o tamtym dniu.

– Co?

Tessa nachyliła się jeszcze bliżej, ponieważ szept Kath stał się jeszcze cichszy.

– Kath?

– Emma powiedziała, że tamtego dnia miałam zobaczyć się z Danem, w Two Bridges, tego wieczoru, kiedy wjechałam samochodem do Burratora! – Kath wpatrywała się w Tessę wilgotnymi, szeroko otwartymi oczami. Bezradna, przepraszająca i skrzywdzona. – Jak to możliwe, że na trzy godziny przed tym, jak usiłowałam popełnić samobójstwo, pojechałam spotkać się z Danem? Dlaczego? Jakim sposobem? Przecież był w Londynie, prawda? Co to wszystko, do cholery, znaczy?

Tessa wbiła wzrok w szwagierkę. Próbowwała przeniknąć ją spojrzeniem. Wodziła wokół niej wzrokiem. Próbowwała nie reagować, nie pokazywać własnych gwałtownych emocji. Zachować się profesjonalnie. Jakimś cudem.

Kath siedziała wyprostowana, gotowa, żeby mówić dalej.

– Jest jeszcze jedna rzecz, Tesso. Najgorsza z tego wszystkiego. Wiem, że uznasz mnie za wariatkę, i może faktycznie jestem wariatką...

– Proszę, mów.

– Widziałam matkę. Na wrzosowisku. Moją własną matkę. Wiem, że to halucynacje, zwidy, ale widziałam ją...

Wróciła martwa cisza. Tessa zmarszczyła brwi.

– Widziałaś ducha?

Kath spojrzała na swoje dłonie, przyglądając się uważnie nieco zabrudzonym paznokciom.

– Tak. Widziałam. Po wyjściu z Two Bridges, po przyjęciu urodzinowym Lyli, poszłam za nimi w stronę lasu Wistmana. Przechodziłam obok tej starej betonowej wiaty przystanku autobusowego. Zajrzałam przez szybę i zobaczyłam moją nieżyjącą matkę, ale o wiele starszą. Siedziała na ławce, odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

Tessa odchyliła się do tyłu, wstrzymując oddech.

– I nie mogłam sobie z tym poradzić, Tesso, po prostu nie byłam w stanie. Puściłam się biegiem, najszybciej jak dałam radę, z powrotem do hotelu. Widziałam ducha. Mój umysł posunął się do czegoś takiego! Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam, ponieważ jeśli opowiem o tym komukolwiek innemu, to pomyśli, że jestem niespełna rozumu, a wtedy odbiorą mi Lylę, prawda?

Tessa wpatrywała się przeciągle i badawczo w swoją szwagierkę, ale nie odezwała się ani słowem.

– Mam załamanie nerwowe, prawda, Tesso? Stan mojego mózgu się nie poprawia, a nawet pogarsza.

– Nie, zaczekaj...

– Bo jeśli nie o to chodzi, to znaczy, że coś się ze mną dzieje.

– Słucham?

– Zastanów się, Tesso. Kamienie wiedźm i ta pieśń o śmierci, wzory z martwych ptaków... Krew, włosy, las Hobajob. Nie zastanawia cię to wszystko?

– Ale co ma mnie zastanawiać?

Kath poczerwieniała, jakby poczuła się zmieszana.

– Tesso, czy kiedykolwiek wierzyłaś w czary?

Przez sekundę Tessa Kinnersley milczała. Ciszę przerwał dźwięk syreny okrętowej. Brzmiał jak sygnał dużego promu płynącego w kierunku Royal William Yards.

W końcu Tessa się odezwała:

– Nie jestem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam, Kath.

Kath podniosła głos:

– Nie chodzi mi o to, czy wierzysz w kobiety latające na miotłach i takie rzeczy. Pytam, czy wierzysz w to, że czary w jakiś sposób mogą działać? Czy wierzysz w magię? Rodzaj hipnozy? W to, że zło może tobą zawładnąć, że możesz popaść w obłąd? – Kath potrząsnęła głową i mówiła dalej: – Mam jakieś niejasne wrażenie, że moja próba samobójcza, to całe koszarne zamieszanie ma coś wspólnego z moją matką. I może właśnie dlatego wyobraziłam sobie, że ją widziałam. Przecież była zamieszana w tego typu praktyki. Zajmowała się tym przez dłuższy czas... czarami, religią wicca. Przywoziła ze swoich podróży te upiorne starocie. Lalki Inuitów, afrykańskie zaklęcia... Mieliśmy tę kamienną celtycką głowę, jedyną rzecz, która była cokolwiek warta, ale gdzie podziały się jej wszystkie stare książki na temat demonów,

księgi czarów? Część z nich pochodziła z szesnastego wieku. Nie dostaliśmy ich w spadku. – Kath podniosła wzrok, a na jej twarzy malowało się dojmujące cierpienie. – Przepraszam, Tesso, wiem, że brzmię, jakbym zwariowała, i mówię nieco chaotycznie, ale na tym polega problem. Czasami tak właśnie się czuję, jakby ktoś rzucił na mnie urok. Jak obłąkana. Czuję się tym wszystkim taka zmęczona... a jednak wciąż miewam te sny, jakby coś wysysało ze mnie energię. Przeszłość wciąż trzyma mnie w swoich szponach i ewidentnie ma to jakiś związek z moją matką. – Ton głosu Kath był szorstki. – To zakrawa na obłąd, ale jeśli to prawda, jeśli faktycznie chodzi o jakiś zły urok czy coś w tym rodzaju, to wyjaśniałoby wszystko, wyjaśniałoby, dlaczego wjechałam samochodem do zalewu. Mam rację? – Spojrzenia Kath i Tessy spotkały się. – Bo nie istnieje żadne inne wytłumaczenie, no może poza Adamem, ale co miałoby nim niby kierować? Czym ja sama miałabym się kierować? – Wpatruje się w Tessę nieruchomym wzrokiem. – Może ktoś rzucił na mnie urok albo mnie zahipnotyzował. Może coś kazało mi to zrobić. Coś związanego z magią, ale... co istnieje naprawdę. Nadal czuję, że to na mnie działa. Więc albo chodzi właśnie o to, albo po prostu jestem wariatką. A może jedno i drugie... O Boże...

Tessa wstała i podeszła, żeby położyć rękę na ramieniu Kath. Jakby tym jednym gestem była w stanie sprawić, by kobieta stanęła obiema nogami na ziemi, jakby mogła zakotwiczyć ją w rzeczywistości.

– Posłuchaj – powiedziała. – Zaczekaj chwilę. Naprawdę nie potrzebujesz czarów, żeby to wszystko wyjaśnić. Istnieje racjonalne wytłumaczenie.

– Istnieje?

Tessa zmusiła się do uśmiechu, chociaż bynajmniej nie było jej do śmiechu.

– Po pierwsze, Kath, musisz wiedzieć, że halucynacje zdarzają się w przypadkach urazu mózgu, nawet łagodnych, takich jak twój.

Kath przechyliła głowę z niedowierzaniem.

– Zdarzają się?

– Tak. Nawet często. I nie jest to szczególnie niepokojące. Pamiętaj, że dość mocno uderzyłaś głową w kierownicę. Miałaś szczęście, że nie byłaś nieprzytomna dłużej.

– I nie mówisz tego wszystkiego ot tak sobie, żeby mnie pocieszyć?

– Nie! – Tessa z powrotem usiadła, gestykułując, żeby podkreślić to, co chciała powiedzieć. – Nie, wcale nie. Halucynacje naprawdę się zdarzają. To wyjaśnia wydarzenia z lasu Hobajob, a być może również i to, że widziałaś Adama nad

Burratorem. I z pewnością tłumaczy, dlaczego przywidziała ci się twoja matka. Nie jesteś opętana, po prostu twój mózg doznał urazu.

Tessa wiedziała, że improwizuje, snuje sprawiającą wrażenie autentycznej teorię przy użyciu myślenia życzeniowego i ukrywa rosnącą potrzebę zaprzeczania, ale teraz najważniejsze było to, żeby uspokoić Kath.

– To tak jak w procesie żałoby, Kath. Zdarza się, że człowiek widzi duchy zmarłych tuż po ich śmierci, zdarza się to tak często, że w zasadzie można uznać takie zwidy za normę. Spójrz więc na to wszystko właśnie tak. Niemal zginęłaś. Dlatego, w pewien sposób, oplakujesz samą siebie, a poza tym masz głębokie poczucie winy, ponieważ wciąż nie wiemy, dlaczego wjechałaś samochodem do tej wody. Biorąc wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że masz poczucie psychicznej niestabilności. Ale twój stan się poprawi. Wydobrzejesz. Zaufaj mi. To nie żadne czary. To nauka.

Kath wpatrywała się w Tessę, cień sceptycyzmu zasnuwał jej twarz. Jednak łyży przerażenia przestały już po niej płynąć.

Tessa wykorzystała ten moment.

– Możliwe więc, że twój mózg w sposób aktywny chce ci coś przekazać. Wspomnienia tamtego wieczoru, tamtego tygodnia, nadal znajdują się gdzieś w twojej, powiedzmy, podświadomości i usiłują wydostać się na powierzchnię. Możliwe, że pomogłyby leki, coś w rodzaju jogi, *mindfulness*. Istnieją takie techniki, poszukam czegoś na ten temat. I razem je wypróbujemy.

Kath skinęła głową, tym razem z nieśmiałą nadzieją.

– Tak, spróbujemy. Spróbujemy.

– Dobrze, Kath. Postaraj się zachować zdrowy rozsądek. Ta układanka będzie miała sens, jeżeli znajdziesz więcej części. Może Dan zadzwonił do ciebie tamtego dnia z Londynu i o tym zapomniałaś. A Adam ma zapewne poczucie winy po prostu dlatego, że nie było go przy tobie tamtego wieczoru. Cała reszta zaś, to, najprawdopodobniej, zwyczajny zbieg okoliczności, na który nałożyła się bardzo trudna sytuacja, w jakiej się znajdujesz. – Kolejny wymuszony uśmiech, który ma dodać Kath otuchy. – Podsumowując, zachowaj spokój i opiekuj się Lylą. Możemy się niedługo znowu spotkać, jeśli będziesz chciała.

– Dobrze. Tak. – Kath spojrzała na swój zegarek, zachowując się teraz całkowicie normalnie, jakby nie wyznała właśnie Tessie, że rzucono na nią zaklęcie czarnej magii. – Bardzo ci dziękuję. Tego potrzebowałam, Tesso. Nawet jeśli mówię jak jakaś

cholerna wariatka. Lepiej już pójść. – Kath uśmiechnęła się niewyraźnie. – Pozwolili mi pracować na pół etatu, ale nie mogę tego nadużywać. Wszyscy są dla mnie tacy życzliwi... To takie bolesne... I tak bardzo mi wstyd. Chciałabym się przynajmniej odwdziżyć.

Kiedy obie wstały, Kath mocno uściskała Tessę i powiedziała:

– Przepraszam, że powiedziałam, że Dan jest w to zamieszany. Emma nie była całkowicie pewna... – Przerwała. – Pewnie masz rację, to wszystko to jedynie wytwór mojej wyobraźni. I potrzebuję czasu, żeby wyzdrowieć.

– Tak! Takie podejście mi się podoba – uspokoiła ją Tessa.

I natychmiast pożałowała, że to powiedziała. Czy nie próbowała czasem ukryć własnego lęku przy pomocy frazesów? Jednak Kath nie zauważyła, że to był frazes. Jeszcze raz uściskała serdecznie Tessę, a potem wyszła.

Tessa siedziała w swoim fotelu, intensywnie się zastanawiając.

Naprawdę potrafiła wytłumaczyć większość tych objawów. Absurdalny pomysł z czarami, halucynacje na temat duchów. Urazę Lyli i jej strach przed ojcem.

Wszystko to dało się wyjaśnić pod względem neurologicznym i psychologicznym, nawet jeśli było smutne i niepokojące.

Jednak Tessa nie potrafiła wyjaśnić jednej rzeczy.

Nie potrafiła wyjaśnić działań swojego męża.

Środa, pora lunchu

Klikając w link ostatnio polubionej strony internetowej, Tessa szybko przebiegła wzrokiem po ekranie. Przejrzała już pięć witryn i przewertowała pół tuzina książek wyszarpniętych ze swoich półek. Wszędzie pisano zasadniczo to samo co na tej stronie:

Konfabulacje, dezorientacja, urojenia i halucynacje są wyraźniej odczuwalne przy poważnym urazie mózgu, ale zdarzają się również w przypadku łagodnych i średnich urazów mózgu...

Samotność i wykluczenie społeczne także mogą być czynnikami towarzyszącymi, ale powinny z czasem się zmniejszać...

Jeśli te objawy utrzymują się albo pogłębiają po trzech miesiącach, pacjenta po przebytych urazie należy ponownie zdiagnozować, biorąc pod uwagę potencjalne czynniki utrudniające...

Dlatego też wiele problemów Kath, jak przypuszczała Tessa, można było wytłumaczyć, a nawet przewidzieć. Zwłaszcza że utknęła w Huckerby. Jednak te objawy mogły być również niepokojące. Mogły być oznakami pogłębiającej się apatii albo ukrytych problemów neurologicznych. Może Kath potrzebuje kolejnego rezonansu magnetycznego. A może rozwija się u niej psychoza?

Tessa gorąco pragnęła, żeby to nie okazało się prawdą. Redwayowie nie przetrwaliby, gdyby Kath miała poważne załamanie nerwowe – a jaki wpływ miałyby to na biedną małą Lylę? I na jej pogłębiające się objawy zaburzeń autystycznych? Nowe fobie i lęki? Zamyślona, zatroskana Tessa odchyliła się w swoim fotelu obrotowym. Powróciły natrętne wątpliwości.

To słowo, którego użyła Kath... *Alibi*.

Tessa sama go używała. Wypowiedziała je do swojego męża. Tamtego wieczoru, w myślach. Kiedy zasypiała zaraz po tym, jak uprawiali seks. *Alibi*.

Wtedy dała sobie przyzwolenie na oszukiwanie samej siebie – próbowała o tym zapomnieć – ale teraz nie była już w stanie. Nie po tym, co Emma Spalding powiedziała Kath.

Alibi.

Czy Dan tak naprawdę miał alibi na dzień, kiedy rzekomo wracał z Londynu samochodem kolegi, żeby jak najszybciej odwiedzić swoją siostrę w szpitalu?

Musiała poznać prawdę. Tylko gdzie jej szukać?

Zadawanie pytań Danowi było bezcelowe, przy założeniu, że kłamał. Nie mogła również zadzwonić do tego kolegi od samochodu i sprawdzić, bo jeśli wszystko to były brednie wyssane z palca, kłamstwo szyte grubymi nićmi, Dan z pewnością przygotowałby go na taki telefon. Dzwoniąc do tego mężczyzny, Tessa postawiłaby się w roli wichrzycielki, która węszy, podkopuje własne małżeństwo. Dan byłby wściekły. Zwłaszcza gdyby się okazało, że jednak mówił prawdę. A przecież było to całkowicie prawdopodobne.

Czy istniał jakiś sposób, żeby potwierdzić jego wersję tej historii, nie wzbudzając podejrzeń?

Tessa spojrzała na ekran, na stronę internetową poświęconą tematyce medycznej. Na zdjęcia stetoskopów, lekarzy, karettek pogotowia...

Szpital. Szpital Derriford w Plymouth.

Znała ten numer na pamięć, wykręcała go tyle razy po próbie samobójczej Kath. Miała go zapisanego w telefonie. Oddział Intensywnej Opieki Medycznej.

Tessa na chwilę znieruchomiała, trzymając telefon w dłoni. Jakby niepewnie oceniała wagę swojego małżeństwa.

Kolejny statek wojenny wypływał na zewnętrzne wody. Gotów bronić narodu. Szary i nieustępliwy.

Tessa wybrała numer.

– Halo?

– Halo, czy dodzwoniłam się na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej?

Tessa słyszała w tle szpitalny zgiełk i nieco rozkojarzony głos pielęgniarki.

– Tak, kto mówi?

– Doktor Kinnersley. Doktor Tessa Kinnersley. Pracowałam na Wydziale Zdrowia Uniwersytetu w Exeter, na psychologii. Jestem profesorem na Uniwersytecie w Plymouth. – Tessa bezczelnie kłamała, ponieważ termin „doktor” odnosił się wyłącznie do jej stopnia naukowego, ale w tej chwili było jej wszystko jedno. – Muszę porozmawiać z pielęgniarką Sally Davis, czy to możliwe?

– Doktor Tessa Kinnersley, mówi pani?

– Tak.

– Dobrze. Hmm, zdaje się, że Sally ma właśnie przerwę... A nie, jest tutaj. Proszę poczekać sekundę, to przekażę jej telefon. – Głos zniknął.

Tessa czekała z ołówkiem w dłoni. Stukała nim o biurko.

Stuk, stuk, stuk.

– Dzień dobry, mówi Sally Davis.

– Dzień dobry, Sally, mówi doktor Kinnersley, doktor Tessa Kinnersley. Z psychologii na...

– W porządku – głos Sally brzmiał miękko, dzięki lirycznemu walijskiemu akcentowi, był ciepły i życzliwy. – Pamiętam panią! Oczywiście, że pamiętam. O jeny, tak, Kath Redway, wypadek nad zalewem Burrator, prawda? Czy ona dobrze się czuje? Pamiętam tę jej biedną córeczkę, tę śliczną małą dziewczynkę... Jak ona się teraz miewa? Jak cała rodzina?

– Kath czuje się... dobrze. Jednak ciągle boryka się z częściową utratą pamięci. Wciąż próbuje poukładać sobie te wszystkie kawałki w jakąś całość. W przypadku urazu mózgu potrzeba czasu, zresztą dobrze pani o tym wie. Czasu i uważności.

Sally Davis wyszeptwała półgłosem słowa współczucia, po czym zapytała:

– Jak mogę pomóc?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Kath nie pamięta pierwszych godzin, kiedy zaczęła odzyskiwać przytomność, i naszym zdaniem byłoby pomocne, gdybyśmy wiedzieli dokładnie, co się wtedy wydarzyło, gdybyśmy mogli to wszystko doprecyzować. – Tessa spłonęła rumieńcem, wyrzucając z siebie te wszystkie kłamstwa i wpatrując się w oprawiony w ramki dyplom doktoratu, który wisiał na ścianie. – Chcemy ustalić ramy czasowe... Wie pani, kto pierwszy przyszedł ją odwiedzić i tego rodzaju informacje.

– To proste! – odpowiedziała rozpromieniona Sally. – Byłam wtedy na zmianie! Ona była moją pacjentką i mam tu gdzieś nawet notatki.

Tessa znowu zaczęła stukać ołówkiem, tym razem nieco szybciej. Równie szybko jak biło jej serce.

Czego za chwilę się dowie?

Sally wróciła do telefonu.

– Tak, już mam. Zajęło nam chwilę, żeby ustalić jej tożsamość, ale jak tylko się udało, zaczęliśmy dzwonić. Oczywiście zadzwoniliśmy do jej męża, ale nie mogliśmy się połączyć i wtedy...

– Tak?

– Hmm... zdaje się, że zadzwoniliśmy do pani. Mieszka pani w Salcombe, tak? Ale znowu to samo... hmm... nikt nie odbierał.

– Tak. Byłam z dziećmi poza domem. – Tessa żałowała teraz, że nie ma więcej kawy, tak bardzo zaschło jej w ustach. – Zabrałam je, żeby odwiedzić moich rodziców, ich dziadków, w Shropshire. To był sylwester.

– No tak, taaak, skoro tak pani mówi... Więc potem namierzyliśmy jej brata, Dana, znaczy się pani męża, i zadzwoniliśmy na jego komórkę.

– O której godzinie?

– Około jedenastej trzydzieści.

Jedenasta trzydzieści.

Jedenasta trzydzieści.

Tessa zaczęła bębnić ołówkiem jeszcze mocniej, jeszcze szybciej. *Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk.* Odczuwała niepowstrzymaną pokusę, żeby przełamać ołówek na pół i rzucić tymi kawałkami w cholerną ścianę.

Jedenasta trzydzieści.

– Dobrze – odparła Tessa najciszej, jak była w stanie. – Jedenasta trzydzieści. A o której dokładnie godzinie przyjechał? Bo pewnie był pierwszą osobą, która odwiedziła Kath?

– Tak, około południa, jakieś pół godziny po tym, jak do niego zadzwoniliśmy. Powiedział, że był w pobliżu.

Tessa powtórzyła z teatralnym spokojem:

– W pobliżu?

– Och, tak. Pamiętam, jak mówił nam, że zatrzymał się w Dartmoor w tym hotelu pod Princetown. Zdaje się, że nazywa się Two Bridges. – Sally zawiesiła głos, po czym mówiła dalej: – Czy pomogłam pani w jakiś sposób?

Dłoń Tessy znieruchomiała. Two Bridges? To już zbyt wiele. Wyraźnie wyczuwała obecność czegoś mrocznego i złego, choć nie była jeszcze pewna, co to takiego. Na horyzoncie pojawiło się coś bardzo niepokojącego. Tessa odłożyła ołówek i zadała kolejne pytanie:

– Sally, czy ktokolwiek wcześniej cię o to pytał?

– Co ma pani na myśli?

– O tę rozmowę telefoniczną z bratem Kath, Danem?

– Hmm... – Sally zawahała się. – Zastanawiam się, ale nie, nie sądzę, żeby ktoś o to pytał. Dlaczego? Czy to ma jakiś związek z jej utratą pamięci? Jeśli mam być szczerą, byliśmy wszyscy tak przerażeni, i jednocześnie szczęśliwi, że udało nam się z kimkolwiek nawiązać kontakt... Wszyscy skupiliśmy się na Kath. – Westchnęła. – Mam ogromną nadzieję, że ta śliczna mała dziewczynka dochodzi do siebie. Jak oni sobie radzą, czy ona czuje się lepiej?

– Tak, tak – odpowiedziała Tessa. – Czuje się lepiej, a te informacje naprawdę mogą okazać się pomocne. Dziękuję bardzo, że zechciałaś poświęcić mi czas.

Tessa szybko kliknęła w ekran, kończąc rozmowę, i odłożyła telefon.

Dan został w Dartmoor tego wieczoru, kiedy jego siostra usiłowała się zabić, a w dodatku był blisko Redwayów. Zatrzymał się w hotelu Two Bridges. I przez cały czas kłamał w tej sprawie. Okłamywał wszystkich – Tessę, Kath, wszystkich. Czyli Kath miała rację. W tym wszystkim była jakaś metoda. I z wolna wychodziła na światło dzienne. Niczym mozaika przysypana ziemią, którą powoli zeskrobywano.

Kolejny dźwięk sprawił, że Tessa wyjrzała przez okno.

Mały prom Cremyll, który obsługiwał to ujście rzeki do morza od tysięcy lat, albo i dłużej, płynął w poprzek zatoki. Torował sobie drogę z Barbican do Royal William Victualling Yard. Przepływał obok przepastnych betonowych bunkrów, gdzie trzymano nuklearne okręty podwodne. Mroczne i ukryte.

Black Tor

Czwartek po południu

Muszę iść tak, jak chadzają kuce. Jak mawia Adam: „Obserwuj, jak dzikie kuce pasą się na wrzosowiskach, przechodzą od jednej kępy do drugiej, dzięki czemu nie grzęzną w cuchnących bagnach i nie wpadają do rowów, więc mogą uniknąć urazów”.

Zachowuję się zatem podobnie, idę ostrożnie, przechodząc z jednej kępy trawy na drugą. W miarę jak posuwam się do przodu, spoglądam na falujące zielone wrzosowiska i na odległą wieżę kościoła, wokół którego przycupnęła wioska. Stosuję się do rad Tessy, próbuję znaleźć rozwiązanie, spacerując samotnie. I medytując.

Dzisiaj robię pętlę od farmy Huckerby przez wzgórza do Black Tor i z powrotem. Pokonywałam tę trasę wielokrotnie. Znam strumień szeroki na krok, który zagradza mi teraz drogę. Kiedy przez niego przeskakuję, płoszę z najbliższego wzgórza ptaki o ciemnych piórach. Przypominają drobinki sadzy rozproszone na niebie.

Ptaki kraczą, przestraszone, i uciekają jeszcze dalej. Jakbym była jakimś drapieżnikiem, który zbliża się, żeby je zabić i poukładać w linie, rzędy i okręgi. Jednak nie mam w sobie żadnych krwiożerczych instynktów. Wcale. Jestem jedynie samotną postacią na pustym wrzosowisku. Kobieta, na którą rzucono klątwę przeszłości i jednocześnie klątwę zapomnienia.

Nie, nie rzucono na mnie żadnej klątwy, to jakieś szaleństwo. Muszę przestać myśleć w ten sposób. Muszę pamiętać o tym, co powiedziała Tessa, i wziąć się w garść. Kiedyś myślałam racjonalnie – byłam naukowcem, archeologiem. Musi być jakiś powód tego, że wjechałam do zalewu, ale – mam ochotę wykrzyczeć to w niebo, płosząc wszystkie ptaki od Yalverton po Salcombe – wciąż nie wiem, dlaczego próbowałam się zabić! Wciąż nie mogę uwierzyć, że mogłam tego chcieć. A więc musiał mi to zrobić ktoś inny. Adam, czy zupełnie inna osoba?

Oddycham głęboko, próbując zorientować się, gdzie konkretnie jestem, zatrzymuję się i spoglądam na północ. Wokół masztu radiowego w Princetown snują się mgły. Jakże szybko opary spowijają Dartmoor. Dostrzegam jedynie szczyt wieży – reszta jest przesłonięta. Oznacza to, że całe miasto, jak to często bywa, wkrótce zatopi się

w zimnej i obrzydliwej mgle, zmuszając więźniów, gwałcicieli i dzieciobójców, żeby wpatrywali się w zimną, szarą nicność. Taka dodatkowa kara.

Przyśpieszam kroku. Kiedyś lubiłam wędrować po wrzosowiskach, ale ostatnio zaczynam tego nienawidzić. Kogóż jeszcze można tu spotkać? Każdego. Przypadkowego mężczyznę, jakiegoś zabójcę. Kolejnego ducha. Jednak nikt się nie pojawia. Nie ma nawet owcy, która wydaje z siebie drżące *meee*. Słyszać tylko chlupotanie pod moimi butami, kiedy idę w stronę kolejnego wzgórza i analizuję fakty – wszystkie elementy układanki dostępne dla mojego umysłu. Przypominają części skorup z wykopalisk archeologicznych. Ale w końcu jestem zawodowym archeologiem. Potrafię więc połączyć je w całość.

Jednym z faktów, do których mam dostęp, choć do tej pory nie przyglądałam mu się bliżej, jest mój list pożegnalny.

Nie powinnam była zrobić tego, co zrobiłam, nie powinnam była dopuścić tej myśli do swojego serca.

Wyruszam w podróż. Odchodzę na zawsze.

Zapomnijcie o mnie, jeśli potraficie, choć wiem, że nigdy mi nie wybaczycie.

Pamiętam jak przez mgłę moment, kiedy napisałam ten list. W Huckerby. Mam przed oczami moją dłoń, która przelewa te słowa na papier. I nic więcej. Nie pamiętam kontekstu ani szczegółów. Nie wiem, jak byłam ubrana, kiedy pisałam te słowa, nie mówiąc już o tym, co wtedy myślałam. Co takiego miałam na myśli? Cóż to była za „myśl”, którą dopuściłam do swojego serca? I dlaczego to jest albo było tak niewybaczalne?

Jestem prawie na szczycie kolejnego wzgórza. Kiedy tam docieram, mgły rozstępują się dramatycznie, przepływając na południe – bardzo gwałtownie, jak to zazwyczaj bywa w Dartmoor.

Chmury nad moją głową wciąż przypominają szare wieko trumny, która zamyka się nad wrzosowiskami, ale teraz, tam w dole, bliżej wybrzeża, jaśnieje słońce, rzucając promienie na połyskującą złotem szachownicę pól, na miękkie i urocze niziny. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że otacza mnie ziemia obiecana. Eden. Może i całe wrzosowisko sprawia wrażenie więzienia, a metalowe kraty, po których przechodzi bydło, przypominają kraty więzienne, jednak ponad tym wszystkim góruje piękno.

Kiedyś już tam byłam i znowu się tam dostanę. Wydobędę się z tego bagna.

Postanowione. Zrobię to dla Lyli.

Czuję w sobie ogromną determinację. Mam ochotę wrócić do domu. Mam ochotę zobaczyć moją rodzinę. Przytulić Lylę.

I znam skrót. Nie planowałam takiej trasy, wiedzie wzdłuż Devonshire Leat, potem obok Whiteworks z bezładnie rozrzuconymi ruinami kominów i dawnych hałd, a następnie pomiędzy pojedynczymi gruzowiskami stodół.

Tyle wokół porzuconych domostw. Niektóre to tradycyjne długie domy, jak w Huckerby. Liczą sześćset lat. Tysiąc lat. Miejsca, w których roześmiane dzieci mieszkały pod jednym dachem z karmionymi piersią jagniątkami. Teraz pozostały tam jedynie trawy, osty i martwe króliki.

Stodoły wpatrują się we mnie oczami okien. Jakby mnie znały. Jakby o mnie słyszały. Albo jakbym ja je znała.

Mijając ostatnią chałupę z ziejącymi pustką oczami, przeskakuję przez kolejny strumyk, obchodzę dookoła mały sosnowy zagajnik, w którym górne gałęzie drzew zatrzymały mgłę niczym wychłodzony dym. Wkrótce moim oczom ukaze się Huckerby. Mój dom, gdzie czeka na mnie Lyla. Dziewczynka, którą uratuję, znajdując odpowiedzi. Odkrywając tajemnicę samej siebie.

Jednak nie widzę Huckerby. Kiedy wlekąc się noga za nogą, obchodzę dookoła ostatni szary szpaler jodeł, dostrzegam postać mężczyzny, ledwie widoczną w tej unoszącej się dookoła mgle. Człowiek wygląda, jakby trzymał w ręce jakieś narzędzie, siekierę albo toporek, którym siecze zaciekle po krzakach. Stoi odwrócony do mnie plecami, macha ostrzem tam i z powrotem. Szaleńczo, brutalnie, bezlitośnie.

To Adam.

Jestem pewna, że to on. Ramiona, postawa, gęste ciemne włosy.

Ale dlaczego? Jakim sposobem? Ogarnia mnie strach. Co on tutaj robi? I gdzie jest Lyla? Miał przecież być w domu. Mój mąż jest na wrzosowisku z wielką siekierą w dłoni. A ja muszę się z nim skonfrontować, nie mogę uciec, mam już dość uciekania. Biegnę więc do niego, przez gęstniejącą mgłę, do mojego obłąkanego męża, który rąbie siekierą, jakby zabijał kuca, jakby odcinał mu głowę.

– Adam?

Czuję się, jakbym przyłapała mojego męża na czymś obrzydliwym, na czymś, co być może wszystko wyjaśni. Następne kilka sekund może zmienić moje życie.

Mężczyzna odwraca się we mgle.

To Harry Redway.

– Kath?

Czuję się jak idiotka, ale bynajmniej nie jak wariatka. Nie taka to znowu szalona pomyłka. Harry i Adam mają podobną posturę. Te same ciemne włosy. Niemalże identyczną skórzaną kurtkę, choć inne buty. Inne dzinsy. We mgle, z pewnej odległości, obaj wyglądają naprawdę dość podobnie. Teraz, gdy podchodzę bliżej, dostrzegam, oczywiście, że stojący tu mężczyzna jest młodszy.

A jednak wciąż coś jest nie tak. Harry wygląda podejrzanie. Kuzyn Adama to jeden z najsympatyczniejszych Redwayów – zazwyczaj. Sypie kawałami jak z rękawa, pierwszy stawia kolejkę w Warren House, błyskawicznie znajduje sobie nową dziewczynę, kiedy tylko poprzednia mu się znudzi. Nigdy długo nie jest sam.

Jednak tutaj jest sam.

Trzymając w jednej dłoni dużą siekiere, w samym środku posępnego krajobrazu wrzosowiska, wygląda agresywnie.

– Cześć, Kath.

– Mhm, cześć, Harry.

– Samochód dobrze chodzi?

Kiwam głową i dziękuję. Wspominam o sprzęgle. Niemniej cały czas mam poczucie absurdalności tej naszej rozmowy. Ostrze siekiery, którą trzyma w dłoni, jest takie duże.

– Co tutaj robisz, Harry?

Harry spogląda na siekiere w swojej lewej ręce i oczy mu się rozszerzają, jakby był zaskoczony tym widokiem.

– Aaaa. Wypalanie traw.

– Co?

– Dostałem fuchę u Bowenów, sąsiadów Spaldingów. Mam im pomóc.

– Słucham?

Na jego twarzy znowu maluje się ten charakterystyczny uśmiech, chociaż wygląda na wymuszony.

– Muszę zrobić przecinkę, powycinać krzaki kolcolistu, no wiesz, zanim zaczną wypalanie traw. Żeby potem nie paliło się wszystko aż po Brixham.

Przecinka? Ma to jakiś sens. Widziałam kiedyś, jak mężczyźni to robili. Wypalanie traw jest bardzo kontrowersyjne i wiele osób tego nienawidzi – uporczywe wypalanie wrzosowiska zimą, rozmyślne wyniszczanie, wielki szalejący ogień, a wszystko

regulowane niezliczonymi przepisami i zarządzeniami.

Jednak nigdy nie widziałam, żeby ktoś robił przecinki w tej okolicy, choć przy wypalaniu byłam wielokrotnie. Przyglądałam mu się, odkąd byłam dzieckiem, ponieważ moja matka uwielbiała ten zwyczaj. Naprawdę kochała tradycyjne zimowe pożary – przywoziła nas w miejsca, gdzie z góry było widać olbrzymie połacie ognia. Stała urzeczona w czerwonej poświacie. Pełna uwielbienia. Uważała to za takie autentyczne. Tradycja licząca trzy tysiące lat, sięgająca czasów przedchrześcijańskich, wciąż kultywowana. Ubóstwiała stare opowieści o tym, jak posyłano dzieci, by zbierały później spalone gałązki kolcolistu, zwęglone patyki na opał; o tym, jak mnisi modlili się o powodzenie wypalania traw, żeby odpędzić węże, żeby odpędzić szatana.

Pamiętam wyraźnie swąd ognia, który wydawał mi się wtedy ogromny – ośmioletnia dziewczynka naprzeciwko trzymetrowych płomieni, tej mieszanki słodkiego, kokosowego zapachu kwiatów kolcolistu z gryzącą wonią popiołu, sadzy i skremowanych żywcem stworzeń. Puszczonych z dymem zwierząt.

Harry unosi siekierę.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

– Nie, nie, nic się nie stało, naprawdę miło cię widzieć.

– Ciebie też. Ciebie też, Kath. W każdym razie... – Kiwnięciem głowy wskazuje na kolcolist. – Lepiej już wróć do pracy. Cholernie paskudny dzień. Powiedz Adamowi, że wpadnę na piwko, pewnie pod koniec tygodnia.

Kiwam głową.

– Tak, oczywiście, i przepraszam. Mężczyzna w pracy! Przekażę Adamowi pozdrowienia.

Machamy sobie na pożegnanie i odchodzę. Kilkaset metrów dalej odwracam się. Harry znowu pokazuje mi plecy. Tnie i rąbie krzewy kolcolistu i wrzosów. Robi przecinkę.

Harry Redway?

Mam mętlik w głowie. Mam ochotę biec przez całą drogę do Huckerby. Czuję, że powraca do mnie jakieś wspomnienie, że mój umysł próbuje się naprawić, tak jak mówiła Tessa. Chcę uchwycić tę chwilę, wdrzeć się pamięcią przez otwierające się okno. Jestem niedaleko od domu – idę ostatnią błotnistą ścieżką. Muszę jak najlepiej wykorzystać tę jasność, która się przede mną otworzyła, przypominając mgły, które rozstąpiły się na chwilę nad Black Tor i ukazały ziemię obiecaną.

W kuchni jest ciepło i pusto.

Nieporadnie nalewam wodę do czajnika i słyszę jakiś dźwięk dobiegający z salonu. Adam wchodzi do kuchni, trzymając w dłoni butelkę piwa. Patrzy na mnie ze spokojnym, choć pogardliwym wyrazem twarzy. Potem wraca do salonu. Jakbym nawet nie zasługiwała na powitanie.

Jakbym znowu zrobiła coś złego.

Nieważne. Teraz niespecjalnie mnie to obchodzi.

Sącząc herbatę, opieram się o zlew i myślę. Oddycham głęboko, medytacyjnie, tak jak radziła Tessa. Przypominam sobie ten zapach, mieszanek kokosu i popiołu. Mroczny zapach wrzosowiska torturowanego przez ogień. Mam to wszystko przed oczami – jestem małą dziewczynką w wieku Lyli, wpatruję się w te bezsensowne płomienie, stoję obok matki. Trzymam ją za rękę i nie bardzo rozumiem, dlaczego ludzie z rozmysłem podkładają ogień na tych pięknych wrzosowiskach.

Doskonale pamiętam tamten moment, ponieważ zapach jest tak ściśle z nim powiązany. To zapach wywołuje teraz wspomnienie.

Oto moja szansa. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Mam łagodny uraz mózgu i da się go wyleczyć.

Zmierzam w stronę spiżarni, otwieram stare drewniane drzwi. Oto i ona. Dojrzała, pełna soku cytryna. Unikałam zapachu cytryny od czasu wizyty w domu Briana Angove'a, ponieważ ta woń wywołała we mnie niepokój. A jeśli zmusiłabym się, żeby wdychać ten zapach?

Biorę ścierkę z wieszaka przy kuchence i wyciskam do niej cytrynę, nasączaając ją sokiem. Zagłębiam nos w wilgotną bawełnę i wdycham słodki cytrusowy zapach.

Z początku nic. Jak przez mgłę. Nic.

Cytryna.

Oddycham głęboko, raz po raz, wdychając cytrynowy zapach. Wdech, wydech, i jeszcze raz wdech. Teraz coś się pojawia. To działa. Widzę siebie i nie jest to obraz, którego się spodziewałam. Zupełnie nie tego się spodziewałam.

Nie ma to nic wspólnego z Adamem.

Jestem w hotelu Two Bridges. W porze lunchu. To dzień, w którym próbowałam popełnić samobójstwo, jestem tego pewna.

Piję kieliszek wina, a potem przestaję. Dlaczego? Ponieważ w pośpiechu wychodzę z pubu. A kiedy opuszczam budynek i idę do samochodu, dostrzegam inne auto, które

właśnie podjeżdża. Jednak nie podchodzę do kierowcy, chociaż go znam. Pochyliam się tylko i biegnę do swojego auta, żeby ten ktoś mnie nie zauważył.

Dlaczego?

Nie mam pojęcia. Ten krótki, mocny przebłysk pamięci gaśnie jak automat do gier, który przestaje wypłacać pieniądze. Oddycham głęboko, wdech i wydech, wciągając w nozdrza cytrynowy zapach, ale teraz widzę jedynie menhir. Gdzieś na wrzosowisku. Ma osobliwy kształt, jakby szerszy u podstawy. Nie rozpoznaję tego kamienia.

I znowu to samo. Obraz kamienia rozplywa się, a ja stoję we własnej kuchni, trzymając w dłoni ścierkę nasączoną sokiem z cytryny. Jednak trzymam jeszcze coś w mojej pamięci. Pierwszą, najważniejszą część tej układanki.

Tamtego dnia, kiedy usiłowałam się zabić, byłam w hotelu Two Bridges. Podobnie jak pewien mężczyzna, którego znam.

Kierowcą tamtego samochodu był mój brat, Dan.

To przed nim uciekałam.

Farma Huckerby

Czwartek po południu

Próbując to zrozumieć, upuszczam ścierkę do zlewu i zaczynam wypłukiwać z niej sok cytrynowy. Wpatruję się w dal pogrążona w myślach. Zastanawiam się nad Danem, nad Harrym, nad tym wszystkim, i jeszcze nad stojącym kamieniem, którego nie rozpoznaję. Gdzie to może być?

Dartmoor gapi się na mnie z kalendarza ściennego. Zdjęcie śniegu i kwiatów na grobie Kitty Jay. Ostatnie miejsce spoczynku legendarnej samobójczyni, miejsce, w którym rozrzucano prochy mojej matki.

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego moja matka wybrała grób Kitty Jay. Przecież tak naprawdę nigdy jej się tam nie podobało. O wiele bardziej lubiła las Wistmana albo wybrzeże w Salcombe. A jednak dość jasno przedstawiła swoje życzenie. „Rozrzucicie moje prochy na grobie Kitty Jay”.

Czyżby wierzyła w tę legendę? Czy o to chodziło?

Być może. Trzydzieści lat temu grupa archeologów odkopła grób i znaleziono liczący około dwustu lat szkielet młodej kobiety, który potwierdzał prawdziwość legendy. Dziewczyna, która zabiła się z powodu nieodwzajemnionej miłości, wstydu i poczucia winy związanego z ciążą, naprawdę była tam pochowana, na rozstaju dróg. Zgodnie z tradycją samobójców grzebano właśnie na rozstajach dróg – żeby nie wiedzieli, którędy pójść, kiedy wstaną z grobu, by straszyc ludzi.

Grób Kitty Jay jest więc jednym z takich miejsc, gdzie pochowano by mnie, gdybym dokończyła swoje dzieło nad Burratorem.

Ale czym ja się właściwie zajmuję? Przecież mam nową, ważną informację – Tessa musi coś na ten temat wiedzieć. Podchodzę bliżej do okna, żeby mieć lepszy zasięg, i wybieram numer telefonu do Salcombe.

Odbiera natychmiast.

– Przypomniałam sobie dzień, kiedy to zrobiłam. Zastosowałam trik z pamięcią. Za pomocą cytryny. Skojarzeń. I zadziałało! To wspomnienie powróciło i jestem pewna, że jest prawdziwe. – Zawieszam głos.

– Tak?

Biorę głęboki oddech i odważnie mówię dalej:

– Dan też tam był. W hotelu Two Bridges. Tamtego dnia, kiedy wjechałam do Burratora. Wiem, że on tam był, ponieważ ja tam byłam. Był tam po południu, Tesso. Z jakiegoś powodu nie chciałam się z nim spotkać, uciekłam, żeby mnie nie zobaczył. – Mam napięty, ale czysty ton głosu. – Choć nie mam pojęcia dlaczego. Więc...

– Ona wie.

Odwracam się zaskoczona. To Adam stoi w drzwiach kuchni, opierając się o framugę. Kiwam głową, jakbym rozumiała, o czym mówi. Ale nie rozumiem.

Wypija łyk piwa i powtarza raz jeszcze:

– Ona wie. – Rzuca mi gniewne spojrzenie i dodaje: – Wie, co zrobiłaś.

Brzmi to poważnie i nie wróży niczego dobrego. Mówię do Tessy, że porozmawiamy później, rozłączam się i zwracam się do mojego męża:

– Co masz na myśli?

Ociera usta kciukiem.

– Zgadnij.

Butelka taniego piwa z Lidla jest już prawie pusta. Patrzą na niego i na piwo. Mój mąż nigdy nie pije alkoholu sam, w domu, i rzadko po południu.

– Lyla – mówi prosto z mostu. – Lyla wie. Chyba ktoś powiedział jej o tym w szkole. – Pociąga łyk z butelki, nadal przeszywając mnie wzrokiem. – Próbowałam jej wytłumaczyć, że to nieprawda. Ale ona mi nie wierzy. I znowu wróciło to pobudzenie ruchowe. Jak ty to fachowo nazywasz... stimowanie. I tak przez cały dzień.

Patrzą na niego oniemiała.

Moja kochana córeczka... Moja kochana córeczka wie o tym, że próbowałam popełnić samobójstwo. O Boże.

– Jak bardzo jest źle?

– Kiedy wracaliśmy samochodem z Lidla dzisiaj po południu, kiwała się do przodu i do tyłu. Jak robot. Uderzała nawet głową w szybę. – Adam bezradnie patrzy pustym wzrokiem. – Tak, Kath, powiedziałbym, że to się pogłębia. Jest bardzo bardzo bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo cholernie źle.

Odstawia butelkę, po czym znowu bierze ją do ręki. Wygląda na rozszoszczonego, zaślepionego złością i zastanawiam się, czy chce rozbić tę butelkę o zlew, zrobić narzędzie zbrodni z postrzępionego szkła i wgnieść je w moją twarz winowajczyni.

Tłumię w sobie odruch, by skulić się ze strachu. A jednocześnie mam ochotę to zrobić.

– Adamie, dlaczego sądzisz, że ona o tym wie? Czy powiedziała coś szczególnego? I gdzie ona teraz jest?

– Poszła na spacer z psami, potrzebowała świeżego powietrza. Niedługo wróci na herbatę, więc sama będziesz mogła ją o to wszystko zapytać. Spędź z nią trochę czasu. –

Pociąga łyk piwa. – Kiedy ostatnio rozmawiałś z Lylą, co? Jeszcze przed tą kłapą z przyjęciem?

Pomimo poczucia winy gryzę się w język, ponieważ uważam to za niesprawiedliwe. Nie zrobił nic przy organizacji tego przyjęcia, ponieważ rzadko zajmuje się takimi rzeczami. Oczywiście miał rację, że to był błąd, ale przynajmniej spróbowałam. Zawsze to ja podejmuję próby – to mnie Adam zostawia sprawy organizacyjne, wszelkie oficjalne kwestie dotyczące Lyli. Począwszy od szkolnych mundurków aż po dni wolne od szkoły – wszystko jest na mojej głowie. Do tego jeszcze starania, żeby skłonić ją do nauki muzyki albo zainteresować teatrem, albo jazdą na rowerze – próbowałam już wszystkiego, za każdym razem ponosząc porażkę, ponieważ Lyla uwielbia jedynie słoiki po dżemie pełne kwietniowych kijanek z Taw i obserwowanie pustulek unoszących się nad Chinkwell. I przebywanie w swoim świecie, słuchanie niebieskich i srebrnych dźwięków.

Wpatruję się w Adama, popadając w coraz głębszą rozpacz. Teraz moje drobne zwycięstwo nad pamięcią przy udziale zapachu cytryny wydaje się banalne. Jestem zrozpaczona, ale też rozzłoszczona. Moje oburzenie rośnie, dorównując jego wściekłości.

– Ja przynajmniej podejmuję próby. Przynajmniej usiłuję przystosować Lylę do życia w społeczeństwie. Kiedy po raz ostatni zabrałeś ją, żeby się pobawiła z koleżanką, albo wziąłś do kina, kiedy zrobiłś coś tak całkiem zwyczajnego?

– Nie robię, do cholery, takich rzeczy – odpowiada. – Ponieważ ona, do cholery, tego nie lubi. O to właśnie mi, do cholery, chodzi. – Kolejny łyk piwa, który nie powstrzymuje go przed tym, żeby mówić dalej. Wyrzuca z siebie słowa szybko i zdecydowanie, niemalże krzyczy: – Ona jest samotniczką, taka jest nasza piękna córka, pozwól jej być taką, jaka jest, pozwól jej być sobą, pozwól jej wędrować po wrzosowiskach, pozwól jej wspinać się po tych cholernych wzgórzach, obserwować lelki kozodoje, sam tak robiłem, to moja dziewczynka. – Mówi tak szybko, że piwo pryska z jego ust. – Ona jest córką swojego ojca, a może to właśnie cię boli? Fakt, że to

ja jestem jej tatą? Czy chciałaś, żeby to był ktoś inny? Ktoś bogatszy? Jak twój brat? Czy chciałaś pieprzyć się z kimś innym?

– Co? Nie bądź śmieszny.

Jakim sposobem znaleźliśmy się w takim miejscu? Przecież się kochaliśmy. Ale teraz stoję tu najeżona, w pozycji obronnej. Tyle że nie mam czym walczyć, nie mam żadnej broni. Jedynie podejrzenia. Adam na wzgórzu, Adam majstrujący przy moim samochodzie. Komentarze Emmy Spalding.

Jestem samobójczynią. Ocknęłam się na rozstaju dróg i zdrapałam ziemię z twarzy, a teraz nie mam pojęcia, którą drogę wybrać.

Adam sięga do lodówki po kolejne piwo. Zamyka z hukiem drzwi, trzymając piwo w dłoni. Ile butelek już wypił? Niewiele mu trzeba, żeby się upić, chociaż zwykle nie posuwa się tak daleko. Przychodzi mi na myśl tamta owca, którą zastrzelił w północnej części wrzosowisk, tak zwyczajnie, z tą zimną brutalnością. Znowu spoglądam na kalendarz ścienny, na ten smutny, malowniczy grób przykryty śniegiem, w pobliżu miejsca, gdzie Adam przebywał w święta Bożego Narodzenia.

– Adamie...

Otwiera butelkę i wrzuca kapsel do zlewu. Słysząc brzęk.

– Co? Co tym razem?

– Kiedy byłeś w tamtym miejscu... po świętach... ktoś... coś... właśnie tam... niedaleko Kitty Jay... tam, gdzie rozrzucone są prochy mojej matki...

Znowu to samo. *Poczucie winy.*

Milczy, szybko odwraca wzrok, patrzy na drzwi do kuchni. Słyszę szczekanie psów w oddali. Pewnie Lyla wraca do domu. Adam znowu odwraca się do mnie.

– Czy byłeś tam przez cały czas, Adamie? Przez cały tamten tydzień? Bo ciągle coś kołacze mi się po głowie, coś mi się przypomina... Mężczyzna w samochodzie... w tamten wieczór... Czy to byłeś ty?

Przez chwilę milczy. Potem uderza butelką piwa w blat tak mocno, że aż dzwoni. Psy szczekają na podwórku, ale Lyli jeszcze nie widać. Pewnie poszła do swojej kryjówki. Nie chcę, żeby tego słuchała. Żeby słuchała swojego ojca, jak wymyśla jej przepełnionej poczuciem winy matce.

– Do diabła z tym, Kath! Skończ już z tymi bzdurami! Proszę! Nie było mnie tam. Nie śledzę cię. Nie wróciłem. Co to za ciężkie głupoty? Pracuję po szesnaście godzin dziennie. – Ociera usta i znowu warczy: – Pieprzyć to. Nie mogę już dłużej udawać, że

nie jestem wściekły. Moja córka, moje jedyne dziecko, przeżywa traumę. Kiwa się do przodu i do tyłu w samochodzie, drapie się. Boi się mnie, swojego ojca! Obwinia mnie o to, w jakim jesteś stanie. Dlaczego? Dlaczego to robi? Z powodu tego, co ty zrobiłaś! A teraz ktoś powiedział jej całą prawdę, więc sytuacja jest jeszcze gorsza.

Oczy mu płoną ze wściekłości, a ja kulę się ze strachu, wycofuję się. Wisi nade mną, ogromny, z butelką piwa w dłoni, gotowy, by się na mnie zamachnąć.

– To ty! Ty pogarszasz całą tę sytuację. Ty, Kath. Ty! Bo to ty próbowałaś się zabić. Dlatego nasza córka jest bezbronna i przerażona, dlatego jest tak bardzo pobudzona, kiwa się, macha rękami. Dlatego właśnie jest smutna, przestraszona, dlatego układa martwe ptaszki. I czuje się coraz bardziej samotna. Nie istnieje żaden inny powód. To wszystko twoja wina. Ponieważ to ty postanowiłaś, że powinniśmy cierpieć, Lyla i ja. Ponieważ to ty wjechałaś samochodem do tego zalewu. Ponieważ to ty uznałaś, że ja i Lyla jesteśmy bezwartościowi. Ty to zrobiłaś. TY!

Podwórze w Huckerby

Czwartek wieczorem

Dręczy mnie poczucie winy. Nie mogę tutaj zostać. Otwieram gwałtownie drzwi, uciekam na tonące w zmierzchu podwórze, z oczami błyszczącymi od łez. Adam ma rację – to moja wina. Muszę iść i znaleźć moją córkę. Przytulić ją. Powiedzieć tym uściskiem „Przepraszam”. Słyszałam, że psy wróciły, więc Lyla musi być w swojej kryjówce. Chodzi tam, kiedy chce pobyć sama.

Kryjówka Lyli znajduje się za starą zrujnowaną stodołą. Wycięła sobie tę przestrzeń w krzakach malin, zębach wiedźmy i w gałązkach leszczyny. Adam jej pomógł. Spędzili długie dni i godziny, wycinając te chaszczce i budując dla niej małą jaskinię z liści i gałązek, gdzie mogła być całkiem sama. Adam zamocował tam deski i plastik, żeby było sucho, a ja przyniosłam poduszki i koce. Zrobił nawet małą drewnianą furtkę, zawieszoną na skrzypiących zawiasach.

Stukam do zaryglowanej bramki.

– Mogę wejść?

– Tak.

Ma taki cichutki głosik.

Otwieram furtkę i wpełzam do kryjówki. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami w czerwonym podkoszulku, cienkiej niebieskiej bluzie z kapturem, czarnych legginsach. Wygląda na taką małą i bezbronną. Powinna być zmarznięta, ale najwyraźniej nie jest. Felix i Randal leżą tam, po obu jej stronach, ucinając sobie drzemkę.

Unika mojego wzroku. W zapadającym zmroku czyta książkę. Leży otwarta na jej kolanach.

Lyla siedzi pośród wszystkich swoich znalezisk. Kilka wspaniałych piór zimorodka. Kwiaty polne z zeszłego roku. Odłamki skał, kamienie i małe muszki. Na półce leżą starannie poukładane długie rzędy ptasich jaj, jasnoniebieskie, kremowe i żółte, wszystkie popękane i rozbite, ponieważ nigdy nie zabrałyby niewyklutego jajka. Po jej lewej stronie leżą książki, encyklopedie w przezroczystych plastikowych torebkach,

żeby nie zawilgły. Otwarte pudełko zapalek mieści w sobie czaszkę żmii.

Kiedy łagodny zimowy wiatr wprawia w drżenie konstrukcję kryjówki, łańcuszki zrobione ze spinaczy biurowych wydają z siebie jej ulubiony odgłos przypominający dźwięk dzwoneczków, delikatny i upiorny zarazem.

Lyla uwielbia robić te łańcuszki ze spinaczy do papieru, połączone i zahaczone jedno o drugie, które wiesza potem na gałęziach w swojej kryjówce. Takie własnej roboty wietrzne dzwonki.

Dzyń, dzyń. Dzyń, dzyń.

Nagle patrzy na mnie.

– Przeczytałam dzisiaj mnóstwo rzeczy, całe mnóstwo. Opowiedzieć ci?

– Tak.

Odgarnia włosy z oczu. Teraz dostrzegam, że płakała. Ma zaróżowioną twarz. Chcę wziąć ją w ramiona i przytulić, ale jestem przerażona tym, że nasiąknie moim poczuciem winy i złem, zarazą z Rynku Śmierci.

Felix, obudzony, patrzy na mnie.

– Co przeczytałaś, kotku?

Lyla mówi spokojnym, nienaturalnie przyciszonym głosem:

– O samobójstwie. Wszystkie fakty o tym, dlaczego ludzie odbierają sobie życie. – Jej wilgotne oczy napotykają mój wzrok. – Gladiatorzy. Czytałam o gladiatorach. Zabijali się, wkładając głowę w szprychy poruszających się wozów. Przeczytałam o tym w Google’u. Uważali, że to lepsze niż służenie Rzymianom i walka na śmierć na arenie. Czasem przekłuwali sobie gardła oszczepami.

– Lyla... – Nie wiem, jak to powstrzymać. Próbuje sprawdzając, do czego ma dostęp w internecie, ale tak naprawdę co można na to poradzić w dzisiejszych czasach? Adam ma całkowitą rację, ktoś z nią rozmawia o mnie i o tym, co zrobiłam. Muszę jakoś odwrócić jej uwagę. – Proszę, kochanie, zapada już zmrok. Możesz mi o tym wszystkim później opowiedzieć.

Potrząsa głową i znowu zaczyna robić mi wykład, szybko, jednym tchem. Kiedy mówi, macha prawą ręką.

– Jakiś człowiek zadźgał się okularami. Był jeszcze inny... inny człowiek, który zrobił to, wypijając wrzątek, a ktoś wepchnął sobie kij od miotły do gardła, a jakaś kobieta wbiła sobie do brzucha igły do cerowania, żeby się zabić... i czytałam o takim mężczyźnie, który chciał popełnić samobójstwo, wypijając kwas, ale nie zadziałało,

więc spróbował jeszcze raz i zabił się, połykając zapalone sztuczne ognie. – Macha uniesionymi rękami, w górę i w dół, w górę i w dół, krzywi się do mnie i syczy. – Mamusiu. Ssss. Sss. Mamusiu, pomyśl, jakie to musiało być cudowne... gdy tak iskry leciały mu z ust... takie fajerwerki w ustach, które wybuchły w jego wnętrzościach. –

Wyraźnie dostrzega niepokój na mojej twarzy, ale mówi dalej, jakby wpadła w jakiś trans: – Ssss. I czytałam jeszcze, że w Anglii samobójstwa popełniano już w szesnastym wieku. Pierwszy udokumentowany przypadek miał miejsce w South Downs, to w Sussex. A niektóre zwierzęta też odbierają sobie życie, świnki to potrafią, i makaki, ssss, to takie małpy, czytałam, że makaki się zabijają. No i większość samobójstw zdarza się niespodziewanie, ludzie zastanawiają się nad tym zaledwie pięć minut. Sss. Ssss. Sssss. A potem potem potem czytałam o Chinach, że w dawnych czasach ludzie robili to, tę rzecz, kiedy mężczyzna umierał... wdowa po nim dławiała się na śmierć listkiem złota, ponieważ nie chciała dłużej żyć. Nie miała już kogo kochać, więc połykała listek złota, zagryzając go w ustach. Połykała złoto, połykała złoto, żeby umrzeć, i i i...

Macha gwałtownie rękami, drży i trzęsie się, po czym zaciska dłonie w pięści, powieki też ma mocno zaciśnięte, i zaczyna uderzać piąstkami. Nagle rzuca się na mnie, uderza mnie mocno, najmocniej, jak potrafi, uderza mnie w głowę. Ma szeroko otwarte, pełne wściekłości oczy.

Próbuję bronić się przed jej ciosami. Psy rozpierzchają się, wybiegają z kryjówki. A ona nadal mnie okłada.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego to zrobiłaś, dlaczego dlaczego dlaczego dlaczego dlaczego, mamusiu? Dlaczego mnie zostawiłaś, dlaczego próbowałaś to zrobić i mnie zostawić? Nie kochasz mnie? Nie kochasz mnie, nie możesz mnie kochać. Jesteś moją mamusią, ale nie możesz mnie kochać, prawda, bo zostawiłaś mnie tutaj samą! Nienawidzisz mnie, zostawiłaś mnie i próbowałaś odejść na zawsze, ponieważ nawet mnie nie lubisz, myślisz, że jestem dziwna, chciałaś mnie zostawić samą w kącie, jesteś taka sama jak wszyscy, próbowałaś odejść odejść odejść odejść odejść! Dlaczego dlaczego dlaczego dlaczego DLACZEGO?

A potem mnie odpycha i spogląda do góry na dzwoniące łańcuszki zwisające z dachu kryjówki.

Po jej twarzy płyną łzy, wyje, szlocha.

Nie mogę nic zrobić. Ponieważ ona ma rację. Próbowałam się zniszczyć,

próbowałam zniszczyć ją, próbowałam zniszczyć wszystko. A teraz znowu niszcę swoją rodzinę.

Salcombe

Piątek wieczorem

Tessa Kinnersley siedziała w swojej pięknej kosztownej, wykończonej stalą i granitem kuchni i czekała na odpowiedź od recepcjonistki hotelu Two Bridges. Mijały kolejne sekundy.

– Nie – odpowiedziała kobieta. – Tamtej nocy nie zameldował się nikt o nazwisku Kinnersley. Trzydziestego grudnia, tak?

– Tak. – Tessa zmarszczyła brwi, spoglądając na kuchenne okno. Na zewnątrz panował teraz nieprzenikniony lutowy mrok. – Jest pani pewna? Może mój mąż płacił kartą firmową, naprawdę potrzebujemy kopii tej faktury. A on jest pewien, że nocował u państwa tamtej nocy.

Kobieta westchnęła, najwyraźniej poirytowana.

– Przykro mi, ale tak, jestem tego pewna. Jedynymi gośćmi tamtej nocy była para z Niemiec, państwo Schwarz, kobieta o nazwisku Dickinson i... – Kobieta zamilkła, usiłując zapewne coś przeczytać. – Jeszcze jedna para, z Japonii. Żadnego Kinnersleya ani rezerwacji firmowej. Przykro mi.

To „Przykro mi” było stanowcze. Oznaczało raczej „Proszę, odejść i daj mi spokój”.

Tessa zrozumiała aluzję.

– Dobrze, dziękuję. Mam nadzieję, że nie sprawiłam pani zbyt wiele kłopotu. Musiała zajść jakaś pomyłka.

I rozłączyła się. Ta informacja czyniła sytuację jeszcze bardziej tajemniczą. Kath zapamiętała, że tamtego popołudnia Dan był w hotelu Two Bridges i zapewne to wspomnienie, wywołane zapachem cytryny, można było uznać za wiarygodne. Przeczytała całą literaturę na ten temat – często zdarza się, że osoby z urazem mózgu, kiedy odzyskują pamięć, miewają kłopotliwe skojarzenia, które mają sens jedynie wówczas, gdy układ nerwowy znowu zaczyna sprawnie działać. A zapach ma szczególnie związek z pamięcią – wykorzystanie konkretnych zapachów to znana metoda, stosowana przez profesjonalistów w próbach odzyskania wspomnień głęboko ukrytych w pamięci.

Wobec tego Dan zapewne był w hotelu tamtego dnia, kiedy Kath próbowała popełnić samobójstwo, i był tam także następnego dnia. Pozostawała tylko kwestia nocy. Gdzie przebywał w godzinach wieczornych i wczesnym rankiem? Co robił? Dokładnie o tej porze, kiedy Kath wjechała samochodem do zalewu? A przede wszystkim co sprawiło, że Kath przed nim uciekła?

Tessa spogląda na zegar na drogiej kuchence. Data i czas świeciły na czerwono. Tydzień temu byli razem na zapierającej dech w piersiach przejażdżce w Disneylandzie, oglądali z chłopcami animowanych piratów. Zaśmiewali się z Kapitana Haka i papugi, która wydawała z siebie dźwięk arrrr.

A jednak może się okazać, że w ciągu kilku minut jej małżeństwo, rodzina, wszystko legnie w gruzach. Dom, życie, szczęście. Wszystko to zniknie. Szacowała, że mąż wróci do domu za jakieś trzy minuty – dzwonił ze stacji benzynowej. Właśnie zakończył swoją dwudniową podróż służbową i był szczęśliwy, że wraca do domu.

Znowu spojrzała na zegar. Soczysta, świecąca czerwień, delikatnie mrugająca. Tessa wykazała się doskonałą precyzją. Minęły trzy minuty i usłyszała dźwięk dużego samochodu wjeżdżającego na podjazd, łagodny pomruk drzwi do garażu. Potem odgłos gasnącego silnika. Za chwilę usłyszy chrzęst klucza w zamku. Szczęśliwy, odnoszący sukcesy mąż wraca do swojej idealnej rodziny.

Tessa spojrzała na kieliszek czerwonego wina. Pozostał zupełnie nietknięty.

Jeśli jej małżeństwo miało się zakończyć, chciała, żeby zakończyło się spokojnie. Z właściwych powodów.

Musi ostro postawić sprawę. Prawda?

Wypiła duży haust wina.

Dan szedł korytarzem. Słyszała jego kroki w salonie, co zapewne znaczyło, że jej szuka.

– Jestem w kuchni! – zawołała Tessa głośno. Zbyt głośno.

Ukrywała swój strach.

Chwilę później pojawił się, uśmiechnięty, przystojny – mężczyzna, którego pragnęła jeszcze do niedawna. Kolejny obraz z Disneylandu przypłynął do niej znikąd: Dan i chłopcy kupujący lody od Myszki Miki, chichoczący. Dan mierzwiący włosy Oskara. Czy ten sam mężczyzna mógł mieć jakiś związek z samobójstwem Kath? Co takiego zrobił, że zmusił swoją siostrę do ucieczki?

– Cześć, kochanie. – Podniósł ręce, żeby przeczesać palcami włosy, ciemne i mokre

od deszczu. – Co za kurewski dzień. Koszmarna podróż. Tak baaardzo potrzebuję czegoś na ząb.

Jak zwykle poszedł prosto do komody i wyjął dużą szklanę. Potem podszedł do półki, wziął stamtąd butelkę i nalał sobie solidną porcję williamsa. Odwrócił się do lodówki, wyjął tackę z lodem, z brzękiem napełnił swoją szklanę kostkami i dolał do tego wszystkiego tonik. Bezcukrowy.

Był to jego wieczorny rytuał. Sądził, że ma przed sobą zwyczajny wieczór.

Tessa nie spuszczała z niego wzroku, kiedy grzebał w lodówce. Nie miał pojęcia, co go czeka.

– Gdzie są cytryny? Gdzie one się podziały? Aha, poczekaj, mam cię, ty cytrusowa mała dziwko. Kręcisz się koło mleka.

Odwrócił się, kiedy wrzucił plasterek cytryny do drinka. Siadając na drewnianym blacie, uśmiechnął się i rzucił okiem na jej kieliszek wina.

– Mogę ci zrobić coś mocniejszego, gdybyś chciała. Na zimową chandrę.

Zignorowała jego propozycję bez cienia uśmiechu. Wzruszył ramionami. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Dan – zaczęła bardzo spokojnie – powiedz mi, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego dnia, tego dnia, kiedy Kath miała wypadek.

Odzwajemnił jej spojrzenie, z zaskoczeniem marszcząc brwi, ale zaraz zachichotał. Kostki lodu dzwoniły w szklance, kiedy śmiał się, pociągając z niej łyk.

To ściema, pomyślała, cholerna ściema. Te zmarszczone brwi, chichot, bezgraniczne zdumienie. Nie odezwała się ani słowem, czekając, aż się zreflektuje.

Śmiech stopniowo cichł.

– Co? Dlaczego, kurwa, znowu do tego wracamy?

– Ty mi powiedz.

Szybko wypił kolejny łyk dżinu.

– O Boże. Dość. *Ça suffit*. Mówiłem ci już, na rany Chrystusa!

– O czym mi mówiłeś?

– Jechałem szybko, z tym gościem od astona.

Kiwnęła głową.

– Rozumiem, że gdybym do niego zadzwoniła, do tego bogatego koleśia z Padstow, potwierdzi twoją wersję?

Znowu zmarszczył brwi.

– Ależ tak. Oczywiście. Ponieważ taka jest pieprzona prawda. Jezu, po co te całe detektywistyczne bzdury? Wiesz, powinnaś sobie kupić szkło powiększające. I czapkę à la Sherlock Holmes. Spróbuj jeszcze szotów z kokainą... – Spojrzał na nią. – Daj spokój, Tesso. To tylko żart. Żartuję. Możemy już przejść do innych tematów?

Tessa potrząsnęła głową z posępną miną.

– Kiedy opowiadałeś mi tę historię po raz pierwszy, powiedziałeś, że ten bogaty facet, Alex Delaney, mieszka w Truro, nie w Padstow.

Dan milczał przez kilka sekund. Potem roześmiał się, trochę po pijacku, najwyraźniej dżin zaczął uderzać mu do głowy.

– Ja pierdolę. Zapomniałem! Ale kogo to, kurwa, obchodzi? Padstow. Fowey. St. Mawes. Jakaś dziura z tymi idiotami od jachtów i w mokasynach. Jakaś bogata dziura na wybrzeżu Kornwalii.

– Ale gdzie dokładnie?

– Nie mam pojęcia! I nie wiem, kurwa, moja ukochana żono, ponieważ wysadził mnie z auta... Miał jeszcze godzinę jazdy autostradą... – Dan westchnął z wyższością. – Chryste, Tesso, nie kłamie w tej sprawie, nie kłamie, kurwa, na temat tego dnia, w którym moja siostra o mało co nie zginęła. To nie w moim stylu.

Owszem, kłamiesz, pomyślała Tessa. I wiem o tym. Muszę to tylko udowodnić. A potem być może będę musiała od ciebie odejść.

Niestety, już sama myśl o tym sprawiła, że determinacja Tessy zaczęła słabnąć. Myślała o chłopcach, którzy teraz spali – czy chciałaby, żeby wracali do rozbitego domu, do domu bez ojca, do rozwodu albo czegoś znacznie gorszego? Przyszła jej na myśl tamta papuga, która mówiła arrrr. Pomyślała o Oskarze, który śmiał się z papugi, i o Danie, który mierzwił mu włosy.

Tessa wypiła jeszcze trochę wina. Była przerażona, ale zdeterminowana.

– Nie chodzi tylko o twoje kłamstwa – mówiła dalej. – Są świadkowie. Naoczni świadkowie. Mam dowód.

Teraz, kiedy to powiedziała, dostrzegła w oczach Dana coś zupełnie innego – krótki i przelotny cień niepokoju. Tessa zwiększyła tempo, wyczuwając właściwy moment:

– Twoja siostra Kath twierdzi, że widziała cię, jak podjechałeś lexusem pod hotel Two Bridges. Tamtego dnia. Wróciło jej wspomnienie tej chwili. Czyli byłeś tam, w hotelu Two Bridges, trzydziestego grudnia. A kiedy Kath cię zobaczyła, uciekła. Dlaczego?

Dan potrząsnął głową. Raczej pogardliwie. Dokończył swojego drinka i podszedł do blatu, żeby wziąć butelkę dzinu.

Właśnie tak się wcześniej zachowywał, pomyślała Tessa. Tym sposobem zyskuje czas, żeby na oczekaniu wymyślać kłamstwa, obmyślać wytłumaczenia. Przypominał jej aktora, który używa rekwizytu.

I oto nadchodzi. Nalał sobie kolejnego drinka i spojrzał na nią.

– Na miłość boską, moja siostra cierpi na amnezję, Tesso. W końcu jesteś psychologiem. Ona ma uraz mózgu. Nie jest sobą. – Wypił łyk zimnego dzinu, uśmiechnął się półgębkiem. – Powiedziałaś mi, że miała halucynacje, że widziała naszą zmarłą matkę szwendającą się po przystankach autobusowych... A może widzi też te pieprzone wiedźmy, które latają nad Huckerby w czasie pełni księżyca? Jak więc można polegać na jej...

– Można, ponieważ ona mówi prawdę. Tego akurat jestem pewna. W końcu, jak sam powiedziałaś, jestem psychologiem. I właśnie na tym polega moja praca.

– Jasne, ale przecież nie jesteś jakimś pierdolonym jasnowidzem, Tesso. Rany boskie, dość już tych bzdur, pani nadkomisarz Kinnersley. Odłóż tę torebkę na dowody i weź się w garść. – Teraz niemalże krzyczał, a w jego głosie słychać było prawdziwą wściekłość, wściekłość, po którą sięgnął, żeby ją wystraszyć, zmusić, by dała sobie spokój z całym tym śledztwem. – Przestań, Tesso. Przestań!

Czy to miała być groźba? Tessa odchyliła się do tyłu, tak na wszelki wypadek. Milczał, patrzył na nią wilkiem. Czekał, aż zacznie krzyczeć. Ale ona nie miała zamiaru krzyczeć. Teraz nadszedł czas, żeby to dokończyła. By przedstawiła mu dowody, których nie będzie w stanie zbagatelizować.

– Dan, musisz pozwolić mi mówić, ponieważ jest coś jeszcze. Po prostu słuchaj.

I tym razem dostrzegła to wyraźnie. Wzdrygnął się, po twarzy przeszedł mu cień głębokiego niepokoju. Udawany uśmiech miał pokazać pewność siebie, której tak naprawdę wcale nie miał. I jeszcze zbyt szybko wypity haust dzinu. Zawsze pił szybko, ale tym razem zrobił to jakoś inaczej. Był podenerwowany.

Wykorzystała to.

– Rozmawiałam z pielęgniarką w szpitalu Derriford. Pielęgniarka Davis. Pamiętasz może takie nazwisko?

Jej mąż zamrugał, raz, drugi, po czym potrząsnął głową.

– Nie.

– Młoda pielęgniarka z Walii. To ona zadzwoniła do ciebie ze szpitala, żeby poinformować, że Kath jest nieprzytomna. Najwyraźniej po raz pierwszy zadzwoniła do ciebie o jedenastej trzydzieści. O dwunastej byłeś już przy łóżku Kath. Zapewne jest możliwe, że przyjechałeś samochodem z centrum Londynu do Plymouth w trzydzieści minut, ale oznaczałoby to, że aston martin twojego kumpla musiałby osiągać średnią prędkość... och, coś koło tysiąca kilometrów na godzinę, no a w tym przypadku... tak, masz rację, myślę, że raz czy dwa zostałbyś złapany przez fotoradar.

Uśmiech całkowicie zniknął z jego twarzy. Dan wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze. W kąciku jego ust pojawiło się lekkie drżenie. Tessa uspokajała i przygotowywała samą siebie. Najwyższa pora, żeby zastosowała lekką przesadę, której potrzebowała, żeby skłonić go do przyznania się. Potrzebowała prawdy. Wreszcie.

– Dan, potwierdziłam to w rozmowie z pielęgniarką Davis. Dysponuje oficjalnymi notatkami służbowymi dotyczącymi pacjentki, sporządzonymi tamtego dnia. Zacytowała rozmowę z tobą, tak jak zapisano w dokumentacji. Powiedziałeś jej, gdzie byłeś, kiedy zadzwoniła, powiedziałeś, gdzie się zatrzymałeś. – Długie celowe zawieszenie głosu. – A byłeś w hotelu Two Bridges. Tamtego wieczoru, kiedy Kath wjechała samochodem do zalewu. Wszystko jest zapisane. W szpitalu. W dokumentacji.

Słysząc było tylko buczenie lodówki. Dan milczał jak zaklęty. Dopił dzin i wpatrywał się w szklanekę.

Tessa czekała.

Dan podszedł znowu do blatu i nalał sobie trzecią dużą szklanekę williamsa, ale tym razem zrobił to z wyraźnie widoczną rezygnacją na twarzy. Nachylił się do przodu, opierając dłonie płasko na blacie. Był pokonany, miała go, udowodniła mu, że kłamał. Wygrała.

Ale wciąż najgorsze pozostawało niewiadomą. Dlaczego kłamał? Wciąż nie wiedziała, do jakiego stopnia był zamieszany w tę sprawę. Czy spotkał się z Kath tamtego wieczoru, a jeśli tak, to co zrobił, powiedział albo ujawnił? I dlaczego ona przed nim uciekła?

– Usiądź, Dan. Sprawa jest bardzo, bardzo poważna. Musisz być wobec mnie całkowicie szczery albo nigdy więcej się do ciebie nie odezwę. Wniosem o rozwód, będę z tobą walczyć o chłopców i zabiorę ci ich. Zabiorę też dom. Zabiorę wszystko.

Dan usiadł. Posłuszny i przygaszony jak upomniane dziecko. Całkiem inny człowiek.

– Mów dalej – powiedział cichym głosem.

– Muszę wiedzieć – wyjaśniła Tessa. – To nie jest jakieś zwykłe małżeńskie kłamstewko, Danie Kinnersley. To kłamstwo, które ma związek z tym, że twoja siostra o mało co nie utonęła.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek, jakby próbował coś zrozumieć. Potem westchnął.

– O mój Boże! Ty naprawdę myślisz, że jestem zamieszany w tę sprawę, co? Myślisz, że to wszystko ma jakiś związek z próbą samobójczą Kath... Myślisz, że to ja do tego doprowadziłem, myślisz...

– Oczywiście, kurwa, że tak myślę! – Teraz Tessa krzyczała i nie obchodziło jej, że sąsiedzi mogli zaraz zadzwonić na policję. Policja zapewne i tak tutaj przyjedzie, być może po jej męża, który kłamie. – A co mam, do cholery, twoim zdaniem myśleć?! Kath wjeżdża samochodem do głębokiego zalewu, a ty kłamiesz w sprawie swojego miejsca pobytu tamtego wieczoru, twierdzisz, że byłeś w Londynie, podczas gdy tak naprawdę byłeś w Dartmoor! – Tessa uderza dłonią w stół tak mocno, że czuje piekący ból. – Co więcej, nie ma żadnego śladu twojego pobytu w tym hotelu. Sprawdziłam na recepcji, więc twoje działania tamtej nocy stanowią niezbadaną tajemnicę. Wiadomo tylko, że od późnego wieczoru do późnego rana znajdowałeś się gdzieś w pobliżu Kath w tym samym czasie, kiedy usiłowała popełnić to cholerne, niewytłumaczalne samobójstwo. Wiadomo też, że bała się ciebie, ponieważ przed tobą uciekła. – Tessa pochyliła się do przodu, wyrzucając z siebie potok słów. – Co więc takiego zrobiłeś, Dan? Czy spotkałeś się z nią tamtego wieczoru, czy coś powiedziałeś? Co takiego zrobiłeś, do cholery, własnej siostrze, że skłoniło ją to do próby samobójczej? Co zrobiłeś?

Kiedy wykrzykiwała ostatnie słowa, ze złością zmiotła ze stołu kieliszek, który przez chwilę wirował na kamiennej podłodze w kuchni, po czym rozbił się na tysiąc satysfakcjonujących kawałków, podobnie jak chciała rozbić swoje małżeństwo.

Już. Załatwione. Rozbite. Pieprzyć to.

Jednak ten hałas i wybuch najwyraźniej coś w niej oczyściły. Poczuła wewnętrzny spokój. A kiedy się uspokoiła, zauważyła, że Dan patrzy jej prosto w oczy, z wyrazem twarzy, którego nigdy wcześniej nie widziała. Nigdy.

Smutek. Rezygnacja.

– Dobrze. Masz rację.

– W czym mam rację?

– Kłamałem w sprawie tamtego wieczoru.

Utkwiła w nim wzrok.

– Co to znaczy? Powiedz mi wszystko!

– Skłamałem. Przepraszam. Przepraszam. Skłamałem. Kłamię. Kłamię od roku. –

Poszukał wzrokiem jej spojrzenia, błagalnie, prosząc o współczucie. – Ale, proszę, uwierz mi. Nie mam nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Kath. Nie spotkałem się z nią tamtego wieczoru ani tamtego popołudnia. Nie spotkałem się z nią ani z nią nie rozmawiałem.

– Wobec tego co, do cholery, się stało? Dlaczego byłeś w hotelu Two Bridges, a mimo to nie ma tam śladu twojego pobytu? Dlaczego i w czym kłamiesz?

Podniósł znowu szklanekę i wypił więcej dżinu. Powoli. Jednostajnie.

– Spotykam się z barmanką z Two Bridges. Z tą blondynką... Spotykam się z nią od roku. Poznałem ją na przyjęciu urodzinowym dla dzieci rok temu.

Tessa odchyliła się do tyłu, kompletnie zaszokowana. Nie wiedziała, czy ma czuć się zraniona, czy przyjąć to z ulgą. A więc o to chodziło. O to. O te sprawy. O te bzdury. Marne wytłumaczenie. Czyżby chodziło jedynie o romans?

Tak, to był romans. Jej mąż sypiał z tą dziewczyną, tą z ciałem ozdobionym kolczykami, tatuażami, z tą niską blondynką. Tessa przypominała sobie ją ze swoich częstych wizyt w Two Bridges.

Dan wzruszył ramionami, poczerwieniał na twarzy.

– Zwykle zabieram ją do nieznanых hoteli, miejsc przy autostradzie, do Tavistock. Okehampton. Tam się spotykamy. Czasem zabieram ją do domku w Brixham. Ale wtedy miała poranną zmianę, więc odwozłem ją z powrotem na wrzosowisko i przenocowałem w jej pokoju. Ma swój pokój w Two Bridges, ponieważ tam pracuje, a hotel znajduje się na odludziu. – Wypił kolejny łyk dżinu z tonikiem, po czym zamknął oczy, pocierając je dłońmi, i ponownie spojrzał na Tessę. – Właśnie dlatego nie ma mnie w meldunkach. I dlatego byłem w hotelu rano.

Tessa chwilowo zamilkła pod ciężarem zbyt wielu emocji. Poczucia krzywdy, żalu, rozczarowania. Kochała Dana, zapewne nadal go kocha. Miłość nie znika w mgnieniu oka. Tworzyli udany związek aż do tej pory. Sądziła, że byli szczęśliwi. Prowadzili satysfakcjonujące życie seksualne. A przynajmniej tak uważała. Tymczasem to wszystko było jednym wielkim kłamstwem.

– Dlaczego ona, Dan?

– Słucham?

– Chcę wiedzieć dlaczego ona? Dziewczyna. Barmanka. Tamta dziewczyna. Dopiero co była nastolatką. Czy chodzi o rozmowy intelektualne?

– Proszę, nie brnij w to.

Tessa warknęła.

– Pieprz się. Mów! Dlaczego ona? Tylko dlatego, że jest młodsza, ma ładniejsze ciało ode mnie, nie ma dzieci, żadnych rozstępów, o to chodzi? Czy ja jestem dla ciebie za stara?

– Proszę!

– Powiedz mi!

Potrząsnął głową.

– Przestań.

Tessa podniosła rękę w geście pełnym złości. Była bliska tego, żeby dać mu w twarz. Spojrzał na nią, na jej rękę, na groźbę przemocy. I wtedy zrozumiała – chodziło o te kolczyki, tatuaże, o tę czarną obrozę z małym kółkiem.

– O kurwa! Chodzi o perwersyjny seks? Uprawiasz z nią brutalny seks, prawda? BDSM i te sprawy... Wiązanie, smaganie pejczem... Zawsze chciałeś, żebym to robiła, ale mnie się to nie podobało. Więc poszedłeś gdzie indziej, tak?

Tym razem nie był nawet w stanie spojrzeć jej w oczy. Nie myliła się.

Tessa wyobraziła sobie męża, zapewne w ich domku w Brixham, jak związuje tę dziewczynę, przypina kajdanki do ramy łóżka. Do łóżka, które razem kupili.

Sukinsyn.

Dan nadal odwracał wzrok, popijając dżin. Nagle kuchnia stała się zbyt obszerna. Cały dom wydawał się ogromny i cały pogrążony w smutku. Tyle bogactwa, a mimo to tak wielki smutek. Co mieli teraz zrobić? Co teraz z nimi wszystkimi będzie? Tessa poczuła się nagle bardzo zmęczona.

– Idź spać gdzie indziej – powiedziała. – Wynoś się stąd, śpij w pokoju dla gości. I nie zbliżaj się do mnie.

Jej mąż otworzył usta, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia, ale posłusznie zabrał swojego drinka i potulnie wyszedł z kuchni.

Kiedy Tessa upewniła się, że już sobie poszedł, podeszła do szafki pod zlewem i wyjęła z niej śmietniczkę i zmiotkę. Bardzo ostrożnie zaczęła zmiatać porozbijane

kawałki szkła. Było ich tyle dookoła, błyszczących i śmiertelnych. Wystarczył jeden rozbity kieliszek, ze wszystkimi tymi ostrymi i wystającymi kawałkami. Wystarczył jeden rozbity kieliszek i można przeciąć tysiąc żył.

Sobota rano

Rano spotkali się w kuchni. Dan spędził noc w pokoju dla gości. Tessa prawie nie zmrzyła oka, odwracając bez przerwy poduszkę w poszukiwaniu ukojenia i jakiegoś rozwiązania. Nie znalazła żadnego.

Teraz kręcili się wokół siebie, w kuchni, niczym przedstawiciele dwóch różnych gatunków, których przez pomyłkę umieszczono w tej samej klatce w zoo. Ona zrobiła tost. On zrobił kawę. Była ósma trzydzieści. Za godzinę miał pojechać odebrać chłopców, którzy spali u kolegi. A ona wtedy poszłaby po schodach do swojego gabinetu, do swojego biurka, do ulubionego okna, do pracy, książek i do normalnego życia.

Tyle że nic już nie było normalne. Wszystko się zmieniło, nawet jeśli wyglądało zupełnie tak samo.

Tessa przyglądała się swojemu mężowi, który czyścił kawiarkę. Czy kiedykolwiek mu wybaczy? Nie miała pojęcia, na pewno jeszcze nie teraz. Czy mu uwierzyła? Prawdopodobnie, być może, zapewne. Dan wydawał się szczery, gdy przysięgał, że nie miał nic wspólnego z wypadkiem Kath. Chodziło więc tylko o romans. O taką żalostną drobnostkę. Choć wciąż jednak była to niewierność. Rok obrzydliwych kłamstw.

Tessa zjadła swój żalostny tost. Dan nalał do kubka kawy. Tessa zastanawiała się, ile małżeństw zakończyło się w kuchni. Zapewne całkiem sporo. Przyszedł jej na myśl Dan w domku letniskowym, który kupili w Brixham. Czy on i jego mała dziwka gotowali sobie razem w kuchni? Oczywiście, że gotowali. Może pocałował ją nad stołem. Może ostro ją zerznął na tym stole. Przyparł ją do pieprzonych kuchennych drzwi albo zrobił jeszcze coś innego, co robią ludzie, gdy uprawiają perwersyjny seks.

Wyobrazila ich sobie razem. Mężczyznę dwa razy starszego od swojej kochanki. Nastoletnią barmankę z problemami.

Sukinsyn.

Dan pierwszy przerwał ciszę.

– Tesso, to nie do zniesienia. Muszę wiedzieć. Wierzysz mi?

W milczeniu wzruszyła ramionami, próbując powstrzymać złość. Była wyczerpana i wściekła. Żalowała, że posmarowała sobie tost zbyt cienką warstwą marmolady. Ale

nie mogła się przecież przejmować tym, żeby jeszcze raz podejść do szafki i wyjąć słoik. W nocy wszystko stało się takie nużące, bezcelowe, męcząco przewidywalne – bogaty, przystojny mąż pieprzy perwersyjną młodą barmankę. Jakież to rozczarowująco zwyczajne ze strony Dana Kinnersleya, że okazał się takim żalonym mężczyzną.

Spróbował znowu:

– Proszę, Tesso, muszę to wiedzieć. Potrzebuję to wiedzieć. Zrozumiem, jeśli mnie znienawidzisz, zrozumiem, jeśli będziesz chciała rozwodu. Spotykałem się z tą dziewczyną, to wszystko prawda, najprawdziwsza prawda. Co mogę powiedzieć? Zrobiłem to. Ale nie mogę pozwolić, żebyś myślała, że miałem cokolwiek wspólnego z wypadkiem Kath.

Spojrzała na niego nieufnie.

– Sama nie wiem...

Westchnął, sfrustrowany. Jednak Tessa nie miała zamiaru tak łatwo puścić mu tego płazem. W ogóle nie miała zamiaru puścić mu tego płazem. To zbyt poważne sprawy. Istniało zbyt wiele dowodów przeciwko niemu, które trzeba było jeszcze wyjaśnić.

Zapytała go wprost:

– A co z Kath, która przed tobą uciekała?

– Rozmawialiśmy już na ten temat. Nie mam pojęcia. Nie widziałem jej.

– Porozmawiajmy dłużej.

– Posłuchaj... – Podniósł ręce w obronnym geście. – Co ja mogę, kurwa, zrobić? Nie mam nagrania, mam tylko prawdę.

– Prawdę?

– Tak. Prawdę. Dobrze, kłamałem w sprawie tej dziewczyny, tak, zdradziłem cię, śmiało, rozwiedź się ze mną. Za to nie mógłbym cię winić. Przykro mi, że tak zrobiłem, i wiem, że same przeprosiny mogą nie wystarczyć, ale jakim motywem miałbym się kierować, chcąc zrobić krzywdę własnej siostrze?

Tessa dokończyła jeść tost, potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi.

– Między wami zawsze były tarcia.

– Dlatego, że ja dostałem dom? Jasne. Ale Kath się z tym pogodziła. Od tamtej pory cały czas staram się jej pomagać. Nie miałem z tym nic wspólnego. To był pomysł matki.

– Hmm...

Naciskał.

– Tak. Oczywiście. Różnimy się, ja i Kath, ale kocham ją i uwielbiam Lylę. Dlaczego miałbym skrzywdzić tę rodzinę, Tesso? Moją rodzinę?

– Nie wiem. Ale Kath twierdzi, że uciekała przed tobą. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałem jej!

Tessa odchyliła się do tyłu. Przyglądała się badawczo swojemu mężowi, jakby patrzyła na jednego z więźniów w Princetown. Uruchamiała całą swoją wiedzę psychologiczną. Sprawiał wrażenie, jakby mówił prawdę. Jednak wyczuwała coś jeszcze, coś dręczącego.

– A co z Adamem?

– Słucham?

– Nie lubisz Adama. Nigdy go nie lubiłeś. Ukrywasz to, żyjesz z nim w zgodzie, ale oboje o tym wiemy, on też wie. Dlaczego? Dlaczego go nie lubisz?

Nie odezwał się ani słowem, więc dalej drażyła temat:

– Nie lubiłeś go od samego początku. O ile sobie przypominam. Prawda?

W końcu kiwnął głową.

– Tak.

Miała wrażenie, że zbliża się do samego środka całego tego labiryntu.

– Więc dlaczego? Dość już tych bzdur. Najwyższa pora to wyjaśnić. Co jest nie tak z Adamem? Dlaczego zawsze działacie sobie na nerwy?

Nalał ostatnią porcję kawy, podczas gdy ona mówiła dalej:

– Czy to dlatego, że żywi do nas urazę z powodu tego domu? Czy o to chodzi? – Dan milczał, więc Tessa nachyliła się bliżej. – Chodzi o coś jeszcze, prawda? Powiedz mi. Dlaczego to ty dostałeś ten dom, Dan? Dlaczego twoja matka tak bardzo faworyzowała ciebie? Czy naprawdę chodziło o to, że oszalała pod koniec życia, a rak zaczął nadgryzać jej mózg? Czy też chodzi o coś, o czym nie wiem?

Dan wpatrywał się we wnętrze swojego kubka. Westchnął gwałtownie, po czym spojrzał na nią. Prosto w oczy.

– Jest jeszcze coś. Nigdy o tym nie wspominałem, bo... – Potrząsnął głową, przeciągle i z żalem. – Bo Kath i Adam byli tacy szczęśliwi. To nie moja sprawa, jestem jej bratem, chcę, żeby byli szczęśliwi, a on jest bardzo dobrym tatą dla Lyli...

– Ale?

– Zaczekaj, Tesso. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem. Z bardzo ważnych powodów.

– To ma jakiś związek z Penny, prawda, z twoją matką i z jej śmiercią?

Dan utkwiał wzrok w suficie, jakby szukał wybaczenia u samego Boga, po czym znowu spojrzał na Tessę.

– Pamiętasz, jak poleciliśmy z Adamem do Indii, żeby zabrać jej prochy, by można je było rozrzucić nad grobem Kitty Jay? Prochy, których nie wrzucili do cholernego Gangesu. Kath była w kiepskim stanie, więc poleciliśmy tam razem z Adamem.

– Tak. I co?

– Cóż, są sprawy, o których nigdy ci nie powiedziałem...

– Jakie?

– Matka zostawiła listy do Adama i do mnie.

– A do Kath nie?

– Nie. Tylko do mnie i do Adama. Nie jestem pewien, czy Kath w ogóle o tym wie. Nigdy jej o tym nie mówiłem i wątpię, żeby Adam to zrobił.

Tessa próbowała to rozgryźć. Poległa.

– Co w nich napisała? W tych listach?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia, co napisała do niego, nie puścił pary z ust. Ale nigdy nie zapomnę treści mojego listu.

Tessa czuła, jak ogarnia ją coraz większy niepokój.

– Spora część była nedorzeczna, w zasadzie większość. Gadki o śmierci i nirwanie, o Śiwie i Kali. Zawsze miała dość oryginalne poglądy, a pod koniec życia jeszcze ten rak... chyba faktycznie opanował jej umysł. – Westchnął dziwnie. – Był tam jednak jeden niepokojący, chociaż całkiem sensowny fragment, w którym napisała, że nigdy nie ufała Adamowi. Nienawidziła go albo się go obawiała, nie mam pojęcia. Zaczęła coś majaczyć o diable i o czarownicach, i napisała, że nie pozwoli, by on mieszkał w jej domu. Nigdy.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. Nie wyjaśniła tego. Napisała to między wierszami. To było szalone. Ale najwyraźniej mówiła serio. Dlatego właśnie poleciała do Indii.

Tessa wpatrywała się w męża szeroko otwartymi i przenikliwymi oczami, jakby chciała go przeświecić, w końcu przejrzeć wszystko na wylot.

– Diabeł? Czarownice? Naprawdę? Naprawdę tak mówiła?

– Z pewnością tak sugerowała. Nie powtórzę słowo w słowo, ale najwyraźniej była

przekonana o tym, że Adam miał w sobie coś szatańskiego albo złego, albo że coś potwornego wydarzyło się z jego powodu.

Tessa miała zamęt w głowie.

– Nigdy nie przyszło ci na myśl, żeby mi o tym powiedzieć?

Podniósł ręce w geście obrony.

– Poczekaj, poczekaj. Tesso, poczekaj i zastanów się. Pamiętaj o tym, jak bardzo to niedorzecznie brzmi. Szatan, jakiś cholerny ogień piekielny. W każdym razie dlatego to my dostaliśmy w spadku ten dom i całe to barachło. Nienawidziła Adama, nie chciała, żeby tutaj mieszkał, nie chciała, żeby cokolwiek dostał.

– Ale... – Tessa poczuła się zagubiona. Nie była pewna, czy Dan o wszystkim jej powiedział. Miał takie spojrzenie... Ledwie sączył swoją kawę. Było coś jeszcze. Z pewnością. – Dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Już mówiłem. Moja siostra była taka szczęśliwa z Adamem, a mnie już i tak niesprawiedliwie faworyzowano. Czy miałem prawo się w to wtrącać? Czy mogłem, do cholery, angażować się w to i zniszczyć jej związek, a potem małżeństwo, opierając się na ostatnich urojeniach mojej matki?

Tessa pogrzyżyła się w zadumie.

– Pewnie nie. Teraz jednak jest inaczej. Musimy coś zrobić, Dan. To wszystko wraca, dzieje się znowu. Kath myśli, że ktoś rzucił na nią urok, widzi duchy, traci zmysły, a jeśli przyczyną tego wszystkiego jest Adam... – Tessa poczuła przepełnioną lękiem rozpacz. Musieli interweniować. Tyle że nie miała pojęcia jak. Ogarniała ją coraz większa desperacja. – Jezu, pomyśl. I ta biedna mała dziewczynka tkwi w samym środku tego szaleństwa! Tam, na wrzosowisku.

Farma Spaldingów

Poniedziałek wieczorem

Oto stoję w blasku jasnego zimowego wieczoru w Dartmoor. Księżyc zawisł nad starym Black Tor niczym pojedynczy srebrny pazur. Gwiazdy przypominają maleńkie końcówki milionów świecących żarników, które po omacku szukają drogi do tonącej w mroku ziemi. Słyszę dobiegający z oddali głos dużej białej sowy, która poluje i zabija.

Zwykle mogę stać tak godzinami, urzeczona pięknymi dartmoorskimi nocami nad Haytor, zimnymi i pogodnymi, pełnymi milionów galaktyk, jednak wystarczy rzut oka na niebo pozbawione Boga i staję się na to wszystko nieczuła.

Teraz siedzę w ciemnym samochodzie przed farmą Spaldingów.

Przyjechałam po Lylę. Emma zgodziła się odebrać ją ze szkoły i zabrać do siebie, ponieważ ja miałam dodatkową pracę do zrobienia w domu i musiałam się skupić.

Wszystko zaczyna się nawarstwiać – wzywa mnie zwyczajne życie, wciąga mnie niczym bagno, nawet jeśli moje sprawy wymykają mi się spod kontroli.

Jednak pięknego mroźnego bezchmurnego dartmoorskiego nieba nie ignoruję z powodu pracy, ale z powodu mejla, który właśnie czytam, siedząc w samochodzie.

Właśnie doświadczam jednej z tych chwil w Dartmoor, gdy zasięg telefonu komórkowego w okolicach Huckerby jest bardzo słaby bez żadnej widocznej przyczyny: wiadomość, wysłana całe wieki temu, właśnie z brzękiem dotarła na mój telefon, kiedy podjechałam pod należący do Spaldingów duży, ładny, solidny dom w stylu georgiańskim.

Mejl od Tessy. Oznaczony jako pilny. Wyjaśnia w nim, dlaczego widziałam Dana przed hotelem. Dlaczego kłamał. Dan miał romans z barmanką z Two Bridges. Sypiał z nią przez rok. Mój własny brat.

Ale mowa jest o czymś jeszcze. O czymś jeszcze bardziej zaskakującym i niepokojącym, i tajemniczym. Tessa pisze tak:

Dan niepokoi się o Adama. Uważa, że on wie o Twojej matce rzeczy, których Ci nie

powiedział. Dan ma list od Penny, dostał go wtedy, kiedy polecili do Indii. W tym liście Twoja matka oskarża Adama o coś złego. I to może mieć jakiś związek z tym, co Ci się przytrafiło nad Burratorem. Kath, wiem, że to brzmi dziwnie, ale Dan z pewnością coś wie. Proszę, spotkaj się ze mną jak najszybciej.

Co to wszystko ma znaczyć?

Tessa zazwyczaj nie jest zagadkowa. Zwykle mówi wprost i zmierza do sedna. I ten list od mamy? Niby przypadkiem pojawił się akurat w tym momencie? Moje wątpliwości się mnożą. A więc Dan twierdzi, że miał romans... co wyjaśnia jego obecność w hotelu Two Bridges. Czy to prawda, czy też mój brat ukrywa jakieś inne, jeszcze głębsze poczucie winy? Zastanawiam się, czy mogę ufać Tessie. W końcu oboje korzystają ze spadku po mojej matce.

Dlaczego to on dostał ten dom od mamy?

Powraca do mnie obraz mojej matki. I Lyla syczącej w swojej kryjówce.

Ty ty ty ty ty.

Mam w głowie mętlik, mieszaninę głosów i lęków – przychodzi mi na myśl jedno z tych średniowiecznych malowideł przedstawiających piekło, z diabłami w rogu, które dźgają widłami grzeszników. Samobójców.

Muszę skupić się na tu i teraz, na codziennym życiu. Na macierzyństwie. Na obowiązkach. Uciszam więc głosy – krzyki samobójców, odgłosy mojego szaleństwa, podejrzeń i poczucia winy – wyłączam kliknięciem smartfon i chowam go do kieszeni. Potem wysiadam z samochodu na szczypiące od mrozu, przesiąknięte zapachem jodły powietrze. Rześki wiatr od wschodu przeczesuje niebo. Wprawia w drżenie krzewy kolcolistu w Blackaller Quarry i grzechocze dachówkami w Huckerby.

Owijam się ciaśniej szalikiem, biegnę szybko do drzwi wejściowych i naciskam dzwonek. Kilka chwil później drzwi otwierają się na oścież, odsłaniając ciepło, światło i zapachy pieczonego mięsa oraz Emmę Spalding z Lylą w szkolnym mundurku koło niej. Typowy uśmiech Emmy skrywa jej nieustanne obawy. Ostatnio Emma patrzy na mnie, ukradkiem marszcząc brwi ze zmartwienia.

– Proszę, Kath. Lyla zjadła już kolację.

– Dziękuję bardzo. Praca zaczyna mi się piętrzyć...

– Co za wieczór – mówi Emma, wychyla się przez drzwi i spogląda w lodowatą, targaną wiatrem ciemność, tymczasem Lyla wybiega i przytula się do mnie. – Piękny wieczór na podziwianie gwiazd, ale na wzgórzach pewnie jest jakieś minus dziesięć

stopni.

– Tak. Raz jeszcze dziękuję. Chodź, Lylo, Jagódko, jedźmy do domu.

Emma zamyka za nami drzwi, a Lyla biegnie do auta, ściskając w rękach swój tornister i pudełko na lunch z obrazkiem z *Księgi dżungli*.

Podróż samochodem do domu jest krótka i hałaśliwa, wiatr smaga auto. Muszę walczyć z pogodą, kręcąc kierownicą, jakbym stała przy sterze statku na wzburzonym morzu. W pewnym momencie droga ostro zakręca obok oświetlonego światłem księżycy pasa otwartej przestrzeni. W mroźnej dali dostrzegam ruiny stodół. Mogę spod przymrużonych oczu, wypatrzeć ten rząd krzewów kolcolistu, gdzie natknęłam się na Harry'ego Redwaya, którego pomyliłam z Adamem.

Czy Harry może mieć coś wspólnego z tym wszystkim?

Czuję, jak przeszywa mnie dreszcz. Chcę zadać mojej córce tyle pytań. Nieco zbyt szybko wjeżdżam na błotniste podwórze w Huckerby. Wiem, że kiedy otworzę drzwi, Lyla natychmiast pobiegnie do domu, przytuli Felixa i Randalą, po czym popędzi na górę, żeby zatopić się w książkach, grach, snach na jawie i szybko zaśnie. Wygląda na zmęczoną. Obie jesteśmy zmęczone. Ta zima ciągnie się niemiłosiernie.

Wykańcza nas.

W pobliżu Salcombe i na wybrzeżu za dwa tygodnie zakwitną żonkile. Ale tutaj zima może potrwać jeszcze ze dwa miesiące.

Muszę zapytać swoją córkę. Jednak to ona jako pierwsza się odzywa:

– Mamusiu, dlaczego jeszcze siedzimy w samochodzie, dlaczego nie wchodzimy do środka?

Odwracam się na fotelu i spoglądam na Lylę. Wpatruje się we mnie swoimi niebieskimi oczami. W ciemnościach. W samochodzie. Kim był tamten mężczyzna z moich wspomnień, który tak się we mnie wpatrywał tamtego dnia? Adam? Dan? Harry? Dlaczego Harry wyglądał na takiego rozwścieczonego?

– Mamusiu, dobrze się czujesz?

Uciszam głosy, które walczą ze sobą w mojej głowie, ale to trudne, ponieważ są takie ogłuszające.

– Mamusiu?

Patrę przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Mamusiu?

Myślę. Ciemne włosy. W samochodzie.

– Mamusiu?

– Tak, Lylo, skarbie. Myślę o tatusiu i o różnych sprawach. Muszę znowu cię o coś zapytać.

Lyla mocniej przyciska do siebie pudełko na lunch niczym tarczę obronną. Talizman, który ma mnie odstraszyć. Wiem, że widzi w sobie Mowglię, dlaczegóż by nie? Lyla jest takim Mowglim z wrzosowisk.

Prawie zamykam oczy, zawstydzona tym, co robię, a jednak brnę dalej:

– Lyla, czy naprawdę widzisz na wrzosowiskach kogoś, kogo znam? A jeśli tak, czy jesteś pewna, że to tatuś? Bo może jednak ktoś inny? Czy to mógłby być ktoś inny? Na przykład kuzyn tatusia, Harry?

Pudełko na lunch unosi się jeszcze bardziej do góry. Oczy Lyli błyszczą, ale nie płyną z nich łzy.

Wpatruje się we mnie i milczy. W jej oczach widać ból, smutek i to wszystko, co zapewne myśli sobie na mój temat. Matka, która usiłowała ją zostawić samą na tym lodowatym świecie. Sięgam ręką, żeby odgarnąć włosy z jej oczu, ale odpycha moją dłoń i odsuwa się ode mnie najdalej, jak może, siadając w najodleglejszym kącie samochodu. Patrzy się na mnie, jakbym była obłąkana, dziwna.

Oczy mężczyzny. Pełne złości. W samochodzie. Ciemne włosy, ciemna noc na wrzosowiskach.

Skąd ja to pamiętam?

Dart, Dart, co roku domagasz się kolejnej duszy.

Jeszcze jedna próba.

– Lyla, wiem, że to przygnębiające, ale naprawdę muszę cię zapytać, żeby mieć pewność... Kogo widziałaś w lesie Hobajob? I kogo widziałaś tamtego dnia, kiedy układałaś ptaszki?

W końcu wydobywa z siebie jednostajny głos. Jest pobudzona. Zaczyna spazmatycznie, bezładnie poruszać ręką, trzepocze nią, machając w górę i w dół. Stimuje...

– Tatusia – mówi, jej usta drżą, dłonie się trzęsą.

– Widziałaś tatusia. Ile razy?

– Trzy. Może cztery. Trzy. To był on. Było ciemno, ale to był on. Zawsze. Tatuś. Wyglądał przerażająco. A potem... potem może to był inny mężczyzna... Nie jestem pewna. Podobny do niego. Ale jakby nie do końca tatuś.

– Inny mężczyzna?

– Może. Nie jestem pewna. Nie jestem pewna. Nie jestem pewna. Myślę, że to tatuś. Proszę, przestań.

Teraz jej dłonie już gwałtownie się trzęsą, jakby dostała jakiegoś ataku, drgawek. Kiwa się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Posunęłam się za daleko, zbyt mocno naciskałam, nie zważając na objawy Lyli, i pogorszyłam jej stan.

Ale widziała Adama. Trzy albo cztery razy. Czy to ma jakikolwiek sens?

– Lyla...

– Nie, mamusiu. POZWÓL MI WEJŚĆ DO ŚRODKA!

Nie da się zignorować jej krzyku. Ustępuję.

Otwiera gwałtownie drzwi, biegnie, szukając ciepła domu, a ja idę za nią. Od razu pędzi do psów, które ruszają się ze swoich koszy i koców i biegną do niej z radością. Lyla przytula je i wszyscy razem czmychają na górę.

Dwudziesta pierwsza. Nagle mam poczucie, jakby wszystko było dziwnie normalne. Adam jest w drodze do domu z zebrania strażników w Moretonhampstead, które zdaje się oddalone od każdego miejsca o dwadzieścia kilometrów i gdzie dojazd, tam i z powrotem, zawsze stanowi kłopot. Jednak powinien już niedługo wrócić.

Słyszę Lylę na górze, jak biegnie do łazienki i myje zęby, tymczasem ja rozgrzewam się zupą cebulową.

Czyżby poszła spać? Odczuwam potrzebę, żeby to sprawdzić, i wspinam się po schodach do jej pokoju. Leży na plecach pogrążona we śnie, książka, którą czytała – *Księga nonsensu* Edwarda Leara – wypadła jej z rąk i przewróciła niebieski plastikowy kubek, który trzyma zawsze przy łóżku. Wylała z niego wodę.

Moja samotna córka z wrzosowiska.

Całuję ją delikatnie w bezchmurne czoło, wdycham miętowy zapach pasty do zębów. Mój pocałunek sprawia, że Lyla mruczy przez sen, sen o wrzosowisku, sen o polnych myszkach i o psach, o dniach spędzonych przy Fingle Bridge, sen o Vellake Corner, Valley of Rocks, o porośniętych trawą brzegach West Okement, o dniach spędzonych latem w ogrodach Gidleigh, o piknikach w Dartmeet. Całuję ją i szepczę:

– Kocham cię, skarbie.

Jej rozmarzone niebieskie oczy przesuwają się pod pokrytymi siateczką żyłek powiekami. Ale śpi, oddycha głośno, wyczerpana. Felix i Randal pochrapują w nogach łóżka. Wiedząc, że będę musiała je stąd wkrótce wyprowadzić, budzę psy i po cichu

przeganiem z pokoju.

Kładą się pod drzwiami pokoju Lyli. A ja podążam w ślad za własnym cieniem, który kładzie się na półpiętrze.

Land rover podjeżdża pod dom dokładnie o tej porze co zawsze. Silnik gaśnie. Drzwi otwierają się, Adam zrzuca z siebie polar i beztrudnie siada przy kuchennym stole, ledwie kiwając głową w moim kierunku. Otwiera lokalną gazetę.

Człowiek z wrzosowisk.

Wpatruję się w niego. Czyta gazetę, jakby był uczonym w piśmie, który trzyma w ręku pierwszą wersję Ewangelii. „Myszolów zastrzelony z wiatrówki”. „Kierowca, który zbiegł z miejsca wypadku, przyznaje się, że zrzucił dziewczynkę z kuca”.

Przechodzę przez kuchnię i wyrywam mu z rąk gazetę.

Potrząsa głową i cmoka z niezadowoleniem. Zgrzyta zębami, ale nie odzywa się ani słowem. Mimo to słyszę jego myśli. *Nie zaczynaj znowu, stuknięta dziwko.*

Czy mam zamiar powiedzieć coś na temat Dana, tej barmanki albo oskarżeń Tessy? Tak. Nie. Nie jestem pewna.

– Adam, a co jeśli Harry Redway jest w to zamieszany? Jeśli to Harry Redway zrobił coś z moim samochodem? Co jeśli Lyla to jego widziała, ale sądziła, że to byłeś ty?

Teraz w końcu patrzy prosto na mnie. Niebieskimi oczami, w których dostrzegam większy niż zwykle chłód.

– Mój kuzyn Harry? Serio?

Szybko mówię dalej, jakbym nie mogła przerwać:

– Zastanów się. Wygląda tak jak ty. Wałęsa się po całych wrzosowiskach. Wiemy oboje, że lubi kobiety. Może tamtego wieczoru się upiłam, a Harry przyjechał się ze mną spotkać. I coś poszło nie tak...

– Kath!

Ignoruję go.

– Nie. Zrozum, Adamie, tamtego dnia spotkałam Harry’ego na wrzosowisku. Z dużą siekierą. Pod Black Tor. Powiedział, że robi przecinki, ale przecież tam nikt ich nie robi, prawda? Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Nigdy. W każdym razie nie tam. Sprawiał wrażenie, jakby... czuł się winny. To było dziwne... A początkowo wydawało mi się, że to ty...

Adam, nie dowierzając, niemal warczy:

– Jeśli Harry czuł się winny, to pewnie dlatego, że kłusował. Chociaż zwykle robią

to razem z Jackiem, ponieważ Jack uwielbia zabijać. Harry natomiast lubi tanie mięso. –

Adam uśmiecha się gorzko i potrząsa głową. – Naprawdę, Kath, czy chcesz mi powiedzieć, że Harry, mój młodszy kuzyn Harry Redway, był z tobą tamtego wieczoru, kiedy próbowałaś popełnić samobójstwo, że to wszystko jego sprawka i od tamtej pory cię śledzi? Czy teraz próbujesz zwalić całą winę na niego?

W tej chwili to ja patrzę mu prosto w oczy. Wyzywająco.

– Zgadza się!

Adam machnięciem ręki odgania od siebie ten pomysł.

– Harry nie był z tobą tamtego wieczoru, kiedy wjechałaś samochodem do Burratora.

– Skąd wiesz?

Zawiesza głos.

– Po prostu wiem.

Przełykam gniew.

– Zbyt wiele rzeczy pozostaje nadal niewyjaśnionych. Jestem pewna, co tam widziałam. Nad zalewem. W lesie Hobajob. Kamienie wiedźm, moją szczotkę do włosów. I sam słyszałaś, jak Lyla śpiewała tę pieśń. O śmierci, o małym niebieskim płomyczku. O płomyczku, który oznacza, że zbliża się śmierć, że ktoś umrze, i to wkrótce...

Uświadamiam sobie, że mówię, jakbym była wariatką, ale gniew wciąż we mnie narasta. Dlaczego on ignoruje moje dowody? Dlaczego miałabym mu oszczędzić poznania pozostałej części prawdy?

Wpatruje się we mnie. Odwzajemniam jego spojrzenie.

– Co więcej, właśnie dostałam mejl od... – Waham się, ale wiem, że muszę to powiedzieć. – Od Tessy. Rozmawiała z Danem. Powiedział, że mama oskarżyła cię o różne rzeczy... o... o złe rzeczy. W liście, wtedy, kiedy poleciełicie z Danem do Indii.

Oczy płoną mu szczerym gniewem.

– Złe rzeczy? Mnie? O złe rzeczy? Jezu! Widziałaś swoją matkę w tej cholernej wiacie przystankowej, a przecież nie żyje od prawie dwudziestu lat. Widziałaś ją, ponieważ cierpisz na uraz mózgu. Potrzebujesz pomocy, Kath. Potrzebujemy pomocy! Niszczysz swoją córkę. Niszczysz nas wszystkich. Wykańczasz nas. Topisz w ten sam sposób, w jaki próbowałaś utopić samą siebie.

Zaciska dłoń w pięść. Chce zrobić z niej użytek. A ja niemalże pragnę, żeby zrobił

z niej użytek.

No śmiało, uderz mnie.

W każdym razie kłamie. Pamiętam to jego poczucie winy. Za każdym razem, kiedy mówiłam o tym, że zatrzymał się w Manaton, w pobliżu grobu Kitty Jay, wyglądał na winnego.

Wszystko się tutaj łączy. I chyba wiem jak. Olśnienie jest niczym imponujące ptasie trele albo wschód słońca nad Buckland Beacon.

Sprawiał wrażenie winnego, gdy wspomniałam o chacie, którą remontował. Nie wtedy, kiedy powiedziałam, że to było w pobliżu Manaton. Dokładnie wtedy, kiedy wspomniałam, że było to niedaleko grobu Kitty Jay. Tam, gdzie zostały rozrzucone prochy mojej matki.

Mam go. Wykryłam kłamstwo.

Kitty Jay.

– Wiesz coś na temat mojej matki, prawda? Tessa tak powiedziała. To ma coś wspólnego z nią, tak?

– Nie bądź głupia, kobieto.

– Moja matka i ty, Dan, a może Harry, w jakiś sposób wszyscy jesteście w to zamieszani. Spisek. Wiem o tym. Co wyście mi wszyscy, do cholery, zrobili, co mogliście mi zrobić tamtego wieczoru? I jakimś sposobem...

Podchodzi blisko. Sprawia wrażenie, jakby chciał mocno uderzyć mnie w twarz, a jednak równocześnie znów dostrzegam w jego oczach to poczucie winy. Mam rację. On kłamie.

– Proszę... – mówi i w jego głosie słychać rozpacz. Mówi urywanym, łamiącym się głosem. – Proszę, Kath, proszę, skończ z tym, teraz.

– Ale ty kłamiesz! Kłamiesz! Wszyscy kłamiacie! Ta pieśń... Harry z tym swoim poczuciem winy... Mój brat... Moja matka...

Zaczyna mówić, ale teraz jest już wściekły:

– Do kurwy nędzy! Piosenka Lyli to tylko piosenka. Nikt od tego nie umrze. Jeśli zaś chodzi o twoją matkę... to kogo to obchodzi. Twoja szurnięta matka podarowała im dom, ponieważ była suką i dlatego że zbzikowała od raka. Umarła i pogrzebali ją nad rzeką, twój czarujący braciszek zagarnął cały dom, a my dostaliśmy połowę prochów, no i jeszcze uroczą laleczkę z Grenlandii. To wszystko w tym temacie. – Teraz Adam warczy. – I naprawdę nie ma żadnego wielkiego spisku. Na miłość boską. To śmieszne,

przestań już, proszę. Musisz przestać ze względu na LYLĘ.

Wycie powstrzymuje nas oboje.

Psy.

Nigdy wcześniej nie słyszałam takiego wycia. Felix i Randal?

Wymieniamy spojrzenia i nagle wszystko się zmienia. Adam rusza pierwszy, wbiegając po schodach na górę, ja biegnę za nim. Wszędzie panuje ciemność. Adam włącza światła i teraz już widzimy psy wyjące na drugim końcu korytarza. Stoją przed drzwiami do pokoju Lyli. Drzwi są zamknięte.

W pokoju też jest ciemno, bo spod drzwi nie sączy się światło.

Adam krzyczy. A ja też wołam razem z nim:

– Lyla!

Kiedy biegniemy w kierunku sypialni, przeszywa mnie lęk. Popycham drzwi. Włączam światło. W pokoju jest tak zimno... Przejmujące, koszmarne zimno. Małą sypialnię z połyskującymi brokatem obrazkami disnejowskiej księżniczki z *Krainy lodu* wypełnia ostra, zimowa, charakterystyczna dla wrzosowiska woń zgniłej kiszonki.

Okno jest otwarte na oścież. Łóżko stoi puste.

Lyla zniknęła.

Dartmoor

Poniedziałek wieczorem

Dwa bijące serca. Jedna sypialnia. Ani jednej córki. Wpatrujemy się w siebie nawzajem, podbiegamy do okna.

Uciekła przez okno. Albo ktoś ją porwał.

Niezależnie od tego, jak było – zniknęła.

Psy nadal wyją, wyją tak głośno, że pewnie słyszać je w Princetown. Boję się, że będę słyszeć to wycie do końca życia.

Adam jąka się.

– Ona... musiała uciec... Jezu Chryste...

– Albo ktoś ją porwał.

Powstrzymuję łzy rozpaczy. Panika jest naszym wrogiem. Wskazuję palcem na okno.

– Łatwo przez nie wyjść, więc równie łatwo wejść, prawda?

– Lyla! – Adam krzyczy w ciemność, w pasma mgieł, w pofalowane wzgórza, krzyczy aż do Hexworthy, krzyczy za naszą zaginioną córeczką. – Lyla!

Nie odpowiada mu nawet echo. Ciemność połyka jego głos. Zapewne jestem jedyną ludzką istotą, która go usłyszała.

– Kryjówka! – Wołam, odwracając się. – Jeśli uciekła, na pewno się tam schowała.

Adam odwraca się, rzucając do psów:

– Felix! Randal! Szukajcie Lyli! Lyla! Szukajcie jej!

Patrzą na niego zaskoczone. Przekrzywiają łby. Przestały wyc.

Co widziały? Albo wyczuły? Kiedy wszyscy zbiegamy na dół, układam scenariusz. Lyla mogła bez problemu uciec przez okno. To jakieś trzy metry wysokości, może nawet nie, i jest się czego chwycić. To łatwe, łatwe, łatwe. A ona jest dobra we wspinaniu się, nawet doskonała, biorąc pod uwagę, ile czasu spędza, wdrapując się na skaliste wzgórza na wrzosowiskach. Jest dumna ze swoich umiejętności wspinaczkowych.

Tylko po co miałyby uciekać? Czy słyszała naszą kłótnię? Krzyczeliśmy tylko pod

koniec, ale pewnie o to chodziło, to my zawiniliśmy. Przeszywa mnie poczucie winy, brutalnie i mocno. Najpierw próbuję odebrać sobie życie – niezależnie od moich wymówek – a teraz zmuszam córkę do ucieczki? Czego się spodziewałam? Nagrody za swoje zachowanie?

Modłę się, żeby była w swojej kryjówce. W ciemnościach biegniemy przez podwórze do jej małej jaskini pełnej kolców, skorupki jajek i piórek zimorodka. Adam otwiera drewnianą furtkę.

Dzyń, dzyń, mówią łańcuszki zrobione ze spinaczy biurowych, *dzyń, dzyń*.

Lekki zimny wietrzyk porusza srebrzystymi łańcuszkami.

W kryjówce nikogo nie ma, nie ma żadnych śladów świadczących o tym, że Lyla tutaj była.

– Lyla! – woła Adam, a jego rozpaczliwy krzyk zmienia się w chmurę zamarznętej pary. Odwraca się do mnie. – Może jest u Spaldingów.

Może ma rację, ale mam potworne przeczucie, że tak nie jest. Jak jest ubrana, tam, w tej mroźnej ciemności? W piżamę? W szlafrok? Czy sama się ubrała, czy ktoś ją porwał? Drzwi do jej sypialni były zamknięte. W pewnym momencie psy, które leżały tuż pod drzwiami, uświadomiły sobie, że zniknęła. Być może wyczuwając jej zapach albo jego brak.

– Lyla! – Adam woła ponownie. Głośniejsze, niż kiedykolwiek słyszałam, żeby krzyczał. – Lyla! Wszystko w porządku! Nie obawiaj się, Lyla! Wracaj!

Dzwonię do Spaldingów. Ręce trzęsą mi się z zimna, zasięg jest słaby, pojawia się i znika, ale w tym miejscu, na najwyższym wzniesieniu podwórza, mam dwie kreski. Wystarczy.

– Lyla!

Telefon Spaldingów dzwoni. Błagam, żeby tylko byli w domu. Błagam, żeby u nich była. Błagam, błagam, błagam. Dociera do mnie, kiedy telefon tak dzwoni i dzwoni, i nikt nie odpowiada, że nie mamy pojęcia, kiedy tak naprawdę zniknęła.

Moja córka może być wszędzie.

– Lyla!

Telefon Spaldingów dzwoni i dzwoni.

– LYLA!

Nikt nie odbiera. Nie może tam być.

Adam wbiega z powrotem do domu. Czy wpadł na jakiś nowy pomysł? Może Lyla

schowała się w domu?

Dłonie bołą mnie z zimna, kiedy próbuję dodzwonić się na komórkę Emmy.

Może właśnie jadą odwiedzić do nas Lylę...

Odbiera natychmiast.

– Emma!

– Co? Halo? Kath?

– Emma, gdzie jesteś, nie ma cię w domu, próbujemy cię złapać, Emma...

– Jestem w wannie, Kath.

– Emma, proszę...

– Czy to ty dzwoniłaś na numer stacjonarny? Bo przed chwilą słyszałam dzwonek...

Wyjeżdżamy jutro do Londynu. Przepraszam, Kath, co się stało?

– Czyli jesteście jeszcze w domu?

– Tak.

Wyrzucam z siebie słowa:

– Lyla przepadła.

Na krótką chwilę zapada przerażająca cisza.

– Co?

– Uciekła albo zaginęła. Zniknęła. Czy ona tam jest? Czy jest z wami?

– Boże, o mój Boże, Kath, nie, nie ma jej tutaj. Jestem sama w domu. George jest w drodze powrotnej z Okehampton. W domu nikogo nie ma, ale pójdę i sprawdzę w budynkach gospodarczych, w stajni, nigdy nic nie wiadomo... Może jest u koni.

Telefon trzęsie się w mojej dłoni. Emma rozłącza się – będę musiała poczekać. Ręce drżą mi tak bardzo, że omal nie upuszczam komórki. Zimno i nerwy. Zimno i przerażenie. Wrzosowiska rozciągają się wszędzie dookoła nas, ze swoją przerażającą pustką, z turzycami i torfem, ze skalistymi wzgórzami i z grzędzawiskami, z młynówkami i kamieniołomami, i z nieczynnymi szybami. Z kopalniami cyny w Whiteworks i zalewem Burrator. Niebo jest pochmurne, a ćwiartka księżyca nie pomoże nam w odnalezieniu córki. Adam podbiega do mnie i podaje mi latarkę i płaszcz. Nasz spór odchodzi w zapomnienie. Znowu jesteśmy małżeństwem. Drużyna Redwayów, która próbuje odnaleźć Lylę, a ja mam potworne, głębokie przecucie, że nasze poszukiwania zakończą się porażką. Bo właśnie o to chodzi. Usiłowałam się zabić, a moja mała dziewczynka robi teraz to samo.

Albo ktoś ją uprowadził.

Dzwoni telefon. To Emma. Nadzieja wznosi się do przesłoniętego chmurami księżycy, gdzieś ponad White Lady Falls, Raddick Hill, Lookweep Estate.

– Przykro mi, Kath. Nie ma po niej śladu. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

Adam oświetla latarką moją twarz. Potrząsam głową, przekazując mu wieści.

– Lyli tam nie ma, nie ma jej u Spaldingów.

– Dzwonię na policję. – Wyjmuje swój telefon.

Najbliższy posterunek policji jest chyba w Yelverton. Godzinę jazdy samochodem stąd, po ciemku może dłużej. Ilu ludzi mogą zgromadzić dzisiejszego wieczoru, ile kilometrów kwadratowych wrzosowisk będą w stanie przeszukać, jak długo moja córka przetrwa na tym zimnie? Jeśli jest w piżamie, to nie mamy wiele czasu. Być może umiera... TERAZ. Trzęsąc się z zimna na jakimś polu albo pod jakąś suchą kamienną ścianą... Oczy pomału jej się zamykają, serce bije coraz wolniej... usta powoli sinieją...

Och, mały niebieski płomyczku...

– Dzwonię do wszystkich.

I robię to, podczas gdy Adam zaczyna przeszukiwać podwórze, świecąc latarką po zaroślach, po pochylonych drewnianych płotach, rozpaczliwie, z nadzieją, że może schowała się gdzieś w pobliżu. Nie sądzę, żeby ją znalazł. Psy wyczułyby jej zapach. Felix i Randal siedzą przy wejściu, niemalże skamłąc. One także ją straciły. A jeśli psy ją zgubiły, to właściwie, tak naprawdę, jest nie do odnalezienia.

Dzwonię do każdego, kto może cokolwiek wiedzieć, do wszystkich, którzy kiedykolwiek spotkali moją córkę. Dzwonię do rodziców ze szkoły.

– Tak, mówi Kath Redway, Lyla zaginęła. Jeśli czegokolwiek się dowiedzie... Proszę, błagam, pomóżcie... Zadzwońcie do mnie.

Dzwonię do pubów.

– Czy dodzwoniłam się do Two Bridges? Tak, mówi Kath Redway, z farmy Huckerby, pamięta pani? Nie możemy znaleźć naszej córki... Lyla, pamięta pani, niebieskie oczy, czarne włosy...

Dzwonię do mojego brata. Pomimo tego wszystkiego, co nas dzieli, i nadszarpniętego zaufania, wciąż jest moim bratem. I wujkiem Lyli.

Słucha mnie w ponurym milczeniu i mówi:

– O Jezu, Kath. Kurwa. Kurwa. Jestem przy warsztacie na autostradzie, niedaleko, zaraz zawracam. O mój Boże... Będę za trzydzieści minut. O Jezu...

Kręci mi się głowie, cały świat wiruje. Lyla jest na wrzosowisku – w tej chwili, dygocze z zimna w ciemnościach, na mrozie, który zabija ptaki. Odczuwam coś w rodzaju żalu z powodu śmierci... już teraz. Żal, złość i nienawiść – wobec wszystkiego. Nie pozwolę światu, żeby to zrobił.

– Adam!

Nie słyszy mnie. Krzyczy przez telefon, wzywając kuzynów, przyjaciół, innych strażników. Wkrótce przybędą tutaj ludzie, będą przeczesywać wrzosowiska, ale drogi są tak długie i wąskie, że mogą minąć wieki, zanim oni wszyscy tutaj dotrą. Przeszukiwanie wrzosowisk po ciemku zajmie wiele godzin... Jak my ją odnajdziemy w tych ciemnościach? Jak przetrząsnąć prawie sto tysięcy hektarów trzęsawisk, zatopionych kamieniołomów, starych nieprzebranych lasów i bezdennych wyrobisk po kopalniach cyny? Sto tysięcy hektarów miejsc, do których dziecko mogło wpaść. I potem umrzeć.

– Lyla!

Adam krzyczy w zamarzającą mgłę ostrym tonem głosu, w którym słychać nieskrywaną rozpacz.

– Lyla?

Teraz odwraca się do psów, przywołując je. Schyla się do ich uniesionych nosów, trzyma coś w ręce. Oświeśla to latarką i teraz dostrzegam podkoszulek Lyli z dużą podobizną uśmiechniętego Mowglię. Moja mała dzikuska z dżungli. Moja kolekcjonerka muszelek i ślimaków, piórek i pazurów. Czy ma szansę na przeżycie, będąc gdzieś tam przez całą noc?

– Dalej, chłopaki – mówi do psów. – Tutaj. Powąchajcie to. Lyla. Szukajcie Lyli. Szukajcie.

Psy wąchają podkoszulek. Nie są przyzwyczajone do poszukiwań ludzi – węch przydaje im się wtedy, gdy polują na zwierzęta. Polują i zabijają. Posłusznie zagłębiają nosy w podkoszulek Lyli, po czym podnoszą wzrok, osamotnione i przerażone, zdziwione.

Felix warczy. Jakby to była moja wina, że ona zaginęła. I ma rację.

Randal kładzie pysk pomiędzy dwiema łapami. Skamle.

– Niedobrze – stwierdzam, powstrzymując uczucie żalu. Smutek i rozpacz otaczają

mnie niczym ciągnące się w nieskończoność połacie traw. Nie damy rady odnaleźć jej w tych ciemnościach, jeśli w ogóle będziemy w stanie trafić na jakiś ślad. Zginęła.

Rozpacz nasuwa mi pewną myśl.

– Hobajob.

– Na pewno nie. Po tych ostatnich wydarzeniach?

– Masz jakiś lepszy pomysł? Jeśli nikt jej nie porwał, poszła pewnie do jednego ze swoich ulubionych miejsc, a wciąż uwielbia ten las.

Oślepiam go snopem światła latarki. Ma zaciśnięte, ściągnięte bólem usta, ale kiwa głową.

– Dobrze.

Wybiegamy przez bramę gospodarstwa na otwarty teren wrzosowiska, a psy ruszają za nami ze skowytami. Wspinamy się do góry błotnistą drogą, Felix i Randal biegną przodem, do lasu. Teraz księżyc jasno świeci, kłęby mgły pierzchają. Otwierają się przed nami srebrzyste przestrzenie suchego terenu wrzosowiska, ale niczego nie widać poza czarnymi skalistymi wzgórzami na tle niemalże czarnego nieba i gwiazd, które oświetlają nicość.

Przeskakujemy razem przez niewielki murek, oświetlamy latarkami rozczapierzone gałęzie, zwisające mchy i gnijące liście. Słyszę psy, ale nic poza tym. Wydają z siebie przedziwne odgłosy żalu, strachu... Prawie jak ludzkie.

Wołamy i krzyczymy:

– Lyla! Lyla!

I nic. Czuję gwałtowny impuls, żeby zawrócić i pobiec z powrotem pogrążającą się w gęstniejącym mroku ścieżką do domu. Psy wydają z siebie takie dziwne i potworne odgłosy, upiorne wycie. Nie chcę wiedzieć, co znalazły. Naprawdę nie chcę. Powinniśmy zawrócić. Lyla musi być gdzie indziej.

Nie ma jej tutaj. Dlaczego psy tak dziwnie wyją?

Ponieważ znalazły Lylę?

Tak musi być. Na pewno tam jest... martwa. Zamarznięta na śmierć. Ta pieśń, którą śpiewała moja córka, o niebieskim płomyczku, była zapowiedzią jej własnej śmierci, która zbliżała się do nas szybkimi krokami.

Adam biegnie za psami Lyli. Wyją coraz głośniejsze. Prawie niczego nie widzę – zimowa noc jest ciemna i szara, a omszałe stłoczone drzewa sprawiają, że wydaje się jeszcze ciemniejsza.

Drewniana klatka nocy i chłodu.

Przedzieram się przez zmrożone jeżyny i wychodzę na ponurą polanę. Psy dalej krążą, jakby na wpół obłąkane. Przygotowuję się na widok martwej Lyli, nagiej, z poderżniętym gardłem. Białe ciało na chłodzie, twarz umazana błotem, krwią. Zgwałcona i zamordowana.

Teraz już widzę.

Psy biegają dookoła ciała... dwóch zajęcy. Ułożonych ogonami do siebie.

W Dartmoor zawsze jest mnóstwo martwych zajęcy. Martwych zajęcy, martwych kuców, martwych owiec, martwych królików – wrzosowisko jest naznaczone śmiercią. Czasem można odnieść wrażenie, że Dartmoor przypomina trwającą cały rok, dwadzieścia cztery godziny na dobę, wystawę śmierci. Po jakimś czasie można do tego przywyknąć. Człowiek przyzwyczaja się do leżących w strumieniu kuców z poprzetrącanymi nogami albo do smrodu rozkładającej się baraniny, który unosi się w powietrzu. Przyzwyczaja się do tego, że odnajduje zbielełe czaszki ustawione na naturalnych granitowych cokołach niczym rytualne przedmioty.

Ale to, te zajęce, to inny rodzaj śmierci. Umyślnej, skrupulatnie zaplanowanej. Zasłaniam usta dłonią. Adam patrzy zszokowany. Ktoś odciął zajęcom lewe tylne nogi. Te zwierzęta torturowano i okaleczono. Brutalnie wyłupano im oczy, pozostawiając głębokie oczodoły ziejące czernią. Zajęc po lewej stronie patrzy prosto na nas upiornymi martwymi oczodołami, płacząc stróżkami krwi.

Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Nagle dostrzegam wzór. Zajęce mają przypominać oczy. Oczy na ludzkiej twarzy. Gołąb, krwistoczerwony, został położony pośród zwiędniętych liści. To mają być usta. A pas kwiatów kolcolistu, kępek mchu i martwych myszy jakby wypływa z tych ust opadającą w dół falistą linią.

I to jest, jak sądzę, właśnie ten wzór, który moja córka próbowała ułożyć z martwych ptaszków w Huckerby. Nie wyszedł jej idealnie, ale teraz to rozumiem. Swego rodzaju twarz wyszczerzająca zęby w uśmiechu. Zielony Człowiek. Pogański symbol odrodzenia, płodności, śmierci. Moja matka miała obsesję na punkcie tych symboli.

Ktoś powtarza albo naśladuje ten makabryczny wzór.

Serce podchodzi mi do gardła. Lyla już tutaj była i widziała to albo ktoś widział ją. I ten ktoś rzeczywiście istnieje.

Drzewa są mroczne, a polana pusta. Wciąż wołamy.

– Lyla! Lyla! Lyla!

Las Hobajob ledwie szemrze w bezgłośnej odpowiedzi, powiewa widmo wiatru, chłodne i delikatne. Poza tym nic. Niczego tutaj nie ma.

– Tędy!

Równocześnie ruszamy biegiem z powrotem przez las na otwartą przestrzeń, psy tuż obok sadzą wielkimi susami, wyczuwając naszą rozpacz.

Kiedy las zostaje za nami w tyle, Adam znowu krzyczy:

– Lyla!

Tym razem wrzosowisko w końcu odpowiada, echem odbijającym się, choć słabo, od ogromnych granitowych skał Combestone Tor.

Lyla.

Jednak nie słyhać żadnego innego dźwięk. Niczym niezmacona, grobowa cisza. Zginęła. Odchodzę od zmysłów.

– No dalej, Adamie, proszę cię, pomyśl, proszę! Dokąd ona mogła pójść, gdzie zwykle chodzi?

– Nie mam pojęcia. Chryste. Ona chodzi wszędzie! Kath, przecież ją znasz, ona może być gdziekolwiek...

Adam usilnie lustruje wrzosowisko, oświetla je żalonym snopem światła, wydobywając z tła kępy brązowoszarej zimowej trawy i srebrzyste plamy wilgoci. Znowu krzyczy, bezcelowo, i ponownie wrzosowisko odpowiada mu rozbrzmiewającą echem ciszą.

Teraz kieruje latarkę na zziębnięte, ubłocone psy.

– Felix, Randal, idźcie za Lylą, idźcie za nią. Gdzie chodzicie? Gdzie ona was zabiera? Gdzie?

Psy podnoszą na niego wzrok. Warczą. I nagle szczekają, jakby zrozumiały, i zaczynają biec poza drogą, w dół. Nie mam pojęcia dokąd.

Waham się.

– Mogą poprowadzić nas zupełnie niewłaściwą drogą!

Adam potrząsa głową.

– A mamy jakiś wybór?

Ma rację. To nasza jedyna nadzieja. Na dworze jest jakieś trzy stopnie mrozu. Zimno do szpiku kości i potworna wilgoć, znowu zrywa się wiatr. Jeszcze bardziej lodowaty, jeszcze bardziej przenikliwy. Dygoczemy, biegnąc w ślad za psami.

Jak mała dziewczynka w pizamie mogłaby przeżyć na takim zimnie?

Psy biegną dalej, najwyraźniej zmierzają do siebie tylko znanego miejsca. Wzbiera we mnie nadzieja. Szczekają i zziębnięte biegną bitą drogą dla owiec, szlakiem, którego nie znam. Pomiędzy kopcami torfu, przez niewielkie strumyki, po kamieniach toczących się w świetle mojej latarki. Przystaję na sekundę, zaskoczona.

Jakaś para błyszczących zielonych ślepi wyłania się znikąd po mojej prawej stronie, w snopie światła.

– Co to za...?

– To kuc – wyjaśnia Adam, dysząc podobnie jak psy. – To tylko kuc...

Ma rację. Kuc w nocy. Stoi przy ciemnej stercie kamieni. Kuce mają zielone ślepie, kiedy oświetli się je w ciemnościach. Te same smutne zielone ślepie mogły patrzeć na moją córkę, która tędy biegła. Uwielbia dartmoorskie kuce, więc jeśli one tutaj przychodzą, nocą, to być może ona też gdzieś tu jest.

Wstrząsa mną kolejny odgłos. Psy szczekają, tym razem jak oszalałe.

Czy ją znalazły? Czy ona żyje?

– Spójrz, jakaś szopa. – Adam kieruje snop światła latarki na budowlę.

Widzę niewielką sosnę, szaroczną w mroźnym świetle księżyca. Ale tam, gdzie zaczyna się pień, tak, Adam ma rację, tam jest szopa. Kryjówka. I najwyraźniej psy dobrze znają to miejsce, więc domyślam się, że Lyla je tutaj zabiera na swoje pikniki. Kiedy przygotowuję jej kanapki z masłem orzechowym, daję kilka jabłek, a ona wyrusza w długie, letnie dni, sama, wędrując sobie, gdzie chce.

Modłę się, tak jak modliłam się kiedyś, gdy chciałam zezłościć swoją matkę.

Psy podekscytowane wbiegają po drewnianych schodkach do szopy. Na pewno ją znalazły. Adam wbiega tam za nimi, a potem ja, przygotowana na to, że za chwilę kamień spadnie mi z serca.

Psy przestają szczekać. Snopy światła naszych latarek szybko penetrują jedyne drewniane pomieszczenie. Śmierdzące starą tarcicą i pleśnią.

Nikogo tutaj nie ma. Lyli tu nie było. Felix i Randal obwąchują szopę, jakby Lyla mogła przebywać tutaj wiele tygodni wcześniej. Jednak nie ma żadnego śladu jej niedawnej obecności. Żadnego.

Osuwam się na kolana. Nie płaczę. Przekroczyłam jakąś granicę, wyszłam poza emocje. Czuję wewnętrzną pustkę. Nie mam już łez.

Straciłam córkę. I zasłużyłam sobie na to. Za to, co zrobiłam w Burratorze.

Lyla zrobiła mi to, co ja usiłowałam zrobić jej. Oto moja sprawiedliwa kara. Śmierć

została mi zwrócona, i to z nawiązką.

Dartmoor

Nocą

Adam oparł głowę na dłoniach. Wsłuchuję się w wiatr pobrzękujący szybami w szopie. Szyba jest rozbita, do środka wdziera się zimno. Lyla mogłaby przeżyć, jeśli odnalazłaby drogę do tego miejsca, ale nie dała rady... Nie.

– Nie – powtarzam to słowo na głos.

Krzyczę do siebie.

NIE!

Ona nie umarła. Jest dwudziesta trzecia i nic nie wiemy. Ale znajdziemy ją. Lyla jest dzieckiem wrzosowisk. Będę o nią walczyć, tak jak walczyłam o własne życie, tam w Burratorze. Być może podjęłam tę potworną decyzję, ale równocześnie wydostałam się z tonącego samochodu, dopłynęłam do plaży, a wszystko dlatego, że kocham swoją córkę.

Podchodzę do drzwi, patrzę przez okno na surowość bezchmurnej czarnej nocy i na zakrzywiony wokół własnej osi księżyc. Srebrny kręgosłup w pozycji embrionalnej na ciemnym ekranie ultrasonografu. Lyla w wieku pięciu miesięcy w moim łonie.

Światło księżyca oświetla menhir. W Dartmoor jest tyle menhirów. Setki.

Przyglądam się temu kamieniowi. Majaczy mi gdzieś wspomnienie tamtego kamienia, który zapamiętałam, kamienia, który wyglądał znajomo, ale którego nie potrafiłam rozpoznać, choć przejrzałam w internecie niezliczone obrazy.

– Lyla! – Adam krzyczy u mojego boku, przez drzwi. – Lyla! LYLA!

Nie zwracam na niego uwagi, wciąż wpatrując się w ten menhir. Obraz z tamtego potwornego wieczoru powraca. Przypominam sobie, że wtedy z samochodu też widziałam menhir, tylko całkiem inny. Ale gdzie? Pamiętam, że pomyślałam wtedy sobie, jak imponująco wygląda.

– Masz rację.

Odwracam się. Adam wskazuje na menhir.

– Tam – mówi. – Ten cholerny głaz. Lyla je uwielbia, prawda? Widziałem, jak obok nich przesiadywała. Merrivale. Scorhill. Tańczyła wokół nich. Jeśli tędy szła, to szła do

tego menhiru...

– A psy?

– Domyślają się czegoś. To lurchery. Mogła zostawić gdzieś silniejszy zapach, przy kamieniu, możemy spróbować jeszcze raz... Gdy będzie świeższy, psy mogą go podchwycić.

Nie ma sporu. Ta nikła nadzieja, pomysł mojego męża, po raz kolejny jest wszystkim, co mamy. Niezależnie od tego gdzie jest nasza córka, jeśli przebywa na zewnątrz, dłużej już nie przetrwa, nie na tym zimowym, przenikliwym wietrze, który niczym lodowata kosa ścina wzgórze.

– Felix! Randal!

Razem wybiegamy na wrzosowisko. Potykam się o grząski, pokryty trawą garb. Wstaję z trudem. Podchodzimy do kamienia.

– Tutaj. – Dyszę.

Ostre lutowe powietrze piecze mnie w gardle. Światło latarki oświetla granit menhiru, ozdobiony wzorem z szarych i srebrnych porostów, liczący sobie tyle tysięcy lat. Mówię dalej:

– Daj mi ten podkoszulek.

Adam podaje mi go. Schylam się do psów i pokazuję im materiał, a one wdychają zapach Lyli, wszystko zaczyna się od nowa. Wskazuję palcem oświetloną blaskiem księżycy ziemię, dając jasno do zrozumienia, o co mi chodzi: teraz powąchajcie tam, powąchajcie trawę, mokrą turzycę, złapcie ten zapach!

Felix patrzy na mnie.

Potem wącha czubek mojego palca wskazującego. W świetle latarki jego ślepia przybierają barwę melancholijnego brązu. Ostatnie nadzieje, i tak już nikłe, zaczynają jeszcze słabnąć. Próbuję ponownie. Pokazuję psom podkoszulek i wskazuję palcem na ziemię.

– No wąchajcie! Szukajcie jej!

Felix patrzy w moją stronę, z łbem przechylnym na bok. I znowu wącha czubek mojego palca wskazującego.

Adam odsuwa mnie na bok.

– One tego nie rozumieją. Zrób to inaczej. Duże psy potrzebują silnej ręki.

Chwyta Felixa za obroź, prowadzi go kilka metrów do czegoś w rodzaju ścieżki dla owiec. Oświetlam ich swoją latarką, licząc chwile, w których Lyła dygocze pod jakąś

ścianą i czeka, aż rodzice ją odnajdą, podczas gdy oni nie nadchodzą, z drżącymi palcami, cała blada, z twarzą, która staje się jeszcze bledsza, kiedy organizm powoli przestaje funkcjonować.

To wszystko moja wina. To ja przyprowadziłam ją do Merrivale. Na Rynek Śmierci. Zaraziłam ją moim pragnieniem śmierci i to wbrew sobie. Ta miłość przypomina monety zanurzone w occie winnym i tak samo przenosi chorobę, moją chorobę.

Adam stanowczo przyciska pysk Felixa do ziemi, do wydeptanej trawy na ścieżce wypasu żywego inwentarza.

– Lyla – mówi do Felixa. – Lyla tędy szła, twoja dziewczynka, nasza dziewczynka, szła tędy. Szukaj jej. Szukaj Lyli. Szukaj. LYLE.

Zastygła w czasie chwila trwa. Gwiazdzisty mrok przygląda się naszemu dramatowi. Felix szczeka. Potem szczeka jeszcze raz, bardzo głośno. I rusza, biegnie, a teraz Randal też szczeka, jakby były prawdziwymi psami myśliwskimi wyczulonymi na zapachy, jakby odezwało się w nich nieodzowne DNA wszystkich psów. Szepczą do siebie w myślach: *Dacie radę, chłopcy, dacie radę*, podczas gdy sama wpadam do rowu i skręcam kostkę, zdzieram sobie kolana na skałach.

Widzę strumień i kamienny mostek.

Psy przebiegają przez niego bez wahania. Zdecydowanie podążają jakimś tropem z nosami przy kamieniach. Światło księżyca pada na naszą czwórkę, ale każdy srebrzysty ułamek sekundy zbliża Lylę do momentu, w którym przestanie trząść się z zimna, bosa, w piżamie na lodowatych wzgórzach, albo potknie się, upadnie, uderzy głową o jakiś wystający głaz...

– Tam!

Adam oświetla latarką coś na kształt zagrody. Okrąg z kamiennego murku bez zaprawy, wzniesiony po to, by chronić zwierzęta na wrzosowisku – bydło, owce albo kuce – przed taką właśnie srogą zimową aurą.

Psy wyją jak szalone. Czyżbyśmy przyszli za późno? Adam wspina się na kamienny murek, korzystając z granitowego przełazu, a ja podążam za nim. Psy go przeskakują. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że potrafią aż tak wysoko skakać. We dwoje, para przerażonych rodziców, kierujemy światła latarek na krąg trawy.

Po jednej stronie zagrody śpią dzikie kuce. I to wszystko. Stado dzikich kuców, leżących jeden obok drugiego.

– Jezu – mówi Adam. – Nie ma jej tu. Co jeszcze możemy zrobić? Co jeszcze?

Głos mu się łamie z rozpacz, rozpacz, jakiej wcześniej u niego nie słyszałam. Ale ja nie rozpaczam. Bo mam przeczucie.

– Poczekaj. Podejdźmy bliżej. Stąd niewiele widać.

Powoli, boleśnie powoli podchodzimy do śpiących kucy. Adam trzyma psy za obroże, uciszając je. W odległości kilku kroków od zwierząt kieruję snop światła na ziemię i dostrzegam przebłysk różu, jasnego różu dziecięcego szlafrocza. Lyla leży pomiędzy śpiącymi kucami, ukryta w samym środku, jakby zwierzęta celowo ścieśniły się wokół niej. Jakby znalazły ją tutaj i położyły się obok, żeby ją ogrzać, utrzymać przy życiu. Niczym delfiny, które wspierają i ratują tonącego pływaka. Moja córka stała się jednym z nich, jednym z tych dartmoorskich żywych stworzeń, zdziczałym dzieckiem, zagubionym w labiryncie kamieni, zwierzęcych skór i ciemności.

– O mój Boże – szepcze Adam bardzo cicho, sięgając pomiędzy śpiące kuce, i podnosi naszą córkę.

Lyla się nie budzi. Adam niesie ją w ramionach.

– Jest przemarznięta – mówi. Widzę, jak ukrywa swoje emocje. – Ale żyje. Zabierzmy ją do domu.

Nie mam pojęcia, jak udało nam się tutaj dotrzeć pośród niedostępnych ścieżek. Nie mam pojęcia, przez ile godzin wędrowaliśmy i ile pokonaliśmy kilometrów, ale w drodze powrotnej ogarnia nas prawdziwa euforia. Psy szczekają uszczęśliwione, kiedy Adam niesie Lylę do domu przez wrzosowiska, z powrotem do Huckerby, z powrotem do ciepła i bezpieczeństwa. Kiedy tak idziemy oświetloną latarkami ścieżką, Adam dzwoni do wszystkich swoich przyjaciół, sił porządkowych, odwołując poszukiwania. Głos lekko mu drży. Jest przepełniony emocjami.

W końcu docieramy do Huckerby. Kiedy otwieram furtkę, dostrzegam Dana, który wyskakuje ze swojego samochodu.

– Znaleźliście ją!

Wygląda na szczęśliwego, ale wciąż jest przerażony.

– O Jezu – mówi. – Jezu Chryste. Dzięki Bogu. Jak? Gdzie?

– Spała z kucami.

Adam kopnięciem otwiera drzwi do domu.

– Do środka.

Przenosimy naszą córkę przez próg do oświetlonego miękkim światłem salonu, a Dan dokłada drewna do kominka. Ognisko domowe i bezpieczeństwo.

Odnaleźliśmy ją. Adam ją odnalazł. Psy ją odnalazły. Kuce ją uratowały. Jej ojciec ją uratował.

Nie ma nikogo, kto mógłby jej zagrazać. Przeżyliśmy.

Patrzę na moją córeczkę śpiącą w kapciach, piżamie i różowym szlafrocisku.

– Myślicie – pytam cicho, z gardłem bolącym od tego zimna – że powinniśmy wezwać lekarza teraz czy zaczekać z tym do jutra?

Dan wzrusza ramionami.

– Kto wie? Wygląda dobrze, ale nigdy nic nie wiadomo...

Ktoś nam przerywa. To Lyla. Obudziła się i patrzy teraz na nas. Najpierw na wujka, potem na tatę. W końcu zwraca się do mnie i mówi:

– Obudziłam się, mamusiu. Obudziłam się, jakby to był sen, wyjrzałam przez okno i pomyślałam, że widzę tatusia, który macha do mnie w świetle księżyca, wskazując palcem w stronę Hobajob. – Patrzy mi prosto w oczy. – Wyszłam więc, żeby do niego pójść, ale kiedy doszłam na miejsce, jego już nie było. Nigdy nie można go złapać, zawsze się zmienia. – Patrzy w stronę kominka i znowu przenosi spojrzenie na mnie. –

I chciałam wejść z powrotem do swojego pokoju, ale usłyszałam, jak się kłócicie, ty i tatuś, i nie mogłam tego znieść. Nie umiem udawać, więc uciekłam.

– Czego nie umiesz udawać, kochanie? Co miałybyś udawać?

– To.

– Ale co?

Powoli, zbyt powoli, odwraca się. I krzyczy, do Adama.

– Bo to ty, tatusiu! TY! To ty tam byłeś! W samochodzie. Z mamusią. Ty! Krzychałeś na nią, tamtego wieczoru, kiedy wjechała samochodem do wody! Zupełnie tak samo jak krzychałeś dzisiaj wieczorem. Właśnie dlatego uciekłam. Krzychałeś tamtego wieczoru, i teraz znowu krzychałeś!

Adam robi krok do tyłu, całkowicie zaskoczony. Wygląda, jakby miał się rozplakać. Nigdy nie widziałam, żeby mój dzielny mąż płakał. Ani razu, odkąd jesteśmy razem. On nigdy nie płacze.

Lyla znowu krzyczy na swojego ojca.

– Wynoś się! – Demoniczne spojrzenie wykrzywia jej twarz. – Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się! Uciekaj ode mnie i od mamusi! Uciekaj!

– Lyla, skarbie...

Adam wygląda na zaskoczonego, zrozpaczonego.

– Wynoś się wynoś się wynoś się! Tatusiu! Ssssss! Ssssssss! Uciekaj od nas! Byłeś tam w samochodzie SSSSSSSSSSSSSSS!

Wściekłość Lyli jest nieokiełznana, wytrąca nas z równowagi. Zrobi sobie krzywdę, jeśli w jakiś sposób jej nie uspokoimy.

Adam szuka wzrokiem mojego spojrzenia. Potrząsam głową, dając mu do zrozumienia, że nie mamy wyjścia. Zamyka więc oczy, jakby odmawiał w myślach krótką modlitwę.

– A co z lasem Hobajob? – pyta. – Ktoś to zrobił. Kto będzie się tobą opiekować?

Dobre pytanie. Wzruszam ramionami rozpaczliwie, a on znów zwraca się do mnie i mówi:

– Wynajmę sobie pokój w Huntsmanie. Będę w pobliżu.

Odwraca się i wychodzi z pokoju. Drzwi zatrząskują się za nim, kiedy wychodzi na podwórze. Słysząc pomruk silnika, który po chwili cichnie w oddali.

Teraz patrzę na Dana i przypominam sobie, jak tamtego dnia uciekałam przed nim. Jemu też nie można ufać. Jednak czuję, że potrzebuję teraz obecności mężczyzny, choćby na jedną noc. A Adam został wyrzucony.

Mój brat najwyraźniej wyczuwa moje nastroje i moją decyzję.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni... Mogę przenocować w pokoju gościnnym?

Ledwie zdążam odpowiedzieć twierdząco, a już wchodzi po schodach.

Teraz zostałam sama, z Felixem i Randalem, siedzącymi po obu stronach sofy, na której ułożyła się w pozycji pólężącej Lyla. Polana drewna z jabłoni radośnie trzaskają w kominku. Lyla leży, wpatrując się intensywnie w płomienie. Ogień rzuca złotą poświatę na jej bladą, pełną determinacji twarz.

Huckerby

Nocą

Nie mogę spać. Mam wrażenie, że nigdy nie zasnę. Już nigdy więcej. Nie po traumie, jaką przeżyłam tego wieczoru. Moja córka jest teraz bezpieczna w swoim łóżku. Mój brat chrapie w pokoju gościnnym. Mój mąż został zesłany na banicję. I coś mi tutaj nie gra. Więcej niż nie gra. Ze zmęczonymi oczami, wysuszonymi i szeroko otwartymi, leżę na poduszce i przyglądam się, jak mały czarny pajaczek wędruje po bieli sufitu.

W tym, jak Lyla oskarżała swojego ojca, było coś zbyt gwałtownego. Jakim sposobem mogła być jednocześnie tak pewna, że to był on, i tak niepewna, kiedy zadawaliśmy jej szczegółowe pytania? Bo choć sama pomyliłam Adama z Harrym, to jednak zdałam sobie sprawę z tej pomyłki. A ona jest pewna, że się nie pomyliła. Przypuszczam, że nie chciała oskarżać własnego ojca, ukochanego tatusia, o coś tak potwornego – przynajmniej do czasu, kiedy już nie była w stanie dłużej ukrywać prawdy, kiedy nie była w stanie dłużej udawać.

A jednak utrzymywała, że widziała również innych mężczyzn, którzy byli podobni do tatusia i równocześnie byli tatusiem... Zbyt duży zamęt. Jak to z Lylą bywa...

Dom wypełnia cisza. Pajaczek doszedł do końca sufitu. Czeka, aż sobie coś uświadomię. Aż się domyślę.

Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł, jakby warstwa lodu w przyspieszonym tempie pokrywała staw, jezioro, zatokę. Jakby kryształki się rozrastały, niczym żywe stworzenia, aż w końcu błyszcząca, srebrzysta powłoka lodu zostanie ukończona. I można będzie przejść po niej do prawdy.

Siadam wyprostowana, nachylam się, żeby podnieść laptop, który leży na dywanie po lewej stronie łóżka. Niebieski blask ekranu rzuca upiorną poświatę na moją twarz, kiedy szybko wklepuję słowa.

Tożsamość. Twarze. Zespół Aspergera. Autyzm.

Zajmuje mi to dokładnie cztery minuty. Dwieście czterdzieści sekund, by rozwikłać tajemnicę, która dręczy mnie od kilku tygodni. Odpowiedź stanowi słowo, którego nigdy wcześniej nie widziałam, słowo, którego nie jestem nawet w stanie bezbłędnie

wymówić, ale które opisuje ten świat. Dużą część tego mrocznego świata, w którym żyłam od grudnia.

Prozopagnozja.

W Google'u można znaleźć sto tysięcy haseł na ten temat. Definicje w dużej mierze brzmią podobnie:

Prozopagnozja to stosunkowo rzadko występujące zaburzenie neurologiczne, którego głównym objawem jest skłonność do mylnego rozpoznawania osób albo upośledzenie zdolności rozpoznawania twarzy. Prozopagnozja bywa również nazywana niepamięcią do twarzy. Łączy się często z innymi rodzajami zaburzeń...

Bardziej precyzyjna definicja wyszukana w Google'u pozwala mi zorientować się w pozostałych szczegółach.

Prozopagnozja występuje znacznie częściej u osób z zaburzeniami ze spektrum autyzmu. Może mieć łagodny charakter i występować sporadycznie, ale też przyjmować postać poważnego zaburzenia, występować stale i działać destrukcyjnie. Szczególnie przygnębiający przebieg choroby polega na tym, że chory myli twarze bliskich krewnych z twarzami innych, podobnych członków rodziny, na przykład rodzeństwa albo kuzynostwa. Zdarza się to często, kiedy osoba cierpiąca na prozopagnozję spotyka krewnego w innym otoczeniu, w miejscu lub czasie, w których zwykle nie spotyka tej osoby.

Oto i cała prawda, czarno na białym wyświetlona na ekranie mojego komputera. Moja córka z Aspergerem najwyraźniej ma również i takie objawy. Może i łagodne, ale z pewnością ma. Zapewne domyśliłabym się tego wcześniej, gdybyśmy postanowili w końcu poddać ją leczeniu. Psychologowie mogliby to rozpoznać i nam o tym powiedzieć. Jednak postanowiliśmy jej nie diagnozować – bo nie chcieliśmy przyklejać jej etykietek... A teraz mamy kolejną etykietkę.

Prozopagnozja. Próbuję sama do siebie powiedzieć to słowo, tutaj, w mojej zimnej i cichej sypialni, ale nie wiem, jak je wymówić. Choć w sumie nie ma to najmniejszego znaczenia.

Moja córka sądzi, że widziała swojego ojca. Jednak chyba go nie widziała. Lyla, z powodu swojego stanu, określonych objawów autyzmu, poza otoczeniem, które zna, widzi kogoś, kto jest tylko do niego podobny. Kogoś, kto przypomina tatusia, kogoś z jego niebieskimi oczami, z tą charakterystyczną, przystojną twarzą z wystającymi

kości policzkowymi. Z tymi szerokimi i sprawnymi ramionami, z typowym dla Redwayów chodem. Kogoś dynamicznego. Przywykłego do ciężkiej pracy. Człowieka z wrzosowisk.

A więc istnieje ktoś jeszcze. Ktoś, kto śledzi, czai się, ktoś, kto jest bardzo podobny do rodziny, ktoś, kogo znam. Ktoś, kto zrobił albo powiedział coś tak straszego, że doprowadziło mnie to do próby samobójczej.

Zamykam laptop i chwytam się tego rozwiązania z wyraźnym zadowoleniem. Ponieważ oznacza to, że nikt nie rzucił na mnie klątwy i że nie jestem wariatką, zapewne również nie samobójczynią, i oznacza to także, że moja córka, która jest odrobinę inna, popełnia błędy, na co nie może nic poradzić. Poza tym mojego męża można przynajmniej oczyścić z zarzutu, że był ze mną tamtego wieczoru w tamtym samochodzie. Z wolna wszystko zaczyna mieć sens.

Ale potem moje zadowolenie zamienia się w przerażenie. Bo w pewien sposób to wszystko jeszcze pogarsza i tak trudną sytuację.

Klątwy. Czary. Kamienie wiedźm. A teraz jeszcze ta niepamięć do twarzy. Tylko czyjej twarzy Lyla nie pamięta?

Gdzieś tam, u stóp skalistych wzgórz, zło szemrało w nicości – jak czarny potok na wrzosowisku pojawiający się znienacka pośród połaci zgniłej turzycy.

Bellever Tor

Środa po południu

Widzę mężczyznę, który usiłuje mnie zrozumieć, chociaż równocześnie próbuje mnie nie znienawidzić. A jednak wciąż jesteśmy ludźmi zakochanymi w sobie po uszy – odkąd on miał lat osiemnaście, a ja siedemnaście. Ojciec mojej ukochanej córeczki. Dziecka, które wyrzuciło go z jego własnego domu.

– Jak ona się czuje?

Zimowe słońce rzuca połyskujące zimne promienie na nasze twarze. Jednak w oddali dostrzegam całe hektary szarych chmur. Popołudnie umiera.

– Czuje się dobrze.

– Naprawdę?

– Tak.

Bo to prawda. Czuje się dobrze. Mimo wszystko.

Adam pogrąża się w milczeniu, typowym dla jego introwertyzmu, i kiedy tak patrzy na falujące wrzosowiska, na olbrzymie zielone fale, przypominam sobie dzień nazajutrz po zaginięciu Lyli.

Najpierw z rana przyjechał lekarz i zbadał ją. Powiedział mi, że jakimś cudem nic jej się nie stało – silna dziewczynka. Przyzwyczajona do przebywania na świeżym powietrzu. Pomimo swojej dziwaczności i wrażliwości najwyraźniej nasza córka, Lyla Redway, ma swoje mocne strony, i to pod względem zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Mury, które zbudowała wokół siebie, żeby przetrwać porażki towarzyskie, te wszystkie ataki i drwiny, brak przyjaciół, równocześnie ją ochroniły, wzmocniły. Była odporna psychicznie. Powiedziała nawet, że chce wrócić do szkoły.

Jednak mimo że minęły kolejne dwa dni, nie mogę znieść myśli o tej chwili, kiedy Lyla zaginęła. Jeszcze na ten temat nie rozmawialiśmy. Nie rozmawialiśmy też z Lylą o jej ojcu – jedyna wzmianka o Adamie padła wówczas, gdy wjechał autem na podwórze. Układałyśmy z Lylą opał na zimę, drewno tak skrupulatnie ścięte i porąbane na kawałki przez Adama. Układałyśmy polana w wiklinowym koszu obok pieca, kiedy usłyszałam zgrzyt hamulców.

Rozpoznałam odgłos land rovera Adama.

Lyla chwyciła mnie za rękę i zapytała z przerażeniem:

– Czy to tatuś? To tatuś, prawda? Proszę, nie wpuszczaj go, proszę, nie wpuszczaj go do domu. Boję się ich wszystkich, znowu zmuszą cię, żebyś to zrobiła, zmuszą cię, żebyś wjechała do wody.

Kazałam jej usiąść na sofie i wślizgnąć się pod kołdrę, po czym wybiegłam na podwórze.

Jednak to był tylko kurier, uśmiechnięty młody człowiek z Amazona, ze stertą książek, które zamówiłam dla Lyli tydzień temu, a potem zupełnie o tym zapomniałam. Wręczył mi kartonowe pudło i roześmiał się.

– Mieszkacie tutaj na całkowitym odludziu, co? Nie czujecie się czasem osamotnieni?

– Ha, nie – odpowiedziałam, usiłując przywołać na twarz uśmiech zadowolenia, i odebrałam od niego paczkę.

Rozejrzał się po podwórku, po gołych czarnych drzewach, kolczastym szarym ogrodzeniu.

– Pewnie macie tutaj pięknie latem, co?

– Tak, to prawda. Uwielbiamy wrzosowiska i to, że jesteśmy tutaj ukryci, zdani tylko na siebie.

Kiedy to powiedziałam, od razu uświadomiłam sobie, że te słowa zaprzeczają moim uczuciom – naprawdę jesteśmy tutaj zdani na samych siebie. I po raz pierwszy, odkąd wprowadziliśmy się do Huckerby, poczułam, że jesteśmy zbyt odizolowani od świata. A teraz wydaje się, że te pustkowia rozciągają się jeszcze bardziej, sięgają coraz dalej i już nie widzę żadnych dróg ucieczki.

Młody człowiek znowu się do mnie uśmiechnął, tym razem z lekkim powątpiewaniem, jakby nie do końca wierzył w moje słowa albo mi współczuł. Być może dostrzegł na mojej twarzy skrywany niepokój. Wsiadł do swojej furgonetki i pojechał krętymi kilometrami do Princetown, do głównych dróg, ludzi, pubów i miejsc tętniących życiem.

Adam przerywa moje myśli.

– Dlaczego chciałaś się ze mną tu spotkać?

– Cóż, potrzebuję świeżego powietrza, a ty pewnie jesteś cały dzień zajęty...

– Wyznaczam ścieżki do Lakehead.

– W każdym razie wszystko jest w porządku – wyjaśniam. – Tutaj będzie dobrze. Lyla po prostu nie chce, żebyś przychodził do domu, jeszcze nie, a tu nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Kiwa głową, marszcząc brwi. Idziemy we dwoje przez łąki w kierunku Bellever Tor, strzelistej wychodni ciemnej, złowrogiej skały. Niezależnie od pogody spośród wszystkich skalistych wzgórz na wrzosowisku Bellever Tor zawsze wygląda na najbardziej osamotnione i nieprzystępne. Niczym fortyfikacja z jakiejś potwornej dawnej wojny, o której jeszcze nie całkiem zapomniano. Niczym ruiny, których nie dało się zrównać z ziemią.

Dartmoorskie kuce włączają się tego popołudnia dookoła, cwałują i biegają na oślep, mają dzikie i smutne oczy, dziwnie nieukozone, niczym kawaleria, w której zginęli wszyscy jeźdźcy, pozostawiając oszołomione wierzchowce, błądzące teraz po polu walki. Odwracam się do męża, żeby stawić czoła naszej wojnie domowej. Domowemu frontowi.

– Odeszliśmy już wystarczająco daleko. Usiądźmy.

Wskazuję na przewrócone drzewo, obrośnięte warstwą mchu tak grubą, że przypomina tapicerkę. Adam siada, wyczekujący i posłuszny. Banita. Powiedział mi, że przez ostatnie dwa dni nocował w Huntsmanie, gospodzie położonej najbliżej Huckerby, której okna wychodzą na naszą farmę. Gotów w każdej chwili pomóc. Tyle że my nie potrzebowałyśmy pomocy. Nic złego się nie działo. Nawet mniej niż nic.

Zaczynam pierwsza. Wyraźnie czuć napięcie między nami.

– Rozmawiałeś z policją o lesie Hobajob?

Kiwa głową, bierze do ręki przypadkowy patyk i rzuca go w gasnące światło. Patyk wiruje w powietrzu i spada na ziemię.

– Tak jak przypuszczałem...

– Czyli?

– Powiedzieli, że to jacyś nastoletni sataniści, jak zwykle, dzieciaki z Plymouth, torturują zwierzęta, robią wygłupy. Bez przerwy to samo, wszędzie, na całym terenie wrzosowisk. Znaleźli jakieś skręty, czy jak to się nazywa, trawkę, wokół polany. Psy tropiące znalazły. I butelki po wódce. Ten sam syf co zwykle.

– Adamie, ale to było takie... przerażające, te biedne zające z wyłupionymi oczami. To był wyraźny symbol, Zielony Człowiek. Ten sam symbol, który Lyla ułożyła z ptaszków wiele tygodni temu. Moja matka uwielbiała tę pogańską symbolikę.

Patrzy na mnie i wzdycha.

– Cóż, policja nie jest aż tak zaniepokojona. Nikt nie ucierpiał, nie licząc tych cholernych oślepionych zajęcy, więc raczej nie wezwą Scotland Yardu. Czy Dan nadal jest w Huckerby?

Czekałam na to pytanie. Dan wyjechał dzisiaj rano. Miał coś do zrobienia i małżeństwo do uratowania. Obie kwestie trudno ogarnąć, siedząc w Huckerby, na odludziu ze słabym zasięgiem i marnym wi-fi.

– Wyjechał. W końcu. Wrócił do Salcombe dzisiaj rano. Mówiąc szczerze, Adamie, oboje chcieliśmy, żeby już pojechał. Czujemy się w swoim towarzystwie skrepowani. O Boże... – Zawieszam głos.

Chyba czas najwyższy, żeby Adam usłyszał o Danie, jeśli jeszcze tego nie wie. Nie mam pojęcia, bo ostatnio nasze drogi mocno się rozeszły. Przygotowując się do rozmowy, spoglądałam na wzburzone fale traw – wpatruję się w połąć bajora, chropowaty brąz połyskujący w nikłych promieniach zimowego słońca. To torfowiska wierzchowinowe w miejscu, gdzie rzeki Avon, Plym, Erme i Swincombe zaczynają spływać ostro w dół; płyną wzdłuż wybrzeża, prosto do morza, podobnie jak dartmoorscy wieśniacy posłusznie niosący ciała swoich zmarłych do kościoła w Lydford.

Zaczynam mówić:

– Adamie, pamiętasz, jak miałam taką wizję, powracające wspomnienie, że widziałam Dana w Two Bridges tamtego popołudnia, kiedy wjechałam samochodem do Burratora?

Czekam, aż odpowie. Wiatr szumi w turzycach jak silnik na wolnych obrotach. Po dłuższej chwili Adam potrząsa głową, zdeprymowany.

– Czy ja o tym pamiętam? Mówiąc szczerze, Kath, przez te ostatnie tygodnie tyle już słyszałam, tyle historii, opowieści, widziałem tyle rzeczy, że akurat tego sobie nie przypominam.

Ramiona mu opadają. Nie lubię oglądać mojego postawnego, silnego męża w takim stanie. Nawet jeśli czasem go odrzucam, obawiam się go, zastanawiam się, co mi zrobił, nie chcę, żeby się załamał. Nie teraz. Najpierw musimy poznać prawdę.

Mówię dalej:

– Cóż... Nie chcesz wiedzieć, dlaczego Dan był w Two Bridges?

– Jasne, że chcę – burczy.

Słucha, jak opowiadam mu, że Daniel Kinnersley, mój przystojny, bogaty i ale-z-niego-szczęściarz brat, od roku okłamuje Tesse, okłamuje wszystkich i posuwa jakąś dziewczynę z hotelu.

Wiatr mierzwi jego ciemne, bardzo ciemne włosy i Adam wybucha śmiechem, lodowatym śmiechem.

– Rok, mówisz? Z tą młodą barmanką? Blondynką, z kolczykami i tatuażami? Sypiała z moim kuzynem, Jackiem.

– Tak, z nią.

– Co za przewidywalny palant. Dan, kurwa, Kinnersley, ma romans z nastolatką. W cholernym Two Bridges. Pamiętam, jak Jack mówił, że lubi na ostro. Ale Jack obraca się w takich kręgach. Dan też lubi takie zabawy? Ten wytworny, dobrze sytuowany koleś od nieruchomości lubi przywiązywać dziewczynę i dawać jej klapsa?

Przerywam mu:

– Ale to jeszcze nie wszystko. Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Rzecz w tym, że teraz wiem, że moje wspomnienia są prawdziwe. Odzyskałam pozostałe fragmenty pamięci. Przypominam sobie tego mężczyznę w samochodzie. Zdaje się, że był zły. Lyla powiedziała, że to byłeś ty. Ale ty twierdzisz, że to nieprawda.

Mój mąż potrząsa głową.

– Do czego zmierzasz?

Ignoruję go i mówię dalej:

– Jest jeszcze ten wers, ta pieśń, którą śpiewa Lyla. Znowu ją wczoraj słyszałam. – Siadam bliżej Adama, jakby ktoś mógł podsłuchać nasze sekrety. – Stała przy oknie w swojej sypialni, jakby wpadła w jakiś trans. Był wieczór, księżyc w pełni, a ona znowu śpiewała te ludowe słowa o śmierci: *Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy, Błagam, błagam, nie zbliżaj się...* – Dygoczę, jakby było mi zimno. – Nawet nie wiedziała, że ją obserwuję. Drzwi do sypialni były otwarte, a ja stałam na korytarzu i zaglądałam do środka. Stała tam w piżamie, na bosaka, śpiewając tę piosenkę przez otwarte okno. W pokoju panował chłód, wiał przenikliwy wiatr. To było takie dziwne... Skąd ona wzięła tę pieśń? Czy nadal myśli, że ktoś niedługo umrze?

Adam, jakby miał już tego wszystkiego dość, w końcu chwyta mnie za ramię. Niemalże mną potrząsa.

– Co ty próbujesz powiedzieć, Kath?

Wyjmuję telefon.

– Przeczytałam o czymś. Coś odkryłam.

– Co?

– Słyszałeś kiedyś o prozopagnozji?

Czuję osobliwą satysfakcję ze zwycięstwa. Potrząsa głową. Wyjaśniam:

– Adamie, chyba to rozpracowałam. Wciąż wyczuwam obecność jakiegoś mężczyzny na wrzosowisku, ktoś mnie śledzi, ale ty twierdzisz, że to nie ty. Lyla twierdzi, że cię widuje, ale zaprzeczasz. Zdaje się, że znalazłam odpowiedź, która sprawia, że to wszystko ma sens, która to wszystko łączy. Lyla ma zespół Aspergera. Cierpi również na związane z nim zaburzenie, które nazywa się prozo...pagno...zja. –

Znowu zacynam się na tym słowie. – Nieważne. Spójrz, tutaj. Przeczytaj te dwie definicje. Zrobiłam zrzuty ekranu. Spójrz!

Bierze ode mnie telefon. Obserwuję, jak czyta, i czekam na jego reakcję. Jednak na jego twarzy maluje się jedynie pustka. Wiatr szarpie trawami, kuce uciekają od nas na zawsze.

Oddaje mi telefon. I nie mówi ani słowa. W przeciwieństwie do mnie.

– Rozumiesz, prawda? To oznacza, że ona czasem myli osoby, szczególnie bliskie osoby. Dlatego właśnie sądzi, że to ciebie widuje. Gdybyś wcześniej zgodził się na to, żebyśmy ją zdiagnozowali, już byśmy o tym wiedzieli. W każdym razie... Spójrz! To jest to! Odpowiedź.

Wpatruje się we mnie. Przeczytał te same słowa, które ja przeczytałam. Marszczy brwi. Odwraca twarz, z ponurą miną, jakbym go rozczarowywała. A może jest przygnębiony z powodu Lyli? Nie jestem pewna. Mimo to mówię dalej:

– Wiemy więc, że to ktoś, kto jest do ciebie podobny. I że ten ktoś był w lesie Hobajob. Ktoś, kto włóczy się po okolicy i przypomina wyglądem ciebie. A to oznacza... – tutaj zawieszam głos na chwilę, chcę, żeby to wywarło odpowiednie wrażenie – ...że to musi być Harry. Twój kuzyn. Przykro mi. Bez względu na to, co sądzisz, to musi być on. Harry jest w to wszystko zamieszany, to jego widuje Lyla. Jeśli widziała kogokolwiek razem ze mną w samochodzie, to na pewno był on.

Teraz Adam otwiera usta i mówi:

– Nie. To nie był on.

– Dlaczego? – Badam wzrokiem jego twarz, od której bije chłodem. – Wciąż to powtarzasz. Skąd wiesz?

– Ponieważ tamtego wieczoru byłem razem z nim. Trzydziestego grudnia. Piliśmy

razem. W Warren House.

To wyznanie dotyka mnie do żywego, sprawia mi ogromny wewnętrzny ból. Idę za jego spojrzeniem.

– Przecież mówiłeś, że byłeś sam?

Mój mąż wzrusza ramionami obojętnie.

– Wobec tego kłamałem. Małe niewinne kłamstewko, to wszystko. Tamtego wieczoru drogi były zalane, nudziłem się w chacie, więc podjechałem parę kilometrów do Warren House, wypilem drinka z Harrym i kilkoma kolesiami, po czym wróciłem autem do chaty strażników. Przez całą drogę nie było zasięgu. Za duże odludzie.

Czuję się, jakbym miała reakcję alergiczną.

– I nic mi o tym nie powiedziałaś? Nikomu nic nie powiedziałaś? Naprawdę?

Wzdycha ciężko.

– Prowadziłem po pijanemu, Kath. Nie rozumiesz? Jechałem służbowym land roverem należącym do parku. Gdybym komuś o tym powiedział, na przykład gliniarzom, straciłbym pracę i samochód. A wtedy gdzie byśmy byli? Jaki to miałyby sens? Nie mielibyśmy żadnego środka transportu. Ani twojego samochodu, ani mojego samochodu. Więc wymyśliłem to małe kłamstewko, żeby uratować rodzinę, ale wiesz co? zaczynam myśleć, że może nas nie da się już uratować.

Przepełnia mnie rozpacz. W pubie ktoś musiał ich widzieć. Mój mąż najwyraźniej mówi prawdę, więc to nie mógł być Harry Redway. Ani Adam. W każdym razie nie tamtego wieczoru. A może jednak to możliwe...?

– O której skończyłaś pić? O której godzinie pojechałaś do chaty?

Szuka wzrokiem mojego spojrzenia, ale niezupełnie mu się to udaje.

– Około... osiemnastej, osiemnastej trzydzieści. Przyjechałem tam po południu. Wypilem jedno po drugim cztery piwa, po czym pojechałem do chaty z prędkością trzech kilometrów na godzinę, tak, żeby nie skrzywdzić nawet muchy. Ron powiedział mi, że pili potem do późna, Harry też, dlatego wiem, że nie był z tobą.

Pozwalam, żeby te informacje poukładały mi się w głowie. Nabrały znaczenia.

– Czyli nadal – stwierdzam dość ostrożnie – nie masz alibi, tak? Na czas, gdy wyszedłeś z Warren? Równie dobrze wtedy w Huckerby, w samochodzie, to mogłeś być ty.

Oczy zwięzają mu się ze złości.

– Na miłość boską! Zdecyduj się wreszcie! Przed chwilą mówiłaś, że jestem

niewinny z powodu tej... jak to się tam nazywa... prozopa-coś tam... tego czegoś... niepamięci do twarzy. To bez sensu, Kath. Bezcelowe. Zrzucanie winy na Lylę, udawanie, że ona myli twarze? Nigdy tego nie robi. Nigdy... Ja nigdy... – Bez słowa wyjaśnienia podnosi wzrok i spogląda ponad moim ramieniem na skaliste wzgórze. I wtedy zmienia się wyraz jego twarzy. Diametralnie.

Nagle wstaje. Odmieniony, zły, gotowy na wszystko. Ale co dokładnie zamierza? Jego zachowanie wytrąca mnie z równowagi. Co się nagle stało?

– Adamie, dobrze się czujesz?

– Tak. – Maszeruje z powrotem w stronę miejsca, gdzie zostawiliśmy samochody. – Lyla jest u Spaldingów, prawda? Czyli nic jej nie grozi, zgadza się?

Próbuję dorównać mu kroku.

– Oczywiście.

– Dobrze – odpowiada. – To bardzo dobrze.

Poddaję się i obserwuję, jak wsiada do swojego land rovera. Bez słowa włącza silnik i odjeżdża gwałtownie, wyrzucając spod kół błoto i liście na kamienny murek zatoki parkingowej. Kiedy pędzi w oddali, przed oczami miga mi jego twarz.

Ma jakąś misję. Coś naglącego, nieodwołalnego do zrobienia.

Przychodzi mi na myśl sposób, w jaki zabił tamtą owcę.

Kościół w Tavyhurst

Środa po południu

Spędzam kolejną godzinę, spacerując po wrzosowiskach w dogasających promieniach słońca. Próbuję rozwikłać tę zagadkę. Dokąd pojechał Adam, co tak nagle go rozwścieczyło? Bo zdecydowanie widziałam w nim wściekłość, i choć raz nie była ona wymierzona we mnie.

Zagadka pozostaje nierozwikłana. Idę po sprężystej, suchej darni, oddalając się od Bellever Tor, w kierunku parkingu w Postbridge, zmieniam tempo na marszowe, tak jak to robiliśmy z Adamem, kiedy byliśmy młodzi i w sobie zakochani.

Jeszcze raz przewijam w pamięci cały ciąg faktów. Jestem pewna, że nie próbowałam popełnić samobójstwa. Ktoś musi za tym stać. Ktoś, kto przypomina z wyglądu Adama. Albo sam Adam, ponieważ nadal nie ma alibi. Może to oczywiście nie mieć nic wspólnego z naszą rodziną, może to jakiś przypadkowy obcy człowiek. Przekradający psychopata. Nastolatek ze slumsów w Devonport, na haju, który chce mnie zabić. Zabić Lylę. Bez żadnego powodu.

Ale jak to wszystko ma się do mojej matki i rzekomej ciemnej strony mojego męża? Nie jestem pewna, czy mogę wierzyć w cokolwiek, co mówi Dan, przynajmniej nie teraz.

Konsternacja przechodzi w znużenie, które ciąży mi, kiedy wsiadam do samochodu. Jadę dość szybko przez gęstniejący mrok i opadające mgły. W ciemności mam wrażenie, że mój samochód jest jedyny na wrzosowiskach – jego przednie reflektory niczym samotne, srebrzyste snopy światła we mgle. Wyobrażam sobie, że ktoś obserwuje te światła z oddali, stojąc na zboczu wzgórza, i zastanawia się, kim jestem i dokąd jadę.

Kratownice dla bydła brzęczą. Dostrzegam zakręt i przednie reflektory oświetlają czarno-białą tablicę: „Tavyhurst 1 kilometr”.

Przypominam sobie tę nazwę – przypominam sobie kościół w tej wiosce. Kościół św. Andrzeja w Tavihurst. Matka prosiła, żeby to tam urządzić jej ceremonię pogrzebową. Kolejna dziwna prośba, podobnie jak ta, by rozrzucić jej prochy na grobie

Kitty Jay. Moja matka gardziła religią chrześcijańską, patriarchatem, tradycyjnym pochówkiem. Wydawało nam się dziwne, że chciała, abyśmy właśnie tutaj zgromadzili się na tę uroczystość. Nigdy tego nie rozumiałam.

Instynktownie skręcam. Gasnące promienie zimowego słońca ukosem padają na zimowe krzewy, barwiąc je chwilowo na intensywny, smutnawy odcień miedzi, która płynnie przechodzi w czerń i mrok, kiedy zza wzniesienia wyłania się Tavyhurst – skupisko krytych strzechą domów i brzydkich budynków urzędu gminy. W samym środku, nad czarnym stawem pokrytym kożuchem zwiedłych liści, stoi urząd pocztowy z zamkniętymi okiennicami, pub zamknięty na zimę i średniowieczny kościółek.

Parkuję obok stawu, zapinam płaszcz, chroniąc się przed zimnem. Panuje tutaj typowy dartmoorski mróz, siarczysty i tęgi. Zastanawiam się, czy nie zbliża się kolejny zmróz. Jeśli tak, to pokrzyżuje plany wypalania traw. Wszyscy robią dukty, wycinają przecinki w krzewach kolcolistów, przygotowując się na widok żółtych i szkarłatnych płomieni. Moja matka na pewno pakowałaby rzeczy na piknik.

Tamtego dnia, kiedy ją zegnaliśmy, z pewnością nie było zmrozu. Było wtedy wilgotne i pochmurne zimowe popołudnie. Weszliśmy jedno za drugim przez tę metalową bramę, minęliśmy georgiańskie nagrobki i otworzyliśmy zaryglowane żelazną sztabą czternastowieczne drzwi.

Otwieram je teraz. We wnętrzu kościoła panuje półmrok i przejmujący chłód, powietrze jest przesiąknięte charakterystyczną słodko-kwaśną melancholijną wonią zatechłego papieru, starego kadzidła, wody pozostawionej zbyt długo we flakonach z polnymi kwiatami. Angielski kościół w angielskiej wiosce, zastygnięty w czasie i historii.

Dlaczego mama wybrała właśnie to miejsce na ostatnie pożegnanie?

Siadam w ławce, ostatnie promienie zimowego słońca sączą się przez surowe, witrażowe okna, uważnie badam wzrokiem epitafia na ścianach, pokryte kurzem marmurowe nagrobki miejscowej szlachty, mosiężne tablice pamiątkowe ku czci zmarłych archidiakonów, miejscowych żołnierzy z Marynarki Wojennej. Pozostałości Imperium.

Wszystko tutaj wydaje się wymarłe.

Spoglądam na przejście pomiędzy rzędami, poza pustymi ławkami, ku zachodniej nawie kościoła, gdzie zwisają sznury milczących dzwonów w milczącej dzwonnicy. Mam wrażenie, jakbym była jedyną osobą na wrzosowiskach. Jednak nie jestem

wariatką. Nie próbowałam się zabić. I znajdę wyjaśnienie. Znajdę, znajdę, znajdę. Być może kryje się ono właśnie tutaj. W miejscu ostatniego pożegnania mojej matki.

Odchyłam się do tyłu, głęboko oddychając, i wpatruję się w sufit. Czuję, jak krew wrze w moich żyłach i jednocześnie przenika mnie chłód.

Zielony Człowiek.

Całe sklepienie usiane jest spinającymi łuki niczym brosza drewnianymi zwornikami, a każdy z nich zdobiony jest drzeworytem przedstawiającym różne podobizny Zielonego Człowieka: szczerzącego zęby, łypiącego okiem, wymiotującego pnączami czy winoroślą. Na jednym wizerunku przypomina kościotrupa, na innym ma nalaną twarz. Podobizn jest z tuzin albo i więcej. Festiwal zastygłych w grymasie ust i świdrujących spojrzeń, śmierci i płodności, róże wyrastające spomiędzy warg tych postaci.

Powiew wiatru uderza o drzwi, sprawiając, że aż podskakuję.

Ten pogański symbol, Zielony Człowiek, to dość powszechnie spotykany motyw w dartmoorskich kościołach.

Można znaleźć go nad drzwiami, pod oknami, a nawet wyryty na płytach nagrobnych. Jednak nigdy nie widziałam tylu symboli Zielonego Człowieka w jednym miejscu. Łypiące oczami twarze patrzące z góry i naśmiewające się ze mnie.

Mama ponuro zażartowała sobie z nas wszystkich. Oto kolejna część jej układanki. Wybrała kościół naszpikowany symbolami niezwiązanymi z chrześcijaństwem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że chciała nam coś przekazać. A teraz wciąż ze mną rozmawia, rzucając urok.

Katarina, skarbie. Katarina, Katarina...

Katarina.

Muszę zrozumieć, o czym ona mówi, dopiero wtedy będę wolna.

Coś na temat płodności, seksu i śmierci.

Teraz zastanawiam się, czy chce powiedzieć coś, co dotyczy jej własnej śmierci. Dlaczego jej szczątki zostały rozsypane na grobie Kitty Jay, w miejscu słynącym z samobójstw, gdzie pochowano tę okrytą hańbą kobietę z niechcianym dzieckiem w łonie.

Zimny wiatr smaga mnie po karku, błędzę wzrokiem po pustej nawie, po czym przenoszę go na ołtarz i chór. Czuję zapach wrzosowiska, które mnie otacza – owczych odchodów, bagien, zgniłych liści i uwiędłych małżeństw.

Kolejny podmuch wpada przez drzwi, które niemądrze zostawiłam otwarte. Dziwne. Mam wrażenie, że wiatr zsynchronizował się z moim oddechem. Świat przypomina mi o sobie. Drzwi skrzypią na wietrze i zdaje mi się, że kogoś słyszę. Za plecami. Ktoś na palcach wszedł do kościoła. Słyszę kroki. Skradające się i miękkie. Ktoś próbuje zachowywać się najciszej, jak potrafi.

Skrada się od tyłu.

Mój umysł zastyga w bezruchu, strach przenika mnie do szpiku kości. Tak, słyszę kroki. Lekkie, kobiece kroki.

Nie mam odwagi, żeby obejrzeć się za siebie. Bo któż mógłby przyjść do opuszczonego średniowiecznego kościółka w Dartmoor w mroczny, zimowy wieczór? Tylko ktoś, kto mnie tutaj szuka.

W lodowatym chłódzie słyszę ten głos, raz jeszcze, i zimny wiatr podnosi włoski na moim karku.

– Kat.

Nie odwracam się.

– Katarina.

To wiatr.

– Och, Katarina... Skarbie, nigdy nie chciałam go faworyzować...

Świat zamiera. Moją duszę ogarnia zmróz.

– Kat... Kat... skarbie. *Katarina*.

Głos mojej matki. Za plecami.

Odwracam się.

Farma Kennebec

Środa, późnym popołudniem

Zbliżając się do chaty, Adam spojrział w lewo, gdzie wilgotna szara trawa ustępowała miejsca rzędowi jarzębin i kolcolistu oraz niewielkim, skarłowaciałym drzewkom, na których powiewały wstęgi mchu. Wyglądały niczym pasy zielonego ubrania, szmaty powiązane przez miejscowych, którzy modlą się za chore dzieci, za umierających, zanosząc nieustanne błagania do Pana.

Racz nam pomóc, Panie. Racz nam pomóc, Panie.

Oczywiście nie było nikogo, kto by ich wysłuchał, nikogo, kto by pomógł. Nie było żadnego człowieka na wrzosowiskach ani żadnego Boga w niebie. Adam musiał to zrobić sam. Uratować ich wszystkich.

Odczuwał dziwny spokój, kiedy zastanawiał się nad tym wszystkim. Rozwiązał tę zagadkę. Odkrył to. Wszystko do siebie pasowało – musiał tylko powstrzymać swój niepoohamowany gniew.

Diagnoza Kath, prozopagnozja, była zbyt wnikliwa i spostrzegawcza, żeby ją zignorować. Sam to widział. Wiele lat temu zauważył, jak Lyla pomyliła Charliego z Oskarem, pomyliła ich imiona, chociaż stali tuż przed nią, w święta Bożego Narodzenia. Byli kuzynami, znała ich bardzo dobrze, od urodzenia. Jednak Adam był świadkiem tego, że się pomyliła.

Oczywiście nigdy nie podzielił się swoimi spostrzeżeniami. To się zdarzyło tylko raz – tak sobie powtarzał. Nie chciał dostarczać Kath więcej argumentów, żeby zabrano ją do szpitala, zaszufładowano, włożono do małego pudełeczka pod tytułem „Zaburzenia ze spektrum autyzmu”. Dlatego wtedy zatrzymał te obserwacje dla siebie. Jednak ta nowa diagnoza, niepamięć do twarzy, zbyt wiele wyjaśniała w kontekście ostatnich wydarzeń.

Lyla z pewnością widziała tamtego wieczoru jakiegoś mężczyznę bardzo podobnego do Adama. Mężczyznę, który prawdopodobnie uprawiał seks z Kath. Mężczyznę bardzo podobnego do Adama, choć nie był to Adam. Ktoś z rodziny Redwayów w podobnym wieku. Jeden z kuzynów. Harry Redway został wykluczony. Tamtego wieczoru był

w gospodzie Warren House razem z Adamem.

Pozostawał jeden kandydat.

Adam zapukał do drzwi chaty. Nad wzgórzem nieopodal zapadła już noc. Księżyc chował się za atramentowe chmury.

Jack Bryant otworzył ubrany w podkoszulek, dżinsy i buty na motor. Na twarzy miał zwodniczy uśmiech.

– Kogo ja widzę. Cześć, kuzynie, co cię tutaj sprowadza?

– Nie domyślasz się?

Jack westchnął z sarkazmem i wytarł brudne, umazane olejem motocyklowym dłonie w ścierkę. Człowiek, który lubi majstrować przy silnikach... Cisnął szmatę na półkę.

– Nie, przykro mi. Zapomniałem okularów do czytania w myślach.

– Spróbuj jeszcze raz. – Adam podszedł bliżej.

Jack ani drgnął, blokując drzwi wejściowe.

Adam powtórzył:

– Powiedziałem, żebyś spróbował jeszcze raz.

Jack naprężył muskularne ramiona.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

Adam pozwolił sobie na półuśmiech.

– Co zrobiłeś mojej żonie, Jack, tamtego wieczoru, kiedy próbowała się zabić?

– Że co?

Gdzieś na podwórzu wiatr pobrażkiwał w jakimś metalowym przedmiocie. Panował tam, jak wcześniej zauważył Adam, totalny bałagan. Kuzyn Jack nie miał ręki do rolnictwa, przypominał raczej ojca Adama. Alkohol i hazard. Motory.

Narkotyki.

Kobiety.

Adam powtórzył:

– Jack, co zrobiłeś mojej żonie, tamtego wieczoru, kiedy próbowała się zabić?

Tym razem Jack potrząsnął głową.

– Odpierdol się, ty świrze!

– Co zrobiłeś? Bo ty to zrobiłeś. Wiem, że to ty. Aż nie wierzę, że wcześniej na to nie wpadłem... Ty i kobiety, zawsze lubiłeś te sprawy na ostro. Może nie? I zawsze podobała ci się moja żona. – Wepchnął się do środka, napierając mocno dłonią na klatkę

piersiową Jacka.

Adam był wyższy o pięć centymetrów, ale Jack też nie należał do niskich. Czy ta różnica we wzroście mogła wystarczyć? Nie. Adam powinien się powstrzymać. Dać upust swojej wściekłości słownie. Wezwać policję. Jednak najpierw chciał poczuć satysfakcję.

W korytarzu śmierdziało błotem, psami, deszczem i piwem. Tak wyglądał dom rolnika kawalera, który lubił dziewczyny.

Jack spojrzał na dłoń Adama na swojej klatce piersiowej.

– Zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapy!

Adam cofnął się kawałek, pozostając jednak cały czas w gotowości. Zacisnął dłonie w pięści, ale na razie oparł się pokusie, żeby przywalić swojemu kuzynowi w twarz. Bardzo mocno. Mimo że zawsze miał na to ochotę. Od tamtego wieczoru w Chagford, wiele lat temu... Jack zawsze dokuczał mu swoją wiedzą na temat przeszłości, wykorzystywał ją, manipulował Adamem z żartobliwym łobuzerstwem, a równocześnie ze złośliwością.

Adam nigdy nie zapomniał sposobu, w jaki Jack wabił kuce miętowymi drażetkami, po czym pakował im kulkę w sam środek mózgu, naśmiewając się z krwi, ze zrozpaczonych klaczy.

Dwaj mężczyźni stali w ciemnościach korytarza, ciężko oddychając.

– Posłuchaj, uspokój się, kurwa, ty idioto – powiedział w końcu Jack.

– Co robiłeś tamtego wieczoru? Gdzie byłeś? Nie było cię w Warren House ze wszystkimi.

– Słucham? Czy to ja mam coś z głową, czy ty?

– Byłem w Warren House tamtego wieczoru, z Harrym i innymi. Wszyscy mówili, że od jakiegoś czasu cię nie widzieli. Od świąt Bożego Narodzenia. Dez coś tam bredził, że może jesteś w Londynie, ale przecież ty nigdy nie jeździsz do Londynu.

– Doprawdy?

– Tak – warknął Adam. – Tak. Kurwa. Doprawdy. Gdzie więc wtedy byłeś?

Jack rozejrzał się szybko dookoła, jakby szukał jakiegoś narzędzia do walki. Klucza francuskiego, brzeszczotu, młotka. A potem znowu przeniósł wzrok na swojego kuzyna.

– Posłuchaj. Wyjaśnijmy to sobie. – Jack ze złością potrząsnął głową. – Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz. Nie mam nic wspólnego z tym bagnem, w które wpakowała się twoja stuknięta żona. – Skrzyżował wytatuowane ramiona.

Napiął bicepsy.

Adam zastanawiał się, który z nich by wygrał, gdyby doszło do rękoczynów. Prawdopodobnie on, ale nie miał całkowitej pewności. Jack Bryant należał do tych facetów, którzy nie zawahaliby się użyć noża podczas bójk. Adam zastanawiał się, jakim facetem był on sam – czy wyciągnąłby nóż na tego dupka, faceta, który dokuczał jego córce, zarzynał zające, uwiódł jego żonę albo zrobił coś jeszcze gorszego?

– Dlaczego sądzisz, że mam coś wspólnego ze sprawą Kath, pojechańcu? To bzdury. Totalne bzdury. – Jack spojrział na niego gniewnym, lekceważącym wzrokiem. – Jest dla mnie za stara. Lubię młodsze. Obwisłe cycki i opadający tyłek już mnie nie kręca.

Adam podniósł rękę, bliski, żeby uderzyć, a nawet zabić.

– Wiem, że to ty, Bryant. To zawsze byłeś ty. Bo ty lubisz całe to gówno: drwiny, dokuczanie, okrucieństwo. Jesteś sadystą. Lubiłeś zabijać kuce, lubiłeś je wabić podstępem. Może nieprawda? Pamiętam, jak szczyrzyłeś zęby, cały umazany krwią i kawałkami mózgu... Czasem robiłeś to na oczach klaczy, może nie? Pakowałeś kulkę w łeb źrebakom, gdy ich matki toczyły pianę ze złości i cicho rżały. Więc je także zabijałeś. Mój wujek gardził tobą z tego powodu, wszyscy tobą pogardzali.

– Jezu...

Adam postanowił przysunąć się bliżej, zanim Jack wydobędzie nóż.

– Poza tym właśnie zdałem sobie sprawę, że to byłeś ty. Tamtego popołudnia rozmawiałeś z Kath. Jesteś jedyną osobą, która zna wszystkie te historie o duchach, wszystkie te ludowe wierzenia, opowieści niani z Doccombe. Prawda? Zwłaszcza tę pieśń... Tylko dwie osoby mogą znać tę pieśń. – Adam zeszywniał, przygotowując się na to, co zamierzał powiedzieć. – Obaj znamy jedną z nich, i ona nie żyje, więc pozostajesz ty. Pojechałeś ze mną do Doccombe tamtego dnia, kiedy nauczyła nas tej pieśni. Ty i ja. Pamiętam. Czyli to ty wystraszyłeś Lylę, ucząc jej tej pieśni o niebieskich płomyczkach. To ty wyłupiłeś oczy tym dwóm zającom. To ty zostawiłeś tam tego otrutego szczura z wyszczerzonymi zębami. I to ty podkładasz kamienie. Przez cały czas to byłeś ty. To jakaś idiotyczna gra. Ale ty właśnie takie świństwa lubisz robić, co nie? I tamtego wieczoru zrobiłeś coś złego mojej żonie. Dosypałeś jej narkotyków... zawsze masz jakieś prochy... zerznąłeś ją. A potem majstrowałeś przy jej samochodzie, przy hamulcach, przy gazie, i zmusiłeś ją do tego, żeby wjechała autem do wody. Ty to zrobiłeś!

– Jezu Chryste. – Ironiczny uśmiech Jacka widać było nawet w mroku. – Nieźle cię

trafiło – dokończył, a potem odwrócił się plecami do Adama i otworzył drzwi do kuchni.

Adam poszedł za nim zaślepiony wściekłością. Był na granicy wybuchu. I wiedział, że Jack też to wyczuwa.

Jack niedługo pokazywał mu swoje plecy.

Znowu stanęli twarzą w twarz. Wystrój pokoju był ordynarnie surowy. Na starym drewnianym stole stało kilka puszek taniego piwa. Zegar, który dawno przestał chodzić, wciąż pozostawał nienaprawiony. W zlewie jeden na drugim stały brudne talerze.

Jack wziął do ręki puszkę, otworzył ją z trzaskiem i pociągnął łyk, po czym zaoferował drugą Adamowi.

– Poważnie, stary, wypij jedno, zanim zabuzuje ci twoja pieprzona krew.

Adam machnięciem ręki odmówił. Rozejrzał się badawczym wzrokiem po pokoju, szukając jakiegoś dowodu, czegokolwiek, zanim skopie tyłek Jackowi Bryantowi. Ogromne zdjęcie jakiejś młodej kobiety, ładnej blondynki z długimi opalonymi nogami, ubranej w sukienkę, wisiało przypięte do tablicy korkowej.

– Niezła, co? – Jack uśmiechnął się, obserwując Adama. – Mieszka w Okehampton. Ma na imię Amy. Pomoc dentystyczna. Jezu, ale ona mnie kręci... – Przechylił puszkę z piwem i długo pił, po czym głośno beknął.

Adam miał ochotę wytrącić mu puszkę z dłoni, przystawić nóż do gardła, zmusić Jacka do przyznania się. Wybuch agresji zbliżał się wielkimi krokami, był coraz bliżej, o krok. Teraz, teraz, teraz. Wydusić z niego prawdę. Gdyby wyciągnął od niego przyznanie się do winy, oznaczałoby to, że jego żona nie jest wariatką.

Jack Bryant musiał być w jakiś sposób za to odpowiedzialny... ktoś musiał być za to odpowiedzialny. Jeśli to Jack Bryant, całą sprawę mogliby uznać za wyjaśnioną i znowu wieść szczęśliwe życie: on, Lyla i Kath. A Adam tylko tego pragnął.

Jack pociągnął kolejny potężny łyk piwa, i jeszcze raz wskazał palcem na zdjęcie.

– Przypomina ci kogoś?

W Adamie coś pękło. Jego pięść zadała cios. I to był mocny cios, bo poczuł, jak kłykcie miażdżą podbródek Jacka. Poczuł, jak zęby i mięśnie Jacka ustępują i pękają pod ciężarem jego pięści. Był to ten rodzaj uderzenia, po którym przychodzi konkretny ból. Siniaki i krew.

Dobry pierwszy cios. Prawie że nokaut. Praktycznie łamacz szczęk.

Jack zatoczył się do tyłu, upuszczając puszkę z piwem i plując krwią. Wziął ścierkę,

żeby ją wytrzeć. Adam wiedział, że nie powinien przestawać. Teraz miał przewagę. Mógłby go wykończyć, powalić na ziemię, kopać, dopóki Jack nie straciłby przytomności. Sprawić, że mózg wyciekałby mu uszami i nosem. Jednak nie był w stanie. Był ojcem. I strażnikiem parku narodowego. Straciłby pracę. Bez względu na to, jak bardzo chciał się zemścić, musiał przestrzegać prawa. Musiał pójść na policję. Miał dowód. Jack Bryant był tym mężczyzną.

Adam sięgnął po telefon komórkowy, ale kiedy wyjął go z kieszeni, Jack wyrzucił ścierkę i uśmiechnął się ironicznie. Tak, ironicznie.

– Wiesz co... – Kaszlnął i wypluł do zlewu tęgą strugę krwi. – Zanim zadzwonisz po gliniarzy ze swoją pieprzoną teorią, może powinieneś o czymś usłyszeć. Na temat tej dziewczyny ze zdjęcia.

Adam wpatrywał się w niego. O co mu chodziło?

– Ponieważ to ona jest odpowiedzią na twoje pytanie. Stary. Kuzynku. Tak, właśnie ona, ze swoimi nogami i cyckami. Trzydziestego grudnia byłem między jej nogami, tamtego wieczoru, kiedy ta stuknięta suka, twoja żona, wjechała autem do wody. Byłem wtedy z Amy Royle. – Jack odzyskał panowanie nad sobą, przestał bełkotać, nie pluł już krwią. Wziął kolejną puszkę piwa i popijając, wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tak. Byłem wtedy z Amy, na Florydzie, na pieprzonych zimowych wakacjach. Podróżowaliśmy przez Londyn, zgoda, ale poleciliśmy na Florydę i wróciliśmy w Nowy Rok. Trzymaliśmy to w tajemnicy, ponieważ ona ma narzeczonego i nie chciała, żeby się dowiedział, choć uważa go za fujarę i to mnie woli w łóżku. Bo wiesz... ja wiem, jak posuwać dziewczynę. Jak to robić dobrze. Wepchnąć jej twarz w poduszkę, rozłożyć jej siłą nogi... One to uwielbiają, lubią to na ostro, z prawdziwym facetem. Twierdzą, że tak nie jest, ale lubią to. – Kolejny łyk lagera. – Może powinieneś spróbować ze swoją żoną?

Adam znowu miał ochotę mu przywalić. Jednak się powstrzymał.

– Byłeś kiedyś na słonecznej Florydzie? Mógłbyś zabrać tam swoją biedną małą dziewczynkę. Wiesz... Disneyland, te sprawy. Żeby trochę ją rozweselić. Wyciągnąć z tego przygnębiającego domu.

Adam stał jak wryty. Nie wiedział, jak zareagować. Jack Bryant był okrutny, egoistyczny, nieczuły... ale nie był idiotą. Nie powiedziałby ani słowa, gdyby nie potrafił tego udowodnić. Bilety lotnicze, rachunki z hotelu, wszystko czarno na białym. Jack Bryant był zbyt cwany, żeby zmyślać coś, co łatwo dałoby się obalić.

Adam poczuł wewnętrzną słabość. Jak wtedy, kiedy miękną człowiekowi kolana. Był tak przekonany o swojej racji, a teraz kręciło mu się w głowie od rozczarowania. Jeśli nie był to Jack Bryant, to nie było już nikogo, to zaś oznaczało, że jego żona naprawdę jest wariatką, i że sytuacja stale się pogarsza, że nie ma z niej wyjścia... Tym razem zima się nie skończy. Tym razem oni byli skończeni.

W kuchni zapadła cisza. Adam słyszał szczury przemykające między murami.

Jack podszedł bliżej do tablicy korkowej, odpiął zdjęcie dziewczyny i rzucił je na pusty blat kuchennego stołu, bliżej Adama, żeby lepiej się przyjrzał.

– Naprawdę wymiata, co? Wiesz, co mam na myśli. Wygląda trochę jak młoda Penny Kinnersley, nie sądzisz? Zgadza się, co? Te same włosy, ten sam uśmiech, to samo spojrzenie mówiące „Przyjdź i weź mnie”... Seksowna...

Adamem targała wściekłość.

– Przecież – mówił dalej Jack – właśnie o to w tym wszystkim chodzi, może nie? Myślisz, że mam jakąś wariacką obsesję na punkcie twojej żony, prawda, ty tępą cipó? Otóż nie mam.

– Ale...

– Nie ma żadnego pieprzonego ale! Jasne, podobała mi się Penny, wszystkim nam się podobała... gdy przesiadywała w pubach w Chagford i stawiała kolejki chłopakom. I ci wszyscy jej znajomi, którzy tańczyli nago... Pamiętasz tamten wieczór? Święto Wiosny? Na pewno pamiętasz, kto by nie pamiętał. W każdym razie na pewno nie ty. Bo – spójrzmy prawdzie w oczy – to przecież nie ja posuwałem Penny Kinnersley, prawda? – Przysunął się bliżej i z tym swoim złośliwym uśmiechem dokończył: – To byłeś ty.

Huckerby

Niedziela wieczorem

Nie mam kontaktu z Adamem od kilku dni, poza tą dziwną wiadomością, w której zapewniłam go, że Lyla dobrze się miewa. Spędziłyśmy cały weekend, moja córka i ja, udając, że te wszystkie potworne rzeczy się nie wydarzyły. Głównie oglądałyśmy telewizję, głupawe filmy, które widziałyśmy już ze sześć razy, nic zaskakującego ani poruszającego, przytulone do siebie na sofie, pod kołdrami. Próbowałam zapomnieć o tym, że miałam halucynacje i słyszałam głos swojej matki w kościele. Nie tylko widzę duchy, ale i słyszę.

Co one usiłują mi powiedzieć?

Psy były na spacerze, ale nie w pobliżu tej doliny, gdzie znaleźliśmy Lylę. Upiekłyśmy ciasta, których tak naprawdę nie chciałyśmy ani nie potrzebowałyśmy, dla samej frajdy pieczenia, dla zapachu mąki i cukru, masła i śmietany, proste, urocze rzeczy – zapach strucli w kuchni, zwyczajne szczęście. Upiekłyśmy ciasta, ponieważ wokół nas panuje złowieszczy mrok.

Jesteśmy odcięte od świata na tym wrzosowisku, a nasza wciąż obecna kotwica – Adam – została stąd wyrwana. Nie wiem nawet, gdzie teraz jest – być może wyniósł się z Huntsmana. Kto wie, nie rozmawiamy ze sobą. Tymczasem jesteśmy z Lylą niczym dwie osoby na tonącym okręcie – przyglądamy się, jak ten napełnia się wodą, i nawet nie próbujemy się ratować, nie wiemy, co miałybyśmy zrobić.

Niedzielny wieczór. Ostatnie jasne promienie słońca tego mroźnego, suchego zimowego dnia zmieniają barwę na delikatny odcień mango, przyćmiony, tropikalny blask nad ponurymi wrzosowiskami. Stoję przy zlewku w kuchni, myjąc naczynia, i spoglądam na orlice i jarzębiny pod tym zarumienionym niebem, pomarańczem, który teraz ciemnieje, zmieniając się w kremowy, pudrowy róż. Zwykle uznalabym ten widok za piękny, ale dzisiaj wolałabym patrzeć na inne domy. Biura. Parkingi.

Lyla nadal siedzi na sofie, czytając *Księżkę dzungli*. Znowu. Mój telefon komórkowy dzwoni, ochoczo wirując na kuchennej ladzie.

ADAM.

Czyli wciąż próbuje. Nie podda się.

ADAM.

Czy w ogóle powinnam odebrać? Może ma coś istotnego do powiedzenia.

– Cześć – wita się, a w jego głosie słychać pośpiech i napięcie. – Próbowałem się do ciebie dodzwonić...

Sprawdzam górną część ekranu. Jedna kreska. W tym granitowym długim domu sygnał pojawia się i znika.

– To pewnie mój telefon... Wiesz, jak to wygląda za tymi grubymi murami.

Czy naprawdę rozmawiamy o grubości granitowych ścian? Nie chcę o niczym rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Możliwe, że nigdy.

– Ale próbowałem się też dodzwonić na telefon stacjonarny – mówi, jakby to miało sprawić, że wszystko będzie dobrze. Jakby nie kłamał przez cały czas na temat tamtego wieczoru.

Ile jeszcze kłamstw chowa w rękawie?

– Wyłączyłam telefon stacjonarny, tak jak zawsze. Lyla nie znosi tego dźwięku. Przeraża ją, a poza tym co za różnica? Coś jeszcze zostało do powiedzenia?

– Chciałem tylko zapytać o Lylę, czy dobrze się czuje?

– Zadzwoiłabym do ciebie, gdyby były jakieś problemy, przecież wiesz.

I faktycznie tak bym zrobiła. Niezależnie od tego, co się wydarzyło, jak bardzo nienawidziłam Adama albo rozpaczalam z jego powodu, jest ojcem Lyli, kochającym ojcem – nie będę trzymać go w niewiedzy w sprawie jego córki. Nawet jeśli on trzymał mnie w niewiedzy w tak wielu kwestiach.

Czekam. Milczy. To długie, bolesne milczenie. Słyszę, jak oddycha, zastanawiając się, co jeszcze ma powiedzieć. Jestem ciekawa, skąd teraz dzwoni. Zatrzymał się u swojego kuzyna w Chagford? Siedzi w pubie Oxenholme Arms, w którego mur wbudowano menhir z epoki kamienia łupanego? A może siedzi sam w swoim land roverze zaparkowanym przy jakiejś odludnej drodze w pobliżu Aune Head, Rattlebrook Works albo w całkowitym mroku Naker's Hill, gdzie pozbawiona drzew pustka szłocha w oddali nad tym, jak on tęskni za swoją ukochaną małą córeczką...

Nie. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby go żałować. Jeszcze nie. Dopóki nie dowiem się, co się naprawdę wydarzyło. Strach mojej matki przed Adamem, Kitty Jay, jak to się łączy ze sobą. Lyla wie o czymś jeszcze. I czuję, że niedługo mi to powie.

– Wspominała o mnie? Może chce mnie zobaczyć? Może jest już na to gotowa? –

pyta Adam. – Mówiła coś?

– Nie, niewiele. – Nie obchodzi mnie, czy prawda go zrani. – Powtarzała to samo co przedtem, że nie chce cię tutaj widzieć.

Znowu zapada milczenie. Przechyliam głowę i przyglądam się wrzosowiskom, obserwując smugę białoszarego dymu w oddali. Jeden z farmerów musi wypalać trawy – uschnięte krzewy kolcolistu i kępy paproci orlicy. W tym tygodniu dookoła jest dość sucho, wszyscy wypalają trawy. Wkrótce będą wypalać wokół Hexworthy.

Wydaje się to słuszne. Emocjonalnie, metaforycznie. Spalić stare, zrobić przestrzeń na nowe. Być może to samo będą musiała zrobić ze swoim małżeństwem. Nie wiem.

Adam podejmuje kolejną próbę.

– Moglibyśmy spotkać się w jakimś neutralnym miejscu, gdzieś...

– Nie – odpowiadam, twardo i chłodno. – Nie. Dość już tego. I przestań dopytywać, czy Lyla jest gotowa. Nie, nie jest gotowa. Panicznie się ciebie boi. Nawet jeśli się myli, to ma do tego prawo.

Znowu zapada cisza. Ale teraz tylko na chwilę. I zaczyna się. W końcu Adam podnosi głos, pełen złości. Głos, który przechodzi w krzyk:

– Panicznie się mnie boi? Ona panicznie się mnie boi? Dlaczego, kurwa, ona wciąż się boi? Przecież ją uratowaliśmy, ja ją uratowałem! Przyniosłem ją do domu. Uratowałem jej życie. Przez cały czas troszczyć się o rodzinę. Staram się najlepiej, jak potrafię. Dlaczego ona, kurwa, się boi?!

– Nie mam pojęcia, ale...

Nie daje mi dokończyć, nie chce znać odpowiedzi.

– Pierdol się, Kath! – Adam wrzeszczy. – Ty to wszystko zrobiłaś, mnie, nam, ty i twój brat, i wasza matka, nie ja, a Lyla jest także moją córką!

Krótką przerwę na oddech. Krzyczy tak głośno, że odsuwam telefon od ucha.

– To ty wjechałaś samochodem do tej pieprzonej wody! To ty doprowadziłaś Lylę na skraj wytrzymałości nerwowej! To wszystko twoja wina, wszystko, wy ponosicie odpowiedzialność, Kinnersleyowie! To was trzeba obwiniać! A teraz moja córka panicznie się mnie boi, podczas gdy ja jestem niewinny! Doprowadzasz mnie do szału! Sądziłem, że to mój kuzyn, Jack, ale okazuje się, że nie... Bo to ty! Przez cały czas to byłaś ty, Kath! Pierdol się!

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Część mnie wierzy, że on ma rację. Część mnie się go boi.

Rzuca gromy, jeden za drugim, z niepohamowaną wściekłością, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

– Nastawiłaś przeciwko mnie moją córkę! Nigdy ci tego nie wybaczę. Poczekaj tylko. Ty pieprzona, pieprzona...

Kończę rozmowę. Po prostu przerywam połączenie. W głowie rozbrzmiewają mi echem te potworne przekleństwa, serce mnie boli. Czuję, jak Adam płonie gniewem gdzieś po drugiej stronie wrzosowiska, oddzielony od córki, którą uwielbia. Naprawdę myśli, że to ja zawiniłam, że to wszystko moja wina, ponieważ to ja wjechałam samochodem do Burratora. I w głębi duszy coś mi mówi, że nie mogę go za to winić.

A jednak nadal kłamie i ma to coś wspólnego z moją matką. Naprawdę się go boję. Musimy stąd uciekać, ja i Lyla. To chyba koniec naszej rodziny w Huckerby.

Odkładam telefon na blat i wyglądam przez okno. Biały dym z wypalanych traw przypomina dartmoorskie mgły o zmierzchu. Jednak ta mgła jest pełna ognia. Mgła, która płonie. I zabija.

Poniedziałek rano

Znowu ta dziwna, wymuszona, wyreżyserowana normalność. Przygotowuję jajecznicę, ulubione śniadanie Lyli. Ubrana w szkolny mundurek moja córka pałaszuje tosty i jajka i czyta najnowszą książkę. Przewraca strony, jedną za drugą. *Hiperleksja*. Mózg Lyli przypomina ognisko, które muszę podsycać, bo inaczej może zgasnąć. Znajduje się tam tyle słów, tyle myśli, które teraz poznaje.

Ale wtedy zamyka książkę i patrzy się na mnie, jak wycieram dłonie w ścierkę z nadrukiem „Przyjedź do Dartmouth”. Spomiędzy moich palców uśmiecha się postać żeglarza z kreskówek.

– To naprawdę był tatuś.

Czuję, jak wewnątrz dławi mnie niepokój, szybko i mocno. Na zewnątrz zachowuję zimną krew.

– Jesteś tego pewna?

– Tak – odpowiada cichym głosem, ale wydaje się gotowa, by porozmawiać. – Wiem, że czasem mi się coś myli... – Mruga szybko oczami. – Ale widziałam go kilka razy, w pobliżu farmy, obok domu. I podczas spacerów.

Przypominam sobie postać, którą dostrzegłam na wzgórzu nad Burratorem. Tamtego mężczyznę, który mi się przyglądał. Czy to naprawdę był Adam, nawet jeśli temu zaprzeczał? Muszę uchwycić się tej chwili.

– Dobrze. Porozmawiajmy o tatusiu. Jak to było z tatusiem, Lyla? Gdzie go widziałaś?

Odwraca wzrok, oblewając się rumieńcem. Spuszcza oczy, gapiąc się na pusty talerz, na okruszki tostów. Spogląda na okno, na kartkę z kalendarza ze zdjęciem grobu Kitty Jay, kartkę, której nie daje się przewrócić. Patrzy na wszystko, tylko nie na mnie. Widzę, jaką trudność jej to sprawia. Udręczona, wydaje z siebie krótki syk. Jej lewa dłoń drży nerwowo na stole.

– Lyla...

Potrząsa głową i krzywi się, wpatrując się w stół.

– Kochanie, nie musimy o tym rozmawiać.

Drżenie niemal ustępuje, jedna dłoń wykręca się, odwraca, nieznacznie. Zawieszona

w powietrzu lekko się porusza. I potem Lyla mówi:

– Najpierw widziałam tatusia obok stodoły, pod Black Tor, tylko raz. Chyba widziałam go też w lesie Hobajob. Ale przede wszystkim widziałam go razem z tobą w samochodzie...

Wysuwam krzesło i siadam przy kuchennym stole. Lyla nadal nie patrzy na mnie. Teraz kręci obiema dłońmi, zataczając nimi w powietrzu małe, wyraźne kółka.

– Wtedy, kiedy zostawiłaś mnie u cioci Emmy... widziałam cię z tatusiem w samochodzie.

– Gdzie, Lylo, i kiedy?

– Wieczorem.

– Gdzie dokładnie?

Potrząsa głową, wpatrując się w swój talerz, jakby odnosiła się z dezaprobatą do okruszków.

– Na tyłach domu cioci Emmy, przy tej małej dróżce, mamusiu. Przy tej małej dróżce... Zabrałaś mnie tam.

Wiem, które miejsce ma na myśli. Za domem Spaldingów biegnie wąska droga – obok dawnych stajni należących do rodziny Conybeerów. Wiele lat temu przestali prowadzić gospodarstwo, ale zabieraliśmy tam Lylę, kiedy była malutka. Uczyła się jeździć konno, kiedy miała pięć lat, może nawet mniej. Sądziliśmy, że pomoże jej to się uspołecznic. Ale co ja wtedy robiłam na drodze prowadzącej do stajni Conybeerów? I co robił tam Adam, jeśli to w ogóle był on?

– Skąd wiedziałaś po ciemku, że to byliśmy my, ja i tatuś?

Prawa dłoń opada, lewa drży zawieszona w powietrzu.

– Zaparkowałaś swoje auto i miałaś włączone światło i... widziałam, przez sekundę, twarz tatusia, jego niebieskie oczy. Krzyczał na ciebie, a ty wyglądałaś na przerażoną, mamusiu, a potem... potem on... potem ty... – Teraz obie dłonie znowu unoszą się w górę z gwałtownym drzeniem, otwierają się i zaciskają, powraca też grymas na twarzy.

Najwyraźniej to dla niej bardzo bolesne. Próbuję ją uspokoić.

– Lyla, nie musisz mi o tym mówić.

– Nie. Muszę ci o tym powiedzieć. Nie mówiłam wcześniej, bo chodzi o tatusia, a ja kocham tatusia, ale też go nienawidzę, bo tatuś zmusił cię, żebyś to zrobiła. Powinnam ci wcześniej powiedzieć, mamusiu, ale nie chciałam, żebyś znowu to zrobiła... Bo

właśnie to widziałam, właśnie to właśnie to właśnie to...

Wygląda, jakby za chwilę miała się rozplakać, jakby miała się załamać. Wstaję, obchodzę dookoła stół i przytulam ją – mocny maminy przytulas.

– Już dobrze, Lyla. Teraz już wszystko powiedziałaś. Wszystko będzie dobrze z tobą, ze mną i z tatusiem. Wszystko będzie dobrze.

Nie jestem pewna, czy mi wierzy, wątpię. Jednak jej dłonie przestają się trząść, a grymas na twarzy powoli znika – sam akt wyznania prawdy zapewne wystarcza, żeby się uspokoiła. Cichutko odsuwa do tyłu krzesło i mówi:

– Musimy jechać do szkoły. Nie mogę się spóźnić.

W tym wszystkim wciąż odczuwa tę palącą potrzebę bycia punktualną, przestrzegania reguł. Usiłuję zachowywać się normalnie. Słowa ledwo przechodzą mi przez gardło.

– Masz wszystkie rzeczy?

– Tak. – Bierze do ręki swoje pudełko na lunch z obrazkiem z *Księgi dżungli* i tornister. – Gotowe.

W milczeniu jedziemy do Princetown. Lyla naprawdę sprawia wrażenie ukojonej. Tymczasem ja przeciwnie, jestem jeszcze bardziej zaniepokojona.

Kiedy wysadzam Lylę pod szkołą, siedzę przez chwilę z głową opartą na kierownicy. Mam zamknięte oczy, czuję dotyk plastiku na skórze. Mój umysł płonie. Zaczął się sezon wypalania traw.

Oddychając głęboko, wracam tą samą drogą do Huckerby. Jednak na ostatnim skrzyżowaniu, gdzie stary dąb pochyla się nad rozwaloną bramą, a kudłata dartmoorska krowa przeżuwa oset, przęłykam strach, który dławi mnie w gardle, i skręcam w prawo. Jadę w stronę eleganckiego domu Spaldingów.

Jednak nie zatrzymuję się tam, tylko odbijam w prawo i jadę prosto na drogę Conybeerów.

Zatrzymuję samochód, patrzę na skały i zdziczałe krzaki jeżyn, rosnące wzdłuż zarośniętej chwastami drogi, po której prawie nikt nie jeździ. Drogi, która prowadzi donikąd. A przynajmniej zawsze tak mi się wydawało. Typowy dartmoorski ślepy zaułek.

Po prawej stronie dostrzegam kłęby dymu – wypalanie traw jest coraz bliżej. Ogień ściga siewki i biegusy zmienne. Wypalają tak blisko, że dostrzegam brudnawożółte płomienie, czarną postać farmera i naganiacza, który nadzoruje cały proceder.

Przecinki przeciwpożarowe. Znaki ostrzegawcze. Niebezpieczeństwo.

Serce wali mi jak młotem, gardło mnie boli, ale bynajmniej nie z zimna.

Czy ja naprawdę tamtego wieczoru zaparkowałam tutaj samochód, czy byłam wtedy z Adamem, czy może jednak z kimś innym?

Spoglądam na zwięzającą się drogę, która biegnie przede mną, i duży, nieprzycięty krzew, który wyrasta z walącej się granitowej ściany. Co to za krzew? Rozpoznaję go. Drobne kwiatuszki są chyba wystarczająco blisko mojego samochodu, bym mogła zerwać biało-żółte płatki. Zdaje się, że to jakaś zimowa odmiana wiciokrzewu japońskiego. Pamiętam, jak mama hodowała go w Totnes czy w Salcombe, bo rozweselał bury zimowy ogród swoim żywym kolorem i charakterystycznym zapachem.

Opuszczam szybę i wychylam się, żeby zerwać kwiat, ale zanim to zrobię, uderza mnie jego woń. Słodkawy, niemalże cytrusowy aromat. To jest to! To ten cytrynowy zapach, który zapamiętałam! Musieliśmy tutaj zaparkować samochód z otwartymi szybami. Był ciepły wieczór. Zapach wypełniał wnętrze auta.

Być może przypominał mi mamę.

Jestem ciekawa, czy będzie mi przypominał o czymś jeszcze. Nie chcę tego wiedzieć. A jednocześnie chcę. Jestem przerażona, ale muszę to zrobić. Wcześniej już zadziało.

Pokonując obawy, wychylam się przez okno, zrywam garść miękkich kremowych drobnych kwiatuszków, niebezpieczny bukiet, którego zapach przywodzi na myśl moją próbę samobójczą. Mocno przyciskam kwiaty do nosa, zamykam oczy i wdycham głęboko zapach.

Natychmiast pojawia się kolejne wspomnienie, niczym jaskrawa barwna plama spadająca w ciemnościach, fragment błyszczącego witrażowego okna. Widzę Lylę, która siedzi przy stole i śpiewa pieśń Kitty Jay. Jesteśmy w Huckerby, jest zimowe popołudnie. *Tamto zimowe popołudnie.*

Siedzę naprzeciwko niej. Myślę o grobie Kitty Jay, gdzie spoczywają rozrzucone prochy mojej matki. I oto pojawia się druga część tego obrazu: trzymam w dłoni pióro, piszę jakieś zdania. To wiersz. *Wiersz.* Pisałam go dokładnie tamtego dnia po południu – jeden z tych moich głupich wierszy, których nigdy nikomu nie pokazuję. Był to wiersz o Kitty Jay, kobiecie, która się zabiła, która odebrała sobie życie po tym, jak zaszła w ciążę i została porzucona przez jakiegoś nikczemnego dżentelmena, jakiegoś przystojnego drania.

Mój list samobójczy nigdy nie był listem samobójczym! Były to pierwsze wersy wiersza:

*Nie powinnam była zrobić tego, co zrobiłam,
Nie powinnam była
Dopuścić tej myśli do swojego serca
Wyruszam w podróż, odchodzę na zawsze.
Zapomnijcie o mnie, jeśli potraficie, choć wiem, że nigdy mi nie wybaczycie.*

Nigdy nie napisałam pożegnalnego listu! Napisałam amatorski wierszyk o Kitty Jay i zostawiłam go na kuchennym stole, jak zwykle, zawsze niezadowolona z efektów swojej pracy.

A zatem jedynym dowodem mojej próby samobójczej jest migawka mojej twarzy w samochodzie nad zalewem. Oraz fakt, że ktoś zapewne był ze mną w zaparkowanym aucie. W miejscu, gdzie wąchaliśmy wiciokrzew.

Jakaś część mnie odczuwa ogromną ulgę – z pewnością nie próbowałam popełnić samobójstwa. Jednak inna jest jeszcze bardziej przerażona. Przed oczami staje mi Adam, ale nadal nie potrafię rozgryźć, co nim kierowało. A jeśli to nie był Adam, to kto? Jeśli Lyla pomyliła kogoś, widząc go z tak bliska w samochodzie, przypuszczam, że musiał to być ktoś, kto wyglądał zupełnie jak Adam. Nie jak jego kuzyn. Nie jak Harry ani Jack. Bardziej jak brat. Tyle że on nie ma brata. Ma dużo starszą siostrę. To wszystko. Czyli to Adam. To musi być on.

Podnoszę szybę i nie czuję już cytrynowego zapachu. Naciskam pedał gazu i ruszam, nie zważając na przyśpieszone bicie serca. Przejeżdżam powoli obok opuszczonych stajni.

Tablica z nazwą gospodarstwa rodziny Conybeerów wciąż tutaj jest, ale wisi na jednym gwoździu, na butwiejącym drewnianym słupie. Najwyraźniej nikt nie kupił gospodarstwa. Budynki w tle są czarne i zieją pustką. Wymarłe okna, porozbijane szyby. Pojedyncza opona do traktora leży płasko na podwórzu, gromadząc brązową deszczówkę. Kruki zataczają koła nad moją głową, obserwują mnie. Sprawdzają, czy potrafię pójść za swoimi podejrzeniami wobec męża. Wobec świata.

Trzymając dłonie na kierownicy, spoglądam w dal, na wąską drogę. Nigdy nie dotarłam dalej niż do tego miejsca. Jak sądzę. A jednak wtedy, trzydziestego grudnia, pojechałam drogą prowadzącą do gospodarstwa Conybeerów. Być może Adam tam

przyjechał, pijany, żeby się ze mną spotkać po libacji w Warren House...

Dym unosi się nad drogą w duszącej mgłę. Jakaś cząstka mnie ma nadzieję, że ta mgła stanie się tak gęsta i nieprzenikniona, że nie będę mogła już dalej pojechać i nie odkryję tej prawdy, nie dotrę do końca... Lecz mgła rzednie, a wraz z nią znikają wszelkie wymówki.

Droga jest tak absurdalnie wąska, że jeżyny drapią z obydwu stron lakier samochodu, kiedy przesuwam się do przodu, metr po metrze, nie więcej niż dziesięć kilometrów na godzinę. Jeśli spotkałabym kogoś, kto jechałby z przeciwka, musiałabym się wycofać pewnie z półtora kilometra. Ale nie ma obaw, nikogo nie spotkam – to kompletne odludzie. Nikt się tutaj nie zapuszcza.

Ślepy zaułek.

Krzewy jeżyn stają się coraz gęstsze. Droga zmienia się z asfaltowej w błotnistą. Zimowe ptaki obserwują, jak zbliżam się do rozstrzygnięcia. Dostrzegam przed sobą zardzewiałą żelazną bramę stojącą otworem – prowadzi na brązowe, niczym niezmacone wrzosowiska.

Koniec.

W oddali widzę menhiry. Są daleko, więc muszą być naprawdę ogromne, skoro stąd tak dobrze je widać. Bardzo duże. Olbrzymy. Mają ze trzy metry wysokości albo i więcej. Ich widok przyprawia mnie o lekkie mdłości. Już widziałam kiedyś te kamienie. Zwłaszcza ten ostatni, o przedziwnym kształcie. Mgliście go sobie przypominam, a jednocześnie nie mogę tego wspomnienia uchwycić. Nie całkiem. Jak to możliwe?

Mam uczucie, jakby zło wracało, nagle, niegodziwe zło, które jest tak przemożne, że aż zbiera mi się na wymioty. W samochodzie. Nie chcę wymiotować we własnym samochodzie. Otwieram gwałtownie drzwi i zataczając się, wysiadam na zimne powietrze, oddycham głęboko. Cały czas mnie mdli.

Oddycham ciężko ze strachu, opieram się o kamienną ścianę za bramą. Zamykam na chwilę oczy, słyszę krakanie wron. Kiedy znów je otwieram, czuję się jak ścigane zwierzę, jakby ktoś mnie obserwował. Człowiek z wrzosowiska. Albo ze stajni pod Black Tor.

Przed oczami miga mi jakiś znak, jeden z tych dartmoorskich drogowskazów, które giną w zaroślach i powoli zamieniają się w ściółkę. Jedno z ramion drogowskazu skierowane jest na wprost, w kierunku bramy. Napisano na nim BURRATOR. Na

drugim ramieniu widnieje DRIZZLECOMBE. Za bramą dostrzegam zarośniętą trawą parking, a po drugiej jego stronie, tak, zgadza się, na w pół zasłoniętą krzewami kolcolistu drogę wśród wrzosowisk, która biegnie dalej – kolejna wąziutka, niemalże nieuczęszczana dróżka wijąca się po zboczach wzgórza.

Wygląda na to, że można tędy dojechać do zalewu. A więc możliwe, że jechałam tędy, kiedy rzekomo próbowałam się zabić. Kiedy byłam z Adamem. Albo z sobowtórem Adama. Kiedy się kłóciliśmy.

Być może odkryłam, co zrobił mojej matce, dlaczego uznawała go za zło wcielone...

Jednak przeskok od tego wszystkiego do samobójstwa – albo morderstwa – to zbyt wiele.

Odeszłabym po prostu od Adama, gdybym odkryła, że nie jest tym mężczyzną, którego poznałam i pokochałam. Rozstalibyśmy się. To na pewno.

Te nowe drogi nadal prowadzą mnie donikąd. Nadal czuję się zagubiona.

Tyle że teraz towarzyszy mi pewna wizja, wizja mnie samej wpatrującej się w drogowskaz prowadzący do Drizzlecombe.

Nie ulega wątpliwości, że wpatrywałam się w ten drogowskaz. Ale dlaczego miałabym się w niego wpatrywać?

Przychodzi mi do głowy pewna myśl. Być może patrzę na to wszystko inaczej, jakby pod złym kątem. Odwracając wzrok w stronę horyzontu, przechylam głowę na lewo, potem na prawo... dalej nic. I nagle przesywa mnie silny zimny dreszcz i dociera do mnie, jakiej to perspektywy potrzebuję.

Kładę się na zimnej błotnistej ziemi, nie zważając na brud i wilgoć, i rozglądam się z tej nowej pozycji – teraz wyraźnie rozpoznaję krajobraz i jego kształty. Rozpoznaję także tamten kamień, tamten menhir. To w ten sposób go widziałam. Leżąc płasko na plecach i spoglądając do góry...

A leżałam na plecach, ponieważ zostałam tutaj zaciągnięta z samochodu... Zaciągnięta i zgwałcona.

Drizzlecombe

Poniedziałek rano

Leżąc tak na zimnej dartmoorskiej ziemi, zamykam oczy i wyraźnie widzę całą sytuację. Ktoś nade mną, wściekły, krzyczy, śmieje się. Przystojny niebieskooki mężczyzna. Adam. Gwałci mnie, tuż obok mojego samochodu, w tym miejscu, z którego widziałam stojące kamienie. Pamiętam szarpaninę w aucie, nóż przystawiony do gardła, to, jak zostałam zawleczona tutaj za włosy. To, jak siłą rozłożono mi nogi.

Mój własny mąż?

Nagle siadam. Znowu zbiera mi się na wymioty. Przykładam lodowatą, drżącą dłoń do ust. Jakby moje ciało chciało wyrzucić z siebie prawdę, to toksyczne wspomnienie. Ktoś mnie tutaj zgwałcił! Oczywiście mam wrażenie, że to był Adam. A potem co? Dokąd poszedł? Zostawił mnie tutaj, pobitą, nieprzytomną? Może się ocknęłam, a jego już nie było, i zszokowana, przerażona wróciłam do samochodu i pojechałam do Burratora. Wpatrywałam się w czarną toń, smagana zimnym wiatrem, i postanowiłam, że dłużej nie warto żyć.

Jednak wciąż nie rozumiem tego ostatecznego kroku – nie jestem w stanie uwierzyć, że mogłabym zrobić coś takiego swojej córce, nawet jeśli mnie zrobiono coś tak straszego.

Przecież potrafię przetrwać różne sytuacje, daję sobie z nimi radę, radzę sobie – dokładnie tak robię. Pojechałabym na policję, a nie nad zalew, żeby odebrać sobie życie. Chyba że jestem o wiele słabszą, o wiele bardziej godną ubolewania kruchą osobą, niż sądziłam. Chyba że Adam... jeśli to był on... nie tylko mnie zgwałcił, ale zrobił coś jeszcze. Może powiedział mi coś tak potwornego, że popchnęło to mój i tak już niezrównoważony umysł ku autodestrukcji. Być może zgwałcił mnie w odwecie za coś, co sama zrobiłam.

Wrzosowisko pokrywa sieć ścieżek przypominająca labirynt, którego nie da się odwzorować na mapie, sieć starych i nowych ścieżek biegnących we wszystkich kierunkach – od skalistego wzgórza do młynówki, od doliny wciosowej do jeziora, od kamiennego kręgu Stalldon Row przez tereny strzelnicze w Willsworthy aż po

wspaniałą sieć starych szlaków, które stąd widzę.

Drizzlecombe.

Część wrzosowiska, do której nigdy nie przychodziłam. Tak bardzo oddalona. A jednak wygląda na to, że przyjechałam tutaj trzydziestego grudnia. Przypuszczalnie mój gwałciciel wybrał to miejsce, bo panuje tutaj absolutna pustka i cisza – to doskonałe miejsce do jego celów, w promieniu wielu kilometrów nie ma żadnych domostw, drogi są prawie nieprzejezdne. Nie chciał ryzykować, że pojawią się nagle jacyś świadkowie. Przecież nikt nie mógł zobaczyć tego, co miał zrobić.

Kwaśny smak, który czuję w ustach, jest ohydny. Chcę go wypluć, choć mam poczucie, że i tak nie uda mi się go pozbyć. Zimno jest przenikliwe – palce u rąk mi drętwieją, kiedy wstaję, wsiadam do auta i wracam tą samą drogą, mijając zrujnowane stajnie Conybeerów i dom Spaldingów. W oknach jest ciemno, wygląda na to, że nikogo nie ma w domu. Pewnie jeszcze nie wrócili z urlopu w Londynie. Jadąc samochodem, spoglądam na prawo, poza Black Tor. Zza niego unoszą się grube kłęby dymu z wypalanych traw, jakby całe wrzosowiska zostały rozszarpane, odsłaniając ogień ziemi, który zawsze buzuje pod naszymi stopami.

Zwalniam i spoglądam przez dziurę w wałącym się murku z kamieni ułożonych jeden na drugim bez zaprawy. Widzę stajnie, które gapiły się na mnie, kiedy wracałam do domu tamtego wieczoru. Jakby mnie znały. Te, o których mówiła Lyla. Widziałam tatusia przy stajniach pod Black Tor.

Czuję, że jestem bliska odkrycia ostatnich elementów całej tej układanki – rozpaczliwie ich potrzebuję, bo kiedy rzucę ostateczne oskarżenia, wszystko legnie w gruzach. Więc muszę mieć pewność.

Zatrzymuję samochód, silnik cichnie i zapada charakterystyczna dla wrzosowisk cisza. Otulam się, najszczelniej jak mogę, i nie zważając na lęki, które we mnie krzyczą, rozpocznę wędrówkę przez wrzosowiska w kierunku zniszczonych stodół.

Smród dymu unosi się w powietrzu. Kłęby dymu buchają w szare, zimne niebo. Krzyczą i biją, krzyczą i biją. Mieszkańców Dartmoor niełatwo zniechęcić do starych tradycji. Na przykład mojego męża.

Zaczyna we mnie wzbierać złość. Najpierw byłam w szoku, ale teraz czuję w sobie złość. Jeśli to był Adam, nie pozwolę, żeby wygrał. Nie zdołał mnie zabić tamtego wieczoru i teraz też ze mną nie wygra. Nie pozwolę, żeby zrobił mi to, co zrobił mojej matce, cokolwiek to było...

Stodoły znajdują się niecałe dwa kilometry stąd. Tymczasem wrzosowiska pod moimi stopami zmieniły się w bagno, a trawa – w srebrzystą wodę. Jeśli wpadnę po kolana w trzęsawisko, będę miała kłopoty. Nie dam rady się wydostać. Muszę pójść w prawo, wspiąć się na najbliższe wzgórze, nadłożyć kawał drogi.

Wiatr smaga mnie po twarzy, kiedy z trudem przechodzę przez kamienny murek, a potem wdrapuję się na stertę luźnych kawałków skał. To skaliste wzgórze wygląda imponująco, złowroga grań popękanego i rozwalonego granitu. Mimo wszystko podoba mi się ten trud – dzięki niemu przestaję myśleć. O przyszłości. O Lyli pozbawionej ojca.

Jeszcze raz się podciągam, chwytam za wystające kamienie i już stoję na szczycie skalistego wzgórza. Na tyle wysoko, żeby z góry można było sięgnąć wzrokiem poza wrzosowiska – na migoczące w oddali wybrzeże, do którego wpadają wszystkie rzeki z tego terenu.

Muszę zejść na dół.

Zbieram się w sobie, pokonuję strach i wściekłość, dwa uczucia, które mnie zalewają, a potem ciężkim krokiem schodzę ze wzgórza. Teraz biegnę, biegnę przepełniona złością, biegnę jak dartmoorskie kuce, przeskakując z jednej kępy na drugą, skacząc przez bajorka.

Oto i one. Podchodzę do pierwszej zrujnowanej stodoły. Spomiędzy budynków niczym trująca mgła unosi się dym z wypalanych traw.

Strach zaczyna zaciskać się wokół mnie niczym pętla, mówiąc mi, żebym nie wchodziła do tego ogromnego budynku z czarnymi, pozbawionymi szyb oknami, przypominającymi wyłupione ślepia tego zająca w lesie Hobajob. Ale muszę to wiedzieć. Popycham więc drzwi, które skrzypią na starych zawiasach. Pozwalam sobie na chwilę wahania, żeby rozwiązać swoje obawy, po czym wchodzę do środka.

Smród pleśni i wilgoci jest przytłaczający. Zatykając nos, rozglądam się dookoła. W kącie dostrzegam jakieś ptasie gniazdo. Porozbijane jajka. Łajno. I żadnego śladu człowieka. Nic.

A jednak coś słyszę.

Pisk jakiegoś żywego stworzenia. Odgłos nagły, głośny, dziwny. Odwracam się przerażona. To duży gawron, wleciał widać przez okno, nie spodziewając się mnie tu zastać, wprost na mnie, na moją twarz. Widzę czarne pióra tuż przed moimi oczami – histerycznymi, przestraszonymi. Ptak uderza mocno skrzydłami, niemalże o podłogę. Zastanawiam się, czy się nie zranił, ale znowu skrzeczy i wyfruwa przez okno.

Stoję, wdychając głęboko zimne powietrze, i mam poczucie, że całe wrzosowisko chce, żebym sobie stąd poszła. Zimowe ptaki próbują mnie odstraszyć, ale ja nie dam się tak łatwo zniechęcić.

Przecieram twarz, sprawdzam, czy nie ma krwi na podłodze, i wychodzę na zewnątrz. Wieje silny, zimny wiatr. W ostatnich promieniach zimowego słońca srebrnozielone bagna wydają się poruszać niczym jakiś ogromny, budzący się do życia stwór.

Czeka na mnie kolejna stodoła. Muszę je wszystkie sprawdzić.

Sąsiednia jest nieco większa, jednak ma o wiele mniejsze okna. Jedna z szyb okiennych jest nietknięta, chociaż pokryta gęstą warstwą kurzu, pajęczyn i martwych pajaków. Drzwi również wydają się w lepszym stanie, być może dlatego, że ostatnio były używane.

Dziwne uczucie ściska mnie za serce, kiedy napieram na nie ciałem. Jakby ktoś chciał, żebym weszła do tego przepastnego budynku. Jakby mną manipulowano.

Odwracam się szybko, przeczesuję wzrokiem odległe wzgórza i falujące wrzosowiska. Drogę do Huckerby. Nikogo nie widać.

Ignoruję irracjonalny strach i otwieram drzwi.

W środku jest bardzo ciemno, to przez te malutkie okna. Panuje tam również przejmujący chłód. Prawie nic nie widzę. Chcę natychmiast wyjść. Czuję też obecność człowieka. Ktoś tutaj musiał być. I to nie żaden duch, tylko człowiek z krwi i kości.

Smród pleśni nie jest aż tak gryzący jak w pierwszej stodole. Od podłogi ciągnie zimnem; to czysty beton, twardy, doskonale wysuszony.

Mój wzrok powoli przyzwyczaja się do mroku.

W kącie leży śpiwór. Wygląda na nowy. Na jednym końcu dostrzegam poduszkę zrobioną z drugiego śpiwora. Najwyraźniej ktoś tutaj nocuje. Prymitywny kemping.

Turyści? Pasterze? Adam? Może to żołnierze – mają ćwiczenia na wrzosowiskach: „Dostań się z Yelverton do Okehampton, prześpij się w jakiejś opuszczonej chacie, nieś wszystko na plecach. Dwadzieścia parę kilogramów sprzętu”.

Tak, żołnierze – to brzmi sensownie. Nachylając się nad śpiworem, badam materiał, z jakiego jest zrobiony. Wygląda na dość porządny, przeznaczony do spania w niskich temperaturach. Może to więc być żołnierski ekwipunek. Obok poduszki leży plastikowa reklamówka z Aldi. Podnoszę ją, zaglądam do środka i widzę kilka jabłek. Świeżych. Nie zgniłych.

Ktoś musiał tutaj być w ciągu ostatnich dwóch dni.

Pod reklamówką leży samotna, żałośnie wyglądająca książka. Na okładce widnieje tytuł *Watermelon Sugar*. Nigdy o niej nie słyszałam. Wygląda na starą, kupioną w antykwariacie, sfatygowaną. Taką ulubioną. W mroku tej lodowatej, na wpół zrujnowanej stodoły ledwie dostrzegam okładkę – monochromatyczne zdjęcie brodatego mężczyzny, który siedzi na torach kolejowych.

Wygląda żałośnie. Równie żałośnie jak te jabłka w reklamówce, podobnie żałośnie jak martwe pająki na szybie. Książka, miejsce, moje myśli, wrzosowiska – wszystko to płacze z żalu. Moja rozbita rodzina, moje złamane życie. W jaki sposób teraz ochronię Lylę?

Uspokajając się nieco, otwieram książkę. Grzbiet jest wysłużony, a strony od razu się rozdzielają – w naturalny sposób się otwierają, by odsłonić zdjęcie włożone luzem do książki jako zakładka albo żeby je ochronić przed zniszczeniem.

Stare kolorowe zdjęcie, bardzo wyblakłe, przypominające sepię. W tym mętym świetle nie jestem w stanie rozpoznać twarzy. Jednak kiedy tak trzymam je w dłoni, coś w tej grupie postaci sprawia, że przeszywa mnie dreszcz, coś związanego z domem za plecami ludzi na zdjęciu, jakieś wrażenie. Wiem, co to jest, i napęnia mnie to strachem.

Podchodzę do okna, żeby skorzystać z szarego zimowego światła. Zbliżam zdjęcie do oczu.

Patrę na fotografię mojej matki. Ma tutaj jakieś trzydzieści sześć albo siedem lat, stoi uśmiechnięta w letniej sukience, która boleśnie trąci myszką, ale wtedy była zapewne szczytem mody. Dom za jej plecami to Salcombe. Musiało być wtedy słonecznie, cienie są wyraźne i padają pod dużym kątem. Po obu stronach Penny stoją jej dzieci: po lewej mój brat, a ta dziewczynka po prawej to ja.

Moja dłoń drży.

Musiałam mieć wtedy jakieś dziewięć lat. Byłam w podobnym wieku co Lyla. Nie mam całkowitej pewności, ponieważ ta twarz – moja twarz – została złośliwie zamazana czarnym tuszem.

Gryzmoły nienawiści. Wymazujące mnie z powierzchni Ziemi.

Huckerby

Wtorek rano

Zdaje się, że resztę mojego życia spędzę, stojąc przy zlewie i gapiąc się przez okno. Gapię się na zimne błotniste podwórze i przypominam sobie, jak Lyla układała te wszystkie martwe ptaszki. Może właśnie wtedy wszystko się zaczęło, a przynajmniej zaczęły się kłopoty. Być może tamtego popołudnia moja córka rzuciła na nas wszystkich jakieś dartmoorskie zaklęcie, urok za pomocą ptasich szkieletów i zmrożonych piórek.

Teraz stoi na podwórzu, bawi się z psami, rzuca im patyk na drogę, w tę dartmoorską mgłę. Dzisiaj rano odmówiła pójścia do szkoły, chyba po raz pierwszy w życiu. Powiedziała, że jest zbyt przygnębiona w związku z tatusiem. Nie miałam serca, a może siły, żeby się z nią spierać. Prawdę mówiąc, ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, była podróż samochodem w tej mgłę do odległego Princetown, spędzenie kolejnej bezsensownej połowy dnia w biurze. Mogę tę samą pracę zrobić w domu i być blisko córeczki, czyli tam, gdzie chcę teraz być. Odczuwam silną potrzebę, żeby ją chronić.

– Łap, Felix, łap!

Jak się zdaje, Lyla jest w dość dobrym nastroju, rzuca patykiem to w jedną, to w drugą stronę podwórza. Zadowolone psy wyglądają na jeszcze bardziej uszczęśliwione, obgryzają kijek i szarpia nim, aż się upewnią, że ten szczur, którego sobie wyobrażają, na pewno jest martwy.

Otwieram drzwi i wołam do mojej dziewczynki:

– Nie siedź tam za długo, dobrze? Mgła jest lodowata.

Nie odwraca się, nie odpowiada. Lyla jest w swoim żywiole, skupiona na zabawie. Próbuję jeszcze raz, wołam ją. Nie chcę wychodzić na zewnątrz, nie włożyłam butów.

– Lyla!

Kijek leci w kierunku jarzębin. Lyla podskakuje, kiedy psy gnają w ślad za nim.

– Lyla!

W końcu moja córka przystaje, przechyla głowę w moim kierunku. Na jej twarzy widać zmieszanie. A potem posyła mi kolejny dziwny uśmiech. Jakby jakaś maska

zasłaniała jej twarz.

– Mamusiu?

– Mówiłam, żebyś nie siedziała zbyt długo na podwórzu. Zrobiło się lodowato. Wiem, że nie przeszkadza ci chłód, ale...

Wpatruję się w mgłę. Morderczą, nawet jak na standardy Dartmoor – zimne, wilgotne niebo obniżyło się, żeby nas wszystkich zdusić. Ukryć przed sobą.

– Dobrze, mamusiu, obiecuję. – Grymas zniknął. Jej twarz jest teraz bez wyrazu.

Podnosi kijek. Widzę, jak po cichu mówi coś do siebie – usta się poruszają, ale nie wydobywa się z nich dźwięk. Ostatnio zdarza jej się to coraz częściej. Mówi jakieś zdanie, po czym cichutko – bezszelestnie – jej wargi zaczynają się poruszać, wypowiadają bezgłośnie słowa, które tylko ona słyszy. Nie mam pojęcia, czy sprawdza zdania, które potem wypowiada, czy też bezgłośnie sama sobie przeczy. A może rzuca kolejne zaklęcia na Huckerby.

Mgła jest tak gęsta, że teraz ledwie ją widzę, chociaż stoi niespełna pięćdziesiąt metrów ode mnie. Sylwetki Lyli i psów są słabo widoczne w tej szarości, niczym postaci z na wpół zapomnianego snu, a wilgotne powietrze tłumi jej głos.

– Felix! Randal! Do nogi.

Zamykam drzwi i opieram się o ciepłą ściankę żeliwnego piecyka. Nagle powraca do mnie zatrważające pytanie. Kto mieszka tam na wrzosowiskach? Kto ma zdjęcie, na którym jestem z mamą i Danem? I dlaczego to właśnie moja twarz została tak złośliwie zamazana? Spoglądam na swój telefon leżący na kuchennym blacie. Wyłączyłam go.

Adam wydzwaniał do mnie od ósmej rano. Zapewne chciał mnie przeprosić za to, że mi naubliżał. A może zamierza naubliżyć mi jeszcze bardziej, przestraszyć mnie. Może chce mi wyznać, co się wydarzyło z moją matką.

Nie mam ochoty z nim rozmawiać, dopóki nie dowiem się, co mam zrobić. Wkrótce będę musiała zgłosić się na policję – po prostu tak trzeba. Ale jakie oskarżenia mogę wnieść? Doskonale pamiętam, że mnie zgwałcono. Tyle że nie mam żadnych dowodów. Jedynie strzępy pamięci. Zapewne wspomnienie mojego męża. Zapewne. Poza tym ktoś, kto mnie zna, albo wie coś na mój temat, ukrywa się niedaleko stąd, na wrzosowisku. Równie dobrze może to być mój mąż... Tymczasem moja zapewne autystyczna córka wciąż przepowiada czyjaś śmierć, śpiewając pieśń, której nikt jej nie uczył. I jakby tego wszystkiego jeszcze było mało, niedawno na wrzosowisku przywidział mi się duch mojej matki, słyszałam też jej głos zza grobu w tamtym

kościel.

A to wszystko... tak... to wszystko wydarzyło się po tym, jak prawdopodobnie usiłowałam popełnić samobójstwo z powodów, których wciąż nie jestem w stanie zrozumieć. Nie wspominając już o córce, która ma upośledzoną zdolność rozpoznawania własnego ojca.

Już sobie wyobrażam wyraz twarzy policjantki, kiedy przedstawię jej te niespójne fakty. Będzie tam siedziała ze swoim dyktafonem i uprzejmie kiwała głową, po czym go wyłączy. Uznają mnie za wariatkę. Oskarżę o gwałt własnego męża, nie mając dowodów, a Adam rozwiedzie się ze mną, moja córka zostanie bez ojca, być może ze złamanym na zawsze życiem.

W głębi duszy Lyla nadal uwielbia swojego tatusia. I chce, żeby wrócił. Wiem o tym. Jeżeli ja i Adam się rozwiedziemy, będziemy musiały razem z Lylą zamieszkać w jakimś makabrycznym mieszkanku w Princetown. Bo tylko na to będzie mnie stać. Albo w malutkiej kawalerce w Salcombe, gdzie mój brat i bratowa przeżywają własny dramat rozvodu, a moja obecność jeszcze doleje oliwy do ognia.

Jestem w patowej sytuacji, niczym turysta, który został uwięziony w ruchomych czarnych błotach bagna Fox Tor; jeden z tych, których latem Adam codziennie ratuje. Wpadłam po pas do tego bagna i za każdym razem, kiedy próbuję się uwolnić, rozwiązać problemy, pograżam się jeszcze bardziej w całym tym chaosie i lęku.

Bo jestem tym wszystkim bardzo, ale to bardzo przerażona.

To zdjęcie, które znalazłam na wrzosowisku... sposób, w jaki wymazano moją twarz... Ktoś mnie nienawidzi, i to z powodów, których nie znam. Czuję, że niebezpieczeństwo coraz bardziej się zbliża, coraz szybciej.

Biorę do ręki telefon komórkowy, włączam go, odliczając cholerne sekundy, kiedy aparat powoli zbudzi się do życia. Nie ma zasięgu. Głupia komórka. Durny słaby zasięg. Przechodzę więc przez kuchnię, wsuwam stopy w lodowate kalosze i wychodzę na mroźne podwórze. Gdzieś dalej na drodze słyszę córkę i psy, choć zupełnie zniknęli we mgle.

Do kogo mam zadzwonić? Dlaczego nie mam więcej przyjaciół?

Bo postanowiłam wieść samotnicze życie, przeprowadzić się tutaj z moim mężem i Lylą. Bo sami się odizolowaliśmy – z początku byliśmy całkiem szczęśliwi z tego powodu. Teraz jednak nie jestem szczęśliwa. Teraz potrzebuję do kogoś zadzwonić. Do kogokolwiek.

Wpatruję się w telefon w mojej dłoni. Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba. Dotykam odpowiedniej ikonki. Odbiera natychmiast, jakby czekała na telefon ode mnie.

– Tessa?

– O mój Boże, Kath! Wszystko w porządku?

– Tak, tak, czuję się dobrze.

– Dan opowiedział mi wszystko... o tym, jak Lyla uciekła. Wszystko. Wiesz, że w każdej chwili mogłaś do mnie zadzwonić?

– Wiem, wiem. – Wzruszam ramionami w głębi duszy. – Zapadłam w jakiś sen zimowy, ukryłam się w jakimś stanie wewnętrznego zaprzeczenia, wyparcia. Unikałam ludzi. Wiesz, Tesso, to wszystko jest takie trudne... – Nie chcę powiedzieć, że nabrałam podejrzeń wobec wszystkich, łącznie z Danem, łącznie z nią. Czekam więc, aż moje słowa nadążą za myślami. – Czy Dan mówił ci, co Lyla powiedziała Adamowi?

Waha się, po czym potwierdza:

– Tak. Nie wiem, co o tym myśleć. On także nie wie.

Nie chcę o tym rozmawiać, więc zamiast tego pytam:

– A jak wy się miewacie?

Wzdycha ciężko. Wyobrażam ją sobie w gabinecie w Plymouth, jak wpatruje się w betonowe mury bazy okrętów podwodnych.

– Niezbyt dobrze, mówiąc szczerze. Może nie tak źle jak wy, ale niewiele lepiej. Beznadzieja.

– A jak chłopcy?

– Udaje nam się to ukrywać, ale i tak wiedzą swoje. Posłuchaj, Kath, dość już o mnie, to tylko jakiś nudny romans, typowe małżeńskie brudy. Powiedz lepiej, co się dzieje u ciebie. Jesteś zupełnie sama, radzicie sobie jakoś?... – Zawiesza głos, po czym mówi: – Nie sądzisz, że byłoby dla ciebie korzystniej, gdybyś...

– Nie utknęła w tej mgle w samym środku pustkowiec, to chcesz powiedzieć? – Śmieje się, z żalem, a ja mówię dalej: – Tak, tak. Właśnie tak myślę, Tesso. Tyle się tutaj dzieje... dlatego właśnie dzwonię. Zastanawiałam się, czy ten domek wakacyjny, ten w Brixham... Nienawidzę prosić, nienawidzę tego...

– Na Boga, nie przejmuj się! Oczywiście, że możesz się tam zatrzymać. Teraz jest tam jakaś para, przyjechali na krótki romantyczny wypad. Bóg jeden wie, dlaczego akurat w lutym, w najciemniejszym miesiącu... Ale wyjeżdżają dzisiaj późnym popołudniem, a potem domek stoi pusty aż do wiosny!

– Dan nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Mówiąc szczerze... – odpowiada Tessa – mam w dupie to, co myśli Dan Kinnersley. Zwłaszcza na temat Brixham. Wiesz, że zabierał tam tę dziewczynę? – Teraz warczy. – Kath, absolutnie możesz się tam zatrzymać i zostać tak długo, jak długo będziesz, do cholery, chciała. Nie będę miała czasu, żeby posprzątać, jeśli chciałabyś tam pojechać jeszcze dzisiaj wieczorem, ale...

– Tak, tak, tak! Dziękuję. Tak, proszę!

Ogarnia mnie poczucie ulgi. Uciekniemy stąd: Lyla, ja i psy. Czuję, że zbliża się do mnie jakieś zagrożenie, wyłania się z tej mgły, z tej stodoły na wrzosowisku, z fotografii, na której ktoś zamazał moją twarzą. Niebezpieczeństwo nadchodzi – prawda w końcu wyłoni się z mgły i mam przeczucie, że mnie przerazi – bo gdy po raz pierwszy ją usłyszałam, wjechałam samochodem do ciemnej toni...

Dziękuję stokrotnie Tessie. Z osiem razy powtarza, żebym się nie martwiła. Obiecuję, że przygotuję wszystko, spakuję nasze rzeczy i jeszcze tego wieczoru tam pojadę. Uciekniemy. Wydostaniemy się stąd. Będziemy miały mały domek nad morzem, Lyla będzie mogła obserwować mewy... Co prawda opuści wiele dni w szkole, ale naprawdę mam to gdzieś.

– Dziękuję, Tesso – powtarzam po raz kolejny. – Możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

Domyśla się, zanim ją o to proszę.

– Nie mówić nic Adamowi, tak?

Oblewam się rumieńcem, chociaż nie może mnie zobaczyć.

– Jest tak wiele spraw... Lyla czasem odczuwa przed nim dziwny lęk i mówiąc szczerze, obie jesteśmy trochę przerażone.

– Nie pisnę ani słowa. Zaufaj mi. Zobowiązę Dana, żeby też zachował to w tajemnicy. Nikt poza nami nie będzie wiedział, gdzie jesteś.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Kończę rozmowę i znowu wyłączam telefon. Gdybym zostawiła go włączonego choćby przez minutę, jestem pewna, że Adam zadzwoniłby, a ja nie mam ochoty nawet oglądać jego imienia na wyświetlaczu.

Nagle, kiedy wkładam telefon do kieszeni, widzę, że Lyla biegnie drogą, jakby coś magicznego budziło się do życia w tej śmiertelnej szarości.

– Hej, Lyla, Jagódka. Wszystko w porządku? Gdzie psy?

Patrzy na mnie, lekko drżą jej usta. Coś ją przestraszyło? Co się stało? Bez słowa odwraca się i patrzy ma zasnutą oparem drogę, skąd dochodzi szczekanie psów. Głośne. Mgła jest tak gęsta – potworna i oślizgła.

– Wszystko z nimi dobrze, mamusiu. Wszystko dobrze z Felixem i Randalem. Polują na króliki. Szczęśliwe. Szczęśliwe szczęśliwe szczęśliwe.

Jednak mówiąc, podnosi dłoń i układa palce w dziób, który otwiera się i zamyka, otwiera i zamyka. Teraz wykonuje te ruchy nieustannie, podczas gdy jeszcze niedawno całymi tygodniami nie miała żadnych objawów Aspergera.

A teraz objawy stale się nasilają.

Wszystko przeze mnie. Doprowadziłam do tego, że jej stan się pogorszył. Oboje do tego doprowadziliśmy. Jesteśmy z Adamem odpowiedzialni za wyrządzoną krzywdę.

Lyla wpatruje się w ciemniejącą mgłę. Wącha, jakby wyczuwała jakiś obrzydliwy zapach, i wygląda na zmieszaną. Porusza ustami, ale nie słyszę, żeby coś mówiła. Potem bez słowa wyjaśnienia mija mnie i wbiega do domu.

Dzieje się tutaj coś bardzo złego.

Wchodzę za nią do środka. Siedzi przy stole kuchennym i wpatruje się w kalendarz. Znowu porusza ustami. Coraz szybciej i szybciej. Jednak nadal nie wydobywają się z nich żadne słowa. Aż w końcu daje im upust.

– Strasznie się boję, mamusiu.

– Wiem, kochanie. – Próbuję ukryć własne lęki. – Ale mam dobre wiadomości. Jedziemy do Brixham. Dzisiaj wieczorem!

Znowu bezgłośnie porusza wargami. Mówię więc za nas obie:

– Pamiętasz domek swoich kuzynów? Ten śliczny domek letniskowy w Brixham, nad samym morzem, z małym ogródkiem... Właśnie tam jedziemy, Lyla! Pojedziemy tam dzisiaj wieczorem, jak tylko ze wszystkim się uporamy. Spędzimy tam jakiś czas, będziemy miały naprawdę fajne wakacje.

Patrzy mi prosto w oczy. I znowu powtarza:

– Strasznie się boję. – Powoli podnosi rękę i wskazuje palcem na kalendarz.

Zdjęcie na styczeń przedstawia grób Kitty Jay przykryty śniegiem. I choć mamy już luty, wiem, że nigdy nie przewrócę tej kartki. Zawsze będzie styczeń. Tuż po tym, jak omal nie umarłam. Albo na chwilę przed tym, zanim umarłam.

– Czego się boisz, kochanie? Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. To tylko mgła.

– Pamiętasz, jak opowiadałaś o Kitty Jay tamtego dnia, kiedy wjechałaś samochodem do Burratora, mamusiu?

To stwierdzenie pojawia się znikąd. I nie wiem, co mam odpowiedzieć. Chociaż rozumiem, o czym mówi... O moim wierszu. O moim rzekomym liście samobójczym.

Uniesiona dłoń Lyli dygocze, zawieszona w powietrzu. Jakby miała straciła nad nią kontrolę, jakby ta dłoń nie należała już do jej ciała.

– Kitty Jay... Opowiedziałaś mi tę historię tamtego dnia, kiedy próbowałaś odejść na zawsze. Powiedziałaś, że napiszesz o tym wiersz...

– I napisałam.

– To mi coś przypomniało. Znowu to sobie przypomniałam. – Dłoń Lyli gwałtownie się trzęsie, jej usta poruszają się szybko, bezgłośnie. – Strasznie się boję, mamusiu, naprawdę strasznie się boję.

Wbija we mnie spojrzenie odważnych, niebieskich, pięknych oczu, tak podobnych do oczu jej ojca. Oczu jej pięknego, rozzłoszczonego ojca.

– Coś nadchodzi. Coś nadchodzi, żeby nas zabrać. Ktoś, kogo znasz.

– Ssz – uspokajam ją. – Ssz. Nie bądź głupiutka. Jesteśmy bezpieczne w naszym domu, a wkrótce będziemy w Brixham. Musimy tylko spakować kilka rzeczy i zaraz ruszamy.

– Ten wiersz, który miałaś zamiar napisać o Kitty Jay...

Druga dłoń Lyli unosi się w powietrzu, jakby moja córka była marionetką zawieszoną na żyłkach. Zachowuje się teraz jak wariatka, jakby była tak samo stuknięta jak jej matka. Matka, która prawdopodobnie wcale nie usiłowała popełnić samobójstwa. Być może powinnam być tym uszczęśliwiona, w końcu nie jestem aż takim złem wcielonym, taką egoistką, kobietą, która chciała porzucić swoją córkę... ale nie, to mnie wcale nie uszczęśliwia. Jestem równie przerażona jak Lyla.

– Mamusiu, przypomniałam sobie, co mi to przypominało. Kiedy tamtego dnia rozmawialiśmy o Kitty Jay, zapytałam, dlaczego babcia została tam rozrzucona, a ty powiedziałaś, że nie wiesz, bo przecież ona nigdy nie lubiła tej historii i nigdy nie lubiła tego grobu, i nigdy nie stawiała tam kwiatów tak jak inni ludzie, i opowiedziałaś mi tę legendę, a potem powiedziałaś, że może coś napiszesz, i poszłaś...

– Lyla. – Czuję dym. Odwracam się, patrzę na piecyk, ale wydaje się, że wszystko jest z nim w porządku. Dobrze. Może gdzieś w pobliżu wypalają trawy. – Lyla, myślę, że...

Lyla potrząsa głową. To jeden z jej wykładów.

– Mamusiu, przypomniałam sobie coś jeszcze. Tatusia. Widzę go, jak nachyla się nad łóżeczkiem i śpiewa mi tę piosenkę.

– Nad łóżeczkiem?

Pewnie to jedno z jej wyjątkowych wspomnień sprzed pierwszych urodzin. Mogła mieć wtedy dziewięć miesięcy, albo sześć, albo trzy...

– Tatuś śpiewa mi kołysankę, żebym zasnęła, ponieważ płaczę. A wiesz, co najpierw zaśpiewał? To była ta piosenka jego niani... – Zamyka oczy i śpiewa: – *Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy, błagam, błagam, nie zbliżaj się.* – Lyla milknie i patrzy się na mnie. – Myślę, że tatuś to śpiewał, bo jego niania umierała i był smutny... A potem zaśpiewał mi jeszcze jedną piosenkę. *Biedna Kitty Jay taka piękność porzucona na odludziu i, i, i...* – Lyla kręci lewą dłonią, bardzo delikatnie, prawą chowając pod stołem. – A kiedy skończył śpiewać tę piosenkę, powiedział do mnie: „Twoja babcia była taką Kitty Jay, porzuconą pięknnością”. Dlaczego on tak powiedział, mamusiu? Później tatuś jeszcze raz to zaśpiewał, ale jakoś inaczej: *Biedna Kitty Jay, jej dziecko porzucone, jej dziecko porzucone.* I spojrzał na mnie smutnym wzrokiem, a potem poszłam spać. Dlaczego on to wszystko zrobił?

Siedzę zdumiona.

– Nie mam pojęcia.

I naprawdę nie mam pojęcia. Jeszcze nie. Jednak kiełkuje mi w głowie pewna myśl. Jestem pewna, że Adam nigdy nie przypuszczał, że jego kilkumiesięczna córeczka będzie pamiętała cokolwiek z tego, co wtedy mówił. Więc mówił sam do siebie, kiedy śpiewał te pieśni, przyznając się do czegoś jedynie przed samym sobą.

Tylko do czego się przyznawał?

Lyla się trzęsie, cała się trzęsie.

– Mamusiu, strasznie się boję, bo on nadchodzi.

– Co?

Woń dymu staje się wyczuwalna. Jednak jestem skupiona na drżącej buzi mojej córeczki, która mówi dalej:

– Wiem, że mam Aspergera, wiem, że nie chcesz mi powiedzieć, wiem, że jestem inna, wiem, że mam synestezję. Wiem, że właśnie dlatego mam wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Przeczytałam o tym wszystkim, mamusiu, wiem, jacy są ludzie tacy jak ja i dlaczego robię te ruchy, które przerażają innych ludzi i dlatego mnie

nie lubią. Wiem, że miewam takie mimowolne ruchy i że to się nazywa stimowanie. Wiem, że nie potrafię zrozumieć ludzi ani przyjaciół, ani zabaw. Przeczytałam o tym wszystkim, ja to wszystko wiem. Szperam w Google'u i wiem, że u jednego i ośmiu dziesiątych procent badanych mężczyzn i chłopców oraz tylko u dwóch dziesiątych procent kobiet i dziewcząt diagnozuje się autyzm, ale u dziewcząt wygląda to inaczej, bo...

– Lyla! Przestań.

I przestaje. Nie odczuwa już potrzeby, żeby to z siebie wyrzucać. Pozwalam, żeby cisza wypełniła dom, kiedy w mojej głowie pojawiają się odpowiedzi. W końcu.

Być może rozwiązałam tę zagadkę. Zagadkę grobu Kitty Jay. Co chciała mi przekazać moja matka, każąc rozrzucić tam swoje prochy? To, że ona także się zakochała, być może zaszła w ciążę, choć i tak umierała na raka – zabiła się więc, zabijając zarazem dziecko w swoim łonie. Nie potrafiła mi o tym powiedzieć albo zbyt się tego wstydziła... Zawsze nienawidziła idei samobójstwa... Ale zostawiła wskazówki. Dlatego właśnie chciała, żeby rozrzucić tam jej prochy. Tam, gdzie pochowano samobójczynię, kobietę, która wstydziła się swojej ciąży.

Lyla trzęsie się jak galareta. Jakby czytała w moich myślach. Jestem przerażona jej słowami, jej ruchami, moimi myślami, moimi koncepcjami, tym, co sobie uświadomiłam, wszystkim.

– Mamusiu, teraz słyszę, że on jest bardzo blisko.

– Co? Kto taki?

Wiem wystarczająco dużo, żeby zaufać doskonałemu słuchowi Lyli. Sama słyszę jedynie nicość, mroczny szelest wypalanych traw, płonącego kolcolistu.

– On jest na podwórku. Słyszę, jak gałązki trzeszczą pod jego stopami, ten dźwięk ma rudawy odcień. On znowu zamierza to zrobić.

Biegnę do szuflady w kuchni, otwieram ją gwałtownym ruchem i szybko chwytam nóż. Największy, jaki mamy.

Kiedy podnoszę wzrok, dostrzegam, że mgła jest ciemniejsza niż zwykle, zabarwiona żółcią, dziwną błyszczącą żółcią w miejscu, w którym styka się z ziemią. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że to nie jest mgła. To dym zmieszany z mgłą i ogniem, palący się kolcolist i orlica.

Wypalanie traw wymknęło się spod kontroli. Pożar przesuwają się w górę ścieżki i zmierza w kierunku naszego domu. W oparach mgły pojawia się postać mężczyzny,

który idzie w stronę drzwi wejściowych. Wygląda upiornie i niepokojąco znajomo. Przerazająco znajomo. Ma charakterystyczne pełne usta mojej matki, jej rysy, wysokie czoło.

Jednak istnieje także inne, bliższe podobieństwo.

Spanikowana, wstrząśnięta, drżąca, wsuwam nóż do tylnej kieszeni dżinsów. Sekundę później mężczyzna kopniakiem otwiera drzwi. Patrzy na nas obie. Przypominam sobie teraz wyraźnie te niebieskie oczy i tę brutalną nienawiść.

Ma w ręce nóż, ostrze o wiele większe, o wiele bardziej niebezpieczne i o wiele bardziej błyszczące niż moje.

– Mogłabyś się przywitać – mówi bez uśmiechu. Patrzy uważnie na Lylę. – W końcu jestem twoim bratem. – A potem przenosi wzrok na mnie. – I twoim także.

Hotel Three Crowns Inn, Chagford

Wtorek rano

Tessa Kinnersley odłożyła telefon i utkwiała wzrok w trzaskających polanach płonących w trzynastowiecznym kominku. Świeżo zaparzona kawa wystygła. Odsunęła filizankę na bok i zastanowiła się.

Była pewna, że dokonała właściwego wyboru – pomogła Kath, proponując jej pobyt w Brixham. Ale co teraz powie Adamowi? Zadzwoił do niej dzisiejszego ranka, błagając o spotkanie. Przypuszczalnie chciał prosić Tessę, żeby interweniowała.

Nie zrobiłaby tego. Pomoc Kath i Lyli była w porządku, zaproponowała jej drogę ucieczki z wrzosowiska, bezpieczne schronienie. Jednak nie chciała jeszcze bardziej mieszać się w ich problemy – miała własne kłopoty małżeńskie.

Nie wspomniałaby również o tym, że Kath do niej dzwoniła. Nie bardzo wiedziała, jak ma sobie poradzić z Adamem Redwayem.

– Witaj.

Tessa się odwróciła.

Oto i on, wyciągający rękę na powitanie. Pomyślała, że wygląda na zmęczonego – zmęczonego, zrezygnowanego, słabego człowieka.

– Dziękuję, że tak szybko zgodziłaś się ze mną spotkać, mogę usiąść?

– Oczywiście.

Adam usiadł w dużym skórzanym fotelu z drugiej strony kominka. Hotelowy bar świecił pustkami, tylko kilkoro mieszkańców piło kawę – było jeszcze zbyt wcześnie na lunch albo drinka.

Patrzyła na niego, podczas gdy on rozglądał się dookoła.

– Przychodziłem tutaj, kiedy byłem dzieciakiem – wyjaśnił, snując wspomnienia. –

Pozwalali nam pić alkohol, chociaż byliśmy nieletni. Wątpię, czy teraz tak robią, nazbyt tu elegancko. – W jego uśmiechu pojawił się cień żalu. – Podobnie jak wszędzie indziej w Chagford. Widziałaś sklep z winami obok? Wygląda jak wyjęty z Londynu. Teraz wszyscy w Chagford wyglądają, jakby byli z Londynu. – Przetarł twarz dłońmi i zapytał: – Co cię tutaj sprowadza, Tesso?

– Przyjaciółka z Londynu.

– Aha. – Spłonął rumieńcem. – Przepraszam. Nie chciałem nikogo urazić. Boże, ciągle popełniam gafy.

Tessa spojrzała na nieuczesane włosy Adama i wystającą spod polaru byle jak wyprasowaną koszulę. Przypominał typowego mężczyznę rzuconego przez żonę. Załamany. Zaniedbany. Ale przynajmniej potrafił z klasą wyglądać koszmarnie. Zastanawiała się, jak teraz wygląda Dan. Pracuje w swoim pokoju hotelowym w Londynie. Zapewne wynajął sobie kosztowny apartament, ma na sobie olśniewającą białą koszulę, jedwabny krawat i uśmiech – śmieje się, rozmawiając przez telefon. Być może z tą dziewczyną...

– Twoja przyjaciółka jest tutaj na wakacjach?

Adam próbował być życzliwy, ale sprawiało to raczej przykre wrażenie.

– Tak. Jesteśmy umówione na lunch w Gidleigh. Potrzebuję jej porady – wyjaśniła Tessa. – To prawniczka od rozwodów.

Adam znowu się zaczerwienił.

Tessa mówiła dalej:

– Adamie, nie chcę być niegrzeczna, ale nie mam dużo czasu, a sytuacja jest dość kłopotliwa. Z uwagi na Dana i dlatego, że jestem zaprzyjaźniona z Kath. Ze wszystkich tych powodów, które dobrze znasz. – Zawiesiła głos. – Naprawdę chcę wam pomóc, kochani, w każdy możliwy sposób, ale nie jestem pewna, jak miałabym to zrobić. Poza tym jestem zajęta.

– Wiem i przepraszam, Tesso. Wiem, że to moje małżeństwo. I nie twoja sprawa.

– Dlaczego więc chciałeś się ze mną spotkać?

Adam się zawahał. Wyglądał na dziwnie zdenerwowanego. Uciekał wzrokiem, ślizgając się spojrzeniem po kamieniach kominka, olbrzymich żelaznych szczypcach, potężnym żelaznym rożnie, na którym niegdyś pieczono całe świnie. Przypominał olbrzymie narzędzie tortur.

Adam przeniósł wzrok z powrotem na Tessę.

– Chcę ci powiedzieć prawdę o przeszłości. Czy to ma sens? Chcę ci o tym powiedzieć, Tesso, żebyś mogła przekazać to Kath... i opowiedzieć Danowi, jeśli już o nim mowa. Żebym mógł oczyścić z hańby swoje imię. Sam powiedziałbym o tym Kath, ale nie chce się ze mną spotkać, nie odbiera nawet moich telefonów.

– W porządku. – Tessa spojrzała na zegarek, wyraźnie dając mu tym do zrozumienia,

że ma się pośpieszyć.

Chrząknął.

– To trudne... – wydusił z siebie w końcu. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

– Będziesz musiał spróbować. Albo to nie ma sensu.

– Wiem. – Wziął głęboki oddech. – Dobrze. Widzisz, to wszystko jest związane z tym szalonym pomysłem, że to ja... zaatakowałem Kath tamtego wieczoru, kiedy zrobiła to, co zrobiła. Jakimś sposobem ten pomysł utkwiał w głowie Lyli. Twierdzi, że byłem w tamtym samochodzie. Twierdzi, że widziała mnie tam.

– Tak. Słyszałam. – Tessa starała się zachować beznamiętny ton głosu. Neutralny. Wysłucha go, ale nic więcej.

– Tesso... – Patrzył na nią błagalnie swoimi niebieskimi oczami. – Tesso, to bezsens. Bzdury. Mogła mnie pomylić z kimś innym z powodu swojego stanu, swoich zaburzeń, tego nie wiemy. Ale to brednie. Wszystko. Wcale nie wróciłem do Huckerby tamtego wieczoru. Nie byłem w tamtym samochodzie. Cały tydzień spędziłem w Manaton, dopóki nie zadzwonili do mnie ze szpitala. – Przez chwilę się zawahał, po czym dodał: – To prawda, że tamtego popołudnia, kiedy wjechała samochodem do Burratora, wyskoczyłem na parę piw do Warren House, nie było tam zasięgu, a potem wróciłem do chaty, prowadząc samochód po pijanemu. Nikomu o tym nie mówiłem, w przeciwnym bowiem razie straciłbym wszystko. Samochód, pracę, pieniądze, wszystko. Do tego jeszcze ten wypadek... Bylibyśmy skończeni. To nie miało sensu.

– Dobrze...

Teraz dostrzegła w jego spojrzeniu rozpacz.

– Uwierz mi! Proszę! Ktoś musi mi uwierzyć. Nie miałem nic wspólnego z wypadkiem Kath. Nie było mnie tam.

– Rozumiem.

Adam gwałtownie podniósł ręce w obronnym geście, jakby Tessa wymierzyła w niego broń.

– Nie, nie rozumiesz. Ponieważ istnieje coś jeszcze, coś ważnego. Kłamałem też w innej sprawie. W kwestii przeszłości. W sprawie matki Kath...

Tessa pochyła się do przodu. To było coś nowego. Co on zamierzał powiedzieć?

Adam potrząsnął głową.

– Prawda jest taka, że coś... coś się wydarzyło. I dotyczy to naszej trójki. Dawno temu... zrobiłem coś... coś bardzo głupiego. Uprawiałem seks z Penny Kinnersley. –

Zrobił się czerwony jak burak, ale mówił dalej: – To była tylko jedna noc! Miałem dziewiętnaście lat, cholerne dziewiętnaście lat... Byłem jeszcze szczeniakiem. Kath studiowała na pierwszym roku, mieszkała w akademiku, chodziliśmy ze sobą, pracowałem, ale to był dopiero mój pierwszy rok pracy. Byłem taki cholernie naiwny. Nie miałem nawet dwudziestu lat. Pewnej nocy, tutaj w Chagford, bo tutaj zawsze tańczyli, pili, a właściwie chlali przez całą noc, skończyłem sam na sam z matką Kath.

Znów potrząsnął głową.

– Wszyscy byli uchłani. Tradycyjne obchody pierwszego dnia wiosny, mnóstwo ludzi z Londynu, wszyscy ubrani na zielono, brali LSD, wymachiwali pogańskimi kwiatami w Scorhill i tym podobne rzeczy... Penny nocowała w Ring O’Bells, a ja usiłowałem być szarmancki i zaproponowałem, że ją odprowadzę przez te ciemności. Była piękna noc, ciepła i słodka, a ja chciałem jej zaimponować, być rycerski, pokazać, że będę dobrym mężem dla Kath, to wszystko... i...

Adam na sekundę ukrył twarz w dłoniach. Potem podniósł wzrok i utkwiał swoje niebieskie oczy w Tessie.

– Zrobiła to w drodze powrotnej do pubu. Uwiodła mnie. Tak po prostu. Byłem pijany, a ona była atrakcyjną kobietą, bardzo bezpośrednią. Wiedziała dokładnie, co robi... miała przecież tylu mężczyzn. Wzięła mnie za rękę, a potem pocałowała, poszliśmy do jej pokoju... Byłem pijany... I zrobiliśmy to... Tyle.

Spojrzenie Adama było natarczywe.

– To była tylko jedna głupia noc po pijanemu. Nikt o tym nie wiedział, nikt tego nie widział poza Jackiem Bryantem, moim kuzynem, który pije zwykle w Warren House. Tamtego wieczoru był w Ring O’Bells, widział, jak się do mnie przystawiała, właściwie widział, jak zaciągnęła mnie do pokoju... dosłownie zaciągnęła... Nigdy nie pisnął ani słowa na ten temat. Może i jest łobuzem, ale nie zupełnym draniem. W końcu to rodzina. Zachował to w tajemnicy.

Adam przeczesał palcami włosy, jakby chciał pozbyć się z nich poczucia winy.

– W każdym razie, gdy tylko obudziłem się nazajutrz rano, strasznie tego żałowałem, całym sercem, ponieważ naprawdę byłem zakochany w Kath. Ubrałem się więc i zostawiłem tam Penny. Przysięgłem sobie, że już nigdy więcej nie dotknę żadnej innej kobiety. – Znowu głęboko westchnął. – Jednak po tamtej nocy Penny ciągle do tego wracała. Chciała ode mnie czegoś więcej, chciała prawdziwego związku. Powiedziała, że się zakochała. Powiedziała, że jestem duszą wrzosowiska, Zielonym

Człowiekiem... i takie tam bzdury... sam już nie wiem. Powiedziała, że pocznie święte dziecko. Kompletne wariactwo. Odrzuciłem ją. Powiedziałem, żeby zostawiła mnie w spokoju, powiedziałem, że jestem zakochany w Kath, a potem wyznałem, że jesteśmy zaręczeni. To wtedy Penny uciekła do Indii, wściekła, oszalała, może już wtedy miała raka, kto wie... To wszystko, Tesso. Wszystko, co się wydarzyło. Jedna noc z kobietą, która chciała czegoś więcej – mówił cichym, smutnym głosem. – Ale teraz wydaje się, że powinienem być potępiony, powinienem stracić żonę i córkę za to, co zrobiłem pewnej nocy po pijaku, dawno temu, gdy miałem dziewiętnaście lat. Czy to sprawiedliwe?

Tessa milczała. Unikała odpowiedzi. Jednak w głębi duszy pomyślała: *Oto mężczyzna, który mówi prawdę.* I zapewne miał rację. Nikt nie powinien tracić wszystkiego z powodu jednego błędu, który popełnił tyle lat temu.

Adam przerwał ciszę:

– Wkrótce potem Penny umarła, odeszła tak szybko. Ale kiedy... – Pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć we własną historię. – Ale kiedy poleciliśmy z Danem zabrać jej prochy, zastaliśmy te listy... Do mnie i do niego. Mogę jedynie domyślać się tego, co napisała do Dana. Bo to, co napisała do mnie, było potworne. Albo jeszcze gorzej. Odrażające.

Tessa spojrzała na niego sceptycznie, ale z zaciekawieniem.

– Pod jakim względem?

– Z listu ziało nienawiścią. Napisała, że tamtej nocy zaszła ze mną w ciążę i że pozbyła się tego dziecka. Napisała, że miała takie poczucie winy z powodu tego, co zrobiła, że odebrała mu życie. Naprawdę. Tak napisała. Obarczała mnie winą za swoją śmierć. To było chore. Naprawdę chore. Chyba nienawidziła mnie za to, że ją odrzuciłem. Próbowwała mnie jak najbardziej zranić. Chciała się na mnie odegrać. – Adam zmarszczył brwi, a w jego głosie słychać było coraz większą moc i złość. – O mało co nie spaliłem tego listu. Jednak nie zrobiłem tego. I teraz się z tego cieszę. Mam go tutaj. Popatrz.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomietaną kopertę, a z niej kawałek papieru. Podał jej list. Zmięty i pożółkły ze starości miał odcień kawy z mlekiem, ale wciąż był doskonale czytelny. Tessa przeczytała każde słowo, każde kipiące złością zdanie potwierdzające to, co powiedział Adam. List został nabazgrany drżącą ręką, i były to oszalałe słowa umierającej kobiety. Czy ta nienawiść wybuchła z powodu raka w głowie Penny? Czy

też był to groźny obłąd, perfidia, odsłaniające jej prawdziwą naturę?

– Rozumiesz teraz, co miałem na myśli? – zapytał Adam. – Ona była stuknięta. To wszystko w tym temacie. Wiem, że Kath naprawdę kochała swoją matkę, wiem, że nadal za nią tęskni, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka naprawdę była... ta cholerna jędza, opętana na punkcie seksu i tego, co mogła z jego pomocą osiągnąć. Była złem wcielonym. Lubiała zadawać cierpienie, bawić się w te okrutne gierki emocjonalne, manipulować wszystkimi dookoła. I była w tym świetna. Manipulowała w sprawie tych listów, spadku... Zapisała Danowi dom, a Kath pozostawiła z niczym. Zrobiła to, żeby zranić i mnie, i Kath. Upłynęło tyle lat, a jej egoizm wciąż nas rani. Ona nadal nas niszczy. Czy próba samobójcza Kath była z tym w jakiś sposób związana? Nie wiem. Wciąż tego nie wiem...

Odchylił się w fotelu i odetchnął głęboko. Zrobił swoje. Wyglądał na spokojniejszego.

– Oto moje wyznanie, Tesso. Tak było. Jako nastolatek popełniłem jeden głupi błąd. Dałem się wykorzystać starszej od siebie kobiecie, manipulantce, a teraz cierpimy za to wszyscy.

Rozległo się znajome pikanie. Przyszła wiadomość. Adam wyjął telefon z kieszeni. Teraz zmarszczył brwi nie ze złości, ale z lekkiego niepokoju.

– Muszę jechać, przepraszam. Dziwne...

– Co? Co się dzieje?

– Wypalanie traw – powiedział jakby do siebie. – Na całym terenie? W Cherry Brook też? Bardzo dziwne.

Zanim Tessa zdążyła zadać kolejne pytanie, wstał i szybkim krokiem wyszedł z tego zabytkowego hotelu. Przez otwarte drzwi wpadł powiew lodowatego wiatru. Średniowieczny gobelin przedstawiający Niebo i Piekło zatrzepotał na wietrze, wprawiając szatana z widłami w taniec, jakby ten – w końcu – obudził się do życia.

Dartmoor

Wtorek rano

Adam pędził jak szalony z Chagford, osiemdziesiąt na godzinę, przekraczając dozwoloną prędkość, kiedy gwałtownie wpadał w zakręty wąskiej drogi prowadzącej przez wrzosowiska. Miał to gdzieś. Wypalanie traw, które wymknęło się spod kontroli, mogło być naprawdę niebezpieczne. Co prawda ten teren nie należał do jego rewiru, ale były to jego wrzosowiska i jego przyjaciele. Musiał im pomóc.

Jechał głębokimi dolinami, pośród wrzosowisk porośniętych gęstą roślinnością, gdzie nie było zasięgu. W końcu, po piętnastu albo dwudziestu minutach, telefon komórkowy Adama zabrzączał sześć czy siedem razy. Wiadomości. Ustawily się w kolejce, czekając, aż je przeczyta. Pilne wiadomości od przyjaciół, kolegów, strażników...

Kłopoty w SW teraz. Sherberton.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli, Combestone. Czy ktoś może sprawdzić wiatr w prognozie pogody?

Wioska Hexworthy. Zgłoszono pożar obok kościoła.

Hexworthy? To w pobliżu Huckerby – Lyla i Kath są zbyt blisko. Tymczasem on wciąż był tak daleko. Musiał przejechać na drugą stronę wrzosowisk. Jak szybko mógł jechać, nie narażając się na ryzyko? Miał spocone dłonie, kiedy wchodził w zakręty z niebezpieczną prędkością. A potem, właśnie kiedy wpadał w zakręt na kolejnym maleńkim mostku, dostał jeszcze jedną wiadomość. Ze zdjęciem w załączniku. Zerknął na ekran telefonu i ta wiadomość sprawiła, że niemalże wjechał prosto w jakiś mur.

Została wysłana jakieś trzydzieści minut temu.

Cześć, Tato,

pomyślałem, że zasługujesz chociaż na tę wiadomość. I zdjęcie. Zanim one umrą. A więc

proszę bardzo.

Wiem, że mnie nie znasz, a tak naprawdę powinienes. Ponieważ to ty mnie zrobiłeś. Kiedy zgwałciłeś moją mamę. Moją mamę, która zwyczajnie mnie porzuciła. Ponieważ jest wiedźmą, ponieważ one wszystkie są wiedźmami. Dlatego właśnie mam zamiar je zabić, zabić moje siostry, zabić i zgwałcić twoją Kath i twoją Lylę. Sfilmuję to dla ciebie. Dobrze? Prześlę ci filmik na twój telefon, Tatusiu.

Przesyłam pierwsze zdjęcie. Będzie więcej, więc możesz zwolnić. Wiem, skąd teraz jedziesz samochodem. Ale nie dasz rady. Włączyłem aplikację Findyourphone. Wiem, że jesteś w Chagford. To godzinę jazdy stąd, nie masz więc czasu, żeby pomóc, Tatusiu. Spóźniłeś się, Tato.

Więc pożegnaj się z nimi, zanim poćwiartuję je na kawałki. Tak zabijają wiedźmy na Grenlandii, wiedziałeś? Przeczytałem o tym w jednej z książek mamusi.

Adam poczuł mdłości. Zdjęcie przyszło na jego telefon z wesołym brzęczeniem. Adam spojrzał na nie zrozpaczony. To było selfie. Najwyraźniej zrobione w kuchni ich domu w Huckerby selfie przedstawiało Lylę przywiązaną do krzesła, a obok stał uśmiechający się półgębkiem młody mężczyzna. Miał podbródek Penny Kinnersley, podobny kształt żuchwy, charakterystyczne usta. Pełne, nawet obfite. Jednak był uderzająco podobny do Adama. Włosy Adama, oczy Adama, geny Adama. Niemalże jego sobowtór.

Młody mężczyzna na selfie najwyraźniej był jego dorosłym synem urodzonym przez Penny Kinnersley. To on przywiązał Lylę do krzesła i przystawił do jej bladego, dziesięcioletniego gardła wielki nóż.

Jakby za chwilę miała zostać poćwiartowana na kawałki. Dzisiaj, wczesnym rankiem. Czyli wiadomość była już nieaktualna... Adam wcisnął pedał gazu w podłogę. Sto trzydzieści kilometrów na godzinę, sto czterdzieści...

Huckerby

Wtorek rano

– A więc znowu się spotykamy, Katarina.

Wchodzi do kuchni, jakby wpadł na kawę i ciasteczka z kawałkami czekolady. Uśmiecha się uśmiechem mojej matki. Trzyma w ręce nóż. Celuje we mnie jego błyszczącym czubkiem.

– Masz komórkę?

Kiwam głową w milczeniu.

– Przesuń ją w moją stronę.

Robię, co każe. Wyjmuję komórkę z kieszeni i przesuвам ją po kuchennym blacie. Bierze ją do ręki, spogląda na ekran, czyta, naciska przyciski. Wpatruje się bardzo uważnie w ekran. Ciekawe, czy używa tej aplikacji. Findyourphone. Ocenia, jak daleko może być Adam. Może już się czegoś domyśla.

Wyjmuje swój telefon i wpisuje numer, ale go nie wybiera. A potem ciska moją komórką o twardą drewnianą powierzchnię, rozbijając ją na kawałki. Odłamki plastiku i metalu spadają z łoskotem do zlewu, na podłogę.

Teraz wymierza koniuszek noża w kuchenny blat.

– Obie, siadać!

Spoglądam na Lylę, która stoi pod kalendarzem, pod śniegiem grobu Kitty Jay, pod czerwonymi kwiatami na bieli. Stoi nieruchoma niczym posąg. Jediną oznaką lęku jest drżenie w kąciку jej ust.

– Rób, co mówi, Lyla. Proszę, kochanie. Po prostu rób, co każe.

Przesuwamy się w stronę stołu, skrzypiąc krzesłami o podłogę. Powoli siadamy. Czuję w tylnej kieszeni ucisk kuchennego noża do mięsa. Ale czy będę miała szansę zrobić z niego użytek?

Mężczyzna siedzi tam w milczeniu. Najwyraźniej czeka, myśli.

Jest wysoki, ma z metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Umieśniony. Dobrze zbudowany. Jest silny jak na swój wiek, bo musi mieć osiemnaście albo dziewiętnaście lat, chociaż mógłby uchodzić za dwudziestopięcio-, a nawet dwudziestoośmiolatka. Wygląda na

o wiele starszego, podobnie jak jego tata wygląda na o wiele młodszego.

Jego tata...

Ostatni błyszczący element kolorowego szkła zostaje wprawiony w ołowiane ramki witrażowego okna. Cała historia jest wyjaśniona.

Nawet jeśli wcześniej byłam już blisko, dopiero teraz widzę ją w całości.

Moja matka musiała mieć dziecko z Adamem, dziecko z nieprawego łoża, podobne jak Kitty Jay... i zabiła się, też dokładnie tak jak Kitty Jay. Bo miała raka i nie mogła zaopiekować się tym biednym dzieckiem. Dlatego właśnie poprosiła, żeby rozsypać jej prochy na grobie Kitty Jay. Została zapłodniona przez Zielonego Człowieka, mojego mężczyznę z wrzosowiska, mojego męża.

Moją matką była Kitty Jay, ale ona nie pozbyła się swojej piękności, pozbyła się swojego dziecka poczętego z Adamem. To był syn. I ten syn teraz stał się mężczyzną. A ten mężczyzna zamieszkał na dziko na wrzosowisku, zamazał moją twarz na fotografii i pojawił się tutaj, żeby się zemścić.

Teraz ten przystojny, niezrównoważony i przepełniony złością młody mężczyzna siedzi po drugiej stronie naszego stołu kuchennego i czeka, zastanawiając się nad czymś. Nikt się nie rusza. W mojej głowie roi się od myśli.

Powoli pochyla się nad stołem naprzeciw nas. Przez cały czas się uśmiecha. Jego uśmiech, kształt ust, bardzo przypomina uśmiech mojej matki, ale teraz dostrzegam, że jest też troszeczkę podobny do uśmiechu Lyli, kiedy ta ma wyjątkowo silny atak. Lekki grymas, zastygły i nienaturalny, próbujący wyrazić jakieś emocje albo ukryć inne.

– Niezły pożar, co? – mówi. – Wpadłem na to któregoś dnia. Pomyślałem, że mógłbym to wykorzystać. Widziałem, że Adam... tatuś... wyjechał, i widziałem, że robią te podpalenia... jak to się nazywa... wypalanie traw, tak? Zresztą nieważne. Czuję, że to będzie doskonały pomysł. Musiałem spróbować swoich sił w starciu z wami. Z wiedźmami. Dokończyć to, co prawie udało mi się zrobić nad Burratorem. Znowu cię zgwałcić, tak samo jak on zgwałcił mamę. A potem was zabić. Poćwiartuję was obie na kawałki. I nikt mi w tym nie przeszkodzi dzięki temu pożarowi. Bo rozpalilem ogniska wszędzie. Wszędzie! Będą całkowicie zdezorientowani. Nawet nie będą wiedzieć, że tutaj jesteśmy, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Lyla spazmatycznie wymachuje prawą ręką w powietrzu. Stimuje. Mały ptaszek, który próbuje uciec.

On się jej przygląda.

– Widziałaś mnie, prawda? W oddali. Widywałaś mnie czasami na wrzosowiskach. Widziałaś mnie w Hobajob. A może widziałaś też, jak wchodziłem do domu, jak kradłem rzeczy? Ale nie mogłaś tego zrozumieć, prawda? Ponieważ do złudzenia przypominam tatę. – Uśmiecha się bezlitośnie i triumfalnie. – Zrobiłem to celowo, siostrzyczko, pozwoliłem, żebyś mnie zobaczyła, by cię zmylić. No i ułożyłem dla ciebie te wzory na wrzosowisku, wzory, które naśladowałaś, ale których także nie rozumiałaś. Teraz to rozumiesz, prawda?

Lyla milczy. Uświadamiam sobie, że miałam rację – prozopagnozja. Lyla musi mieć to zaburzenie – ale w łagodnej postaci, ponieważ wcześniej tego nie zauważyliśmy. A jednak jej stan był na tyle zaawansowany, by wywołać całe to zamieszanie. Doprowadzając nas tutaj, do tej kuchni, do tej beznadziejnie smutnej sceny.

Mój brat wzdycha, nazbyt przesadnie. A potem patrzy na mnie.

– Ona jest bardzo poważnym przypadkiem, ma dość zaawansowane spektrum. Czy już ją zdiagnozowaliście? Hm? Nie? No więc ja muszę postawić jej diagnozę, Katarino. – Cmoka z niezadowoleniem. – Najwyraźniej ma autyzm, zespół Aspergera... Dziwoląg bez przyjaciół. To okrutne, pozostawiać ją tak długo bez etykiety. Mnie też powinni byli przebadać. Może zapisaliby mi jakieś leki. Opowiadałem ci o tym wszystkim w tamtym cholernym aucie, pamiętasz? Ale teraz jest już za późno. – Rzuca mi spojrzenie, twarde i przenikliwe. – Nawet jeśli tego nie pamiętałaś, myślę, że teraz wszystko sobie przypominasz, prawda?

I ma rację. Przypominam sobie. Wraca do mnie zapach zimowego wiciokrzewu, a wraz z nim wszystko sobie przypominam. Cały tamten dzień.

Poczułam się taka znudzona i taka samotna. Spędzałam całe dni w deszczowym zimowym Huckerby, sama z Lylą, próbując ją zabawiać. Potem nadszedł ten dzień, kiedy rozmawialiśmy o Kitty Jay i sprawy posunęły się za daleko. Wysłałam ją więc do cioci Emmy, a sama pojechałam do Two Bridges na drinka. Potrzebowałam towarzystwa dorosłych osób, potrzebowałam kieliszka wina. Czegokolwiek. Pamiętam, jak przez kilka minut siedziałam dyskretnie w ciasnym kącie, patrząc na kawałek mojego głupawego wiersza. A potem zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia – zła, egoistyczna matka, która wysyła gdzieś swoją córkę, żeby pojechać na drinka w ciągu dnia? – i wybiegłam z pubu, wypiwszy zaledwie pół kieliszka.

To wtedy zobaczyłam mojego brata, ale nie chciałam, żeby on zobaczył mnie. Złą matkę. Ulotniłam się więc, żeby mnie nie zauważył.

Z hotelu Two Bridges wróciłam do domu. Może wypiałam jeszcze jeden kieliszek wina... A potem – nieoczekiwana wizyta. Młodego, przystojnego mężczyzny z tym znaczącym, czarującym uśmiechem mojej matki. Z wydatnymi ustami. Tak bardzo charakterystycznymi. Oczywiście na jego twarzy, w jego posturze, w jego chodzie dostrzegłam jeszcze bardziej uderzające podobieństwo – podobieństwo do Adama. Coś mnie jednak wtedy zaślepiło. Może pociągał mnie seksualnie, z czego nie zdawałam sobie sprawy, bo taka prawda za bardzo naruszała tabu, żeby się do niej przyznać. A może to wszystko zakrawało na absurd?

Jednak cała tajemnica była właśnie tam, ukryta na widoku.

Zyskałam w jego osobie towarzystwo i wypiliśmy więcej wina, wydawał się taki czarujący... Przede wszystkim opowiedział mi tę wyjątkową historię, zadziwiającą i piękną opowieść o tym, jak moja matka urodziła dziecko, Lucasa, Luke'a Kinnersleya, dziecko, które oddała. I tym dzieckiem był właśnie on. Czyli Luke był moim bratem, przyrodnim bratem, który powstał z umarłych, wrócił z Indii. Pożegnalny prezent od mojej szalonej, zwariowanej, ślicznej i ekscentrycznej matki.

Nie opowiedział mi jednak wszystkiego. Nie zdradził imienia i nazwiska swojego ojca. Adama Redwaya. W końcu moja matka miała tylu mężczyzn...

Padliśmy sobie w objęcia, tamtego popołudnia, brat i siostra na nowo połączeni.

Potem powiedział, że wróci wieczorem i opowie mi pozostałą część tej historii. Oczywiście zrobił to, żeby wykonać swój plan pod osłoną nocy. Byłam podekscytowana. Jak nastolatka. Nowy brat! Przystojny młodszy brat! Przystojny młody wujek dla Lyli! Dlatego powiedziałam Emmie, że jadę się spotkać ze swoim bratem. Wcale nie kłamałam. Tyle że ten brat był jednocześnie bratem Lyli...

Zrobiłam się na bóstwo i wysłałam Lylę ponownie do Spaldingów. Mój nowy brat Luke przyjechał o dwudziestej pierwszej, poprosił mnie, żebym zawiozła go w miejsce, które zna, w stronę dawnego gospodarstwa Conybeerów. Tam jednak wszystko się zmieniło. Poczułam zagrożenie, poczułam jego dziwność.

Wtedy wyciągnął nóż i zmusił mnie, żebym jechała dalej. W trakcie jazdy opowiedział mi resztę swojej toksycznej historii, tak żałośnie, że najwyraźniej mówił prawdę. O tym, jak moja matka oddała go hippisom w aśramie, idiotom, ćpunom, nierobom, próżnym, głupim marzycielom takim jak ona, którzy bez przekonania poddawali go edukacji domowej, pozwalali mu pić alkohol w wieku dziesięciu lat i palić trawkę w wieku jedenastu. Poza tym go zaniedbywali. Urządzali orgie w domu,

a on wałęsał się, nieumyty, niechciany...

A teraz młodszy syn mojej matki przemawia. Tutaj, w naszej kuchni, a spod drzwi wejściowych sączy się dym z płonących traw.

– Teraz już wszystko rozumiesz?

Uśmiecha się. Jednak to smutny uśmiech. Prawie mi go żal. Bo to przecież nie jego wina.

– Prawie wszystko – odpowiadam. I nie kłamię. Dopasowuję ostatnie elementy układanki.

Kiedy siedzieliśmy w samochodzie, przy tym zimowym wiciokrzewie, opowiedział mi również o tym, jak w wieku piętnastu lat zaczął się tak źle zachowywać, że jego nieodpowiedzialni rodzice adopcyjni go wyrzucili, zostawili samego na świecie z listem od biologicznej matki. Ten list, w którym wyjawiała mu prawdę, czekał na właściwy moment. Napisała w nim, że był owocem gwałtu. Zgwałcił ją mężczyzna, który nazywał się Adam Redway i mieszkał w Dartmoor w hrabstwie Devon, w Anglii, w Wielkiej Brytanii.

Jedź i zemścij się.

Więc w końcu przyjechał, żeby zemścić się na Adamie. By zgwałcić jego żonę, zabić dziecko, zrobić to, co najbardziej go zaboli.

Kiedy tak siedzę, sparaliżowana strachem, czując ostrze noża w tylnej kieszeni, zastanawiam się nad tym, czy Adam naprawdę ją zgwałcił. Moją zabawną, śliczną, egoistyczną, prowadzącą bogate życie erotyczne matkę. Przypominam sobie, jak spoglądała na mojego przystojnego chłopaka, i nagle zaczynam się zastanawiać, czy czasem to nie ona przystawiała się do Adama... Podczas wszystkich tych wieczorów, które spędzała w Chagford, w tych samych pubach, stawiając drinki wszystkim, w tym Adamowi, nawet wówczas, gdy byłam daleko w Exeter, studiując i ucząc się tak sumiennie i naiwnie w moim akademiku.

Luke mówi, jakby czytał w moich myślach:

– Pamiętasz ten gwałt, Kath?

– Tak.

– To dobrze. Bo mam pytanie. Szczytowałaś? Przez cały czas się nad tym zastanawiam. To znaczy wiem, że byłem troszeczkę brutalny, że musiałem ci siłą rozkładać nogi, żeby dostać się do twojej pieprzonej cipki, przystawiając ci jednocześnie nóż do gardła, ale... – Przechyliła głowę na bok. – Co miało znaczyć to

drzenie? Tego nie da się udawać.

Milknie. Dłoń Lyli trzęsie się zawieszona w powietrzu, a ja próbuję ukryć to, że także dygoczę. Luke wygląda, jakby czerpał prawdziwą przyjemność z naszego lęku w tych ostatnich chwilach, jakby rozkoszował się tym przerażeniem. Nie przyszedł tutaj, żeby dodać coś jeszcze do swojej historii. Najwyraźniej przyszedł, żeby znowu mnie zgwałcić. Zapewne żeby zgwałcić też Lylę. A potem obie nas zamordować. Chce najgorszej zemsty na Adamie. Zabicie samego Adama by mu nie wystarczyło.

Zastanawiam się, czy on naprawdę wierzy w to, że obie jesteśmy wiedźmami. Moja matka zawsze chciała wierzyć w istnienie wiedźm.

Luke mruga do Lyli. Teraz jest wesoły, zabawny. Wujek Luke szubrawiec. A równocześnie jej przyrodni brat. Wujek Luke ze swoim nożem, za pomocą którego, wkrótce – czego jestem pewna – poderżnie gardło mojej córce.

Wyraźnie widzę to w wyobraźni. Widzę, jak podnosi ją, trzymając za czarne włosy, podcina jej gardło, sprawiając, że krew bryzga po kuchennym stole. Ciało mojej córki osuwa się na podłogę, wykrwawia się niczym tamta owca w Vitifer Leat. Krew kapie na ziemię, powoli, powoli, powoli. Sznur miniaturowych czerwonych klejnotów.

Lyla opuszcza dłoń, ale bezgłośnie porusza ustami.

Luke się uśmiecha.

– Cześć, mała Lylo. Na pewno wiesz, że autyzm i schizofrenia mają ze sobą wiele wspólnego? To wskazuje na genetyczne pokrewieństwo. Sprawdziłem to. Zabawne, co? Jesteśmy ze sobą blisko spokrewnieni. Szkoda, że nie będziemy mieć więcej czasu, żeby się lepiej poznać. Na pewno wiesz, że wyglądasz jak ryba, kiedy tak się gapisz z rozdziawioną buzią, prawda?

Odchyła się do tyłu, taksując nas wzrokiem. Czeka, odwołując to najboleśniej, jak tylko się da.

– Dobrze, myślę, że teraz jesteśmy już gotowi.

Nagle Lyla krzyczy na niego:

– Nie wolno ci tknąć mojej mamusi! Nie wolno ci tknąć mojej mamusi!

Luke znowu wybucha śmiechem – na wpół znudzony, na wpół rozbawiony. Słyszę w tym nutkę charakterystycznego śmiechu mojej matki. Wielkopańskiego. Beztroskiego.

– A co ty mi, kurwa, możesz zrobić, siostrzyczko? Cisnąć we mnie swoimi rupieciami? Rzucić na mnie magiczne zaklęcie za pomocą swoich martwych ptaków?

Mogę najpierw zgwałcić twoją mamusię i zabić ją na twoich oczach albo zabić ciebie, a potem ją zgwałcić, albo zgwałcę was obie i zabiję, ćwiartując na maleńkie maleńkie maleńkie kawałeczki... Urządzimy sobie wielką zajebistą imprezę, dom się spali, razem z wami w środku... a ja ucieknę, zniknę pośród trzęsawisk, dając tacie czas, żeby tutaj dotarł. – Teraz jego śmiech przypomina szczenie, odgłos, jaki niekiedy wydaje z siebie Lyla.

Przypominam sobie, że tak samo się śmiał, kiedy piliśmy razem tamtego popołudnia. Znowu powracają do mnie wspomnienia. Jak to zrobił, jak musiał to zrobić. Jak zobaczył mój wiersz na stole, a ja opowiedziałam mu całą historię o Kitty Jay – szczególnie o grobie, gdzie prochy jego matki zostały rozrzucone na dartmoorskim wietrze.

Musiał sobie skojarzyć, że ten mój krótki wierszyk przypominał list samobójczy. Musiał dostrzec w tym szansę.

Zgwałcił mnie więc i zmusił, żebym wjechała samochodem do zalewu, schowany na tylnym siedzeniu, żeby nikt go nie zobaczył, przystawiał mi nóż do gardła. Najwyraźniej miał zamiar mnie ogłuszyć w tym samochodzie, kiedy wjeżdżaliśmy do wody. Utopić mnie i odpłynąć. Wtedy miałby czas, żeby wrócić po Lylę. Bez cienia podejrzenia o morderstwo.

Jednak miał pecha. Bo uciekłam.

Ale tym razem nie uda mi się uciec. Lyla to przewidziała. Niebieski płomień się zbliża. Zbliża się moja śmierć. I śmierć mojej córki. A to jest znacznie gorsze.

Mój brat przygląda mi się, po czym przenosi wzrok na Lylę.

– Dobrze, Lyla, dość już tego. Mam zamiar teraz cię przywiązać, siostrzyczko. Przestań jak idiotka wymachiwać tymi cholernymi rękami... Potem się zabawimy.

Wstaje. Lyla zrywa się i wycofuje. Szybciej, niż byłabym w stanie to sobie wyobrazić. Luke gwałtownie rzuca się w jej kierunku i chwyta ją za rękę.

– Mamusiu! – krzyczy Lyla.

Paraliżuje mnie lęk. Mam nóż. Jednak on trzyma moją córkę i jeszcze większy nóż. Jeśli zrobię najmniejszy ruch, może w ciągu sekundy poderznąć jej gardło. Obserwuję więc, wstrząśnięta, bezradna, jak wyjmuje krótkie kawałki sznura z wewnętrznej kieszeni. Lyla dygocze w jego uścisku, kiedy siłą sadza ją na krześle.

– Ludzie używają takich sznurów do seksu – wyjaśnia. – Widziałem, jak to robili na imprezach. To bardzo łatwe i bardzo bezpieczne. – Zakłada pętlę na jeden z jej

nadgarstków, potem na drugi.

Po chwili Lyla siedzi przywiązana do krzesła. Przez kilka sekund się wyrzywa, ale po chwili staje się jakby bezwładna. Wpatruje się we mnie tymi swoimi oczami. Oczami wilgotnymi od strachu, choć nie lecą z nich łzy. Moja odważna najdroższa córeczka. Odwzajemniam to spojrzenie. Obie wiemy, że za chwilę umrzemy, tutaj, w tej kuchni, w Huckerby, w miejscu, gdzie przygotowywałyśmy kanapki z masłem orzechowym na nasze pikniki w Brentor, Dartmeet czy Canonteign Falls. Tutaj zostaniemy zgwałcone i zamordowane.

– Pozwólcie, że zrobię wam zdjęcie. Wyślę je do naszego tatusia, kiedy będzie już za późno. Ostatnie chwile waszego życia.

Wyciąga telefon, robi sobie zdjęcie, selfie, jak stoi obok Lyli, która przywiązana do krzesła przypomina kłębek strachu.

Co on robi, zapisuje to zdjęcie? Komu zamierza je wysłać? Musi być pewien, że nie można do nas dotrzeć. I zapewne ma rację. Otacza nas pole ognia. Zamknął krąg. Prawie na pewno umrzemy.

Ale pozostał mi jeszcze cień nadziei. Nóż w tylnej kieszeni spodni. A jeśli coś pójdzie nie tak?

Nigdy w życiu nie używałam noża jako narzędzia przemocy. Nie mam pojęcia, co zrobić. Prawdopodobnie rzucę się na niego i nie trafię. Zapewne najpierw zauważy mój ruch. Nie ma więc żadnej nadziei.

Powoli, powoli, powoli Luke gładzi włosy Lyli, płasko położonym ostrzem noża. Jego gesty są pieszczotliwe, czułe, a jednak trzyma w ręce duży stalowy nóż i jego czubkiem unosi pasma czarnych włosów. Niczym staromodny fryzjer z brzytwą wolno przesuwa płaską stroną ostrza po policzku drżącej, milczącej Lyli i miękko pociera nim po jej karku.

To nie do zniesienia. Nie mogę na to patrzeć. A jednak muszę.

– Ładna dziewczynka dla jakiegoś paralytyka – stwierdza. – Ładna buzia. Hmmm? Szkoda, że mam zamiar ją pociąć na kawałeczki.

Znowu gładzi ją nożem po karku. W każdej chwili może go przekreślić, użyć ostrej krawędzi, szybko przeciągnąć nim w poprzek twarzy. A wtedy moja odważna córeczka umrze. Tutaj. Na tym krześle, na moich oczach. Wielka krwistoczerwona rana, trzepoczące rzęsy.

Krew szumi mi w głowie. Zastanawiam się, czy za chwilę nie zemdleję. Ostrze

głaska kark mojej córki, i znowu, i jeszcze raz. Luke pogwizduje. Pastwi się nade mną. Zabawia się gardłem Lyli i moim umysłem.

Najwyraźniej teraz jego nastrój się zmienia. Jakby był znudzony. Odsuwa nóż i mruga do mnie. Potem rusza w moim kierunku, obchodząc stół. Znajduje się jakieś pół metra ode mnie. Próbuję się nie trząść.

– Dobrze, najpierw zajmę się tobą, Kath. Tatuś będzie miał z tego więcej uciechy. Wezmę cię od tyłu i sfilmuję to, a potem cię zabiję. Wstań i odwróć się, zdejmij dzinsy, majtki też. Pochyl się nad stołem, połóż głowę na blacie. Jestem pewien, że już tak robiłaś z moim tatą, na takim porządnym, solidnym stole.

Czy dzięki temu będę miała szansę? Nie sędzę, ponieważ kiedy się odwrócę, jak każe, zobaczy nóż w mojej tylnej kieszeni.

Odsuwam krzesło do tyłu. Nie wiem, co robić. Luke znowu wyjmuje telefon, tym razem filmuje mnie. W drugiej dłoni nadal trzyma nóż. Jednak jest skupiony na ekranie, rozpoczynając swój krótki filmik o gwałcie i morderstwie na żywo, przed okiem kamery. Potem robi to samo z Lylą. Wyśle filmy Adamowi. Wyobrażam sobie, jak je ogląda. Łzy przerażenia.

To nie do zniesienia.

Nawet jeśli przejrzałam jego plan, teraz przyglądam się, jak patrzy na ekran telefonu, może sprawdza, która godzina, po czym wysyła wiadomość. To musi być zdjęcie Lyli. Uśmiecha się. Ma pewność, że zostało mu dostatecznie dużo czasu, żeby zrealizować swój plan.

Nie mogę na to pozwolić. Przychodzi mi na myśl, że jeśli chcę uciec i uratować Lylę, to muszę to zrobić powoli. Żartobliwie. Kokieteryjnie. Sprawić, żeby podszedł bliżej, dając mi tym samym szansę, wyciągnąć nóż i zrobić z niego użytek. Kiedy mozolnie odpinam guzik dzinsów, wyczuwam, że Lyla mnie obserwuje. Czuję jej spojrzenie, jej łzy.

Udając, że robię to nieporadnie, drugi guzik odpinam jeszcze wolniej. Zajmuje mi to długą, rozciągniętą w czasie minutę.

– Och, do kurwy nędzy – niecierpliwi się Luke. – Nie mamy całego dnia. Dom się spali, zanim zrzucisz z siebie te fatalaszki! Daj, ja to zrobię. – Chowa do kieszeni telefon i podchodzi. Wywija nożem.

Stoimy twarzą w twarz. Mój przyrodni brat i ja. Mój pasierb i ja.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Dobrze – zgadzam się. – Dobrze.

Sięgam do tyłu, lecz zamiast ściągnąć dżinsy, chwytam mocno rękojeść noża, a kiedy on wyciąga ręce, żeby zdjąć mi spodnie, robię to – zamachuję się nożem i wbijam go *mocno, mocno, mocno* w jego klatkę piersiową.

Czuję potworny chrzęst, coś w rodzaju szarpnięcia. Trafiłam w kość, przebijając się przez mięsień. Czuję się jak rzeźnik – właśnie dźgnęłam nożem człowieka. Ostrze tkwi w samym środku klatki piersiowej. Z trudem udaje mi się je wyciągnąć. Teraz krew tryska z rany, a Luke zatacza się do tyłu. Przyciska dłoń do rany, lecz krew płynie spomiędzy jego palców.

Powinnam powtórzyć cios. Znowu wbić ostrze, raz za razem, wiele razy, wykończyć go, skoro pojawiła się taka wątła nadzieja. Jednak nie jestem w stanie. Luke zatacza się, idzie chwiejnie, potykając się, upuszcza nóż, który brzęczy na kamiennych płytkach. Ale wciąż żyje. Cios był zbyt słaby i nie zabiłam go, trafiłam za nisko, omijając serce.

Mimo wszystko zyskałam dla nas cenne sekundy. Luke ciężko dyszy, wpatrując się w swoją ranę – w jaskrawoczerwone strumienie krwi. Zataczając się, wychodzi z kuchni do przedpokoju.

Biegnę do krzesła, przecinam nożem sznury, którymi przywiązana jest moja córka. Kawałki sznura opadają na kuchenną podłogę. Lyla wstaje.

– Mamusiu, szybko!

Lyla jest wolna, ale Luke odpycha się od ściany. Dobrze wie, że jest tylko ranny. Chwiejnym krokiem wchodzi do kuchni, podnosi z podłogi swój ogromny nóż i wrzeszczy na mnie:

– Ty cholerna dziwko!

– Lyla, biegnij!

Chwytam ją za rękę i ciągnę w kierunku jedynej drogi ucieczki. Luke zagradza nam wyjście do przedpokoju, więc puszczamy się biegiem w stronę kuchennych drzwi. Czuję go za plecami, czuję, że nas ściga. Gwałtownym szarpnięciem otwieram drzwi, zrozpaczona, ale kiedy to robię, upuszczam umazany krwią kuchenny nóż.

Teraz nie mamy już nic, czym mogłybyśmy się obronić, nie ma czasu, nie ma czasu, nie ma czasu.

Wybiegamy na zewnątrz, w sam środek piekła.

Las Hobajob

Wtorek rano

Całe podwórze jest zasnute dymem. Poza niewielkim skrawkiem przestrzeni, na którym stoimy, wszystko dookoła stoi w ogniu – płoty, jeżyny, zęby wiedźmy. Dokąd mamy pójść? Jedyna nadzieja w tym, że uda nam się jakoś przesmyknąć ścieżką, gęstą od dymu leśną ścieżką, która biegnie w stronę lasu Hobajob. Wygląda na to, że ogień nie jest tam aż taki duży, jeszcze nie. Teren porośnięty lasem jest grząski, strumienie opóźniają rozprzestrzenianie się ognia. Przynajmniej na razie.

Gdzieś z przeciwnej strony dobiega wycie. Czyżby psy? Wygląda na to, że zostały uwięzione za największym płotem, gdzie ogień najbardziej szaleje, za kryjówką Lyli. Nie mogą się stamtąd wydostać. A my nie jesteśmy w stanie po nie pójść.

Musimy iść w przeciwnym kierunku. Do lasu Hobajob. To ogromne ryzyko, ale pozostanie tutaj oznaczałoby śmierć z rąk Luke'a.

Gdzie on jest?

Na pewno gdzieś blisko. Musimy biec tą ścieżką.

– Do Hobajob! – krzyczę. – Lyla... musimy biec do Hobajob...

Zanim kończę, moja córka już puszcza się biegiem przede mną. Biegnie, żeby uratować swoje życie, choć ja biegnę za nią, by uratować nas obie. Jednak nad ścieżką unosi się przesycona dymem mgła – jeśli Lyla wybiegnie o dziesięć metrów do przodu, stracę ją w tym lodowatym, przepełnionym gryzącą wonią mroku.

– Zaczekaj, Lyla!

Odwraca się.

– Nie mogę czekać, on jest tuż za nami!

Odwracam się, ale nic nie widzę. Huckerby jest teraz całkowicie zasnute dymem. Ale oto i on – postać wyłaniająca się z kłębow dymu.

Człowiek z wrzosowiska. Zawsze tam był. Lyla miała przerażającą rację.

– Mamusiu, uciekaj!

Jesteśmy już w pobliżu lasu Hobajob. Dym sączy się przez rozczapierzone gałęzie starych drzew, kiedy przeskakujemy przez pierwszy murek. Nigdy nie widziałam

takiego wypalania traw, niekontrolowanego ognia obejmującego cały teren wrzosowisk, zagrażającego tym sękatym, obwieszonym mchem dębom, które rosną tutaj od setek lat. Być może tym razem ogień strawi wszystko. Może tędy też nie uda nam się przed nim uciec.

Dostrzegam dość wyraźnie sylwetkę Luke'a. Domyślił się, którędy zamierzamy uciec. Wspina się na obrośnięty mchem murek i wchodzi do lasu.

Lyla znowu krzyczy:

– Musimy się ukryć!

Ale nie ma gdzie. Słyszę dyszenie Luke'a, który wspina się po gładkich, podchodząc coraz bliżej. Biegnę więc jeszcze głębiej w las, w stronę polany. Ten dym może nam pomóc. Opada na ziemię niczym chmura. Nie widzę nic w promieniu trzech metrów przed sobą.

Nie widzę także Lyli.

Odwracam się w mroku. Uświadamiam sobie, z przerażeniem, że zgubiłam ją. Luke gdzieś tam jest, w tej mgle, a Lyla wybiegła do przodu i teraz nie widzę żadnego z nich.

– Lyla!

Nie. Nie pozwolę, żeby to tak się skończyło. Nie!

– Lyla!

Moje krzyki zdradzają Luke'owi, gdzie jestem, ale nie dbam o to. Pozwolę mu się złapać. Pozwolę, żeby mnie zgwałcił i zabił. Dam Lyli szansę na ucieczkę. Dam jej jedną jedyną szansę.

– Lyla, gdzie jesteś? Musimy iść na przełaj przez las... Lyla, proszę!

– Mamusiuuuuuu!

Docieram do polany, gdzie Luke zabił zające. Pamiętam ich puste oczodoły wypełnione krwią. Patrzące gdzieś poza nas, na coś złego.

Luke stoi na samym środku polany. Trzyma Lylę. Stoi tak, wyprostowany i imponujący, góruje nad moją córką. Trzyma w zaciśniętej dłoni jej czarne włosy, ciągnąc ją do góry tak, że stoi na paluszkach. Kopie i wije się.

Podchodzę, ale nic nie mogę zrobić. Nie mam żadnej broni. Nóż upuściłam przy kuchennych drzwiach.

– Witaj, Katarina – mówi. I ciągnie małą jeszcze mocniej za włosy, zmuszając ją do krzyku. – Właśnie tak zabija się wiedźmy... Ciach, ciach, ciach...

Dookoła nas las wyczekuje. Krzyk mojej córki odbija się echem i znika. Słyszę

w oddali trzask płonącego kolcolistu. A jednak tutaj, w lesie Hobajob, świat jest spokojniejszy, uprzejmie obserwuje horror, jaki ma się rozegrać, nawet jeśli szare kłęby dymu unoszą się ospale pomiędzy drzewami. Dostrzegam, że w oddali zaczynają palić się gałęzie.

Hobajob ustępuje pod naporem ognia.

Luke podciąga Lylę jeszcze wyżej, prawie odrywając ją od ziemi, sprawiając, że moja córka płacze z bólu. Ma zamiar zrobić to, co sobie wyobraziłam. Podciąć jej gardło, zabić z łatwością, z jaką Adam zabił tamtą owcę.

Mocno trzyma nóż w dłoni. Uśmiecha się, zmuszając mnie do tego, żebym patrzyła.

– Mamusia tutaj jest, dziecinko. Spójrz na mamusię, Lyla. Popatrz, jak tam stoi. Przyglądając się, jak umierasz.

Ma zamiar przesunąć ostrzem w poprzek jej gardła. Krew tryśnie w ogień. Upewniając się, że zyskał moją uwagę, podnosi ceremonialnie ostrze do jej bladziutkiego gardła, podczas gdy ona wije się bezbronna.

Czuję, jak uchodzi ze mnie życie – chcę, żeby zabił mnie pierwszą. *Zabij mnie w lesie Hobajob, wypuść Lylę.* Ale on jej nie wypuści. Ostrze jest już gotowe, żeby zabić moją dziewczynkę, a wtedy na twarzy Luke'a pojawi się nowy, krwawy uśmiech. Chce, żeby było dramatycznie. Specjalnie robi to powoli, żeby jeszcze pogorszyć sytuację.

Ledwo oddycham. Las Hobajob się budzi.

Zza płonącego lasu, zza mojej głowy dobiega ponury, pełen złości odgłos, który zbliża się coraz szybciej. Ten dźwięk jest tak donośny i szokujący, że Luke zatrzymuje się w pół ruchu. Odwraca się, na sekundę.

To psy.

Felix i Randal.

Jakimś sposobem udało im się przedostać. Jakoś pokonały ogień i gnają teraz jak szalone przez las – biegną uratować swoją dziewczynkę, swoją przewodniczkę, swoją księżniczkę. Sierść na nich się tli, kiedy pędzą tak przez dym niczym duże, ciemne, czarnookie szatańskie psy – warczące, złe, mściwe, wyjące. Pędzą prosto na Luke'a.

W ciągu tej jednej sekundy dopadają go i oba naraz uderzają w niego z całym impetem. Luke krzyczy z potwornego bólu. Dostrzegam ich kły, jak zanurzają się w jego ciele, i teraz słyszę, jak woła o pomoc. Puszczą moją córkę.

Lyla jest wolna, wypada z uścisku jego rąk.

– Lyla, dziecko, UCIEKAJ!

Lyla biegnie, byle dalej od polany, z powrotem do opiekuńczego lasu, w którym strumienie opierają się ścianie ognia. Nie mogę oderwać wzroku od psów – i od tego mężczyzny. Żarłoczne lurchery zostawiają Luke’a i teraz tylko tam stoją: warcząc, pilnując, szczekając – rozglądają się za Lylą, potem przenoszą wzrok z powrotem na napastnika. Czekają na rozkazy. Czekają na polecenie Lyli, żeby go wykończyć.

Luke ma krew na rękach, na twarzy, krew tryska z jego brzucha. A jednak wstaje i wbija we mnie wzrok. Wciąż ma nóż. Tym razem idzie po mnie. Tym razem to ja jestem jego celem. Ma krew na dłoniach. Krew płynie mu po głowie, po nogach. Luke jest ranny, pogryziony, dźgnięty nożem, ale wciąż żyje i wciąż jest obłąkany. Idzie po mnie jak po nagrodę pocieszenia.

Nie mam dokąd uciec. Cofam się pod sękate drzewa. Potykam się o splecione korzenie, krzyczę i wymachując rękami, upadam do tyłu. Luke korzysta z okazji. Czuję nad sobą jego wielką postać. Widzę podniesione do góry ręce, nóż, który trzyma kurczowo obiema dłońmi, jakby to był jakiś szczególny dartmoorski rytuał. Rytualna ofiara. Zamykam oczy, czekając, aż wbije ostrze w sam środek mojego serca. Nie przejmuję się tym, że mnie zabije – tym razem dobrowolnie oddam życie.

Za moją córkę.

Bierz mnie. Wypuść ją. Jestem gotowa umrzeć.

Nagle słyszę krzyk.

– Felix! Randal! – To Lyla krzyczy przez zimno i dym, krzyczy głośniej, niż sądziłam, że potrafi. – ZABIJCIE GO!

I psy natychmiast okazują jej posłuszeństwo. Rzucają się na Luke’a i sięgają jego gardła. Wyrrywają kawałki ciała. Kiereszują go, rozrywają na strzępy jego twarz. Porzucony nóż leży na ziemi, na skraju polany, a psy tym razem dokończają robotę: rozrywają mu gardło, szarpią nim jak bezradną ofiarą. Jednak Luke jeszcze walczy, odciąga je, ciągnie w płonące żywym ogniem krzaki.

Ten widok i odgłosy są odrażające. Krzyk człowieka, wycie zabijanych psów, odgłosy umierania... Dostrzegam w kłębach dymu, że Luke wciąż walczy, choć jest ranny, a ma do czynienia z silnymi, rozwścieczonymi bestiami. Jednak to już nie ma znaczenia – wszyscy oni zginą w płomieniach.

Lyla krzyczy:

– Felix! Randal!

Dym jest zbyt gęsty, żeby cokolwiek było widać. Odgłosy cichną, krzyki i wycie przechodzą w jęk, skowyt, po czym nie słychać już nic.

A potem zapada cisza. Ogień płonie. Pełen szacunku.

Lyla stoi w bezpiecznej odległości i wpatruje się w nieprzenikniony dym, nie rusza się. Podobnie jak ja. Obie nie odzywamy się ani słowem. Nagle słyszę jeszcze jeden głos.

– Lyla! – To Adam, ma twarz czarną od popiołu. – Jezus, Lyla, skarbie.

Lyla biegnie przez polanę i rzuca się w jego ramiona.

– Tatusiu! – Szłocha w jego objęciach. – Tatusiu... Tatusiu tatusiu tatusiu, to był on, tatusiu, to był on, przepraszam...

Adam znowu całuje Lylę i jeszcze raz, i jeszcze, po czym odwraca się do mnie. Oto mój mąż, w którego zwątpiłam. Mąż, który przyszedł, żeby nas uratować. Przedzierając się przez ogień.

– Tatusiu. A Felix i Randal?

Adam stawia Lylę na ziemi, podchodzimy bliżej do dymiących zarośli. Płomienie strawiły wszystko i teraz w połowie już przygasły. Ciało Luke'a stanowi mieszaninę czerwieni i czerni, krwi i sadzy, leży na wpół schowane pod zwalonym konarem drzewa.

Lyla nie zwraca uwagi na pozostałości po człowieku, który usiłował nas zamordować. Dwa psy, utykając, powoli wyłaniają się z popiołów i dymu. Mają całkowicie zwęgloną, potwornie czarną sierść, całe dygoczą z bólu. Oba upadają na wypaloną, wilgotną ziemię.

– Felix – mówi szeptem Lyla.

Kiedy przykłęka obok niego, pies podnosi pysk, wyczuwając jej dotyk. Liże ją po dłoni, delikatnie, bardzo delikatnie, po raz ostatni. A potem kładzie łeb obok Randała, który już się nie rusza.

Oba psy nie żyją.

Próbuję nie płakać tak bardzo jak Lyla. Adam patrzy na nas obie, kładzie dłoń na ramieniu córki. Lyla nadal klęczy i głaska Randała po zwęglonej sierści, a robiąc to, śpiewa swoją krótką pieśń:

*Och, mały niebieski płomyczku w mroku nocy,
Błagam, błagam, nie zbliżaj się.*

Rozglądam się dookoła.

Ściana ognia przesuwa się dalej. Ogień skończył tutaj swoje dzieło zniszczenia.

– Chodźcie, dziewczyny, idziemy stąd. – Adam bierze nas obie za ręce. – Wracajmy do domu. Tam będzie znacznie bezpieczniej. Ogień nie dotrze do Huckerby. Wiatr będzie go kierował na północ.

Ciągnie nas za sobą ścieżką, poganiając. Przeskakujemy przez zabytkowy murek, wychodzimy z lasu, zostawiając w tyle ścianę ognia i gryzącego dymu. Wyczerpani idziemy ścieżką w milczeniu, przechodzimy przez bramę i docieramy do domu.

Zamykam na klucz duże drzwi wejściowe i siadamy wszyscy przy stole. Przychodzi mi na myśl ta pieśń. Pieśń mojej córki. Pieśń, która zapowiada zbliżającą się śmierć.

Och, mały niebieski płomyczku...

Potem podnoszę wzrok i patrzę w okna. A tam pojawia się dziwne niebieskie światełko, które migoce i pulsuje we mgle.

To dziwne niebieskie światełko coraz bardziej się zbliża – upiorne i rozmyte. Mruga. To błysk kogutów policyjnych.

Dartmeet

Latem

Kocham to miejsce, gdzie chłodne, rozgadane wody rzeczek East Dart i West Dart w końcu spotykają się, w dół od mostu, pod dającymi cień dębami i łaskawymi wierzbami. Przypominają pochylające się ku sobie dwie straszne plotkary, które wymieniają się nowinkami. Niczym rozbita rodzina – skłócona, ale jednocześnie trzymająca się razem.

– Uważaj, żeby nie wpaść do wody – wołam do Lyli. – Nie mamy ze sobą ręczników.

Odwraca się z dość sarkastycznym uśmiechem. Wiosłuje razem z tatą, z Charliem i Oskarem oraz ze swoją nową przyjaciółką z nowej szkoły w Brixham nad morzem. Nowa przyjaciółka Lyli ma na imię Alice. Równie zwariowana jak Lyla na punkcie zwierząt, roślin, ptaków i przyrody, ma podobnego kręćka na tym punkcie i jest tym wszystkim równie zafascynowana. Mama Alice jest uszczęśliwiona, że zabieramy ją tutaj na weekendy. To jedyna okazja, kiedy bywam w Dartmoor.

Dan i Tessa podarowali nam swój letni dom w Brixham. Kilka dni po tym, jak zginął Luke, jak zginęły Felix i Randal, w tym potwornym pożarze, który strawił jedną trzecią powierzchni lasu Hobajob, podarowali nam cały dom, ot tak po prostu. Przekazali nam klucze i akt własności.

Próbowali w ten sposób naprawić dawne krzywdy. Naprawić błędy mojej matki.

Adam dał się przekonać, że ma odłożyć swoją dumę na bok. Przekonał władze parku, żeby pozwolono mu mieszkać poza terenem wrzosowisk. I tak wszystko się ułożyło.

Teraz Adam dojeżdża rano do pracy z wybrzeża i wraca do domu wieczorem. Lyla polubiła „brzęczący niczym złoto” odgłos morza w Brixham. Lubi obserwować fale przez okno swojej sypialni. Podobają jej się te wszystkie jachty i łodzie w małej zatoczce, które naprawdę wydają dźwięki *dzyń, dzyń*. Zyskała pewność siebie. Może dlatego, że właściwie to ona uratowała nam życie, odkryła prawdę. Myślę, że to dzięki tej pewności siebie zyskała przyjaciółkę. Tylko jedną, ale jednak przyjaciółkę.

Rozrzuciliśmy prochy Felixa i Randal'a w ogrodzie, na tyłach domu w Huckerby, przy żonkilach, zanim po raz ostatni pożegnaliśmy to miejsce. Prochy Lucasa Kinnersleya rozrzuciliśmy na grobie Kitty Jay. Uznaliśmy to za właściwe miejsce, być może jedyne właściwe miejsce. Matka i syn znowu razem. Adam powiedział kilka słów jako ojciec Luke'a. *Dart, Dart, co roku domagasz się kolejnej duszy.* Kiedy łagodny, wiosenny wiatr rozwał szare prochy po trawie, dostrzegłam smutek w oczach swojego męża – mimo wszystko Luke był jego synem, porzuconym i potępionym od samego początku.

Dzięki dochodzeniu dowiedzieliśmy się więcej na temat historii Luke'a. O tym, że przeprowadził się do Anglii i w wieku siedemnastu lat zaciągnął się do wojska. O tym, że usunięto go ze służby, ponieważ sprawiał problemy i brał narkotyki. O tym, że został drobnym złodziejaszkiem, palił trawkę, mieszkał w squatach w Plymouth, chodził po wrzosowiskach, czytał książki, księgi czarów, stare księgi magii, te cenne tomy, które mama zostawiła jemu, nie mnie ani Danowi.

W toku śledztwa okazało się, że coraz bardziej nas osaczał. Po raz pierwszy próbował mnie zabić trzydziestego grudnia, potem czekał wiele tygodni, zwodząc nas swoimi gierkami, zanim podjął drugą próbę. Kolejną próbę morderstwa, kiedy wykorzystał wypalanie traw, żeby zrealizować swój nieczyny plan. Spalenie wiedźm. Podsycanie ognia benzyną, żeby rozprzestrzenił się aż do Huckerby.

Jednak orzeczenie sądu – śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku – nigdy nie oddało w pełni istoty całej sytuacji. Nigdy nie zidentyfikowało źródła tego zła. Mojej matki.

Przez cały czas to ona stała za tym wszystkim. Moja egoistyczna, narcystyczna matka. Niezdolna do tego, by zaakceptować odrzucenie. Nie można usprawiedliwiać jej rakiem. Tak, zrobiła to wszystko tuż przed swoją śmiercią, mając guzy w mózgu, ale zrobiła to świadomie, celowo i bezlitośnie. Począwszy od niemądre niesprawiedliwego rozporządzenia swoim majątkiem aż po te obrzydliwe i toksyczne listy, z których część była pomyślana tylko po to, żeby spowodować zamęt na długo po jej śmierci. Musiała wiedzieć, jak ludzie na nie zareagują, zwłaszcza jej syn, którego miała z Adamem, bardzo trudny i zaniedbany chłopak, który na swoje piętnaste urodziny dostał list – zobowiązywała go w nim, by zemścił się za swoje potworne dzieciństwo.

Kim to czyniło moją matkę? Czy istnieje w ogóle słowo na jej określenie?

Nie potrafię go znaleźć.

Tessa przerywa moje myśli, moje niekończące się szmerzące w głowie myśli, które płyną niczym srebrzyste wody Teign w kierunku Drewe Weir.

– Dobrze się czujesz?

Ma na sobie jasną letnią sukienkę, siedzi po turecku na piknikowym kocu. Jej synowie bawią się uradowani z Lylą i Alice. Adam pokazuje im różne żyjątka w wodzie, małe rybki albo węgorze, nadając im naukowe nazwy. Zwłaszcza Lyla i Alice słuchają go jak urzeczone. Chłopców bardziej interesuje chlapanie się wodą.

Tessa pyta ponownie:

– Dobrze się czujesz, Kath?

– Tak – odpowiadam. – Czuję się dobrze. Myślałam o... no wiesz... o Luke’u, o mamie, o tym wszystkim...

Tessa kiwa głową.

– Też o tym myślę, dość często. I nadal próbuję to zrozumieć.

– Co masz na myśli?

Odwraca twarz częściowo w moją stronę i dostrzegam na niej niepewny uśmiech.

– Chodzi o zło. O koncepcję czystego zła. Zastanawiam się nad tym od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że widziałam to kilkakrotnie w więzieniu w Princetown, a teraz... cóż, zastanawiam się, czy nie spotkałam się z tym znowu w osobie Luke’a, a może raczej w tym, co zrobiła twoja matka. I jestem tym... w zasadzie sama nie wiem... zmartwiona. Coś w tym rodzaju.

– Dlaczego?

– Bo skoro istnieje czyste zło – wyjaśnia – to musi również istnieć czyste dobro. Prawda? A czyste dobro to z pewnością Bóg. Tylko że ja nie wierzę w Boga. Jestem ateistką, materialistką, naukowczynią. – Potrząsa głową i śmieje się ze smutkiem. A potem zmienia temat. – Chcesz jeszcze jedną kanapkę?

Odwzajemniam jej uśmiech.

– Poproszę. Dzięki, są pyszne. Jak to się nazywa? Coś po hiszpańsku...

– *Jamón ibérico de bellota* – odpowiada. – I jestem od tego pozytywnie uzależniona.

Znowu milczymy. Pogodne rodzinne milczenie – nie licząc okrzyków dzieciaków. Pełna szczęścia scena z wrzosowiska. Znalazłyśmy nieco mniej oblegane miejsce nad rzeczką, z dala od turystów.

Jutro znowu zaczyna się tydzień pracy. Mam nową posadę, zarządzam małą niezależną księgarnią. Nie jest to jakieś spektakularne ani dobrze płatne zajęcie, ale

lubię tę pracę. Poza tym dzięki niej mogę spędzać najbardziej słoneczne, ciepłe niedziele na wrzosowisku, tak jak dziś.

Brakuje mi jedynie mojego brata Dana. Popełnił straszliwy błąd, ale i tak za nim tęsknię, szczególnie podczas tych rodzinnych spotkań. Muszę zadać to pytanie.

– A jak tam u was?

Tessa wzdycha.

– Chłopcy chcą, żeby tata wrócił. Myślimy więc o tym, że może moglibyśmy spróbować... na kilka tygodni albo miesięcy, wiesz... Zobaczyć, jak nam pójdzie, jak nam ze sobą będzie.

– To dobrze, Tesso. – Uśmiecham się i kładę dłoń na jej dłoni.

– Cóż... – odpowiada z powątpiewaniem. – Nadal nie ufam Danowi i nigdy już nie będę go tak samo kochać. Jednak ze względu na chłopców... – Podnosi wzrok. – O Boże, Oskar chyba próbuje podtopić Charliego. Tego już za wiele.

Śmieję się. Tessa wstaje i woła:

– Chłopcy, chłopcy! Proszę, żebyście się nawzajem nie pozabijali! Bo będę miała wtedy kłopoty.

Biegnie na brzeg rzeki. Charlie i Oskar nadal się sprzeczą, chociaż wydaje mi się, że po przyjacielsku. Adam podnosi wzrok i macha do mnie, a ja macham do niego. Z tej odległości nie widać żadnych blizn po oparzeniach z boku szyi i na ręce. Poparzył się, bo przedzierał się przez płomienie, żeby nas uratować, pokonując całą drogę do Huckerby.

Dotarł tam kilka minut przed policją. Podczas gdy my same się uratowałyśmy – albo raczej psy nas uratowały... Jednak mimo wszystko Adam udowodnił, że kocha nas tak bardzo, by ryzykować własne życie. I te blizny są tego dowodem.

Lyla i Alice wychodzą z wody, mokre i roześmiane. Stanowią dobraną parę: Lyla ze swoimi prawie kruczoczarnymi włosami i przenikliwymi niebieskimi oczami i Alice, dokładne jej przeciwieństwo – jasna blondynka.

– Uczymy się – oznajmia Lyla, chichocząc – wszystkiego o podmokłych łąkach, o kwiatach. Tata nas uczy, pokazuje nam wszystko: ostrożeń błotny, czarcikęs łąkowy, sit ostrokwiatowy!

Alice przyłącza się:

– I dzwonek brzoskwiolistny, i trzęślicę modrą!

Odgrywają tę scenę niczym para komików. Obserwuję Lylę pod kątem jej

dotychczasowych objawów, stimowania, kiedy mówi, kiedy opowiada Alice o tych nowych szczeniakach, które zamierzamy kupić w miejsce Felixa i Randal'a. Lyla teraz znacznie rzadziej wykonuje te niezborne ruchy. Czasem widzę, jak po cichu powtarza słowa, czasem jeszcze tańczy i biega truchtem. Kiedy jest niespokojna, jej dłoń nadal trzepocze niczym ptak, niczym wisząca w powietrzu pustułka. Zawsze będzie inna, ekscentryczna, dziwna, ale teraz postrzegam to wszystko jako zalety. Lyla jest sobą, najlepszą wersją samej siebie, jaką potrafi być. Nigdy nie przyczepimy jej żadnej etykiety, poza jedną. Nazywa się Lyla Redway.

A jednak jest jeszcze coś, o czym Lyla, pomimo swoich wyjątkowych talentów, nigdy się nie dowie, czego nikt nigdy się nie dowie, a dotyczy to tego, co wydarzyło się w samochodzie nad zalewem Burrator.

Wspomnienie tamtego wieczoru powróciło do mnie kilka tygodni temu. W całości, dokończone.

Luke nie zabrał mnie nad zalew, żeby upozorować samobójstwo. Wiersz był zbiegiem okoliczności. Zapewne nigdy go nie zobaczył. Zabrał mnie tam po gwałcie, ponieważ chciał namacalnie sprawdzić, czy jestem wiedźmą. Myślę, że częściowo wierzył w te historie, a może wierzył w nie całkowicie – w kamienie wiedźm, w symbole, w klątwę, do której użył mojej krwi w lesie Hobajob. Chciał więc poddać mnie próbie, tak jak to niegdyś robiono – wrzucić do wody, zanurzyć, utopić.

Ten pomysł go ekscytował. Miał związek ze średniowieczem, z polowaniem na czarownice, z wszystkim tym, o czym przeczytał w książkach, które pozostawiła mu matka. Luke był przekonany, że nasza matka była wiedźmą, sądził zatem, że ja również nią jestem i że Lyla też musi nią być. Zmusił mnie, żebym wjechała samochodem do zalewu. Przypuszczam, że na końcu miał zamiar wyciągnąć mnie z samochodu i po prostu wrzucić moje ciało do wody.

Jednak kiedy zaparkowaliśmy, znalazłam na podłodze przy swoim siedzeniu latarkę, dużą, ciężką, starą latarkę, uderzyłam go i ogłuszyłam. Wsunęłam Luke'a na podłogę samochodu i miałam właśnie odjechać, zgłosić to na policję, ale zaczął się ruszać, odzyskał przytomność. Wtedy właśnie postanowiłam, w panice, że mam tylko jedno wyjście, by zagwarantować bezpieczeństwo Lyli.

Musieliśmy oboje zginąć, w tamtej chwili i w tamtym miejscu. Był to jedyny sposób, aby na pewno ocalić Lylę. Wjechać samochodem do wody. Utopić nas oboje. A więc naprawdę usiłowałam popełnić samobójstwo. By chronić moją córkę. Jednak jakimś

mrocznym cudem, mrocznym niczym skaliste wzgórze na wrzosowiskach, obojgu nam udało się wydostać z samochodu i z wody. A Luke znowu zaczął snuć plany, jak mnie zabić. Chciał poćwiartować mnie i Lylę, jak to robią z wiedźmami na Grenlandii. Tym razem dlatego, że był absolutnie przekonany, że jestem wiedźmą.

Ponieważ wiedźmy nie toną.

Lyla nigdy się o tym nie dowie. Nikt się o tym nie dowie. Jednak nadal zastanawia mnie jedna rzecz. Czy Luke był kompletnie stuknięty i całkowicie się mylił? Czasem mam wrażenie, że w tej rodzinie jest coś szczególnego i odmiennego. Tyle że nie ma to nic wspólnego ani ze mną, ani z moją matką – to nie dotyczy Kinnersleyów. Nie, chodzi o Redwayów, którzy mieszkają na wrzosowiskach od setek pokoleń.

Miała to zapewne niania Adama. Może także sam Adam i bardzo prawdopodobne, że odziedziczyła to również nasza córka. Mam na myśli to, że Lyla potrafi przywoływać zwierzęta. Kuce tamtej nocy. Psy, które nas uratowały. Jak ona to zrobiła? W całym tym hałasie, ogniu i dymie? Jakim sposobem psy wyczuły, że znalazła się w niebezpieczeństwie, pośrodku ogarniętych ogniem łąk i lasów?

Zadziwiające. Można by powiedzieć... magiczne.

– Alice – proponuje Lyla – może pobiegniemy coś zobaczyć? Tam są czaple, węgorze i różne inne rzeczy.

Alice kiwa głową uszczęśliwiona i obydwie dziewczynki biegną. Na bosaka po trawie. Chichocząc w promieniach słońca. Potem znikają.

Kładę się na plecach i spoglądam w niebo. Słyszę innych uczestników pikniku, nad brzegiem rzeki, puszczają piosenkę. To *The White Hare*:

*Słyszałem ją w dolinie,
Słyszałem ją w mroku nocy
Wołanie białego zająca,
Jej wzrok ogniem płonie...*

Słuchając słów piosenki, powracam myślami do tych dni, kiedy zakochiwaliśmy się w sobie z Adamem i kiedy zabierał mnie w takie właśnie miejsca. Czarujące zielone zakątki wrzosowiska. I gdy rozmyślam tak o tej naszej miłości i o tym, co zdarzyło się od tamtej pory, wiem, że sobie poradzimy. Nasza mała rodzina. Adam, Lyla, ja. Zostaliśmy poddani próbie. I przeżyliśmy. Sądzę więc, że przetrwamy.

Jednak ta ładna, melancholijna piosenka przypomina mi również o tej drugiej

stronie, o ciemności, o zimowych mgłach nad Hexworthy, o brzęczących srebrnych łańcuszkach w Huckerby, o tych długich godzinach zimna, mroku i śmiertelnego przerażenia. Smutek jeszcze nie odszedł. Cień nadal pada na wszystko. Oczywiście jesteśmy szczęśliwsi, ale nie jest to pełnia szczęścia. Opuszczając Dartmoor, coś porzuciliśmy, pozostawiliśmy za sobą kawałek naszej duszy tam, gdzie szare wrzosowiska wznoszą się i opadają niczym samotne wołanie wodnego ptaka.

Zapłaciliśmy swoją cenę – straciliśmy to piękno, ten codzienny urok.

Kiedy tak leżę, pozwalam, aby promienie słońca, upstrzone cętkami cieni rzucanych przez liście dębu, tańczyły na mojej twarzy i śnię na jawie, snami słodkimi, a jednak przepełnionymi goryczą, o polnych kwiatkach na wysokich wzgórzach latem: o wiązówce błotnej na Whitehorse Hill, o naparstnicach w Broad Marsh, o rosiczkach i kurzyśladzie polnym, o mięcie polnej i o różach.

[1] Skala Glasgow, GCS (ang. Glasgow Coma Scale), jest używana w medycynie i ratownictwie medycznym w celu oceny poziomu przytomności pacjenta.

[2] Wielki Bóg Pan, książka autorstwa walijskiego pisarza i mistyka, Arthura Machena, żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Jego twórczość stała się inspiracją dla znanych autorów powieści grozy, w tym Stephena Kinga, który opowiadanie Wielki Bóg Pan uważa za jeden z najlepszych literackich horrorów napisanych w języku angielskim.

[3] Mowa o prawie związanym z wydobyciem cyny, które od czasów średniowiecza było kluczowe dla gospodarki Kornwalii i hrabstwa Devon. Istniało oddzielne prawo dla górników cyny, powoływano też tak zwany parlament cynowy oraz sądy cynowe. Monopol na górnictwo cynowe w hrabstwie Devon miały miasta Tavistock, Ashburton, Chagford i Plympton.